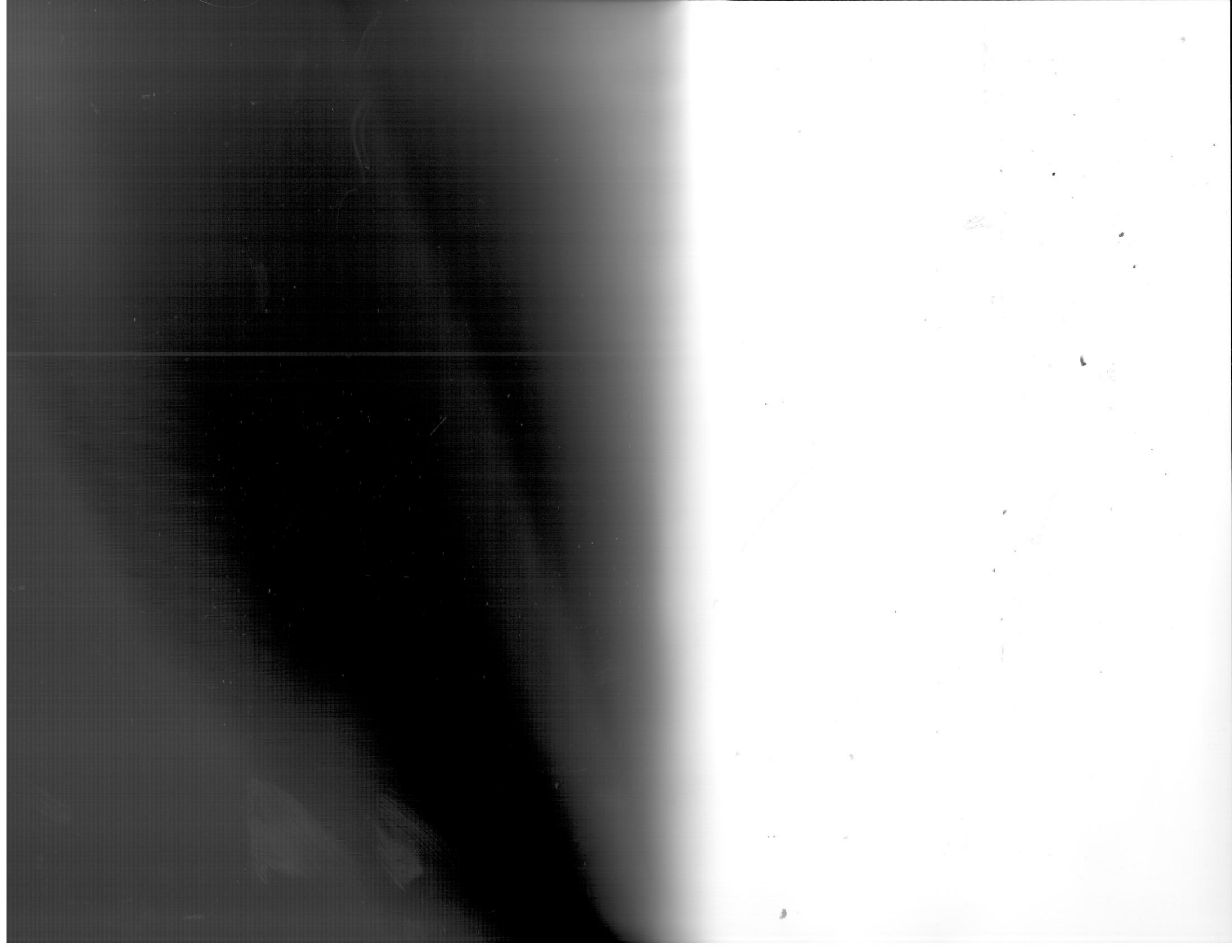

(͡° ͜ʖ ͡°)

#RIGCZ

(͡° ͜ʖ ͡°)

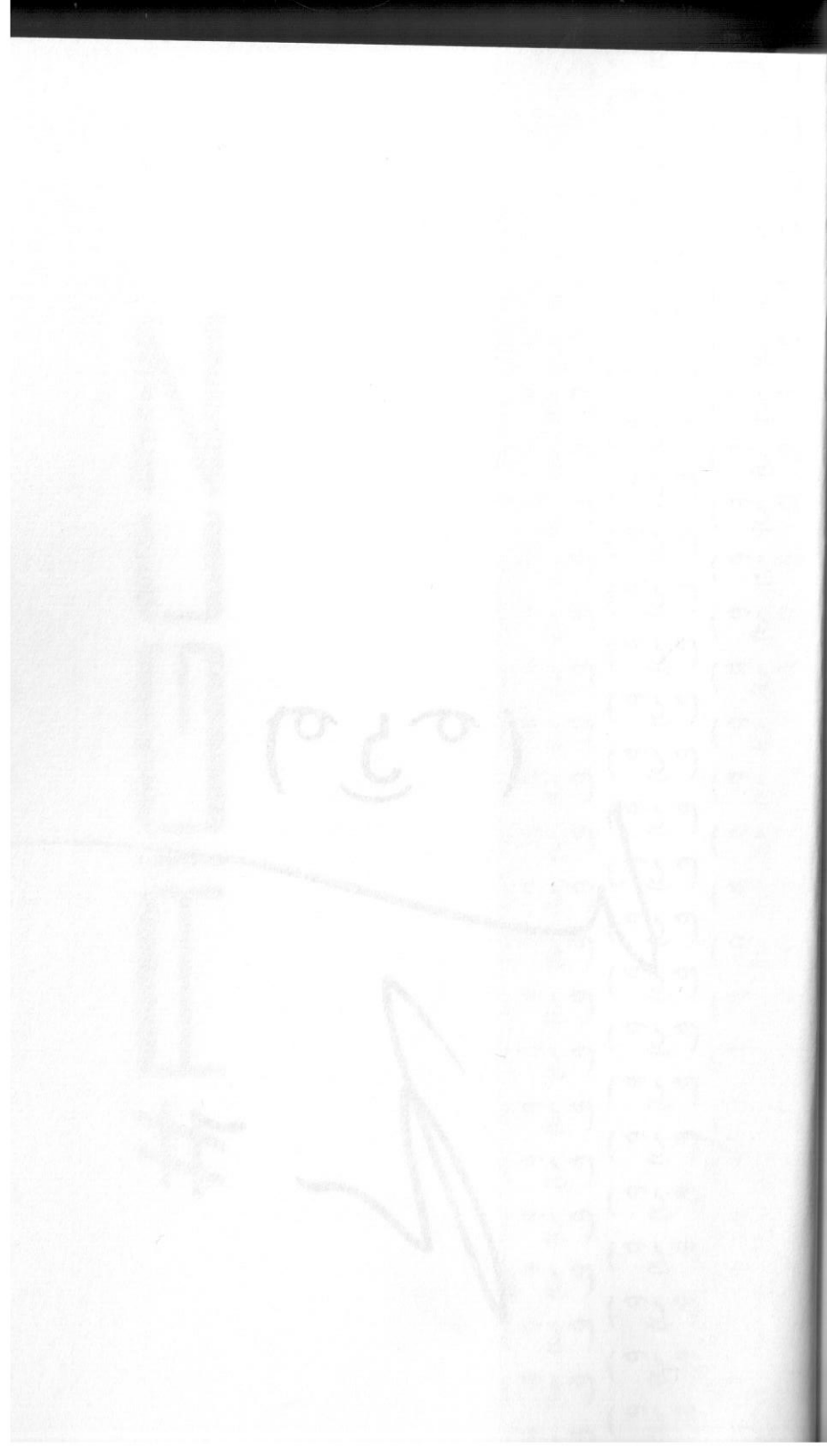

Krzysztof Gonciarz

ROZUM I GODNOŚĆ CZŁOWIEKA

Rozmawia
Bartek Przybyszewski

TOFU Media
Warszawa 2019

SPIS TREŚCI

(◡ ͜ʖ ◡) 9
/╲/(͡° ͜ʖ ͡°)/\╱\ 10
ಠ_ಠ 20
(ಥ ͜ʖಥ) 29
(͡°ω ͡°) 34
(∈ ͜ʖ ∋) 40
(͡° ͜ʖ ͡°)=ε/̵͇̿̿/'̿'̿ ̿ 50
\(⊜▽⊜)┌ 55
(͡°- ͡°) 56
¯_(° ͜ʖ °)_/¯ 61
(☉ ͜ʖ☉) ╭∩╮ 71
ᕦ(͡° ͜ʖ ͡°)ᕤ 82
(^ ͜ʖ^) 86
┐(ಠ ͜ʖಠ)┌ 96
(◉! ͜ʖ" ◉) 108
┬┴┤(☉ل͜├┬┴┬ 113
¯_(⊙_ʖ⊙)_/¯ 117
(͡° ᴥ ͡°) 126
(͡o‿O͡) 131
つ ͡° ³ ͡°)つ 141
(͡° ͜ʖ ͡°) 142
(▀̿Ĺ̯▀̿ ̿) 148
(͡° ͜ʖ ͡°) 157
(͡~ ͜ʖ ͡~) 162
デ╦̵̵̿╤─(ಥ ͜ʖಥ;)╯ ╲___XXXX 169
(͡°❥ ͡°) 175
༼ つ ͡° ͜ʖ ͡° ༽つ 181
ᕙ ͜ʖᕗ 182
(ಠ ͜ʖಠ) 187
ᕙ(░ಥ ╭͜ʖ╮ ಥ░)━☆ﾟ.*･｡ﾟ 193
[̲̅$̲̅(̲̅ಠ ͜ʖಠ)̲̅$̲̅] 202
(͡° ͜ʖ ͡°) 207
︵‿︵(´ ͡༎ຶ ͜ʖ ͡༎ຶ `)︵‿︵ 208
(☞ᕙ ͜ʖᕗ)☞ 219
(╥ ͜ʖ ╥) 224
(◉ ͜ʖ◉) 233
(͡°‿つ ͡°) 242
 ͡~) ͜ʖ (͡~ 246
(# ͜ʖ #) 254
✺" (͡° ͜ʖ ͡°)! ✺ 265
[̲̅$̲̅(͡° ͜ʖ ͡°)̲̅$̲̅] 269
(͡°Ĺ̯ ͡°) 283
(ノಠ益ಠ)ノ彡┻━┻ 293
ε= ┏(͡° ͜ʖ ͡°)┛ 298
(∩ ͡° ͜ʖ ͡°)⊃━☆ﾟ. * ･ ｡ﾟ, 304
(✧≖ ͜ʖ≖) 311
(͡°(͡° ͜ʖ(͡° ͜ʖ ͡°)ʖ ͡°) ͡°) 312
☆:*°(͡~ ͜ʖ ͡~)*☆:° 319
(╯ ͡° ▽ ͡°) ╯ ︵ ┻━┻ 331
(͡° ͜ʖ ͡°) (͡°ξ ͡°) 337

Bartek Przybyszewski: Co ludzie powiedzą, gdy usłyszą, że wyszedł wywiad-rzeka z Gonciarzem?

Krzysztof Gonciarz: To, co zwykle mówią: „Odbiło mu".

„W dupie się poprzewracało".

„Jezu, co za ego. Widać, że Gonciarz się kończy".

„Wyżej sra niż dupę ma".

„Co dalej, może wiersze zacznie pisać?".

„Kto to w ogóle jest? Jakiś youtuber? Na co z takimi wywiady przeprowadzać?"

„Co jeszcze ten buc wymyśli?".

No dobra. Skoro mamy to już za sobą, to zaczynamy?

Spróbujmy.

KIEDYŚ TO BYŁO

(∩ ͡ʖ ∩)

CIERPIENIA MŁODEGO KOMPUTEROWCA

Zacznijmy tę książkę tabloidowo. Pamiętasz swój pierwszy pocałunek?
Tak. Ale to dziwna historia. Miałem z 15 lat i umówiłem się z jakąś dziewczyną przez internet. Nie pamiętam nawet jej imienia. Wyszedłem po nią na przystanek i ją pocałowałem.

Ale jak to? Tak po prostu? W usta?
Tak (śmiech). Na przywitanie. Kompletny bezsens, nie?

Odwzajemniła?
Tak. Bo wiesz, ludzie w tym wieku próbują zachowywać się jak starsi, nie mając pojęcia, co robią. Więc tak, to był mój pierwszy pocałunek. Załatwiłem to na pewniaka, z zimną krwią, bo tak przecież robią dorośli. Ona mi się później przyznała, że pierwszy raz się z kimś całowała. Ja jej nigdy.

Miałem teraz zadać pytanie, jak ci szło z dziewczynami, ale trochę już na nie odpowiedziałeś...
No, nie za dobrze szło. Od kiedy pamiętam, byłem „komputerowcem". A jak już doszedłem do wieku, w którym człowiekowi zaczyna zależeć na związku czy miłości, to bycie nerdem nie pomagało. To było jeszcze, zanim nastała moda na nerdozę.

Bałeś się dziewczyn?
Co rozumiesz przez „banie się"?

Czy bałeś się podejść i zagadać?
Tak, bardzo mnie to stresowało. Tym bardziej że od pewnego momentu nastolatki zauważają, że świat zaczyna się dzielić na ludzi, którzy świetnie ogarniają tę sferę życia i przegrywów, którzy biegną daleko za peletonem.

Przecież parę lat później ludzie lubili cię czytać i słuchać. Nie przekładało się to na kontakty damsko-męskie?
Ludzie lubili mnie czytać i słuchać, jak im opowiadałem o grach wideo (śmiech). Wtedy gaming był jeszcze bardziej męską domeną niż teraz. Dziś stereotyp, że nerdzi to sami faceci, nie jest już aktualny. Ale wtedy nie był aż tak daleki od stanu faktycznego. Moje zainteresowania mogły nieco odstraszać dziewczyny z mojego rocznika
Pamiętam takie jedno symptomatyczne wyjście na piwo. Miałem ze 20 lat, może trochę więcej. Poszliśmy w cztery osoby: mój przyjaciel, jego nowa dziewczyna, jej koleżanka i ja. W pewnym momencie pada pytanie: „czym ty się, Krzysztof zajmujesz". Odpowiadam, że piszę o grach. A dziewczyny patrzą na mnie, potem na siebie i mówią: „Chujowo".

Mocno przeżywałeś niepowodzenia z dziewczynami?
Tak, byłem totalnie przegiętym romantykiem i traktowałem to wszystko zdecydowanie zbyt emocjonalnie. A wiadomo, że jak ci za bardzo zależy, to sam sobie przekreślasz szanse.
Pamiętam, jak kiedyś koleżanka z liceum poprosiła, żebym wpadł do niej po lekcjach i pomógł jej w informatyce, bo czegoś tam nie rozumiała. I dla mnie to było takie przeżycie, że przez kilka nocy spać nie mogłem. Taki byłem zestresowany, że pójdę do domu do DZIEWCZYNY! Spanikowałem, miałem intensywny natłok myśli. Mój mózg zapętlił się na pytaniach: „Co ja tam zrobię? Co jej powiem?".

I jak to się skończyło?
Smutno. Po tych korepetycjach przez kilka dni zbierałem się, żeby zaprosić ją do koktajlbaru na deser lodowy. Tak to sobie wymyśliłem. Swoją drogą – co to za pomysł... Ale byliśmy jeszcze przed osiemnastką, więc nie chodziliśmy na browary. Dla dzisiejszych nastolatków to chyba nie jest jakaś wielka przeszkoda, dla nas była.

I w końcu się przełamałem, przełknąłem ślinę, wziąłem głęboki oddech i zapytałem o randkę. A ona odpowiedziała, że „jest ktoś, kto mógłby mieć coś przeciwko".

Ajjj...

Tak dostałem pierwszego w życiu kosza. Najgorsze było to, że za dużo o tym wszystkim myślałem. Przed, w trakcie i po. Rozważałem wszystkie możliwe scenariusze, planowałem drzewka dialogowe do każdego możliwego wariantu. Kompletnie zero chillu.

Strasznie to przeżyłem i później przez jakiś czas szukałem romantycznej miłości. Co chwila inwestowałem intensywne uczucia w osoby, które nie chciały ich odwzajemnić. Torturowałem się emocjami, nad którymi kompletnie nie panowałem. Potrafiłem sobie ubzdurać, że jakaś przypadkowa dziewczyna z mojego otoczenia to właśnie TA JEDYNA. Miałem w głowie potworny mętlik. Cieszę się, że dojrzała „romantyczność" tak nie wygląda, że to tylko etap burzy hormonów, który przychodzi i się kończy. Bo wszyscy byśmy się pozabijali.

Parę minut temu użyłeś słowa „komputerowiec". Pamiętam, jak mówili tak w latach 90. nasi rodzice i dziadkowie. Czyli pokolenia, dla których zjawisko pt. „komputer w domu" nie było czymś tak naturalnym jak dla nas. Kojarzysz takie słynne zdjęcie „impreza informatyków", z czterema „komputerowcami" siedzącymi przy jakiejś smutnej ceracie w tureckich sweterkach?

Tak.

Po latach beki ktoś postanowił sprawdzić, skąd wzięło się to zdjęcie i kim dziś są ci czterej kolesie. Okazało się, że wykonano je w 1997 roku podczas olimpiady matematycznej, a po latach chłopcy osiągnęli duże sukcesy. Porobili kariery naukowe, a jeden z nich pracował najpierw w Google'u, a potem u Elona Muska.

Tu zaszła ciekawa przemiana. 15 czy 20 lat temu w Polsce były dwie osobne „ścieżki kariery": albo byłeś kimś przebojowym, albo „kolesiem od komputera". A dziś można być i jednym, i drugim. Bo przecież jak spojrzysz na współczesną branżę startupową, to nie pomyślisz o nich, że są nolife'ami. Ich profile na Facebooku czy Instagramie pokazują coś, co można określić

jako „fajne życie": dalekie podróże, sport, foodporn. W tego typu branżach sporo jest zaawansowanej rozkminy, jak przeżyć życie w ciekawy, niestandardowy sposób.

Zmiany w postrzeganiu męskości widać też w innych środowiskach. Weźmy polski rap. Pod koniec lat 90. dominowały w nim klimaty uliczno-chuligańskie. A dziś mainstreamem są goście pokroju Schaftera, Żabsona czy Otsochodzi. Chude chłopaki, których nie widziałbym jako uczestników osiedlowej ustawki. Nasze pokolenie to dzieci czasów, w których dominował prymitywny maczyzm. Czasów, w których „facet to musiał być facet" – zaradny, silny, pewny siebie, a jak jeszcze umiał się bić, to już w ogóle idealnie. Czy w liceum miałeś poczucie, że jednak należysz do tej słabszej grupy? Że jesteś raczej „samcem beta"?

Zdecydowanie. Kiedyś z Kasią Meciński porównywaliśmy nasze młodzieńcze doświadczenia – ja z Krakowa, ona z Chicago. I dotarło do mnie, że w mojej szkole było tak, że albo byłeś dobry z wuefu, ale słaby z pozostałych przedmiotów, albo na odwrót. A w Stanach jest ten taki kult kultury fizycznej i sportu akademickiego, który sprawia, że uczniem idealnym jest koleś, który gra na czołowej pozycji w drużynie i do tego ma najlepszą średnią w szkole. W mojej podstawówce do rzadkości należała sytuacja, że ktoś miał czerwony pasek i zarazem dobrze kopał piłkę.

W USA to podejście obejmuje też elity polityczne – ideałem prezydenta jest intelektualista, mówca i sportowiec w jednym. Nieprzypadkowo Obama w trakcie swoich kadencji regularnie fotografował się na siłowni czy podczas joggingu. Carter, Clinton i obaj Bushowie też publicznie biegali, nawet w bardzo zaawansowanym wieku. Jak to było u ciebie z wuefem? Lubiłeś go czy unikałeś?

Lubiłem wuef, tylko zawsze stresował mnie taki klimat wuefowego klasizmu. Gdy silniejsi koledzy przeżywali gwałtowny power trip i wreszcie mogli się popisywać. Z tego względu wuef kojarzył mi się z niepokojem. Nie jest mi obce upokorzenie osoby, którą jako jedną z ostatnich wybiera się do drużyny przed meczem.

To śmieszne, bo ten wuefowy atawizm do dziś siedzi w ludziach.Od czasu do czasu czytam na swój temat komentarze typu „widać, że w szkole był popychadłem". Próbują zdyskredytować mnie przeszłością, którą dawno za-

mknąłem. No i myślę sobie: „git, niech będzie widać, to moje frajerskie dziedzictwo to dla mnie raczej powód do dumy, bo wątpię, by ktokolwiek z tych osiedlowych dresów robił teraz coś imponującego". Prove me wrong (śmiech).

To trochę jak w rapie, gdzie każdy mówi, jak zaczynał od biedy i ulicy. Ty zaczynałeś od bycia przegrywem.

Dlatego potrafię się utożsamić z niektórymi piosenkami Bedoesa.

Wróćmy do dziewczyn. Jakie skutki miał ten pierwszy kosz, którego dostałeś?

Wtedy tak naprawdę poczułem, że potrzebuję bliskości fizycznej czy emocjonalnej z dziewczyną. Do tej pory ta sfera była u mnie nieaktywna, ale jak się obudziła, to już nigdy później się nie wyłączyła. Nagle poczułem, że smutno mi spać samemu. Całe życie spałem sam, ale w tym momencie zaczęło mi to przeszkadzać. Poczułem pustą przestrzeń w swoim łóżku.

Co z tym zrobiłeś?

Rzuciłem się w wir internetowych randek. Gadałem z dziewczynami przez Internet. Na swoim terytorium.

Tindera wtedy nie było. Więc co? Sympatia? Fotka.pl?

Nie, na takich stronach chyba nigdy nie miałem profilu. Umawiałem się raczej na jakichś czatach, no i miałem bogate życie towarzyskie na IRC-u. Czyli – tu wyjaśniam młodszym czytelnikom – takiej wczesnointernetowej wersji Messengera. Poznałem tam mnóstwo ludzi.

Udane były te randki?

Nie zawsze. Chociaż jedna skończyła się wspomnianym wcześniej pierwszym pocałunkiem, więc połowiczny sukces. Ale zdarzało się też, że bywałem wystawiany. Pewnie przychodziły, patrzyły na mnie i robiły w tył zwrot. W tamtym czasie miałem taki straszny zwyczaj... Aż mi zęby zgrzytają, jak mam ci to powiedzieć.

No dawaj.

W tamtym czasie, jak miałem jakieś 16-17 lat, grałem trochę na gitarze. I myślałem że to jest cool stawić się na randkę z gitarą w pokrowcu.

Jezu.

¯_(ツ)_/¯

(kaszel maskujący atak śmiechu) Pomagało?

Przynajmniej ze mną gadały. Czasem.

Czekaj, czekaj, po sieci krąży takie twoje zdjęcie z młodości – długie włosy, czarna bluza, krzywe okulary...

Sam je wrzuciłem do netu, do dziś ludzie przerabiają je na memy. Niedawno byłem na weselu moocieja – widzowie tvgry.pl mogą go kojarzyć. I spotkałem tam Piotrka, autora tego zdjęcia, który w ogóle nie zdawał sobie sprawy z jego memiczności. Piotrek akurat miał przy sobie nowy aparat, testował na nas jakieś ustawienia. I powiedziałem mu, że ten mój portret to prawdopodobnie najpopularniejsze zdjęcie, jakie zrobił (śmiech).

To fotka pochodzi z czasów podrywów na pokrowiec?

Mniej więcej. Jako nastolatek przechodziłem przez różne fascynacje muzyczne i niektóre odzwierciedlały się w mojej stylówce. Przez jakiś czas miałem długie włosy, ale liceum kończyłem będąc już brytyjską pytą...

Czym?

To określenie, które wymyśliliśmy wspólnie z kolegą. Brytyjska pyta to trochę protoplasta hipstera, bo właściwych hipsterów jeszcze wtedy nie było. A jeśli już używało się tego wyrazu, to w odniesieniu do lat 40. XX wieku. Brytyjska pyta to to ktoś, kto słucha Radiohead, Muse, Franza Ferdinanda. Typ o wyglądzie bidoka, który nie umie sobie otworzyć butelki z piwem. Trochę jak młody Thom Yorke. No taka brytyjska pyta po prostu, czego nie rozumiesz?

Okeej, nie wchodźmy w to zbyt głęboko. Wróćmy do twoich podbojów na IRC-u. Pomyślałem sobie właśnie, że gdyby nie internet, to może przez całe liceum byś dźwigał tę gitarę, ale ani razu nie umówił się z dziewczyną...

Za to w fazie brytyjskiej pyty bym to na pewno nadrobił (śmiech). Chciałem tylko zwrócić uwagę na to, jakim skarbem był wtedy modem dla nastoletniego nerda czy nerdzicy. Znaleźć kogoś o tych samych zainteresowaniach

w swojej szkole czy mieście nie było łatwo. I nagle przyszedł internet z IRC-em, tematycznymi forami dyskusyjnymi, Gadu-Gadu...
Jasne, chociaż to wszystko jeszcze raczkowało. Nie wszyscy mieli w domu internet i modem, o stałym łączu już nie wspominając. Najśmieszniejsze, że te nieliczne dziewczyny które siedziały wtedy w necie, z automatu uznawane były przez nerdów za fajne luzary i potencjalny materiał na żonę.

Myślisz, że nastolatki o nerdowskich zainteresowaniach mają dziś łatwiej, niż mieliśmy my?
Myślę, że tak. Wróćmy na chwilę do słowa „komputerowiec". Kogo tak naprawdę się nim określało? Kogoś, kto... ma komputer i go używa? No tak, to właściwie wystarczyło. A więc w tamtych czasach posiadanie komputera dodatkowo cię definiowało. Pamiętam, że jak już tym „komputerowcem" byłeś, to otoczenie zakładało, że będziesz studiował informatykę. Bo jak siedzisz tyle przy komputerze, to pewnie umiesz programować.

Albo smartfonista (śmiech).
Ja tak miałem – dla mnie informatyka była oczywistym kierunkiem studiów. Bo przecież byłem „komputerowcem". Nie było to takie złe – po latach okazywało się, że ten kierunek otwiera mnóstwo możliwości i zapewnia wysokie zarobki. Ale zabawne się to, że samo używanie komputera tak mocno cię kategoryzowało, wpuszczało w cały wir stereotypów. Myślę, że dziś już tak nie jest, choćby dlatego, że każdy ma komputer w kieszeni. Ludzie nie są obciążeni całą serią skojarzeń związanych z komputerami. To tak, jakbyśmy dziś używali określenia „smartfonowiec" z myślą o osobie wkręconej w klikanie na iPhonie.

Trochę to samo dotyczy komiksów superbohaterskich. Wkręciłem się w nie w połowie lat 90. jako ośmiolatek. I pamiętam, że w moim otoczeniu rówieśniczym czytanie „Batmanów" czy „Spider-Manów" było trochę dziwaczne. Jeśli już ktoś czytał komiksy, to raczej te polskie, odziedziczone po starszym rodzeństwie czy rodzicach – „Tytusa, Romka i A'Tomka" czy „Kajka i Kokosza". I gdzieś po drodze świat zmienił się tak mocno, że motywy superbohaterskie udało się przemycić do „zwykłego świata". Kiedyś koszulka z logo Batmana działała jak stempel z napisem „STULEJARZ". Dziś noszą je wylansowani celebryci, którzy mogli nigdy w życiu nie mieć w rękach komiksu.
Mikroświaty tego typu sporo straciły z tej swojej elitarności. Jako nastolatek byłem mocno wkręcony w „Gwiezdne Wojny". I to był czas, gdy wszystko, co miało na sobie logo „Star Wars", było przedmiotem kolekcjonerskim. Nie mieliśmy w Polsce tylu gwiezdnowojennych gadżetów, ile miały dzieciaki w Stanach, więc cieszyliśmy się byle czym. Na przykład tymi żetonami z czipsów, tazosami. Pamiętasz je?

Tak, w sumie to było straszne gówno.
No, to prawda (śmiech).

Budowałeś z kawałków tektury... większe kawałki tektury?
Jak to?

No w tazosach były takie ząbki, dzięki którym mogłeś wsadzić jeden w drugi i budować statki z „Gwiezdnych wojen".
A to ja nawet tego nie robiłem. Mnie chodziło tylko o kolekcjonerstwo, więc miałem taki specjalny album i tam je wkładałem. A pamiętasz modę na karteczki? To jest dopiero duchologia.

Jeśli ktoś nie wie, o co chodzi, bo urodził się za późno lub zbyt wcześnie, to wyjaśniam: moda na karteczki polegała po prostu na zbieraniu karteczek z takich małych kolorowych notesów. Papier w środku miał nadrukowany wzór np. jakieś zwierzaki lub postacie Disneya. Karteczki trzymało się w albumach na zdjęcia i na długiej przerwie można było się powymieniać z kolegami. Za najrzadsze okazy można było dostać nawet pięć „zwykłych". Więc jeśli ktoś np. spędził weekend u dziadków i znalazł tam w kiosku białego kruka, którego nie miał nikt w szkole, to mógł się obłowić. Karteczki były totalnie najntisowym fenomenem. Naszych rodziców tak przeorała transformacja ustrojowa, że nikt nie miał hajsu. A my chcieliśmy zbierać cokolwiek, więc zbieraliśmy kartki z tanich notesików.
Tak! Strasznie absurdalne, gdy się o tym pomyśli, prawda? I że to się jeszcze rozeszło takim viralem po praktycznie niepodłączonej do internetu Polsce. Trend zupełnie oddolnie przeszedł po kolejnych województwach.

Nie było żadnego mechanizmu marketingowego, który tę modę zaszczepił w dzieciakach. To się po prostu wydarzyło. No i one na pewno były nielegalne, przecież te wszystkie firmy papiernicze na 100% nie miały praw do „Króla Lwa"...

No jasne, że nie. Uroki polskich lat 90. Niedawno na jakimś nostalgicznym fanpage'u ktoś przypomniał, że były karteczki z nagą Czarodziejką z Księżyca – siedzi tam bez majtek, z piersiami na wierzchu. Jakoś mi się nie wydaje, żeby to była oficjalna grafika.

(śmiech) Ostatnio pomyślałem, że streetwear jest trochę jak zabawa w karteczki.

Jak to?

Poobserwuj sobie kiedyś jakichś streetwearowców. Posłuchaj, jak obczajają swoje stylówki, wzajemnie się wychwalają i komentują: „uuu, widzę, że masz na sobie rzadką parę obuwia, uszanowanko". My dokładnie to samo robiliśmy z karteczkami – ktoś miał rzadkiego Simbę, ktoś inny Czarodziejkę z Księżyca z gołymi cyckami.

Jak to było, że nie mieliśmy internetu, a mieliśmy virale?

Robiłem kiedyś taki komediowy filmik, „Najgorsze teksty rodziców", oparty na komentarzach użytkowników. I ludzie z całej Polski pisali zbliżone teksty, które słyszeli od swoich starych. To jednak niesamowite, że rodzice w całej Polsce używali jednolitej „grypsery": „tylko wstał i już do komputera", „ale tu syf, jeszcze tylko nasrać na środku, „nie jestem twoją koleżanką".

Język jest wybitnie memetyczny. Ale jak to się rozchodziło – też nie wiem.

Z młodymi ludźmi było tak samo. Pamiętam taką durną zabawę podwórkową w zarażanie „syfem" czy coś takiego. Wiem, jak to brzmi. To było jak berek – jak miałeś „syfa" i kogoś dotknąłeś, to wtedy ten ktoś go przejmował. Chyba, że akurat skrzyżował palce – wtedy był chroniony.

Spotkałem się z różnymi wariantami „syfa" w różnych częściach Polski, ale mechanika wszędzie była taka sama. Jak to działało, że te tropy rozchodziły się po kraju, a jednocześnie na każdym podwórku był ktoś, kto myślał, że on to wymyślił z kolegami? To jest temat na doktorat z antropologii.

Łapiesz się czasem na takim dziadowskim myśleniu, że „kiedyś to było"?

Tamte czasy były bardziej podobne do współczesności, niż wielu ludzi chciałoby przyznać. Te legendarne „zabawy na podwórku" były sposobem na zabicie nudy. Nie mieliśmy się czym zajmować, więc zajmowaliśmy się byle czym. Zamiast tracić czas na Instagramie, traciliśmy go na polu zarażając się „syfem".

MY DOSTAWALIŚMY WPIERDOL

Wywodzisz się ze środowiska gamingowego. Jaka była pierwsza gra, która cię zafascynowała?

„Commando" – moja rówieśniczka, wydana w 1985 roku. Chodziło się takim ludzikiem i oglądało wszystko od góry. Po raz pierwszy zagrałem w nią na automacie.

O, często bywałeś w salonach gier?

Niezbyt często, bo były dla mnie trochę za mało intymne. No i w latach 90. salony gier były nieco obskurne i niezbyt bezpieczne.

Fakt. Kiedy chodziłem do nich jako dziesięciolatek, to musiałem mierzyć się ze starszymi chłopcami, którzy podchodzili i mówili: „Daj pograć". Odpychali mnie i zajmowali klawiaturę.

Klasyka. „Daj pograć" albo „daj, przejdę ci".

Albo podchodził taki, bez pytania wrzucał do automatu drugą monetę, spuszczał ci łomot w jakieś „Mortal Kombat 2", po czym przejmował automat.

To ciekawe, że ci polscy chuligani z lat 90. mieli ewidentną smykałkę do gier i technologii, prawda? Gry podobały im się na tyle, że chcieli zagrać twoim kosztem. To chyba pokazuje tragizm tamtych czasów, polegający na tym, że nie każdy mógł sobie pozwolić na kontakt z komputerem. I tak powstały polskie salony gier tamtych czasów. Śmierdzące starym tłuszczem spod frytek, skryte w wozach cyrkowych, pełne dresiarzy, pomiędzy którymi niezauważenie próbowały przemykąć przygarbione nerdy.

Zabawne, że aż tak utkwiły nam w pamięci te niby niewinne sytuacje.

Tak, też ostatnio o tym myślałem. I z jednej strony poczułem taki triumf – że dałem radę to wszystko przejść. Że mimo tych trudności jestem tu, gdzie jestem. Ale z drugiej strony gdzieś pod skórą miałem taki... niepokój, który wrócił na samo wspomnienie takich niby niewinnych, malutkich akcików agresji. Strasznie się cieszę, że teraz w Polsce jest tego dużo mniej. Na pewno całkiem nie zniknęło, ale odnoszę wrażenie, że powietrze jest jakby lepsze. Nie ma aż tak wielu przypałów i jest dużo bezpieczniej. Wtedy naprawdę trzeba było pilnować swojej własności, żeby ktoś ci czegoś nie ukradł. Nie wiem, czy się z tym zgadzasz.

Porównanie statystyk policyjnych dotyczących np. kradzieży samochodów czy rozbojów, pewnie potwierdziłoby taką tezę. Gdy dziś łapię się na tym, że idealizuję w swojej głowie lata 90. jako czasy mojego dzieciństwa, to zaraz sobie przypominam że przecież wtedy było naprawdę niebezpiecznie. I nie chodzi tu jedynie o drobną przestępczość. W Warszawie w połowie lat 90. w restauracjach wybuchały bomby, a mafie urządzały regularne strzelaniny. Zastrzelono nawet komendanta głównego policji. Dziki kraj.

No właśnie.

Ale dziś też są napięcia, choć może widać je trochę gdzie indziej. Nierówności wciąż rodzą frustracje, a politycznie jesteśmy skłóceni być może bardziej niż kiedykolwiek po 1989 roku. Wtedy, jeśli mój tata „nie lubił komuchów" i tata mojego kolegi też „nie lubił komuchów", to od razu lubili siebie nawzajem (śmiech). Było jakoś prościej.

Tak, tak! (śmiech) Pamiętam głośny okrzyk radości w moim domu, gdy Wałęsa wygrał wybory prezydenckie. Byłem oczywiście za mały, żeby zrozumieć, o co chodzi. Ale ten okrzyk pamiętam.

Mnie mocno utkwił w głowie silny zawód, gdy pięć lat później Wałęsa przegrał wybory z Kwaśniewskim.

Oj tak. Przegrana Wałęsy wryła mi się w pamięć jeszcze mocniej niż wygrana. Patrz, niby wciąż niewiele rozumieliśmy, ale i tak z jakiegoś powodu mocno to przeżywaliśmy.

Powoli docieramy do popularnego pytania: „Gdzie byłeś 11 września 2001 roku?".

Z jakiegoś powodu nie poszedłem tego dnia do szkoły i oglądałem „Dragon Balla" na RTL 7. Podczas przerwy na reklamy przełączyłem na inny kanał. A tam pali się jakiś budynek. Znowu zmieniam kanał – i to samo. Pomyślałem sobie: „Co to w ogóle jest?". Do głowy by mi nie przyszło, że to być może coś, nad czym warto się pochylić, więc wróciłem do tego „Dragon Balla" (śmiech). W pewnym momencie mój tata wszedł do pokoju i powiedział, że dzieje się coś ważnego. Byłem trochę zły, no bo wiesz...

...„Dragon Ball" był zajebisty.

No właśnie. A potem wszedłem na Wirtualną Polskę, a tam nagłówek: „Palestyńscy terroryści zniszczyli World Trade Center". Polski portal jako jedyny na świecie od razu wiedział, co się stało! (śmiech)

Więc wysłałem SMS-a do znajomych, którzy siedzieli jeszcze w szkole: „Palestyńczycy zaatakowali USA, będzie wojna". Ale urwało mi tego SMS-a i zamiast „wojna" napisałem tylko „woj". Dramatycznie, nie?

Niczym mariacki hejnalista, którego dosięgła tatarska strzała, zanim skończył pisać SMS-a... Ale mam bardzo podobną historię – byłem już wtedy po szkole, zadzwonił do mnie kolega, a ja mu mówię: „Włącz telewizję, pół Nowego Jorku rozwalone!".

Trochę tak miałem ze Smoleńskiem. W pierwszym odruchu pomyślałem, że Rosja zaatakowała Polskę i że zaczyna się wojna. Ale to był w ogóle dziwny dzień, sobota, i moja przyjaciółka akurat brała ślub.

Jak się bawiliście?

Była jakaś niepisana umowa, że nie rozmawiamy na ten temat na weselu, chociaż wszyscy mieliśmy to z tyłu głowy. Nie bawiliśmy się na całego, spontaniczność była przykręcona o jakieś 30%. Zostaliśmy postawieni przed takim dziwnym dylematem: z jednej strony nie można uciec myślami od tego, co się wydarzyło, a z drugiej grupowa lojalność nie pozwoliła zepsuć młodej parze jej święta. Wszyscy czuliśmy jakieś napięcie, ale koniec końców było fajnie.

Tamtego dnia spałem po imprezie u swojej ówczesnej dziewczyny. I nagle do pokoju wbiegła koleżanka, dosłownie krzycząc w histerii: „Kaczyńscy nie żyją! Tusk nie żyje! Wszyscy nie żyją!". Od razu wyskoczyliśmy z łóżka i znaleźliśmy listę pasażerów. Okazało się, że nie było tam ani Donalda Tuska, ani Jarosława Kaczyńskiego, ani wielu innych postaci, o których krzyczała koleżanka.

Czyli twoją pierwszą reakcją było: „Eee, nie jest tak źle"?

Może przez ułamek sekundy. Bo jak mnie uderzyło, co rzeczywiście się stało i jak bardzo surrealistyczne jest to wydarzenie, to przez jakieś dwa tygodnie nie byłem w stanie uciec myślami od Smoleńska. Chodziłem jak struty, nie mogłem jeść, przez dłuższy czas nie potrafiłem tego przetworzyć. Przecież to było wydarzenie absolutnie bez precedensu – nigdy wcześniej ani nigdy później w żadnym kraju nie wydarzyło się nic podobnego.

Do mnie z pełną mocą dotarło to dopiero następnego dnia, gdy już byłem po weselu i pozwoliłem sobie przetrawić tę informację. Ale muszę przyznać, że takich newsów, jak katastrofa w Smoleńsku czy 9/11, nie przeżywam emocjonalnie równie mocno co większość ludzi. Dla mnie to bardziej rzeczy do intelektualnego strawienia. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że to niezwykle ważne wydarzenia, ale przyjmuję je raczej na chłodno. Nie płaczę. Sądzę, że gdyby media trąbiły, że zaczęła się jakaś apokalipsa zombie, to przeżyłbym tę wiadomość mniej niż jakąś aktualną kłótnię z dziewczyną (śmiech).

Apokalipsa zombie to byłby świetny materiał do daily vlogów.

(śmiech) Serio, żadne newsy nie robią na mnie wrażenia. Chociaż czekaj, są jednak wyjątki... Bardzo się przejąłem, gdy usłyszałem, że Tom Swoon – wówczas jeden z czołowych DJ-ów na świecie – z którym się przyjaźniłem, spowodował śmiertelny wypadek i dziś odsiaduje wyrok w więzieniu.

To się nie liczy, bo dotyczyło osoby, którą znałeś osobiście. Żadna inna medialna historia nie zrobiła na tobie wrażenia?

No, może jeszcze śmierć Anthony'ego Bourdaina bardzo mnie poruszyła. Bo to był trochę mój idol. Gdyby nie jego program „No Reservations", nie zacząłbym robić filmów podróżniczych na YouTubie, jestem tego pewien. Koleś,

którym zawsze chciałem być, popełnił samobójstwo. Jak w ogóle zareagować na takie wydarzenie?

A papież?

A rzeczywiście, mocno przeżyłem śmierć Jana Pawła II, mimo że nie byłem już wtedy religijny. Gęstość tej sytuacji, która emocjonalnie zjednoczyła wszystkich Polaków, była niepodobna do niczego innego. Wychodząc na ulicę, wiedziałeś, że jesteś na niej razem ze wszystkimi innymi przechodniami. To było smutne i piękne zarazem.

Płakałeś wtedy?

Tak, ale wynikało to chyba z podniosłości sytuacji, a nie żałoby po konkretnej osobie. W powietrzu była taka spirala wzruszenia: wzruszałeś się tym, jak bardzo wszyscy wokół byli wzruszeni. I tym samym dokładałeś swoją cegiełkę. To było jak jakieś ogólnonarodowe mistyczne przeżycie. Pamiętam taki materiał w telewizji: „Polacy są razem. Kierowcy ustępują innym drogi. Kibice Wisły i Cracovii podali sobie dłonie. Czy tak będzie już zawsze?". Tak trochę wyobrażam sobie stan jedności ze światem, do którego prowadzi na przykład głęboka medytacja. Tylko w tym przypadku dotyczyło to wszystkich naraz.

Zestawiasz medytację z katolicyzmem?

Jestem fanem podejścia, że różne religie mówią mniej więcej o tym samym, a przeżycia mistyczne są w gruncie rzeczy podobne, niezależnie od wyznania. To nie jest przecież tak, że jedni kłamią i udają, a inni mają szczere, głębokie doświadczenia duchowe. Jedni i drudzy czują to samo.

Miewałeś kiedykolwiek przeżycia mistyczne?

Kilkakrotnie.

Na trzeźwo?

Tak (śmiech). Wszystko w wyniku częstej medytacji. Świadome sny, out-of-body-experience, parę dziwnych doświadczeń typu „moja świadomość nagle znalazła się w jakimś pomieszczeniu złożonym z gwiazd". Częściej udawało mi się to osiągać podczas słuchania dźwięków fal mózgowych z jakiejś aplikacji na smartfonie.

Ale nie chcę się na ten temat rozwodzić – to było ze cztery lata temu. Nigdy nie wiesz, czy te rzeczy to dziwny, specyficzny sen, czy coś innego. Na pewno te doświadczenia ze mną pozostały i sprawiły, że do dziś czasem zastanawiam się nad kwestiami związanymi ze świadomością. Ale nie były to w żaden sposób „definiujące" przeżycia.

Zaczęliśmy od gier i poszliśmy w nieoczekiwanie mistycznym kierunku. Więc zawróćmy. Kiedy dostałeś pierwszy komputer?

Gdy miałem jakieś siedem lat. To było Commodore 64. I wtedy już wiedziałem, że gry wideo to mój świat.

A miałeś Pegasusa?

Nie, to mnie ominęło. Ale wujek przywiózł mi z Niemiec pierwszą generację Game Boya.

W latach 90.? Na bogato! Miałeś go jako jedyny w szkole?

Być może. Nie jestem pewien, nie przynosiłem go do szkoły, bo się bałem, że mi ukradną. Chodziłem do nie najlepszej podstawówki.

Czyli ta piękna wizja z japońskich reklam Game Boya, że możesz grać na ulicy, w autobusie czy na przerwie w szkole, nijak się miała do polskich warunków?

Sądzę, że w Polsce w latach 90. nikt nie używał Game Boya tak jak w reklamach (śmiech).

To prawda! (śmiech) Japończycy mogli sobie cwaniakować, bo mieszkają w kraju, w którym odsetek kradzieży był i jest śmiesznie niski. Ale szpanowanie Game Boyem na osiedlu w Europie Środkowo-Wschodniej mogło się bardzo źle skończyć.

Zabawne, nie? Siedzieliśmy ze swoimi Game Boyami w domach (śmiech). Wychowywałem się na Podgórzu, gdzie skala kradzieży była tak duża, że gdyby jakiś dresiarz ukradł mi konsolę, to mój ojciec nie wiedziałby, co robić. Bo rodzice złodzieja mogliby być wcale nie lepsi od syna (śmiech). Gdyby mój ojciec poszedł do kogoś takiego i poprosił o zwrot, to mógłby zostać wyśmiany i byłby tak samo bezradny jak ja.

Twoja podstawówka była stresująca?

Jak już wspomniałem: nie była jakoś specjalnie prestiżowa. Kręciło się wokół niej sporo podejrzanych chłopaków. Niektórzy byli starszymi braćmi uczniów, dawno temu usuniętymi ze szkoły. Więc pewne dzieciaki zastraszały nawet uczniów z wyższych klas, opierając swoją pozycję na rodzeństwie czekającym pod szkołą w pełnej gotowości do wpierdolu. Z perspektywy czasu to było dość zabawne, że szkołą trząsł jakiś knypek o dwie głowy niższy od ciebie. Parokrotnie tacy kolesie kazali mi oddawać pieniądze, bo „zbierali na papierosy". Bardzo dużo stresu mnie to kosztowało.

Pamiętam, gdy raz w trakcie szkolnej dyskoteki kilkunastu kolesi ustawiło się wokół podstawówki. Rzucali jajkami w drzwi i zrobili taką blokadę, że nikt nie mógł wyjść. Nauczyciele byli kompletnie skonsternowani, nie wiedzieli, jak rozwiązać ten problem. Zrobiło się późno, trzeba było powoli kończyć potańcówkę, ale się nie dało, bo tamci stali i blokowali.

Gdy potem opowiedziałem tę historię Kasi, strasznie się ze mnie śmiała. Bo ja tu jej mówię o tych jajkach prawie jak o swojej traumie z dzieciństwa, a ona wychowywała się w Chicago, gdzie na porządku dziennym były strzelaniny z ostrą amunicją (śmiech).

Po której stronie miasta mieszkałeś? Wisły czy Cracovii?

Różnie, kursowałem między mieszkaniem rodziców w Śródmieściu a domem babci na Podgórzu, a ono, sądząc po napisach na ścianach, było chyba za Cracovią.

Nie byłeś pewien? To ryzykowne – mieszkać w Krakowie i nie mieć pewności w takich kwestiach. Nigdy cię nie zapytali, za kim jesteś?

Pytali, ale trik polegał na tym, żeby mówić, że nikomu nie kibicujesz. Ryzyko rzutu monetą było zbyt wielkie, żeby zadeklarować się po którejkolwiek ze stron.

I za neutralność nie dostawało się wpierdolu?

No ja nigdy nie dostałem. Chyba ich to dezorientowało (śmiech). Wpierdol dostałem raz w życiu, miałem jakieś 24 lata. Piliśmy z przyjacielem alkohol pod Teatrem Słowackiego w Krakowie, przy Plantach. Zaczepiło nas dwóch dresów, zaczęli szarpać mojego kolegę. „Panowie, spokojnie" – powiedziałem.

„Co spokojnie, kurwa?" – odparł jeden i przywalił mi w ryj na tyle mocno, że padłem na ziemię. Potem okazało się, że musimy jechać na pogotowie, bo krew się leje. Bliznę mam do dziś.

I to był jedyny raz?

Były jakieś przepychanki w szkole, na wyjazdach klasowych. Ale nic poważnego. Zawsze unikałem fizycznych konfrontacji. Poza tym miałem niejednoznaczną relację z osiłkami ze swojego otoczenia. To nie było tak, że mnie nie lubili albo mną pomiatali. Mieliśmy do siebie nawzajem jakiś taki szacunek – oni wiedzieli, że w razie czego mogę im pomóc z tym czy innym przedmiotem, że znajdę im coś w internecie, odrobię zadanie z angielskiego.

Kiedyś miałem przygodę jak z jakiegoś filmu o dojrzewaniu. Nauczycielka angielskiego kazała mi nauczyć najsłabszego ucznia w klasie ładnie przeczytać jakąś czytankę, żeby przeszedł do następnej klasy. Pomogłem. W zamian nauczył mnie kilku trików w piłce nożnej. Czy to nie kawaii? (śmiech)

Szacunek ludzi ulicy. Czyli w szkole najlepszy byłeś z angielskiego i informatyki?

Tak. Rodzice dość wcześnie zapisali mnie na prywatne lekcje angielskiego, a ja już jako dziecko zacząłem się tym językiem bawić na własną rękę. Praktycznie nie pamiętam stanu, w którym nie mówię po angielsku. Zawsze było to dla mnie naturalne, choć prawdziwa płynność przyszła mi dopiero na etapie życia w Tokio i związku z Kasią.

No i informatyka, wiadomo. Turbo Pascal, wczesny HTML... Wtedy nawet podstawowe elementy obsługi komputera, na przykład umiejętność skonfigurowania Windowsa 95, były uważane za „kocie ruchy".

Zawsze byłem też dobry z polskiego. W podstawówce brałem udział w olimpiadzie polonistycznej na poziomie wojewódzkim. Zawsze lubiłem pisać i często robiłem to w czasie wolnym. To był krok do realizacji marzeń o pisaniu o grach.

Rodzice wspierali twoją zajawkę na gry?

Nie mieli nic przeciwko. Ale też nigdy nie dałem im powodów do protestów, bo nie zaniedbywałem szkoły, dobrze się uczyłem i byłem raczej grzecznym chłopcem. Moje życie było podzielone na dwie części – w mieszkaniu ro-

dziców miałem nerdowski kawałek życia: komputer, komiksy, książki, Game Boya. W sąsiedztwie miałem niewielu kolegów, więc siedziałem w domu, czytałem i grałem. A kiedy jeździłem do babci, to było dokładnie odwrotnie: dużo rówieśników, fikołki na trzepaku, gra w piłkę, no generalnie zabawy na dwo... na polu. Wieczorem tata mnie stamtąd odbierał i wracałem do bycia nerdem.

Zawahałeś się, zanim po krakowsku powiedziałeś „na polu".
(śmiech) To prawda.

Twój wewnętrzny krakus zanika?
Wręcz przeciwnie, staram się go pielęgnować. Jakiś czas temu złapałem się na tym, że zacząłem mówić „na dworze" zamiast „na polu". Teraz świadomie staram się wrócić do używania regionalizmu. Ale daleko mi do jakiejś dumy z pochodzenia. „Jestem dumny, że jestem z Krakowa" – moim zdaniem brzmi to trochę pretensjonalnie. Nie wiem, jak można być dumnym z czegoś, na co nie miało się wpływu.

WEJŚCIE PRZEZ SKLEP Z DYWANAMI

Piraciłeś gry?
Rodzice zawsze starali się kupować mi oryginały. Zwłaszcza ojciec – jako architekt był przeczulony na punkcie praw autorskich. Chciał we mnie zaszczepić poszanowanie dla czyjejś pracy. I kupowanie piratów chyba było dla niego zwyczajnie nie w porządku. Pamiętam, że jako dziecko tak na czuja uważałem, że oryginalna gra jest po prostu „ładniejsza". Bo fajnie wydana, w pudełku... Od oryginałów biła taka aura, że są porządniejsze. Jak wkładałeś dyskietkę do stacji, to czułeś, że ona będzie lepiej działać. Nie ma to sensu, ale tak było.
Tyle że przez długi czas w Polsce nie było wyboru. Część gier była albo niedostępna, albo absurdalnie droga. A piraty sprzedawano nawet w zwykłych sklepach. W krakowskim domu towarowym „Gigant" – nielegalne kopie stały sobie zwyczajnie na wystawie i nikt z tym nie miał problemu. Nawet mój tata czasem łamał się w tej kwestii. Zdarzało się nam wspólnie chodzić na krakowską giełdę komputerową.

Tu wyjaśnię młodszym czytelnikom – tego typu miejsca były wtedy w Polsce bardzo popularne. Na giełdach – mniej lub bardziej szemranych – można było zaopatrzyć się m.in. w używany sprzęt i pirackie oprogramowanie. Takie bazarki, tylko dla „komputerowców".
I niekiedy za wstęp na giełdę trzeba było zapłacić. Pamiętam, że na krakowską było tajemne wejście przez sklep z dywanami – jeśli się je znało, to nie trzeba było kupować biletu (śmiech). Nie wiem, czemu wszyscy tak nie

robili. Do dziś pamiętam zapach tych dywanów, to było strasznie ekscytujące, że wchodzimy tym bocznym wejściem. Jak sekretny poziom w jakiejś platformówce.

Gry grami – oprogramowanie było jeszcze droższe. W Polsce po transformacji ustrojowej była taka bieda, że w zasadzie kupowanie piratów wydawało się usprawiedliwione.

Oj tak. Jak wspomniałem, mój tata był architektem. Pamiętam moment, gdy zmienił stół kreślarski na AutoCAD-a, którego odkrył, gdy kupiliśmy peceta. Ale legalna wersja była zupełnie poza naszym zasięgiem. Współczesne wersje AutoCAD-a też tanie nie są, jednak decyzję o zakupie licencji podejmuje się zupełnie inaczej.

Wyjaśnię to na przykładzie popularniejszego narzędzia – Photoshopa. Jeśli myślisz o tym, żeby zawodowo zajmować się obróbką zdjęć, to możesz najpierw za darmo przetestować Photoshopa, potem wykupić niedrogi abonament, przedłużyć go, stopniowo dodawać kolejne narzędzia i tak dalej. A jeśli serio cię nie stać na Photoshopa, możesz ściągnąć Gimpa czy inny darmowy edytor grafiki.

Kiedyś tak się nie dało, kiedyś to było wszystko albo nic. Musiałeś sobie kupić legalnego AutoCAD-a, często nie do końca wiedząc, czy to program stworzony dla ciebie. Mój tata zdobył oryginał, wygrywając jakieś konkursy dla designerów. W nagrodę dostał 3D Studio i właśnie AutoCAD-a. I tylko dzięki temu miał legalne oprogramowanie, które dziś pewnie po prostu załatwiłby mu pracodawca.

Co zabawne, jeden z tych programów wymagał wetknięcia w port drukarki komputera takiego małego urządzenia, które było kluczem autoryzacyjnym. I ten wihajster często się psuł. Piracka wersja go nie wymagała – czyli działała lepiej niż oryginalna. Nierzadka sytuacja w tamtych czasach.

Wiele zmieniło się też w kwestii piracenia gier. To też już nie ma sensu, tak duża jest dostępność i tak atrakcyjne promocje. Kupujemy pięć razy więcej gier, niż jesteśmy w stanie przejść. No i wybór jest olbrzymi, a wszystko na jedno kliknięcie. Świat dystrybucji cyfrowej dogonił piratów i stworzył rozwiązania, które są zwyczajnie wygodniejsze. Teraz szybciej i łatwiej ściągnąć grę ze Steama, niż szukać jej na jakichś torrentach.

Dwadzieścia lat temu Polacy zarabiali dużo mniej niż dzisiaj, a gry były droższe. Wyłożenie stu pięćdziesięciu czy dwustu złotych na grę dla wielu osób było czymś abstrakcyjnym.

Tak. A jednak pisma o grach nakręcały popyt – więc regularnie, co tydzień lub co miesiąc, chodziło się na giełdę, żeby pytać o tytuły, o których napisał kultowy magazyn „Secret Service". Zabawne, że jego redaktorzy mieli taką siłą sprawczą, że jak o czymś napisali, to giełdy w całym kraju szybko załatwiały brakujące tytuły. A jak wrzucili coś na okładkę i dali wysoką ocenę, to już w ogóle. Ja na przykład zupełnie nie ogarniałem kalendarza wydawniczego, tylko obserwowałem, o czym piszą w „Secret Servisie". A tam niekiedy pojawiały się recenzje gier sprzed pół roku, albo i więcej.

Narzucali rytm. No i nie jest już tajemnicą, że zdarzało im się używać piratów do recenzji.

Nie no, jasne. Nie tylko im. Chyba cała ówczesna prasa tak robiła. Przecież branża dystrybucji gier wideo jeszcze u nas wtedy raczkowała, wielu rzeczy zwyczajnie nie było w legalnej sprzedaży. W pewnym sensie dziennikarze gamingowi byli influencerami tamtych czasów, nie?

No, na maksa. A pamiętasz takie akcje pokazowe, jak policja wynajmowała walce i przejeżdżała po nielegalnych płytach?

(śmiech) No jasne, że pamiętam.

Dystrybutorzy narzucali bardzo zdecydowaną narrację: piractwo zawsze jest złe! Kazik w książeczkach dołączanych do swoich płyt pisał, że „kto kupuje płyty od złodzieja, jest kutasem i niech spierdala".

Pamiętam, jak Hołdys miał na swojej płycie nagranie, w którym mówił: „Jeżeli kupiłeś tę płytę od piratów, okradłeś mnie, moją rodzinę i przyjaciół, z którymi ją nagrałem" (śmiech). Kupowałeś legalny album, a i tak cię Hołdys opierdalał.

Jak się na początku XXI wieku kupowało film na DVD, to przed menu głównym włączał się antypiracki spot z narracją „nie ukradłbyś samochodu i torebki, więc dlaczego kradniesz filmy".

Przemysł muzyczny, filmowy i gier długo nie wiedział, jak rozwiązać problem piractwa. Wymyślano różne pokraczne patenty, które utrudniały życie legalnym użytkownikom. A rozwiązanie było proste – dowiezienie usługi konkurencyjnej w stosunku do piractwa, jaką dziś są Netflix, Spotify czy Steam.

Chwila, łatwo ci mówić o „prostych rozwiązaniach" i „dowożeniu usług", ale weź pod uwagę ówczesne ograniczenia technologiczne. Kiedyś nikt nie miał w domu takiego łącza, żeby sobie streamować Netflixa.

Ale pamiętaj, jak Netflix zaczynał – to była kiedyś wypożyczalnia DVD, która osiągnęła sukces dzięki temu, że wysyłała klientom filmy pocztą. Jej usługa była DOSŁOWNIE dowożona. To nie wymagało współczesnej technologii, sednem było myślenie o wygodzie klienta.

A nie sądzisz, że te wszystkie rozwiązania jak Netflix czy Steam nie narodziłyby się, gdyby nie wczesnointernetowe piractwo? Rynek musiał dostosować się do faktu, że na przykład Polaka nie stać na grę za dwieście złotych.

Gdy pierwsze zarobione pieniądze wydałem na konsolę PlayStation 2, to potem musiałem mierzyć się z faktem, że w sklepie na półce każda pozycja kosztowała ponad dwieście złotych.

Choose wisely.

I zrób z tym faktem, co chcesz. Albo przerób sobie konsolę tak, by działały na niej piraty. Ja akurat nigdy żadnej konsoli nie przerobiłem. Ale o grach zacząłem pisać między innymi po to, by dostawać je za darmo.

Konsol nikt już chyba nie przerabia, ale np. piractwo filmowe wciąż nie zniknęło. Od roku studiuję filmoznawstwo i ogromna część klasyki jest właściwie niedostępna po polsku w legalnej dystrybucji. Więc studenci korzystają z różnych serwisów – Chomikuj czy CDA.

Akurat te serwisy mnie zawsze wkurwiały.

Czemu?

Bo to jest jednak bezczelny sposób zarabiania na piractwie. Samo piractwo mi nie przeszkadza, kiedy jest związane z wolnym obiegiem. Ale zarabianie na tym procederze zawsze było słabe. Nawet jeśli jesteś w stanie zasłonić się

jakąś umową licencyjną czy odepchnąć od siebie odpowiedzialność za treści wrzucane przez użytkowników. Przez długi czas dokładnie to samo, co CDA, robił YouTube. Tylko YouTube w pewnym momencie poszedł w stronę poważnego biznesu, wyszedł naprzeciw standardom branży filmowej i się ogarnął. Powstały różne systemy typu Content ID, jednak dopiero po dłuższym czasie. Pierwsze miliony użytkowników YouTube'a skusiły nielegalne filmy.

Z POWAŻANIEM, LORDAREON

Pamiętasz swoje pierwsze zetknięcie z internetem?

Tak. Pierwszy raz kontakt z siecią miałem u mojego kuzyna Adama. To musiał być dziewięćdziesiąty szósty lub dziewięćdziesiąty siódmy rok. Byliśmy bardzo podekscytowani, spodziewaliśmy się nie wiadomo czego, ale bardzo się zawiedliśmy. Pierwszy adres, który przyszedł nam do głowy, to było www.starwars.com. Łączyliśmy się modemem, więc jedno zdjęcie wczytywało się z dziesięć minut. Strona okazała się paskudna, ale samo wydarzenie było ważne i pamiętam je do dziś.

A pierwsze doświadczenie gry wieloosobowej?

No, to „Diablo". Oczywiście pierwsza część, więc to też działo się około roku dziewięćdziesiątego siódmego. Mieliśmy z tą grą duży problem. Chcieliśmy grać u Adama w domu, ale się nie dało. Potem spróbowaliśmy w kafejce internetowej. Problem był taki, że za każdym razem, gdy odpalałeś „Diablo" na nowym komputerze, to gra ściągała ogromnego jak na tamte czasy, trzymegabajtowego patcha. No i któregoś razu wykupiłem sobie godzinę w kafejce internetowej i przez godzinę gapiłem się, jak mi się ten patch ściąga (śmiech). A jak już się ściągnął, to skończył mi się czas i musiałem iść. I takie było moje pierwsze doświadczenie multiplayerowe.

Jaka była twoja pierwsza reakcja na internet?

Fascynował mnie. Narzędzie do komunikacji z całym światem bez wychodzenia z domu to z dzisiejszej perspektywy oczywistość, ale wtedy? Ale czad. Dziś wiem, że od początku coś mnie do tego internetu ciągnęło. Nie chciałem być w nim anonimowym użytkownikiem, chciałem go współtworzyć.

Cóż za fascynujące origin story, Krzysztof...

(śmiech) Ja naprawdę czułem się w internecie uskrzydlony. Czułem, że przez internet mogę więcej niż w realu. Mogę wydawać się starszy, mądrzejszy i bardziej przebojowy, niż jestem w rzeczywistości. I mogę zagadywać do dziewczyn, a w realu mi to nie wychodzi.

„Kozak w necie..."

...pizda w świecie. Wtedy wielu ludzi miało takie podejście, że jeśli sprawnie poruszasz się po internecie, a w realu jesteś zamknięty w sobie, nieśmiały i przygaszony, to znaczy, że to, co robisz w sieci, jest udawane. Tymczasem niektórym aura bezosobowości pozwala rozwinąć skrzydła. Są sobą, kiedy nikt nie patrzy.

Wśród dzisiejszych influencerów jest bardzo dużo introwertyków. Choćby młodzi raperzy – Schafter na żywo jest cichym chłopakiem, który, podobnie jak ja, nie wie, co ma zrobić z rękami, gdy siedzi przy stole. To, co tacy ludzie osiągają, wyrażając się przez internet, nie jest ściemniane. Jak ładnie wychodzisz na zdjęciach, ale masz irytujący głos, to nie znaczy, że twój ładny wygląd jest udawany.

Internet dał osobom takim jak ja – radzącym sobie tylko w niektórych rodzajach interakcji społecznych – możliwość robienia kariery w show-biznesie. Dziś to widzę i to jest dla mnie oczywisty mechanizm. A na etapie buszowania po sieci w latach 90. rozpatrywano to w kategorii „uciekania do wirtualnego świata". Byliśmy przedstawiani jako uzależnieni od internetu, zastanawiano się, „co z nas wyrośnie" i czy w ogóle będziemy potrafili porozmawiać z kimś na żywo. Kiedyś dociekano, czy będziemy mieć jakichkolwiek znajomych, a dziś miliony osób są świadome istnienia kogoś takiego i mają wobec niego pozytywne uczucia.

Pamiętam, że w tamtych czasach myślałem, że ważne tematy, np. związkowe, powinno się załatwiać twarzą w twarz. Bo tak trzeba, tak wypada. „To nie jest temat na telefon". Dziś kumam, że są osoby, z którymi lepiej dla obydwu stron poruszać trudne kwestie w rozmowie online. Tak, by nie było presji, by nie popełnić błędu przez spontaniczną, nieprzemyślaną reakcję. W relacji z jedną dziewczyną, pisząc do siebie, byliśmy w stanie przepracować dużo więcej, niż rozmawiając ze sobą twarzą w twarz. Bo na żywo obydwoje zwykle

milkliśmy, trudno nam było zebrać myśli. Czy to jest nieszczere? Myślę, że nie. Może po prostu trzeba zaakceptować, że jest taki rodzaj ludzi na świecie.

Pamiętasz, jakie były pierwsze przejawy twojej chęci tworzenia czegoś w internecie?

Chciałem mieć swoją stronę domową. Zrobiłem jakiś prymitywny homepage o klasycznych grach komputerowych – był rok 1997, więc moja „klasyka" to były produkcje o pięć, sześć lat młodsze. Wchodziły na nią tylko pojedyncze osoby, jacyś koledzy, ale mnie to bardzo jarało. Nigdy nie miałem jasnej myśli, że „całe życie będę zajmował się robieniem contentu do sieci", tylko zacząłem go robić na czuja. Napisałem jakieś badziewne felietony i artykuły o grach, pododawałem gify z wybuchami – i to był pierwszy internetowy content Krzysztofa Gonciarza.

Zabawne jest uświadamianie sobie tropów z dzieciństwa. Wydaje ci się, że całe twoje życie było ciągiem świadomych wyborów, a nagle orientujesz się, że wylądowałeś tam, gdzie – patrząc na siebie w wieku trzynastu lat – powinieneś. Weźmy na przykład mnie i kamerę. Moi rodzice kupili kiedyś jakiś model Sony, taki na kasety VHS. Lubiłem się bawić tym sprzętem. Nagrywałem nim udawane programy o grach wideo, których byłem prowadzącym, i opowiadałem jakieś głupoty. Albo udawałem, że trzymam w dłoni mikrofon reporterski i wcielałem się w dziennikarza relacjonującego jakieś scenki rodzajowe z życia rodziców. Może jest tak, że ludzie podświadomie wykształcają talenty i umiejętności w dziedzinach, o których marzą jako dzieci?

Wcześnie miałeś w domu modem?

Dość wcześnie. W tym samym czasie odkryłem kącik na temat „Diablo" w czasopiśmie „Reset", jego redaktorzy mieli swój własny klan. I się bardzo zajawiłem, że to będzie mój punkt wejścia do branży gier wideo. Prawie bez doświadczenia w „Diablo" wysłałem maila do prowadzącego ten dział, Adama Jagiełły, pseudonim Sathon. Podpisałem się jako Lordareon.

W mailu opisałem swoje pomysły na rozwój klanu, a ponieważ były niezłe, to zostałem członkiem jakiejś tam wyższej rady. I w kolejnym „Resecie" wydrukowali moją ksywę. Gdy dziś na to patrzę, to był to przełomowy moment – oto moja ksywka znalazła się w mediach gamingowych, marzyłem o tym od małego. Po latach znalazłem ten numer w domu u rodziców i aż mi się łezka w oku zakręciła. To było naprawdę zajebiste. Jakiś czas później napisałem coś do „CD-Action" i miałem na koncie pierwszą płatną publikację.

Już jako Krzysztof Gonciarz czy jeszcze jako Lordareon?

Krzysztof „Lordareon" Gonciarz. Tak to się wtedy robiło.

Co po „Diablo"?

Bardzo czekałem na „StarCrafta". Jak już wyszedł, to było dla mnie ogromne przeżycie, mocno na niego liczyłem pod względem multiplayerowym. Bo przecież byłem zajebisty w gry strategiczne, przeszedłem wszystkie RTS-y w singlu, więc rozpierdolę wszystkich.

Co się okazało?

A jak myślisz? (śmiech) Pierwsze moje wejście na Battle.net w „StarCrafcie" skończyło się po dwóch minutach i trzydziestu sekundach. Zdążyłem zbudować paru robotników i zebrałem wpierdol.

(śmiech)

Nie wiedziałem, że multiplayer to zupełnie inne tempo niż singleplayer. Że to tak, jakby przejść od flegmatycznej przebieżki do sprintu. Przykre zderzenie z rzeczywistością. Zresztą nigdy nie doszedłem do momentu, w którym mógłbym określić swój poziom jako choćby przyzwoity.

Wykręciłem za to nieprzyzwoite rachunki telefoniczne – w niektórych miesiącach mój „StarCraft" kosztował nas pięćset czy tysiąc złotych. Mama pomagała mi to ukrywać przed tatą, oddawałem jej pieniądze w ratach. Trochę już wtedy zarabiałem – pisałem recenzje, dostawałem gry, więc miałem swoje skromne źródła przychodu.

Wkręciłeś się w jakieś fora internetowe?

Tak. Pamiętam taką dziwną społeczność OnlyISO, zajmującą się piraceniem rzeczy. Nazwa wzięła się od ISO, czyli rozszerzenia pliku, który jest obrazem płyty CD. To, w co tam się bawiliśmy, było takie snobistyczno-hakersko-niszowe. Robiło się tzw. puby, czyli włamywało na jakieś losowe serwery FTP i zgadywało się hasło. A potem wgrywało się tam jakieś duże pliki, np. filmy.

Eee... po co?

Po nic. Chodziło o samą otoczkę, potrzebę wydymania kogoś. Na zasadzie: „Ho, ho, znaleźliśmy jakiś akademicki FTP, na którym jest otwarty dostęp albo hasło typu «dupa123», wrzuciliśmy 3 GB plików, grę i dwa filmy". I wtedy pozostali gratulowali ci dobrej roboty i sobie te pliki ściągali.

Czytałem dziś newsa o tym, że Jarosław Jakimowicz z „Big Brothera" napisał autobiografię i zawarł w niej anegdotkę o tym, jak za młodu poszedł z kolegami okradać żydowskie groby. A ty mi tu opowiadasz o wandalizowaniu akademickich serwerów FTP...

Jaka młodość, takie przygody (śmiech). Na OnlyISO poznałem mojego przyjaciela, z którym do dziś jestem dość blisko, Maćka Krowińskiego. Wspólnie pracowaliśmy nad nieistniejącą już stroną internetową www.konsole.com.pl, gdzie zostałem tzw. PR managerem. Moja praca polegała na tym, żeby wysyłać maile do wydawców gier, że jesteśmy serwisem z paroma tysiącami użytkowników i z tej okazji niech nam przysyłają gry za darmo.
Potem wyszła jakaś afera, pokłóciliśmy się, to było bardzo dziecinne. Wszyscy mieliśmy przerośnięte, młodzieńcze ego i dość szybko się to wszystko rozpadło. Ale to była de facto moja pierwsza redakcja – już nie tylko pisałem teksty jako zewnętrzny współpracownik, ale coś tam ogarniałem, załatwiałem, pisałem maile. Bardzo to było chałupnicze i amatorskie, ale sprawiało mi dużo frajdy. No i sporo tych gier za darmo udało się wyciągnąć (śmiech). Tamto doświadczenie stało się podstawą filmu „Kupa na głowie", który zrobiliśmy w tvgry.pl w 2012 roku. Postać, którą tam grałem, wysyłała nawet do wydawców maile, żeby dostawać gry za darmo. Więc „Kupa na głowie" była autobiograficzna.

A grałeś w jakieś masowe RPG?

W 2004 roku bardzo czekałem na „World of Warcraft". W takim sensie, że odliczałem dni do premiery i strasznie chciałem się w tę grę wkręcić. Bo na papierze to wszystko wyglądało niesamowicie. Ale gdy w dniu premiery poszedłem do sklepu kupić grę, to okazało się, że wszystkie egzemplarze już wyprzedano. Nigdy później nie poszedłem już jej kupić, jakoś to olałem. Tym samym rzeczywistość jakby się rozgałęziła – w naszym kontinuum czasowym jest Krzysztof Gonciarz, który nigdy nie wkręcił się w „World of Warcraft" i spędził z tą grą wielu tysięcy godzin.

Myślisz, że ten drugi Gonciarz z równoległego świata, który nocami biegał po Azeroth, jest szczęśliwszy?

Kto wie?

TRÓJA Z BASENU

Kim chciałeś być, jak byłeś małym chłopcem?
Polskim dziennikarzem gamingowym. Bardzo imponowali mi wtedy ludzie piszący o grach.

Wracałeś po latach do ich ówczesnych tekstów z magazynów takich jak wspomniany wcześniej „Secret Service"?
Zdarzało się.

I co, szok?
No, mocno gówniarskie rzeczy publikowali.

Bardzo dużo seksizmu i szczucia cycem. W recenzji mordobitki „Body Blows" w „Secret Servisie" był screenshot z leżącą na ziemi, nieprzytomną, półnagą dziewczyną. I podpis: „W oczekiwaniu na pchnięcie". Tego typu żarciki wylewały się z wielu numerów.
Takie były czasy.

Swoją drogą użyłeś słowa „gówniarskie". To bardzo odpowiednie słowo, jak sobie człowiek pomyśli, że jeden z redaktorów „Secret Service'u" – Maciej Ogiński – miał czternaście lat w momencie otrzymania posady stałego współpracownika. Wyobrażasz sobie dziś taką sytuację w profesjonalnej redakcji?
Wyobrażam.

Że do serwisu internetowego Polygamia przyjęliby czternastolatka?
Jasne. Co więcej: mogliby nawet nie wiedzieć, że on ma czternaście lat. To żaden problem udawać, że masz więcej lat, niż masz.

Udawałeś tak kiedyś?
Owszem. Jak miałem z piętnaście albo szesnaście lat, to pracowałem przy tłumaczeniu „Baldur's Gate II". W korespondencji z CD Projektem w ogóle nie poruszałem tematu mojego wieku.

I podpisałeś umowę jako nieletni?
Wysłałem informacje na temat mojego ojca, pisząc w mailu, że „podaję dane taty z powodów podatkowych" – czy jakoś tak.

„Z powodów podatkowych"?
Słyszałem, że dorośli tak mówią (śmiech).

I nikt się w tym CD Projekcie nie domyślił?
Nie wiem. Może się domyślili, ale było już za późno, bo wykonałem robotę i byliśmy na etapie wypłaty.

Czyli zacząłeś karierę zawodową jako oszust. Ukradłeś pierwszy milion.
Raczej pierwszych kilka tysięcy złotych. Jest wielu młodych ludzi, którzy potrafią coś robić. I bardzo im zależy, więc mają zapał za pięciu. A jak nie wiesz, że są niepełnoletni, to nie oceniasz tego przez pryzmat wieku. Skoro praca jest dobrze wykonana, to co cię to obchodzi?

Zawsze miałeś w sobie ten zapał? Takie podejście „napiszę do nich i dadzą mi tę robotę"?
To przychodziło falami. Często w okresach świątecznych, noworocznych, w ferie. Miewałem takie zajawki, że pisałem maile do wszystkich redakcji gamingowych w Polsce. Na zasadzie: „Dzień dobry, bardzo bym chciał pisać o grach". Treść tych maili była bardzo nieprofesjonalna. Tak bardzo, że równie dobrze mogłaby trafić do kącika ze śmieszną korespondencją. Napisałem na przykład do „Resetu", że mogę im prowadzić dział dotyczący „Ultimy Online", jednej z pierwszych gier MMO. Nigdy w nią nie grałem, ale

bardzo podobała mi się jej idea (śmiech). Więc napisałem w mailu, że zajmę się tym tematem, że mogę aktywować społeczność, i że zrobię to w zamian za egzemplarz Ultimy Online. Jakoś nie pomyślałem, że to mnie może zdradzić (śmiech).

Swój pierwszy „prawdziwy" tekst napisałem w 1999 roku. To był poradnik do gry „Baldur's Gate" dotyczący pojedynków multiplayerowych. Napisałem go na kartce, podczas wakacji nad jeziorem z babcią.

Po powrocie do domu przepisałem go na komputerze i wysłałem do „Secret Service'u". Krupik, ówczesna redaktorka naczelna, odpisała mi, że tekst nada się do umieszczenia na dołączanej do magazynu płycie CD. Ale ten numer nigdy nie wyszedł. „Secret Service" upadł w momencie, kiedy miał się w nim ukazać mój pierwszy tekst!

Smutek?

Wielki. Ale nie poddawałem się, niedługo później zaczepiłem się w „CD-Action".

A ktoś ci kiedyś brutalnie odpisał, żebyś spadał?

Nie, chyba nikt mi tak nigdy nie złamał serca. Dziś myślę, że ludzie mieli do mnie cholernie dużo cierpliwości. Kiedyś wysłałem do „CD-Action" tekst... bez polskich znaków. Nie pamiętam, czemu. Pracujący tam Smuggler odpisał mi, że „następnym razem nie będzie tego poprawiać". Dziś się dziwię, że mi tego tekstu zwyczajnie nie odrzucił. Dzięki, Smuggler.

Ja, jak miałem z 15 lat, to byłem przekonany, że żeby znaleźć fajną pracę, muszę uzbroić się w mnóstwo kompetencji twardych: znać cztery języki obce, pięć języków programowania i biegle obsługiwać dziesięć programów komputerowych. Szybko się okazało, że w mediach czy reklamie, do których zawsze mnie ciągnęło, istotniejsze są kompetencje miękkie – kreatywność, odporność na stres i to, czy da się z tobą miło pogawędzić w kuchni. Jednak blisko matury miałem ogromne kompleksy. Bałem się, że nie dam sobie rady w życiu. Też tak miałeś?

Tak, zwłaszcza gdy po maturze nie dostałem się na wymarzone studia, czyli informatykę. Nie przyjęli mnie ani na AGH, ani na UJ. Miałem straszny kryzys i duże wątpliwości co do swoich umiejętności i tego, co w ogóle robiłem ze swoim życiem – pisałem sobie o grach i w zamian dostawałem

gry lub jakąś niewielką wypłatę. A przecież mogłem inwestować czas w coś „przyszłościowego".

Dodatkowo klasa maturalna była okresem mojej aktywizacji imprezowej, więc dochodziły wyrzuty sumienia, że za dużo się bawię, a za mało uczę. Dwie uczelnie mnie z tego rozliczyły i pomyślałem, że może źle oszacowałem swoją inteligencję.

Dostałeś się na jakieś studia?

Wylądowałem na krakowskiej Akademii Ekonomicznej, dzisiejszym Uniwersytecie Ekonomicznym. Egzamin był bardzo łatwy, więc byłem pewien, że się dostanę. Ale niezbyt mi się tam podobało. Zaczynając studia, miałem nadal licealną mentalność. Nie musiałem przeprowadzać się do innego miasta, więc dla mnie to było jak kolejna klasa liceum. Nie kumałem chyba, na czym polegają studia. A zarazem miałem dużo przestrzeni, bo egzaminy i kolokwia były proste, mogłem sobie dorabiać na boku. Wtedy postanowiłem związać się z serwisem gry-online.pl. I to był bardzo ważny krok na mojej drodze.

Wielu ludzi przed szukaniem lepszej pracy blokuje nadmierna pokora. Dopatrują się w sobie – niekiedy na siłę – niedoskonałości i braku przygotowania merytorycznego. Niekiedy wpadają w pułapkę wiecznej edukacji i niekończących się wymówek. Tymczasem, moim zdaniem, w życiu trzeba blefować. Zablefowałem, biorąc się za pisanie. Zablefowałem, tłumacząc „Baldur's Gate II". Zablefowałem, przyjmując w GRY-OnLine pozycję osoby, która radzi sobie z wideo. Wiedziałem, że byłem słaby, ale wierzyłem, że mogę być lepszy. Tak w ogóle działa branża kreatywna. Jak klient czegoś chce, to mówisz mu, że oczywiście, że się da. A potem wymyślasz, jak to zrobić.

Tak koprodukowaliśmy nasz pierwszy program telewizyjny i tak robiliśmy reklamy w Japonii o bardzo grubych budżetach. Improwizując. Ja sam mam z tym czasem problem, uczę się tego od Kasi, która ma bardzo amerykańskie podejście typu „can do". Ja mówię, że nie mam pojęcia, jak to zrobić, a ona mi na to: „Coś wymyślimy". I ma rację.

Odnoszę wrażenie, że we współczesnym świecie brudzenie się w błocie jest dużo ważniejsze niż formalne przygotowanie. Są oczywiście wyjątki – na przykład lekarze czy prawnicy, którzy bez wykształcenia by sobie nie poradzili. Ale nie każdy chce nimi być. Studia mogą być super, ale dla wielu ludzi

edukacja jest wymówką przed zajęciem się bezpośrednio tym, co chcieliby w życiu robić.

Pochodziłeś z domu, w którym rodzice cały czas mówili, że musisz iść na studia i że nie ma co gadać, że ich nie skończysz?

Wydawało mi się, że to naturalna droga, że każdy musi przejść podstawówkę, liceum, a potem skończyć studia. A w mojej grupie ćwiczeniowej były osoby dziesięć lat starsze ode mnie. Dla mnie to był taki zgrzyt, jakbym w klasie licealnej zobaczył ucznia niewiele młodszego od nauczycieli. Myślałem: co z nimi nie tak? Dlaczego są dziesięć lat do tyłu w stosunku do mnie? To wiele mówi o tym, jak rozumiałem studia.

W pewnym momencie złożyłem papiery na drugi kierunek, bo ten pierwszy, czyli informatyka i ekonometria na Akademii Ekonomicznej, mnie nie zadowalał. Więc poszedłem na EPI, czyli elektroniczne przetwarzanie informacji na UJ. I tam było już fajnie.

Skończyłeś któryś?

Zrobiłem licencjat na EPI. Był taki okres, że ciągnąłem dwa kierunki i bardzo poświęcałem się studiom. I prawie załapałem się na stypendium na pierwszej uczelni, ale średnią zaniżyła mi ocena z wuefu. To było strasznie głupie, bo nie chodziło o to, że byłem ofermą, tylko nie odrobiłem jakichś nieobecności. Dwie absencje na basenie zadecydowały o tym, że miałem tróję z wuefu. I to sprawiło, że znalazłem się tuż pod progiem stypendialnym. A kasa ze stypendium była niezła, jakieś siedemset złotych miesięcznie!

Byłem tak zrezygnowany, że to wydarzenie pchnęło mnie w stronę myśli: „Okej, muszę teraz więcej pisać o grach". Czyli znowu: spieprzyłem coś związanego ze studiami, ale wyszło mi to na dobre.

W twoim życiorysie było dużo przypadku, prawda?

To prawda, choć często łapię się na tym, że rzeczy, o których sobie fantazjuję, parę lat później się spełniają. Ale nawet nie robię jakichś konkretnych planów, jak je osiągnąć. Po prostu myślę sobie: „Jej, ale fajnie by było mieszkać w Japonii", po czym kilka lat później okazuje się – w wyniku różnych zbiegów okoliczności – że właśnie przeprowadzam się do Japonii. A wcale tego nie planowałem.

Jak twoi rodzice zareagowali, gdy nie dostałeś się na żadną z „lepszych" kierunków?

Okazywali mi wsparcie, ale czułem, że ich jakoś tam zawiodłem. I to było niezbyt fajne uczucie.

Ale z perspektywy czasu to, że nie poszedłeś na wymarzone studia, wyszło ci na dobre.

Oj, zdecydowanie. Gdybym się tam dostał, prawdopodobnie podejmowałbym dużo mniej kreatywne decyzje w swoim życiu. Pewnie wszystko poszłoby według standardowego scenariusza. A wylądowałem w dziwnym środowisku. Zacząłem pracę w Gry-OnLine i... ciężko powiedzieć, że „piąłem się po szczeblach kariery". Bo zbyt wielu szczebli to tam nie było. Ale w redakcji dość szybko stałem się autorem istotnym dla redaktora naczelnego. Zdobyłem zaufanie, przydzielano mi coraz ważniejsze zadania. A ja się bardzo przykładałem. Nawet nie z chęci zaimponowania szefostwu, tylko z własnej ambicji. Chciałem te rzeczy robić dobrze i być znany jako osoba, która fajnie pisze.

Czułeś, że jesteś w tym samym miejscu, w którym byli autorzy z „Secret Service'u", których podziwiałeś 10 lat wcześniej?

Powoli do tego dochodziłem. Szczególnie od momentu, w którym zaczęliśmy pokazywać czytelnikom twarze. Bo w dziennikarstwie gamingowym były wtedy dwie szkoły: jedna to taka, w ramach której autorzy robili wokół siebie show. Taki kult dziennikarzy jak w „Secret Servise". Wedle reguł drugiej szkoły recenzenci gier powinni być bardziej skryci – i właśnie tak było na początku w GRY-OnLine. A potem redakcja postanowiła promować nazwiska poszczególnych dziennikarzy. Jak ruszył dział wideo, to ci, którzy w nim pracowali, jako pierwsi zostali wypchnięci do ludzi. Z twarzą i z głosem, więc łatwo ich zapamiętywano. Byłem jednym z nich.

Dużo marzeń udało ci się spełnić przy okazji pracy w GRY-OnLine?

Bardzo dużo. Marzyłem na przykład, żeby jako dziennikarz jeździć na targi gier i pisać z nich relacje. I któregoś dnia, na samym początku swojej pracy, dostałem cynk, że ekipa „PSX Extreme" ma wolne miejsce w busie. Dorzuciłem się do benzyny i zabrałem z nimi – do Lipska na Games Convention i z powrotem, bez noclegu. Czyli dwie zarwane noce z rzędu. To było bardzo

graniczne przeżycie, pod koniec byłem tak wyczerpany, że nie wiedziałem, jak się nazywam.

Potem napisałem z tego wyjazdu kilka tekstów, nie zwróciła mi się chyba nawet sama podroż. Ale nabrałem doświadczenia, poczułem, że zrobiłem coś fajnego i zainwestowałem w siebie. Cztery lata później byłem w GRY-OnLine osobą o największym doświadczeniu, jeśli chodzi o uczestnictwo w eventach gamingowych. Latałem wszędzie, gdzie się dało – E3, gamescom, Tokyo Game Show, GDC. Zacząłem bywać w Stanach trzy lub cztery razy do roku. Stałem się domyślną osobą do takich zadań specjalnych. Czyli chyba się zwróciła ta benzyna z busa (śmiech).

Wróćmy do nowopowstającego działu wideo. Jak zareagowałeś na pomysł robienia filmów?

Bardzo ambicjonalnie. Zresztą od samego początku wiedziałem, że będę się tym zajmować. Gdy zaproponowano mi etat w redakcji, to zadanie zbudowania platformy wideo zostało od razu powierzone mnie i Radkowi Grabowskiemu, dziś pracującemu w CD Projekcie. Z początku nie nazywało się to TVGRYpl, tylko Gol Video. Spodobało mi się, że będę mógł być mniej anonimowy. Pierwszy film, jaki zmontowałem – nie tylko tam, ale i w ogóle – to była ilustracja do poradnika „God of War II" z 2007 roku. Nagrałem jakieś walki z bossami i dograłem komentarz z offu. W strasznie złej jakości, bo miałem beznadziejny mikrofon. Ale od samego początku czułem, że chcę iść w tę stronę, więc zaraz potem pobiegłem do sklepu i zamieniłem swój mikrofon za dychę na solidny model za dwieście złotych. Nie zarabiałem wtedy zbyt dużo, więc trochę się spłukałem. Jednak już wtedy chciałem w to inwestować.

Wcześniej mój jedyny kontakt z obróbką wideo odbywał się w... klubach. Robiłem wizualki na imprezach, głównie w krakowskim klubie „Roentgen", na imprezach drum&bassowych i breakcore'owych. Wycinałem sample z różnych filmów i teledysków. Brałem na przykład fragmenty z „Teletubisiów" i innych bajek, a potem robiłem z nich zryte rzeczy. To był dziwny etap mojego życia, niepasujący do wszystkich innych.

Mówisz o 2007 roku. YouTube ruszył dwa lata wcześniej.

Szefowie GRY-OnLine musieli mieć to na uwadze. Dużo serwisów próbowało

wtedy budować własne platformy wideo czy playery pod wpływem YouTube'a. To był okres, gdy jeszcze nie było oczywiste, że jak chcesz nagrywać wideo, to idziesz na YouTube'a i zakładasz kanał. To była ważna, ale jednak początkująca platforma. I jedna z wielu.

Historia platformy ToSieWytnie na Wirtualnej Polsce zatoczyła ciekawy krąg – najpierw powstała w opozycji do YouTube'a, a potem jej twórcy zaczęli zapraszać youtuberów do robienia treści.

Tak. I trzeba przyznać, że wiele formatów i pomysłów, które stały się popularne wiele lat później, w nieco prymitywniejszej formie pojawiało się i na WP, i na tvgry.pl. Bywaliśmy prekursorami. Podejrzewam, że gdy ówczesny szef ToSieWytnie, Łukasz Skalik, patrzy dziś na YouTube'a, to czasem myśli: „Kurde, robiłem to 7 lat temu i nikt dziś o tym nie pamięta, co poszło nie tak?". Swoją drogą pamiętam taki dzień, kiedy wziąłem prezesa GOL-a, Mariusza Klamrę, na bok i przedstawiłem mu nasz nowy pomysł. Wiesz, taki krótki filmik, w którym grasz w grę i mówisz do widza jak do kumpla, który siedzi z tobą i patrzy, jak grasz. Tak, żeby można było zobaczyć, jak naprawdę gra wygląda i żeby przy okazji był taki luźny klimat. Dziś śmieję się, że „wymyśliliśmy letsplaye". Bo faktycznie nie było jeszcze wtedy na rynku czegoś takiego jak letsplay. U nas nazywało się to „Gramy!" i przez kilka lat było głównym motorem napędowym oglądalności tvgry.pl.

Zaczynałeś jako osoba pisząca i stopniowo od tego odchodziłeś na rzecz wideo. Kiedy wyczułeś po raz pierwszy, że content filmowy mocniej działa na odbiorców niż artykuły?

Już przy pierwszych materiałach wideo w tvgry.pl zauważyłem, że ludzie jakoś bardziej zwracają uwagę na to, co mam im do przekazania, kiedy mówię do mikrofonu. Można było to wywnioskować na przykład z liczby komentarzy. Gdy pisałem tekst, ludziom rzadziej się chciało komentować.

W ogóle wtedy recenzje gier w Polsce rzadko bywały szczególnie autorskie. Okej, może ludzie z PSX Extreme robili show, ale na GRY-OnLine używaliśmy raczej chłodnego tonu. A jak mówiliśmy do mikrofonu, to pojawiało się wiele niuansów: intonacja, szybkość mówienia, wysokość głosu. To do ludzi trafiało.

Odbiorcy szybko zapamiętywali twój głos. Przyzwyczajali się i zaczynali mieć preferencje typu „fajnie, że ten materiał nagrał Krzysiek, a ten Marcin". Albo na odwrót. I dało się odczuć, że zbieramy grupki followersów. Wtedy nie było jeszcze mediów społecznościowych w formie, jaką znamy dziś, więc nie było to mierzalne na zasadzie: ilu fanów ma Krzysiek, a ilu Marcin. Ale dało się wyczuć, że ze wszystkich autorów serwisu, ci od wideo liczą się dla odbiorców najbardziej.

Wyczuwałeś zazdrość ze strony redakcyjnych kolegów, którzy niespecjalnie sprawdzali się w formatach wideo?

Czasami. Zarzucano nam, że mamy fory. „Wam jest łatwiej, bo wy robicie filmy". Nie chcę tego przedstawiać negatywnie, bo rozumiem, że to mogło być frustrujące. Nagle zmieniły się zasady gry i nie wiadomo, co byś musiał napisać w artykule, żeby móc konkurować z filmem. Z tym specyficznym związkiem nadawcy i odbiorcy materiału wideo.

Zauważyłem, że w Polsce niewielu jest autorów po czterdziestce, którzy piszą o grach. A przecież to nie jest tak, że w tym wieku człowiek nagle zaczyna się nudzić grami – masa osób gra rekreacyjnie. Gdzie się podziali ci dziennikarze, którzy zaczynali w latach 90.?

Z karierą dziennikarza gamingowego jest ten problem, że zwykle nie bardzo ma się jak rozwinąć. Możesz zostać szefem działu czy redaktorem naczelnym, ale to bardziej praca produkcyjno-organizacyjna niż dziennikarska. Gdy moja przygoda z GRY-OnLine się kończyła, to byłem tak wysoko, że podlegałem bezpośrednio zarządowi spółki. Gdybym tam został, to pewnie byłbym do dziś na tym samym stanowisku, bo doszedłem do końca ścieżki awansu.

Kiedy wyczułeś, że musisz stamtąd uciekać, bo się zasiedzisz?

Chciałem odejść, ale nie wiedziałem, co miałbym robić później. Miałem duży opór przed zmianą. Z jednej strony czułem się uwiązany. Z drugiej: to było bardzo komfortowe i przyjemne. Miałem coraz mniej pasji do tego, co robiłem, ale żyłem dość wygodnym rytmem.

W pewnym momencie wyczułem, że nie jestem już w stanie zaoferować serwisowi żadnej świeżej twórczej energii. Ze stronami czy formatami jest tak,

że co jakiś czas trzeba wszystko wywrócić do góry nogami, zacząć od nowa, bo naturalny wzrost każdego pomysłu kiedyś się kończy i trzeba wymyślać nowe rzeczy. A do tego najlepiej nadają się ludzie z zewnątrz. Całkiem nowi.

Czyli odszedłeś sam czy cię zwolnili?

Zwolnili. Ale o tym później.

NERDS SEND THEIR REGARDS

Wciąż orientujesz się w nerdowskich rzeczach tak mocno jak kiedyś?
Nie, z biegiem lat coraz mocniej odcinam się od konsumpcji kultury. Do kina chodzę głównie na nowe „Gwiezdne wojny" i filmy Marvela – wszystkie widziałem. Inne filmy oglądam niemal wyłącznie w samolocie. Wiem, że to brzmi snobistycznie, ale ja naprawdę spędzam rocznie wystarczająco dużo czasu w lotach pomiędzy Tokio a Warszawą, żeby zaspokoić swoje kinowe potrzeby i być w miarę na bieżąco.

A seriale?
Uznaję je za stratę czasu. A wszystkie te, które lubiłem, już się pokończyły – ostatnim była „Gra o tron".

W takim razie nie mogę nie zapytać, jak podobało ci się zakończenie „Gry o tron" (śmiech).
BARDZO mi się nie podobało. I zaskakująco często wracam do tego finału myślami. Bo ja naprawdę byłem fanbojem! I „Grze o tron" zawdzięczam wielkie uniesienia estetyczno-narracyjne. Oglądając ten serial, czułem się trochę jak trzynastolatek grający w „Baldur's Gate". Lubiłem rozkminiać „Grę o tron" – czytałem teksty na jej temat, oglądałem różne analizy... I finał sprowadził mnie z tego chłopięcego uniesienia na ziemię. Bardzo, bardzo brutalnie.

O, wkurwiłem cię. To dawaj, powściekaj się trochę.
No coraz słabszy był ten serial! Nie chodzi tylko o ostatni sezon, przedostatni też nie był najlepszy. Ale nawet w tym ostatnim, jeszcze ta bitwa z trzeciego odcinka była spoko wizualnie. Nawet ten kolejny odcinek był... okej. Ale piąty i szósty to już było takie, kurwa, gówno, że ja pierdolę. Nie wiem, po prostu poczułem się zdradzony. Gdybym jeszcze był dzieckiem, to mógłbym powiedzieć, że moja dziecięca niewinność została zniszczona. A tak to nic mi nie zostało (śmiech).
Ja naprawdę potrafię polubić kiepski film. Na przykład ostatnio obejrzałem w samolocie „Dark Phoenix", czyli ostatnich „X-Menów". No i ja się zgadzam z całą krytyką tego filmu, on jest chujowy. Ale potrafię sobie w głowie zrobić takie „zawieszenie niezadowolenia", dzięki któremu wierzę w ten świat. A tutaj? Mój ulubiony serial praktycznie nie ma zakończenia. Okradziono z niego i mnie, i moje ukochane postacie...
Jest taka teoria, że pierwsze trzy odcinki ostatniego sezonu to przedostatni tom książki, a ostatnie trzy to ostatni. Czyli w trzy godziny streścili tysiącstronicową książkę. I dlatego to jest tak bez sensu poszatkowane. Scenarzyści tylko uderzyli w jakieś kluczowe punkty scenariusza, ale w takim przyspieszeniu, że się wywrócili. No bo ja nie wierzę, że jak Martin zdąży dokończyć sagę, to ten jego finał będzie właśnie taki...

Ja mam teorię, że showrunnerzy serialu – Benioff i Weiss – po kilkunastu latach pracy nad tym samym projektem po prostu się wypalili. I skończyli to na kolanie.
To nie mogli tego przekazać komuś innemu? No naprawdę... No, ale nic. Jak zacisnę zęby, to będę „Grę o tron" dobrze wspominać.

A jak z muzyką?
Wciąż słucham jej sporo, ale mam w sobie znacznie mniej snobizmu niż kiedyś. Wtedy potrafiłem wskazać swoich „top 10 węgierskich płyt z drugiego kwartału 1974". Żartuję oczywiście, ale serio, miałem nerdowsko-encyklopedyczne podejście. Teraz to wszystko pozapominałem.
Cieszę się jednak z dość bogatej „edukacji" muzycznej, jaką przeszedłem. Miałem okres alternatywki, doceniania popu, wejścia w amerykański hip-hop, techno, „drumy", metal. Nie lubię pytania „czego słuchasz", bo nigdy

nie patrzyłem na muzykę gatunkowo. Zależało mi na wykształceniu w sobie słuchu muzycznego, który pozwoli mi docenić wiele różnych rzeczy. I o ile od ambitnego kina często się odbijam, to po świecie muzyki poruszam się bardzo swobodnie. Niewiele jest dźwięków, których się boję.
To bardzo praktyczna umiejętność w tym, co robię dzisiaj. Wybieranie muzyki pod montaż to jeden z moich ulubionych etapów produkcji filmów. Zresztą moje vlogi mają dobrą opinię, jeśli chodzi o dobór muzyki. Mamy w tym momencie bazę ponad pięćdziesięciu artystów, którzy udostępniają nam swoją pracę.

W ostatnich latach współpracowałeś nie tylko z twórcami na „garażowym" etapie kariery, ale też z niezłymi nazwiskami, jeśli chodzi o polską scenę muzyczną.

Owszem. W tym roku miałem zabawne doświadczenie, gdy wpadłem na krakowski festiwal elektroniczny „Czeluść". Spojrzałem w line-up i zdałem sobie sprawę, że połowa wykonawców to ludzie, z którymi współpracuję. Z reguły nie znam się z nimi osobiście, wymieniamy tylko kilka maili i już. A tu była okazja, żeby się spotkać i przybić piątkę. Czułem się jak prezes jakiejś wytwórni muzycznej (śmiech).
Gdy przez moje życie przewinęły się persony takie jak Pawbeats, duet RYSY, Da Vosk Docta czy P.A.F.F., po branży rozeszła się fama, że jest youtuber, z którym nie wstyd się pokazać. Taki, który nie udostępnia muzyki do jakiegoś badziewia o robieniu dziesięciokilogramowego pączka. Więc stworzyła się taka mała społeczność zaprzyjaźnionych muzyków i producentów. Bardzo się z tego cieszę i mam nadzieję że udaje nam się pomóc im w budowaniu zasięgu.
Swoją drogą ciekawe są powiązania pomiędzy współczesnym YouTube'em a branżą fonograficzną. Youtuberzy i raperzy to już momentami praktycznie ten sam rynek. Jednocześnie młode pokolenie raperów to często ludzie, którzy kiedyś oglądali Niekrytego, Beczkę czy Abstrachujów. To ciekawe widzieć, jak kultura zatacza koło wokół ciebie. Zacząłem od inspirowania się dziennikarzami gamingowymi z lat 90., spędziłem kilkanaście lat, robiąc jakieś swoje rzeczy, a dziś widzę młodych muzyków popularniejszych ode mnie, którzy okazują się ciepło wspominać to, co robiłem sześć lat temu. Krąg życia.

Dobrze, wróćmy na chwilę do tematu sprzed kilkudziesięciu stron, czyli do szkoły. Co byś powiedział komuś, kto jest dziś tłamszony w szkole tak, jak ty byłeś? Lub gorzej.

Trzeba się od tego odciąć. Oni są silniejsi i groźniejsi od ciebie, ale ty nie próbujesz być groźniejszy i silniejszy od nich. Gdybyś chciał, to może byś był, tylko pewnie nie próbujesz. Przegrywasz w grze, w którą nie grasz. Więc się z tym nie utożsamiaj. Bo im nie chodzi o ciebie osobiście, to tylko taki głupi mechanizm społeczny, wykorzystywany przez ludzi, którzy mają jakieś problemy ze sobą lub muszą sobie coś udowadniać. Ja wspominam czas szkoły z dużym takim... poczuciem cierpkości. Dziś myślę, że wszystkim tym ludziom przez których się stresowałem, chętnie pokazałbym wszystko, co zrobiłem.

Myślisz, że nie widzieli?

Jest duża szansa, że widzieli. Mam nadzieję, że zabolało (śmiech). Dla byłego nerda to najlepsza możliwa zemsta – gdy w pewnym momencie jesteś szczęśliwym programistą, analitykiem, startupowcem, artystą czy kimkolwiek innym. Kimś spełnionym, zadowolonym ze swojej sytuacji finansowej, rodzinnej, osobistej. Bo przecież nie zemścisz się w taki sposób, że nagle przypakujesz i ich pobijesz, nie?

Chyba, że właśnie to zrobisz. Zarobisz mnóstwo hajsu tylko po to, żeby wyjechać na kilka lat do Tajlandii i trenować boks, zdrowo się odżywiać i pakować na siłce. I po kilku latach wrócisz i wpierdolisz temu typowi, który się nad tobą znęcał.

(śmiech) Tak. I będziesz mieć dużo większe szanse, bo on przez ostatnich dwadzieścia lat wypił tyle piwa, że się zapuścił.

I dopiero wtedy przepracujesz traumę i zwyciężysz moralnie.

Dokładnie. Więc to jest to, co powiedziałbym każdemu nieszczęśliwemu nerdowi lub nerdce. Nie pozywaj do sądu, spuść wpierdol.

FILMIKI
W INTERNECIE

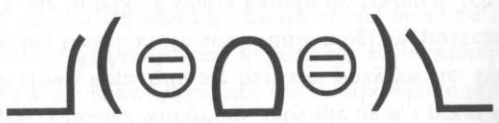

BRZYDKIE SŁOWO

Myślisz, że słowo „youtuber" jest dla niektórych twórców deprecjonujące?

Myślę, że trochę jest. Chociaż wolałbym, żeby nie było, i przez wiele lat starałem się, żeby to słowo kojarzyło się bardziej pozytywnie. Weźmy takich Darwinów – oni robią treści, które swobodnie mogłaby puszczać telewizja. Wybrali YouTube'a, ale to tylko kwestia kanału dystrybucji. Ich filmy nie są „typowym" contentem z YouTube'a. Gdy myślisz „youtuber", to pierwszym skojarzeniem nie są Darwini.

Gdy kilka lat temu polecieliśmy na Grenlandię, zrobiłem taki zwiastun, w którym płynę motorówką między górami lodowymi, latam nad nimi dronem... no, ładne ujęcia mi powychodziły. I z taką nieukrywaną dumą mówiłem: „To jest polski YouTube w 2017 roku, miło mi".

Czułem, że to jest super, że ta platforma daje takie możliwości i że youtubera można kojarzyć z takimi materiałami, a nie z Danielem Magicalem czy z nastolatkiem, który wypełnia wannę żelkami. Bardzo chciałem udowodnić, że można ambitniej. Ale dziś przestaję się opierać tylko na YouTubie. Czuję się youtuberem, jednak mimo wszystko czuję też lekkie zażenowanie, gdy używam w stosunku do siebie tego określenia.

Do tego zmierzałem.

Szczególnie mocno krępuje mnie to w Japonii. Bo japoński YouTube jest bardziej infantylny niż polski. Wkurza mnie nawet zjaponizowana wersja słowa „youtuber" – coś w stylu „ju-tu-baa". Jak chodzę po Shibuyi z kamerą i Japończycy wskazują na mnie palcem, mówiąc: „Ju-tu-baa", to myślę sobie: „Ja pierdolę, nie!" Dlatego w Japonii przedstawiam się raczej jako filmowiec albo właściciel firmy produkcyjnej. Bo japoński „ju-tu-baa" chodzi po ulicy, szczerzy zęby i mówi: „Hej, guys, dziś jesteśmy na Shibuyaaaaa!". Nie chcę być z tym kojarzony. Zresztą zwróć uwagę, że sam YouTube chyba nigdy oficjalnie tego słowa nie używał.

Gdy ja przyjechałem do Japonii w 2014, mieszkałem u Japończyków, którzy prowadzili sharehouse – dom, w którym przyjmowali gości z zagranicy. To był 2014 rok i jeden z nich opowiedział mi, że niedługo wcześniej mieszkał tu „Kris, dokumentalista z Polski". Nie miałem pojęcia, o kim mówią. Dopiero potem odkryłem, że chodziło o ciebie.

Bo ja lubię określać to, co robię, trochę... dostojniej: dokument, seria dokumentalna, film. Wydaje mi się, że w ten sposób wynoszę swoje rzeczy ponad filmiki z challenge'ami. Zdaję sobie sprawę, że przegrywam z takimi treściami, jeśli chodzi o oglądalność czy interaktywność, ale w zamian mogę sobie trochę pozadzierać nosa. Często tak mam, że jak tłumaczę komuś, co robię, to on patrzy na mnie jak na idiotę. Dopiero jak pokażę jakiś fragment, to nabiera szacunku. Bo jak się słyszy „vlog", to przed oczami nie stają takie rzeczy jak moje.

Właściwie od początku kariery zawodowej miałem problem ze sprzedaniem ludziom tego, czym się zajmuję. Bo najpierw pisałem o grach wideo, a potem nagrywałem filmiki o grach wideo, co też nie brzmi zbyt fajnie. „Filmiki o grach"... widzisz, nawet teraz nie mam na to w miarę godnego określenia... A jeszcze później wziąłem się za YouTube'a w czasach, gdy ludzie niespecjalnie kumali, czym jest YouTube. Więc jak im tłumaczyłem, że „robię takie filmiki i wrzucam do internetu", to brzmiało to kompletnie niepoważnie. „Można na tym zarobić? Gdzie poza tym pracujesz?" – słyszę te pytania nawet dziś.

Żeby nie było: ja bardzo chętnie częściej przedstawiałbym się jako youtuber. I robiłem to, gdy na przykład korespondowałem z polskimi olimpijczykami. Bo w słowie „youtuber" zawiera się jednak sporo informacji. I cieszę się, że ludzie wiedzą, co ten wyraz oznacza. Nie zawsze było to takie oczywiste. Wciąż mam nawyk z dawnych czasów, że jak mówię „youtuber", to automatycznie zaczynam tłumaczyć, jak to działa: że jest taka platforma... I ja tu zaczynam się produkować, a druga strona przerywa mi i mówi, że przecież wie. W Polsce już i z taksówkarzem można o tym pogadać, bo „synek ogląda Friza".

Gdy parę lat temu przeprowadzałem wywiady z cyklu „Szczerze z YouTuberem", nie bardzo potrafiłem wyjaśnić rodzicom, z kim właściwie rozmawiam. Gratulowali mi sukcesu i reagowali bardzo życzliwie: „No bardzo ładnie, super". Ale chyba nie mieli pojęcia, co to za ludzie i po co z nimi gadam.

Wydaje mi się, że to nie kwestia wieku – takie rzeczy trudno wyjaśnić również ludziom z naszych roczników. A na pewno ciężko było prawie dekadę temu, gdy sam zaczynałem. To była branża, w którą niewielu wierzyło. Była grupa dzieciaków, które oglądały nasze rzeczy dość wcześnie, w okolicach 2010 roku. Takie pokolenie JJay Jokera, CTSG, Damianero, Niekrytego Krytyka. Ja też się załapałem na tę wczesną falę polskich youtuberów. Ktoś to oglądał, zasięgi były coraz większe, ale nie było mowy o sponsoringach. I nic nie zapowiadało, że kiedykolwiek pojawią się poważne pieniądze. Sami youtuberzy traktowali swoją działalność jako hobby.

Mało kto może się dziś pochwalić, że około 2010 roku przewidział, czym będzie YouTube za parę lat. Że aż tak się rozrośnie, stanie się poważną gałęzią popkultury i że z prowadzenia kanału da się nieźle żyć. Bagatelizowanie tej branży to coś, co przez lata odbierałem jako ignorancję. Jakiegoś gościa ogląda milion ludzi, a ty próbujesz przekonać sam siebie, że on nie ma kulturowego znaczenia? Niewiele osób potrafiło sobie uzmysłowić fakt, że już w 2012 takiego Niekrytego czy Gonciarza oglądało więcej osób niż sporą część programów telewizyjnych. A jeszcze mniej rozumiało konsekwencje tego faktu – że już nie trzeba się pojawiać w starych mediach, aby coś znaczyć.

W tamtych czasach youtuberzy trochę zazdrościli blogerom. Chociaż mieliśmy dziesięć razy większą oglądalność, to panowało przekonanie, że blogerzy zajmują się czymś poważniejszym. To typowa relacja pomiędzy młodszym i starszym medium. Podobną dynamikę dało się zauważyć piętnaście lat temu pomiędzy serwisami i czasopismami gamingowymi. Dziennikarze piszący o grach do czasopism wydawali się „lepsi" od piszących dla serwisów internetowych. A później ci piszący w internecie byli „lepsi" od tych, co kręcili filmiki. Starsze medium ma zawsze otoczkę czegoś bardziej eleganckiego. Ale to nowsze szybko staje się popularniejsze. Tak wygląda ta ewolucja. Dziś można zauważyć takie relacje pomiędzy serwisami społecznościowymi – od Facebooka przez Snapchata po TikToka.

A nazwałeś się kiedyś influencerem?

Nigdy bez zgrzytania zębami. To słowo trochę źle mi się kojarzy, bo sugeruje jakiś głębszy wpływ na ludzi. Mam w sobie jeszcze trochę skromności i odnoszę wrażenie, że tym określeniem mógłbym się niepotrzebnie wywyższyć.

Pamiętasz „Kropki" Włodka Markowicza?

No oczywiście (śmiech).

Włodek miał chyba wtedy taką chęć, żeby zerwać z łatką youtubera i stać się „twórcą" albo „artystą". Gościem, który chce być kojarzony z innym, „wyższym" contentem. Co jest o tyle zabawne, że „Kropki" są raczej stekiem bzdur i banałów ubranych w ładny obrazek.

Kiedyś Rock powiedział mi, że mnie szanuje, bo kiedy pół środowiska zachwycało się „Kropkami", to ja od razu robiłem z nich heheszki w „Beczce". I faktycznie, pamiętam, że dość mocno grillowałem „Kropki". Aż mi w pewnym momencie Kasia powiedziała, żebym dał spokój, bo to przestało być śmieszne, a zaczęło być jadowite (śmiech). Jakbym pielęgnował w sobie gorycz i ból dupy.

To zabawne, że mniej więcej rok po „Kropkach" sam zrobiłem coś w tym stylu i był to jeden z moich największych sukcesów. Mam na myśli „Sztukę składania historii", zrealizowaną z Intelem. Wiesz: poważny narrator z offu, życiowe prawdy i ładne obrazki. Byłem świadomy, że to trochę ironia losu. Myślałem sobie: „Kurde, mam bardzo dużo na sumieniu jeśli chodzi o parodiowanie takich treści, więc jak teraz udźwignąć podpisanie się pod czymś takim?". W pewnym sensie „Sztuki składania historii" nie byłoby, gdyby nie „Kropki".

Wielu twórców nabijało się z „Kropek", publicznie lub prywatnie. I sukces tego filmu stał się trochę jego problemem. Zrobił się on tak popularny i tak mocno trafił do widzów, że aż chciało się rzucić w niego kamieniem. Ja w swoich żartach nie celowałem we Włodka, ale w ludzi zachwyconych głębią tego filmu. Choć przyznam, że po latach wydaje mi się on lepszy niż kiedyś. Na pewno wyprzedził swoje czasy pod względem produkcyjnym. To był jeden z tych momentów w historii polskiego YouTube'a, w których wszyscy zauważyli, że czas podnieść standardy.

No właśnie, można się z „Kropek" nabijać, ale była to nowa jakość. Na fali ich popularności powstało kilka podobnych rzeczy i przez jakiś czas myślałem, że youtuberzy pójdą w tę stronę i że wkrótce będzie to najpopularniejszy typ treści. Taki filmowy odpowiednik kiczowatych obrazków z motywacyjnym cytatem, które na Facebooku od lat świetnie się szerują. Ale niedługo później ten format był martwy. Czemu to nie pykło?

Sam się nad tym zastanawiałem, bo mówiąc szczerze, po „Sztuce składania historii" sam chciałem iść w tym kierunku. Ale masz rację, że to bardzo szybko przestało działać. Od czasu do czasu wracam do tej formuły, nawet w tym roku zrobiłem film „Jestem z Krakowa".

Cała ta formuła świetnie działała aż do momentu, w którym przestała. Dość nagle. Dlaczego? Nie wiem. Widocznie sposób podania treści w stylu „narracja z offu, ładne obrazki i coś tam o życiu" stał się powtarzalny i w końcu przestał działać na widzów. Filmy takie jak „Kropki" trafiaja do ludzi, bo oni zdają sobie sprawę z tego, że to nie jest trzydziesty piąty odcinek jakiejś serii, tylko takie miniaturki, które w odpowiednim momencie odpowiednio wzbudzają emocje i z czymś człowieka zostawiają. To jest coś, czego nie da się regularnie powtarzać.

Istnieje jakiś uniwersalny przepis na youtube'owy przebój?

Żeby zrobić przebój na YouTubie – taki, o którym się mówi – trzeba podnieść poprzeczkę i narracyjnie, i technologicznie. Bo publiczność bardzo szybko się przyzwyczaja do technologicznych nowinek. Kiedyś timelapse'y były imponujące, dziś nikogo nie ruszają. Tak samo z ujęciami z drona – żeby dziś robiły wrażenie, muszą być na naprawdę wysokim poziomie. Jak czasem przeklikuję swoje stare filmy, to widzę, że większość z nich jest „ładna". Ale ludzie pamiętają tylko te przełomowe.

PO PROSTU MORALNOŚĆ

Na kanałach typu „Matura To Bzdura" kamera jest agresywna. Czeka na potknięcie nagrywanej osoby – żeby ta tylko powiedziała jakąś głupotę lub zabawnie się zachowała, bo wtedy będzie lepszy materiał i więcej kliknięć.

Dlatego nie lubię swojego najpopularniejszego filmu, „Co Japończycy wiedzą o Polsce". Montując go, czułem, że mogę udowodnić właściwie każdą tezę. Albo że Japończycy są mili i pozytywnie reagują na Polskę, że Lewandowski, śmichy-chichy, albo odwrotnie: że nic nie kojarzą. To zresztą pewnie zostałoby odebrane bardziej jako dowód na to, że Polska nikogo nie obchodzi, niż – że Japończycy to ignoranci. Ale ja nie lubię pokazywać negatywnej strony osób, które nagrywam, więc nagiąłem wszystko w stronę pozytywnych reakcji. Film jest miły, polskim widzom jest miło, ale czy faktycznie jest się z czego cieszyć?

Nie chodzi mi o to, że Japończycy wiedzą mniej, niż pokazałem. Tylko taki film jest bezwartościowy jako źródło. Bezsensowne byłoby wyciąganie z niego jakichś wniosków. Ktoś może zareagować: „Więc czemu nie zmontowałeś tego filmu OBIEKTYWNIE?". A ja nie wiem, co to znaczy. Każdy montaż to interpretacja. Jedyny obiektywny montaż to chyba brak montażu i transmisja na żywo. Ale i wtedy nie pokazuje się całej rzeczywistości, tylko wybiera, na co skierować kamerę.

Dlatego mam problem z kanałami typu „Matura To Bzdura". Pamiętam, jak parę lat temu zrobili film pt. „Wiedza studentki drugiego roku AWF vs kibica Lechii Gdańsk bez matury". I okazało się oczywiście, że ten kibic znał odpowiedzi na więcej pytań niż studentka. Pomyślałem: „O Boże, jakie manipulacyjne podejście". Przerażające dla mnie jest, że ludzie, oglądając taki film, nie myślą, że ten efekt jest wynikiem montażu.

Kiedyś dostałem zlecenie na zrobienie podobnej sondy ulicznej, w której miałem zadawać ludziom oczywiste pytania z zakresu wiedzy powszechnej. Ale film na szczęście nie wyszedł, bo nie udało mi się znaleźć nikogo, kto by nie znał odpowiedzi na moje pytania. Odetchnąłem z ulgą, bo chyba umarłbym ze wstydu, gdybym miał firmować to swoją twarzą.
No więc właśnie.

Jeszcze gorszą rzecz robią kolesie z Pyta.pl. Idą w miasto z przygotowanymi zawczasu żartami i cwaniaczą. Ich rozmówcy od początku są na przegranej pozycji, bo muszą szybko odpowiadać na złośliwe, podchwytliwe pytania. Czasem to nawet nie są pytania, tylko jakieś durne teksty, których jedynym celem jest prowokacja. I gdy ktoś zareaguje ostro, to Pyta pokazuje go palcem: „Ooo, patrzcie, jaki agresywny, ale nas atakuje!". A jeśli nawet rozmówcy uda się błyskotliwie zripostować, to twórcy Pyty mogą to wyciąć lub przemontować. Czyli kontrolują wszystko i mogą zrobić idiotę z każdego.
A widziałeś, jak „Media Narodowe" robiły livestreama z Marszu Równości w Białymstoku? Prowadzący próbował prowadzić relację jednostronnie, ale ewidentnie nie nadążał za tym, co się tam działo.

Tak, wspaniały materiał. Próbował rozmawiać z ludźmi, którzy potwierdzaliby jego homofobię, ale zaczepił też panią, która skrytykowała narodowców i zagięła go argumentem, że dzieci wychowywane przez mamę i babcię też są wychowywane jednopłciowo.
Mimo wszystko autorom relacji należy się szacunek za to, że to chociaż było na żywo. Przegrali, ale przynajmniej zaryzykowali.

A pamiętasz, jak dziennikarz Telewizji Republika stanął na balkonie podczas Marszu Niepodległości i był obrzucany kamieniami przez uczestników? A on przestraszony krzyczał: „Weźcie przestańcie, jestem z Republiki, a nie z TVN-u!".
(śmiech) No jasne. Inny koleś z Republiki miał taką słynną, dramatyczną relację, gdy krzyczał o jakimś kibicu, że „został z niego tylko szalik". Pamiętasz to?

Ba, sama klasyka. Obaj panowie z Republiki pracują dziś w TVP.
Jaok z Pyty też jakiś czas pracował. Ale właśnie, wracając do Pyty. Była taka

sytuacja na Pyrkonie w 2013 roku – Pyta przyszła na konferencję youtuberów z Markiem Pyrką, z którym czasem nagrywali. No i świadomie rozwalili tę konferencję.

Trochę ci się po tym zdarzeniu dostało.
Tak, bo ta sytuacja była trudna z powodów, których trochę nie widać na nagraniach. To były te czasy, o których wcześniej mówiliśmy: polscy youtuberzy mieli już spore widownie, ale wciąż mało kto doceniał ich siłę. I organizatorzy Pyrkonu też nie docenili. Zaproszenia dostaliśmy: ja, Rojo, SciFun, Adbuster i Pyta.
Zrobili nam panel w małej salce. A zainteresowanych nim było trzy razy więcej osób, niż ta salka mogła zmieścić. Był taki ścisk, że nie dało się ruszyć ani przejść, ani wejść, ani wyjść – kompletny paraliż. Nie było żadnej ochrony, a dwaj chłopcy, których konwent wysłał, żeby nam pomagali, zupełnie sobie nie radzili. Sytuacja zaczęła robić się nieciekawa, widziałem spanikowane spojrzenia organizatorów i czułem, że oczekują, żebym pomógł jakoś ją rozwiązać.
I teraz wchodzi Pyta, cała na biało. Ich performance polegał na tym, że Marek Pyrka wziął mikrofon i starał się zagarnąć jak najwięcej czasu. Sporą część ludzi na sali to irytowało, bo żaden inny uczestnik pantelu nie mógł się wypowiedzieć. Poczułem, że ani AdBuster, ani Rojo, ani SciFun nie zareagują. A z nas wszystkich to ja miałem najwięcej doświadczenia z publicznymi wypowiedziami, więc stanąłem w opozycji do Pyty. I stałem się trochę ofiarą tej sytuacji, nabijano się potem ze mnie, że się tak spinam. Nie twierdzę, że zrobiłem wszystko dobrze, bo byłem wtedy zestresowanym dzieciakiem, a nie jakimś czarującym medialnym wyjadaczem.

Bolało cię to wtedy?
Denerwujące było to, że Pyta później bardzo nakręcała to w internecie. Rzuciły się na mnie środowiska wykopowe, a ja nie miałem wtedy na tyle dużej oglądalności, żeby być pewnym swojej pozycji i nie przejmować się głosami z zewnątrz. Więc dało się mnie wtedy zaszczekać. Dotknęło mnie to, nie ukrywam.
Później wielokrotnie przerabiałem tę historię w głowie i zastanawiałem się, jak mogłem lepiej sobie z tym poradzić. Ale tak naprawdę jedynym wyjściem

było być dowcipniejszym, bystrzejszym i mieć lepsze riposty na żywo. A ja na żywo nie jestem showmanem i oni o tym doskonale wiedzieli. Pewnie Maciek Dąbrowski poradziłby sobie lepiej.

Tak poza tym to ludzi z Pyty poznałem z miesiąc wcześniej na konferencji w Częstochowie i z miejsca się w nich zakochałem. Odebrałem ich jako takich bitników (śmiech). Absolutnie fascynujące było dla mnie to, że nie mają żadnych barier i wiodą dziwaczny styl życia. Cieszyłem się, że zostali zaproszeni na ten sam panel. Dziś nie wiem, czemu zaskoczyło mnie to, co odjebali – przecież dokładnie tego należało się spodziewać. Bo to jest to, co oni robią. Nie chcieli upokorzyć konkretnie nas – gdyby tam siedzieli inni youtuberzy, to pewnie zrobiliby to samo. Dziwię się, że byłem taki naiwny. Dziś chyba bym to przewidział.

A potem miałeś kontakt z którymkolwiek z nich?

Z Kozą nie. Z Rafałem parę razy rozmawiałem. I wydaje mi się, że Jaok napisał mi kiedyś w komentarzu pod filmem, że to było głupie i że przeprasza.

Mówiliśmy już o modzie na „głębokie" filmy, pomówmy o modzie na pranki. Z 5–6 lat temu youtuberzy robili je tak często, że strach było wyjść na spacer po Warszawie. Ale mimo wszystko: jak Wardęga wymyślił, żeby postraszyć ludzi psem przebranym za pająka, to był to kamień milowy w historii polskiego YouTube'a. Ten filmik był hitem nawet poza Polską. Dziś ma nie miliony, ale dziesiątki milionów wyświetleń.

To prawda. Pamiętam moment, gdy coś zaskoczyło i odsłony tego filmu zaczęły rosnąć lawinowo. Bardzo się z tego cieszyłem, nie było we mnie jakiejś zawiści, że dlaczego on, a nie ja. Wiedziałem, że nie mam szans konkurować z Wardęgą – rzeczy, które on robi, są „opowiedziane" uniwersalnym językiem, zrozumiałym niezależnie od szerokości geograficznej. „Pies-pająk" miał gigantyczny wpływ na postrzeganie YouTube'a w Polsce. „Stare" media w końcu zauważyły youtuberów, samo słowo „youtuber" zaczęło być powszechnie rozumiane.

Ale wydaje mi się, że sukces przerósł Wardęgę. Zrobił się na niego ogromny hajp, wszyscy chcieli ogrzać się w jego blasku. Wojewódzki pytał go, czy nie chciałby kręcić filmów pełnometrażowych. Nastąpiło tam jakieś zakrzywienie rzeczywistości, a potem Wardęga przespał świetny moment, w którym się znajdował.

To znaczy?

Próbował odpalać różne nowe kanały i formaty. Pomysły były lepsze lub gorsze, ale koniec końców nic nie pociągnęło tej machiny mocno do przodu. I co więcej: bardzo zrażał do siebie ludzi. Na jakiś czas... nie lubię używać takich określeń, ale użyję: na jakiś czas mu odbiło.

Był okres, że próbowałem bawić się w wujka popularnych youtuberów, chciałem dawać im dobre rady – taką wyznaczyłem sobie rolę. Z Wardęgą też nawiązałem kontakt. I on przy okazji którejś imprezy z cyklu Blog Forum Gdańsk napisał na Facebooku posta, w którym wyśmiewał całą blogosferę. Że organizują sobie jakieś konferencje, chuje-muje, nie wiadomo co, a tak w ogóle to zdjęcie jego psa ma na Facebooku więcej lajków niż oni wszyscy razem wzięci.

Zrobiła się gównoburza, a ja chciałem być kumplem wszystkich. Więc napisałem mu prywatnie, że może trochę przesadził, bo są różne branże, trudno porównywać ich zasięgi i na przykład pranki nijak mają się do parentingu. Nie będę cytował, co mi odpisywał, ale powiedzmy, że nie wspominam dobrze tej rozmowy. On pewnie też nie.

Odechciało ci się po niej być dobrym wujkiem youtuberów?

Wtedy się zaczęła moja paroletnia spina z Wardęgą. Wykorzystywałem każdą okazję, żeby jakoś mu dogryźć. To były czasy, kiedy spora część branży próbowała wejść mu w tyłek. Miał taką swoją „ekipę" złożoną z pomniejszych youtuberów, którzy byli wobec niego bezwzględnie lojalni.

Dziś uważam go za trudną postać, którą w swoim czasie nikt się nie zaopiekował, nie nakierował, nie naprowadził na odpowiedni tor. Wardęga łatwo daje się ponieść emocjom, gdy pisze coś publicznie, więc zdarzały mu się samozaorania, takie jak wspomniany post na Facebooku. Konflikty na własne życzenie. Ostatecznie po kilku latach tego haju Sylwester zszedł na ziemię, podał rękę wielu ludziom, my też mieliśmy moment złapania pozytywnego kontaktu. To było w czasie, gdy wstąpił na drogę duchowego oświecenia, odwiedził Peru, wypił ayahuascę i nagrał o tym film.

Rok temu na gali rozdania Grand Video Awards – takich nagród dla youtuberów – Wardęga odebrał nagrodę dla osobowości roku. Facet, który ją wręczał, powiedział w uzasadnieniu: „po prostu moralność". Dostał też nagrodę w kategorii „publicystyka", bo nagrał filmik o tym, że patostreaming

jest zły. To było tak strasznie głupie, że na sali dało się usłyszeć głośne facepalmy (śmiech).

„Po prostu moralność", ciekawe... Koleś, który wygrzebał jakiś prastary żart rodem z juwenaliów, że on tu, he, he, he, będzie pomagał kobietom w badaniu piersi. I biegał po ulicy, łapiąc obce dziewczyny za biust, za co nigdy nie przeprosił.

On miał dużo wątpliwych akcji, już nawet pomijając pranki. Jego pierwszy duży hit, film „Trener policji". Prowokuje policjantów, pijąc „piwo" na ulicy (tak naprawdę wodę w butelce po piwie, wyborna prowokacja), po czym ucieka. Film miał udowadniać, że policjantom nie chce się go gonić. I to było w domyśle wytykanie jakichś nieprawidłowości w działaniu policji. Próbowałem z tym dyskutować, spytałem go, czy nie uważa, że to jednak czyn o nikłej szkodliwości i że już prędzej można by kręcić dramę w drugą stronę – że ścigają za piwko jak za napaść. Usłyszałem w odpowiedzi, że mógłby być przecież gwałcicielem, policjanci tego nie wiedzą. Tak że tak.

Do dziś tam są pozytywne komentarze – w takim tonie, że dobrze, że dowalił gliniarzom.

Pamiętam, jak wyskoczył news o Marcie Linkiewicz – dziewczynie, która przespała się raperami z zespołu Rae Sremmurd i się tym chwaliła. I wtedy wielcy moraliści YouTube'a, tacy jak Serafin czy Wardęga, nagrali filmiki. Wardęga pieprzył jakieś bzdury o „zdobywaniu popularności przez uprawianie seksu z autobusem Arabów" i z wtrętami typu „serio, jesteście dumne, że obciągałyście Murzynowi w autobusie?".

Żeby w tym autobusie byli Sting i The Police, ale Murzynom? (śmiech)

„Po prostu moralność".

Po tej części wywiadu możemy spodziewać się wiadomości prywatnej od Wardęgi.

Chyba że już osiągnął to oświecenie i jest ponad tym. Ale á propos Linkiewicz – jej późniejsza kariera stanowi świetne zagranie na nosie Wardędze, nie? Bo on w tym filmie grzmi, że kiedyś będzie próbowała to ukryć, ale internet nie zapomina (śmiech).

Swoją drogą, mam świadków na to, że broniłem Linkiewicz po historii z autobusem. Bardzo cieszył mnie szok, jaki przeżyli konserwatyści – że jak to, kobieta chwali się życiem seksualnym? Ich ból dupy był i straszny, i śmieszny.

Tak, też się wtedy pastwiłem nad kolesiami, którzy rzucali w Linkiewicz kamieniami. To musiała być dla niej koszmarnie ciężka sytuacja, przecież ta dziewczyna to nie jakaś pusta skorupa człowieka. Po tym wszystkim została na przykład wyrzucona ze szkoły. To, że dziś jest popularna i ma dużego Instagrama – to nie było coś, co mogła wykalkulować.

Nie znam jej i nie wiem, co się działo w jej głowie w tamtym okresie, ale sam miewałem swoje problemy wizerunkowe w sieci i wiem, jak bardzo to potrafi zryć banię. A przecież jej położenie było sto razy gorsze niż wszystkie moje dramy razem wzięte. Jeśli dodamy do tego, że Marta była wtedy nastolatką bez doświadczenia w radzeniu sobie z czymś takim, to wiesz... Wiele osób na jej miejscu by się po prostu zabiło. To brzmi bardzo mocno, ale myślę, że to prawda. I żeby nie było: nie uważam, że Marta Linkiewicz powinna być jakimś wzorem do naśladowania, że jest pod każdym względem krystaliczna. Ale w sumie zrobiła sporo dobrego. Przecież w Polsce wciąż pokutuje przekonanie, że kobiecie nie wypada mówić głośno o swojej seksualności. A ona miała to w dupie i pokazała innym dziewczynom, że też mogą mieć to w dupie. Nieironicznie ją podziwiam.

Weszła w sytuację, w której pół Polski ją poniża i wyzywa, a mimo to nie zmieniła nazwiska i nie wyjechała na drugi koniec świata. Tylko uznała, że skoro wszyscy i tak o niej mówią, to teraz będzie influencerką. Taka decyzja to ryzyko, wymaga wielkich jaj. Kolesie, którzy ją krytykowali, mogą tylko o takich pomarzyć.

Tak, oni niczym nie ryzykowali, tylko mówili to, czego się od nich oczekiwało. Ja Martę podziwiam za wyjebkę, którą konsekwentnie prezentowała w wywiadach. Dziennikarze przychodzili do niej niezdrowo podekscytowani, a ona bez cienia wstydu, zupełnie zwyczajnie opowiadała: „No tak, poszłam do autokaru, rozebrałam się, tu było łóżko, byłam pijana, zabawiałam się na ostro, było super".

Bawiła mnie ta bezradność, którą to rodziło w ludziach operujących dogmatami typu „kobiecie czegoś nie wypada". Bo okazuje się, że jeśli ktoś nie wierzy w magiczną moc takich aksjomatów, to nie masz nad nim żadnej kon-

troli. Slut-shaming nie działa, jeśli kobieta nie ma problemu ze słowem „slut". Linkiewicz raczej nie wyczytała tego w mądrych książkach o feminizmie, ale jakoś odkryła na własną rękę. I po tym, jak zrobiła to odkrycie, wszyscy oburzeni moraliści nic już nie mogli jej zrobić. Mogli tylko sobie bóldupić na YouTubie czy Facebooku. Niektórzy tak bóldupią do dziś, a ona w tym czasie kosi hajs z Instagrama i chodzi na imprezy. Chociaż nie, ostatnio chyba wkręciła się w fitness. W sumie chciałbym, żeby ktoś kiedyś wydał jej biografię (śmiech).

To będzie mój kolejny projekt, wywiad-rzeka z Martą Linkiewicz.

Zróbmy to razem! Wiesz, uważam, że dla youtuberów – czy szerzej: influencerów – kluczowy jest taki parametr wpływu na publiczność, który trudno precyzyjnie zmierzyć. Ile osób jesteś w stanie poruszyć? U ilu osób jednocześnie możesz wywołać reakcję emocjonalną?

Uważam, że pod tym względem jestem na polskiej scenie niezły, lepszy od wielu osób, które mają wyższe liczby subskrybentów i inne numerki. Ale Marta wszystkich nas zostawia w tyle. Jest w ścisłej czołówce osób, które niekoniecznie się lubi, ale jak już się lubi, to się lubi bardzo. Doceniasz ją nie za fajny content, ale za samo to, że jest, kim jest.

Moi znajomi prowadzą bar w Warszawie i uznali kiedyś, że ją zaproszą, żeby sobie u nich popiła. Przyszła, posiedziała, coś tam zapostowała na instastory, że była w tym barze. Przez następnych kilka dni bar miał codziennie tylu klientów, ilu zwykle przewija się przez tydzień. Wszystko dzięki jednemu postowi na Instagramie. W Polsce naprawdę niewielu influencerów potrafi wywołać taki efekt.

Zróbcie crossa.

Moja przyjaciółka poznała kiedyś Martę Linkiewicz. Zaczęła się z nią trochę kolegować, wspólnie imprezowały. Akurat zażartowałem z Marty w „Zapytaj Beczkę". Przyjaciółka jej ten żart pokazała i wysłała mi snapa, że patrz, oglądamy z Martą „Zapytaj Beczkę". Więc po 20 minutach sam wysłałem do Marty snapa z pytaniem: „jak się bawicie". Koleżanka nie powiedziała Marcie, że się znamy, więc Marta mocno się zdziwiła: „Ooo, ten koleś z filmiku do mnie napisał! Ale zbieg okoliczności!". Ale nie straciła głowy, szybko wysłała mi snapa z pytaniem, czy chcę się ruchać (śmiech).

(śmiech) Cała Marta!

Może od razu utnę spekulacje: speszyłem się i nie odpowiedziałem.

Skoro jesteśmy w rozdziale „Po prostu moralność", wróćmy na chwilę do roku 2016. Stanąłeś wtedy publicznie w obronie Joanny Grabarczyk, którą postanowił zlinczować na Facebooku Mariusz Pudzianowski. Za to, że zgłosiła do prokuratury jego posty nawołujące do przemocy wobec uchodźców. Pudzianowski już wtedy miał na Facebooku kilkuset tysięcy obserwujących i napisał im: „Pokażcie siłę i dajcie to dalej". Grabarczyk szybko zaczęła dostawać pogróżki – niektórzy życzyli jej śmierci.

Byłem tym mega zażenowany. Dla mnie zrobienie czegoś takiego powinno Pudzianowskiego zdyskredytować jako osobę publiczną. Na zawsze. Tak niska była to rzecz. Już mniejsza o opinie, poglądy i tak dalej. Ale nie wyobrażam sobie dać się tak sprowokować, żeby zrobić coś takiego. Żeby osobę prywatną wywlec z imienia i nazwiska w przestrzeni publicznej. Użyć swoich zasięgów w mediach społecznościowych do zorganizowania nagonki? Żałosne! Totalnie żałosne.

Ale przypomniałeś mi inbę, którą sam niechcący zrobiłem. To było związane z konkursem „Blog Roku" Onetu w 2016 roku. W kategorii wideo zostało nominowane jakieś kuriozum: film o tym, że jakieś dzieci bawią się w ogrodzie. I to wszystko. Tak jakby jurorom nie chciało się zapoznać ze wszystkimi fajnymi filmami, które w tamtym roku nakręcono, tylko wzięli pierwszy z brzegu.

Skąd wniosek, że tak mogło być?

Bo sam parokrotnie brałem udział w takich obradach jury i nie mam złudzeń, jak to wygląda. Powiedzmy to na głos: większość jurorów w różnych konkursach ma wyjebane w to, co robi. Niewielu jest tam ludzi z pasją, którzy chcą sumiennie oceniać czyjeś prace.

A najgorzej jest, jak się weźmie do jury duże nazwiska. Ludzi, którzy mają masę innych zajęć. Pamiętam, że wtedy jednym z jurorów był Patryk Vega. Nie chcę snuć insynuacji, ale jeśli taki Vega obejrzał wszystkie filmy z tej kategorii i ocenił je rzetelnie według swoich kryteriów, i ten z dziećmi w ogrodzie otrzymał najwyższą ocenę, to...

...to wiele nam to mówi o filmach Patryka Vegi.

Wciąż trudno mi to zrozumieć. Już nawet nie chodzi mi o to, że ten film był kompletnie chujowy, tylko... Tam było dużo fajnych rzeczy zgłoszonych. I trzeba było być ślepym i głuchym, żeby akurat to uznać za jedną z najlepszych produkcji. Albo wybrać ją kompletnie losowo.

Ja wtedy poczułem się obrażony w imieniu całego środowiska. Więc po ogłoszeniu wyników tego konkursu zapostowałem na swoim prywatnym Facebooku zgryźliwy komentarz na ten temat. Coś w stylu, że przegrałem z tym filmem i czas zmienić branżę. I dodałem hashtag #boldupy. Nie zrobiłem tego na fanpage'u, tylko na prywatnym profilu. Ale nawet moje prywatne posty trafiały wtedy do jakichś dziesięciu-dwudziestu tysięcy osób.

Wrzuciłem też link do tego filmu z dziećmi. No i niechcący nagoniłem hejt na kobietę, która go zrobiła. Było mi głupio, bo ludzie zaczęli do niej pisać chamskie rzeczy: „ale gówno", „głupie bachory" i tak dalej. Bez sensu. Było mi wstyd, bo to nie ta pani miała być targetem mojej szydery, tylko jury konkursu. Nie wyraziłem się dość jasno. Ale jej film musiałem podlinkować, no bo jak inaczej mogłem zilustrować swoją myśl?

Potem zostało to rozdmuchane na Wykopie, że Gonciarz próbuje kręcić hejt na niewinną kobietę. Relacjonowano tę sytuację trochę tak, jakbym był tym Pudzianem postującym o pani Grabarczyk. A przecież to jest kompletnie inna retoryka, inny kaliber i intencje. To pewnie było nieodpowiedzialne z mojej strony i gdybym mógł cofnąć czas, to bym tego drugi raz nie zrobił. Autorce przysporzyło to zapewne dużo stresu. I ona się ostatecznie z tego konkursu wycofała, a przy okazji napisała, że nigdy nie spotkała się „z taką falą nienawiści, która była i jest nadal widoczna na stronach youtuberów". Trochę się wtedy podłamałem.

I czyja to była wina?

Patryka Vegi, no bo chyba nie moja (śmiech).

Swoją drogą Patryk Vega montował „Politykę" w Tokio.

Tak, i ludzie mi pisali, żebym się z nim ustawił (śmiech). Może byśmy sobie wyjaśnili tę sytuację z Blogiem Roku...

3 0 0 %
PROWIZJI

W poprzednich rozdziałach dwa razy podsumowałeś biznesowo youtuberskie kariery. Powiedziałeś o Wardędze i Niekrytym Krytyku, że mogli lepiej wykorzystać swoją pozycję, pójść w ciekawszym kierunku, więcej zarobić. Z czego wynikały błędy, które popełnili?

Z niedojrzałości modelu biznesowego. YouTube to po prostu młoda platforma i wiele osób straciło swoją szansę tylko dlatego, że w 2012 czy 2013 roku nikt nie myślał o posiadaniu managera, agenta, doradcy. Jak młoda osoba wchodzi do branży muzycznej, to od razu kogoś takiego dostaje. Takiego opiekuna, który będzie uważał, żeby nie pochrzaniła sobie kariery.

Wielu obiecujących nastoletnich raperów ma takich managerów, będących dla nich trochę figurami ojcowskimi. Takich, którzy pomogą im wstać, jak zamelanżują i się zarzygają, a jednocześnie ogarną im biznesy i komercyjne współprace. Na YouTubie właściwie nie ma czegoś takiego, a myślę, że mogłoby istnieć. Przydałoby się to zwłaszcza nastoletnim youtuberom, najbardziej narażonym na internetowy szlam.

W Polsce pojawiają się osoby próbujące kreować się na takich ekspertów od „prowadzenia" gwiazd internetu, ale zwykle to ściema, blefowanie dla zysku. Ci ludzie często mają mniej doświadczenia i intuicji niż youtuberzy, z którymi próbują współpracować.

Twój obecny manager jest kilkanaście lat młodszy od ciebie.

Tak, więc raczej nie nazwałbym go figurą ojcowską. Ale rzeczywiście trochę się mną opiekuje. Mamy między sobą świetną chemię, podobnie widzimy procesy, które zachodzą na tym rynku, i zgadzamy się co do kierunku, jaki należy obrać. Mamy też podobnie wielkie marzenia.

Wróćmy do managerów, a właściwie ich braku. Młodzi ludzie pewnie nie są specjalnie chętni, żeby dzielić się pieniędzmi z kimś takim. Są przekonani, że ogarną to wszystko sami.

Okej, w takim razie czemu ci sami youtuberzy brną w sieci partnerskie, które są jeszcze gorszym tworem?

Może nie każdy czytelnik wie, czym jest sieć partnerska, wyjaśnię więc: są to firmy, które pomagają youtuberom w załatwianiu płatnych współprac i kontaktują się w ich imieniu z YouTube'em. Innymi słowy – to pośrednicy pomiędzy twórcami i większymi podmiotami, którzy za każdy udany deal odpalają sobie jakiś procent. Czemu uważasz, że sieci partnerskie są szkodliwe?

Uważam, że to często trochę scamowe biznesy. W dodatku nielubiane – klienci ich nie lubią, youtuberzy też ich nie lubią, ale obie te strony boją się bezpośredniego kontaktu ze sobą. Więc z tego strachu stworzyły sobie pośrednika. No i to jest opłacalne dla samego YouTube'a – żeby zepchnąć odpowiedzialność prawną za content na podmioty, które są firmami. Bo ewentualny konflikt prawny z 14-latkiem z dalekiego kraju mógłby być problematyczny i niekorzystny wizerunkowo. Więc sieci partnerskie są tym bezpiecznym buforem, dopasowanym do legislacji w danym kraju.

W pewnym momencie bardzo nierozsądnie było nie wpiąć się do żadnej sieci partnerskiej. Bo taki samotny youtuber był bezbronny wobec decyzji YouTube'a. Ktoś, kto chciał mu zaszkodzić, mógł nakłamać, że jego filmy są kradzione, i trudno się z tego wybronić bez pomocy sieci. Kiedyś Rockowi zrobili raid – jakaś grupa ludzi się umówiła, że poraportuje mu filmy, i YouTube mu je zdjął.

Twórcy byli świadomi tego ryzyka, więc wszyscy lgnęli do sieci partnerskich, a sieci partnerskie obiecywały wszystkim, że będą dbać o rozwój ich biznesu. W praktyce było tak, że sieć jechała na swoich headlinerach, najmocniejszych nazwiskach. „Cześć, jesteśmy LifeTube, są u nas Abstrachuje. Patrz, jaki sukces osiągnęli!". A to, że ten sukces Abstrachujów był w większej mierze zasługą samych chłopaków niż LifeTube'a, to już nieważne. Przez lata sieci stosowały model nalotów dywanowych – ściągały do siebie dziesiątki, setki twórców we wczesnej fazie rozwoju, tak by później można się było podpisać pod ich ewentualnym wzrostem.

Sieci partnerskie często przypisywały sobie nie swoje sukcesy?

Tak. A potem rekrutowały nowych youtuberów, roztaczając przed nimi hura-optymistyczne wizje. „Będziemy ci ogarniać deale, zaczniesz dużo zarabiać. Patrz, ile zarabia Cyber Marian. To my go sprzedajemy! Ty będziesz następny". Wystarczyło mieć konto z paroma tysiącami subów i już padałeś ofiarą agresywnej, zasięgowej rekrutacji. Nagle dostawałeś po dziesięć maili tygodniowo od jakichś accountów z sieci partnerskich.

Na szczęście to się już skończyło, bo YouTube trochę zmienił infrastrukturę. Już nie trzeba być w sieci partnerskiej, by twoje konto było względnie bezpieczne na gruncie praw autorskich. Można mieć kanał samodzielny i wychodzi na to samo.

Co na to same sieci?

Zostały przymuszone do jeszcze agresywniejszej walki o pieniądze. Standardem jest, że youtuber nie ma wglądu w rozmowy ani umowy pomiędzy siecią a klientem. Nie wie na przykład, ile wynosi budżet, jaki klient przeznaczył na współpracę. Zna swoją stawkę, ale nie ma pojęcia, jaka to część całego budżetu. Z pierwszej ręki słyszałem taką historię: youtuber zażyczył sobie 30 tysięcy, a sieć wynegocjowała 120 tysięcy i klient się zgodził. Z tym że nikt nie zaproponował twórcy, że skoro klient taki hojny, to jego stawka może być wyższa. Sieć wszystko, oprócz tych 30 tysięcy, zagarnęła dla siebie. I zarobiła 300% zarobku twórcy.

A jednocześnie ta usługa jest nazywana „reprezentowaniem youtubera"... Gdyby ten youtuber miał wgląd w umowy z klientem, to w życiu by się nie zgodził na warunki, na których pracuje. Takie historie sprawiają, że potem youtuberzy są skrajnie nieufni wobec każdego, kto jest wyżej od nich w łańcuchu pokarmowym. Również wobec firm, które wcale nie chcą ich wyruchać. Przekonałem się zresztą o tym sam, kiedy stworzyliśmy Tofu Twórcy – dział naszej firmy o funkcji nieco zbliżonej do sieci partnerskiej.

No właśnie – jak to wygląda z punktu widzenia takiego pośrednika, który stara się być w porządku?

Zauważyłem, że gdy jesteś tym, kto reprezentuje youtuberów przed klientami, a klientów przed youtuberami, to stajesz się chłopcem do bicia dla obu stron. I jedni, i drudzy są niezadowoleni i cię obwiniają. To jest jeszcze do

przeżycia, choć utrzymywanie relacji na pokojowym poziomie okazuje się bardzo trudne.

Bo gdy jedna ze stron zaczyna robić jakieś problemy, to ty tracisz relację z drugą. Na przykład: jeżeli klient jest bardzo trudny, to youtuber, z którym współpracujesz, zaczyna myśleć, że to ty jesteś niekompetentny. I na odwrót. Powiedzmy, że przygotowujesz jakiś projekt, pracujesz nad nim kilka miesięcy. Wszystko już prawie gotowe, a tu okazuje się, że youtuber nagle postanowił zmienić wizerunek i produkt do niego kompletnie nie pasuje. Klient i agencja obwiniają ciebie, a ty w sumie nie masz nic do gadania, nie wepchniesz przecież komuś siłą produktu na jego kanał.

Ale to jeszcze pół biedy. Prawdziwy problem bierze się stąd, że będąc pośrednikiem, zarabiasz pieniądze na marży od rzeczy, które dojdą do skutku. A bardzo często w tej branży się zdarza, że prowadzisz jakiegoś dużego deala, który ciągnie się 5 miesięcy, po czym klient stwierdza, że jednak nie ma budżetu i się wycofuje.

Klienci nader często zmieniają zdanie w ostatniej chwili. Z różnych powodów: bo jest nowy dyrektor i ma inną wizję niż poprzedni. Albo po prostu ktoś nie zdążył podpisać czegoś przed urlopem. Youtuberowi zwykle jest w takiej sytuacji wszystko jedno, bo jak nie ten deal, to następny. Może czasem się wkurwi na pośrednika, że się nie postarał i nie ogarnął. Ale największy problem masz ty jako pośrednik. Bo pracowałeś nad czymś przez pięć miesięcy i nic nie zarobiłeś.

Działalność Tofu Twórcy była więc nieopłacalna?

W pewnym momencie taką się stała. Trwało to niecały rok i zrezygnowaliśmy.

Pamiętam ten PR-owy buzz wokół Tofu Twórcy. Przedstawialiście się w kontrze do sieci partnerskich jako zimnych firm, które chcą tylko zarabiać. Wy mówiliście, że nie jesteście siecią partnerską, tylko prawdziwymi partnerami dla youtuberów. Chcecie tworzyć i produkować fajne projekty wspólnie z twórcą.

Przyjęliśmy założenia dość dużej transparentności: wszystkie strony uczestniczyły w rozmowach biznesowych i wszyscy mieli wgląd we wszystkie umowy. Podział pieniędzy miał być jasny. I to nas ugryzło w dupę, bo okazało

się, że kiedy tematy się sypią, to najmocniej uderza to w nas. I że tracimy pieniądze, prowadząc tę działalność.

W żadnym wypadku nie była to wina twórców, których reprezentowaliśmy. No i trudno mówić o winie klienta, jeśli coś nie dojdzie do skutku. Bo po prostu tak się zdarza. Ale jako model biznesowy to rzeczywiście jest niebezpieczne. Nagle zacząłem rozumieć, dlaczego te sieci partnerskie robią takiego wała, żeby wykręcić 300% prowizji. Bo to po prostu finansuje wszystko inne. A youtuber prędzej ci powie „Ej no w sumie za co ty bierzesz 30% prowizji?", niż zainteresuje się tym, że ktoś za jego plecami wziął 300%.

Narobiłeś sobie jakichś wrogów przez Tofu Twórcy?

Wrogów – to za dużo powiedziane. Zawsze, jak coś nie wychodzi, to pozostaje nutka goryczy, ale myślę, że wszystko zostało wyjaśnione.

Zauważyłem, że narzekanie na sieci partnerskie to jeden z głównych tematów w prywatnych rozmowach z youtuberami. Mnie, jako osobie spoza środowiska, przypomina to trochę sytuację z lat 90., gdy muzycy nie dogadywali się z wytwórniami płytowymi. Znana jest na przykład historia zespołu Hey, który na swojej świetnie sprzedającej się, debiutanckiej płycie zarobił niewiele, bo muzycy – bardzo wtedy młodzi – podpisali niekorzystną umowę z korporacją. Kazik po doświadczeniach z większymi wytwórniami zaczął wydawać u swojego kolegi. W połowie lat 90. nagrał nawet piosenkę z refrenem „Mój wydawca jest złodziejem". Nieco później na wydawców narzekali też raperzy, dlatego duża część z nich do dziś wydaje swoje albumy sama. Ale ostatnio coś się zmieniło – wytwórnie płytowe chyba trochę się ucywilizowały, bo nie słychać aż tylu narzekań, a Hey nagrywa i wydaje w dużej korporacji, tylko innej. Czy myślisz, że coś takiego jest możliwe także w środowisku firm zajmujących się youtuberami? Czy kiedyś wszyscy będą mogli być w miarę zadowoleni?

Myślę, że to jest możliwe wyłącznie w bardzo konkretnych okolicznościach. Jeśli twórca i pośrednik mają odpowiednio bliską relację, opartą na zaufaniu, to okej – może to tak działać. Ale to muszą być stosunki niemal rodzinne. Dużo zdrowsza dla twórcy jest sytuacja, w której zatrudnia management. On płaci, on wymaga, priorytety wszystkich osób w jego zespole są jasno ukierunkowane.

Zresztą kto wie, jak będzie wyglądała branża za pięć lat? Jestem w stanie wyobrazić sobie sytuację, w której Coca-Cola uznaje, że może stworzyć podmiot, który utrzyma wszystkich czołowych polskich youtuberów, czyniąc z nich nośniki reklamowe napoju. Ta firma ma tyle hajsu, że może sobie na to pozwolić.

Agora miała kiedyś sieć partnerską o nazwie Epic Makers. Pracowałem wtedy na Czerskiej i zapytałem ludzi z tej sieci, czy to jest okej, że mają w swoich szeregach znanego z homofobicznych wypowiedzi Serafina. Gościa, który w jednym ze swoich filmów mówił: „Takiego prawdziwego, rasowego pedała to bym zajebał". I tego kolesia obsługuje Agora – spółka, która ma na sztandarach takie wartości, jak tolerancja, której media piętnują homofobię, która wreszcie zatrudnia osoby LGBT+, w tym aktywistów walczących o prawa mniejszości seksualnych.

I co usłyszałeś?

Jedna z wysoko postawionych osób w Epic Makers odpowiedziała mi, że jakby mieli być tacy święci, to by połowę twórców musieli wyrzucić. Czy sieć partnerska musi przymykać oko na odpały youtuberów, żeby ten biznes się w ogóle opłacał?

No LifeTube jednak wyrzucił Kruszwila. Ale to była sytuacja, gdy sieci groziły poważne straty wizerunkowe. Tylko wtedy kogoś takiego się wyrzuca. Tu nie ma miejsca na jakąś wielką moralność, tylko na kalkulację. Jeśli youtuber się firmie opłaca, to odwrócą wzrok od tego, co słabego odpierdala.

Myślisz, że LifeTube mógłby mieć realne straty finansowo-wizerunkowe, gdyby trzymał u siebie Kruszwila do dzisiaj?

On już wcześniej robił kontrowersyjne rzeczy, ale sieci to nie obchodziło. Może ktoś mniejszy wyleciałby szybciej, ale Kruszwil to jednak youtuber, który zauważalnie poszerza zasięg całej sieci.

Ale filmik, w którym namawiał małego chłopca do macania dziewczyn, to już było zbyt wiele. Odbiło się to tak szerokim echem poza światkiem youtube'owym, że gdyby firma nie podjęła żadnych działań, to ludzie drążyliby temat. Wytykaliby to dziennikarze, konkurencja, inni youtuberzy. A przy okazji nie sądzę, żeby kanał Kruszwila był specjalnie dochodowy dla sieci partnerskiej. Nie było tam chyba zbyt wielu współprac, więc bardziej służył do podkreślania renomy firmy.

A tak w ogóle to Kruszwilowi samodzielna działalność może wyjść na lepsze. Sieć partnerska nie jest twórcom tego kanału do niczego potrzebna. Mają skalę, mają biznes. Prędzej czy później ten kanał się „ukulturalni" i zacznie być atrakcyjny komercyjnie dla sponsorów.

Na YouTube dużo jest rasizmu, homofobii, seksizmu – mniej lub bardziej ukrytych. Co może zrobić osoba, której to się nie podoba i chciałaby jakoś zareagować?

Nie wiem, ja grilluję takich typków w „Zapytaj Beczkę" (śmiech). Jest też w Polsce trochę takiej „memowej policji", spadkobierców Gargamela – na przykład Awięc. Ale wracając do Kruszwila: bardzo mnie rozbawił filmik, który nagrał po tym, jak usunął sobie kanał, bojąc się, że zaraz zrobiłby to YouTube.

Wcześniej Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych złożył zawiadomienie na policji w związku z tym filmikiem z łapaniem dziewczyn za pośladki. Kruszwil z kolegami mieli ewidentnie za złe tej instytucji, że to zrobiła. Przedstawiają ten ośrodek jako coś, co ma wielką moc sprawczą i chce im złośliwie zaszkodzić. Jako ludzi, którzy się na nich uwzięli: wymyślili jakieś przewinienie, a teraz sami wymierzają karę. A problem nie wziął się z ośrodka, tylko z zachowania Kruszwila i reszty. To, że ktoś cię podaje do sądu, nie sprawia z automatu, że sąd cię skazuje. Musisz dać mu do tego powody.

Naprawdę myślisz, że oni nie wiedzą, że gadali głupoty? Przecież stworzyli tę całą narrację pod swoich widzów. Napisali swoją wersję na kolanie, ale wystarczyło.

Zauważyłem, że w trakcie naszych rozmów dajesz bardzo duży kredyt zaufania różnym ludziom. I podkładasz w nich większą wiarę niż ja, bo częściej zakładasz, że ktoś obmyśla jakieś sprytne strategie, że celowo kreuje jakąś rzeczywistość. Ja chyba średnio wierzę w takie rzeczy.

Wydaje mi się, że jest dokładnie na odwrót – mam mniej wiary w ludzi, bo zakładam, że są cyniczni i manipulują innymi. Ty zakładasz, że są po prostu głupi. I nawet jak szkodzą, to nieświadomie.

No, może... A jeszcze á propos Kruszwila – mam ciekawą anegdotę. Nie wiem, czy wiesz, że Kruszwil dostał kiedyś zaproszenie do poprowadzenia „Zapytaj Beczkę". W bardzo wczesnej fazie swojej działalności – tej „prestiżowej", gdy zrobił dopiero kilka filmików. Podesłał mi je Mietczyński. Pomyślałem, że to fajne i świadomie zrobione. Łyknąłem ten jego ówczesny dry humor. A ponieważ szukałem młodych obiecujących youtuberów, którzy mogliby udźwignąć zastępstwo, odezwałem się do Marka.

Jak przysłał swoje nagranie, to nie wiedzieliśmy z Mietkiem, co mamy z nim zrobić. Było strasznie słabe i czułem, że jak to opublikuję, to zaszkodzę zarówno formatowi, jak i Kruszwilowi. Naprawdę nie chciałem, żeby jakiś początkujący twórca dostał wpierdol od kilkuset tysięcy widzów „Beczki". Raz już dopuściłem do takiej sytuacji z Ajgorem Ignacym, którego zastępstwo ludziom się nie spodobało, i on to podobno źle zniósł. Wcześniej przy zastępstwach po prostu oddawałem komuś piaskownicę. Ale w tamtym momencie uznałem, że muszę bardziej wejść w rolę kuratorską. Więc Mietek doczepił tego Kruszwila na końcu odcinka. I słusznie, bo okazało się, że miałem dobre przeczucie: widzowie odebrali ten segment niemal jednomyślnie negatywnie. Ale przez to, że wrzuciliśmy go na sam koniec, cały odcinek nie został jakoś drastycznie skrytykowany.

Czy obecność na YouTubie autorów takich jak Kruszwil opłaca się samemu YouTube'owi wizerunkowo?

YouTube małymi kroczkami zmienia politykę wobec poszczególnych rodzajów contentu. Na przykład polityka odpowiedzialności za content jest bardziej restrykcyjna niż kiedyś, mniej rzeczy można monetyzować. Były różne płacze, że jak to? Nawet na homofobii nie możemy już zarabiać? Ale pewnie ostatecznie dzięki temu wiele gówna nie poszło w eter, bo się to nie opłacało. Z drugiej strony, jeśli teraz nagrasz filmik namawiający do tolerancji, to być może go nie zmonetyzujesz, bo to też jest poruszanie „wrażliwych tematów" w stylu LGBT+. I YouTube nie będzie wnikał w twoje intencje, tylko wyłączy monetyzację tak na wszelki wypadek.

Miecz obosieczny.

To problematyczne, ale mnie to jakoś nie oburza. Ktoś, kto ma poczucie misji, może się godzić na pewne kompromisy. Jeśli nie możesz monetyzować

filmów o przekazie pro-LGBT+, ale w zamian dostajesz to, że ktoś inny nie może monetyzować homofobii, to ja bym ten deal wziął.

Krzysztof Gonciarz jest symetrystą?

Może w tym przypadku. Symetria ma taką zaletę, że jest jedna reguła dla wszystkich, tak prosta, że nie ma miejsca na dyskusje i zaognianie sytuacji. Dodam, że popieram to rozwiązanie, choć sam przez nie ucierpiałem. „Zapytaj Beczkę" jest niemal z automatu demonetyzowane przez YouTube'a i przez to moje zarobki na odcinkach są symboliczne bądź zerowe.

Ale ty możesz sobie pozwolić na to, żeby robić „Beczkę" dla zabawy. A wyobraźmy sobie np. kogoś, kto prowadzi zajebisty kanał dla osób LGBT+ i ich bliskich. Taki opisujący różne ich problemy, obalający mity, z przydatnymi poradami itd. I ta osoba nie może zarobić na tym, że daje ludziom wsparcie i wiedzę, choćby miała miliony widzów. Żeby się utrzymać, musi iść do jakiejś gównopracy i olać kanał. A przyznasz, że jej działalność była co najmniej równie wartościowa jak nagrywanie „Zapytaj Beczkę".

Ktoś by pewnie mógł powiedzieć, że wręcz bardziej.

Żarty na bok, takich przykładów jest więcej. YouTube demonetyzuje nawet filmy kompletnie niezwiązane z seksem ani jakąkolwiek ideologią – tylko za to, że w tytule pojawia się słowo „transgender". A więc osoba transseksualna nie może nawet powiedzieć, że jest transseksualna. To nie jest jakiś „wrażliwy temat", w związku z którym chciałaby uprawiać agitkę, to jest element jej tożsamości. Nie twierdzę, że YouTube jest rozmyślnie transfobiczny, ale efekt jest właśnie taki. Czy serio nie da się lepiej kontrolować treści? Jak platforma jest tak duża, to jedyną opcją jest podejście „zabijmy wszystkich, Bóg rozpozna swoich"?

Nie odkrywasz Ameryki, o tym się mówiło już dziesięć lat temu. A wtedy YouTube był nieporównywalnie mniejszy. Miliard wyświetleń „Gangnam Style" był wydarzeniem, a dzisiaj miliard wyświetleń zdarza się parę razy do roku. Ustalenie spójnej polityki granic wolności wypowiedzi na tę skalę nie jest łatwe. Nie radzą sobie z tym państwa, więc nie dziwi fakt, że i współczesne megakorporacje łamią na tym zęby. Tak, są w tym systemie ewidentne błędy. Jednocześnie bawi mnie w tym kontekście taka wymuszona wizerunkowa

progresywność YouTube'a, której szczytem jest coroczny YouTube Rewind. „Patrzcie na tę cudowną platformę, uśmiechniętych twórców, festiwal kreatywności, a w ogóle to nie zapomnijmy uhonorować samotnych matek".
PewDiePie cudownie przebija ten napompowany balon, jednocześnie grając z uprzywilejowanej pozycji osoby, która nie może „stracić pracy". YouTube, jako twór, jest niezdolny, by mu odpowiedzieć, bo jest związany – nie bójmy się użyć tu tego słowa – polityczną poprawnością, taką w wydaniu współczesnego Silicon Valley i Hollywood.
To jest ten świat, w którym ludzie przechodzą publiczny shaming i kończą kariery w konsekwencji dawno usuniętego twitta sprzed dziesięciu lat. W Polsce nie mamy tego klimatu – i całe szczęście. To jest najbardziej prawicowa rzecz, jaką powiem w tej książce, ale mam nadzieję, że fala linczującej hiperpoprawności politycznej do nas nie dojdzie. Zresztą chyba za daleko jesteśmy od tego kulturowo. Jeśli za takie „drobne" rzeczy ludzie w USA tracą pracę, to co by zrobiono z Ziemkiewiczem czy Cejrowskim? Chyba spalono by ich na stosie.

Nie wiem, czy „lincze" – jak je nazywasz – są szczególnym problemem za oceanem, skoro prezydentem Stanów Zjednoczonych został facet, który zbudował sobie kampanię wyborczą na obrażaniu ludzi na żywo i na Twitterze. A z drugiej strony – mamy w Polsce sytuacje, w których ludzie reagują w social mediach na coś, co im się nie podoba. Weźmy na przykład kryzys związany z napojem Tiger Energy Drink. Jak zrobili na Instagramie obraźliwy wpis na temat powstania warszawskiego, to reakcja tysięcy ludzi była tak silna, że firma momentalnie się pokajała.
To prawda, w Polsce też mamy „drażliwe" tematy, choć pewnie inne niż Amerykanie. W każdym razie mam nadzieję, że u nas nikomu nie zaszkodzi w karierze, że w gimnazjum zrobił głupiego mema o Janie Pawle II.

Wróćmy do YouTube'a. Może nie da się na nim precyzyjnie kontrolować treści? Może wyznaczenie sensownych granic wolności słowa jest niemożliwe? A więc czemu nie demonetyzować filmów, w których mówi się o jakichkolwiek problemach, poglądach i opiniach? Na YouTubie zostałyby teledyski, makijaże, kursy matematyki i pranki.
To też nie wydaje się dobrym pomysłem.

Dlaczego? To by była jeszcze sprawiedliwsza opcja niż restrykcje dla konkretnych tematów, np. LGBT+.
Ale to by znaczyło, że już całkiem wyrzucamy do śmieci koncepcję, że internet ma być jakąś bardziej wolną formą wyrazu niż starsze media. To by było przyznanie się do porażki. Może warto jeszcze walczyć.

SZTUKA SKŁADANIA PAPIERU TOALETOWEGO

Czym twoim zdaniem jest wiarygodność na YouTubie?

Często się nad tym zastanawiam. Bo ludzie odbierają mnie często jako szczerą osobę. Taką, która niczego nie udaje. Ale ta wersja mnie, którą pokazuję, to nie jest pełna prawda. Choć też nie kłamstwo – po prostu pomijam pewne aspekty swojego życia.

Dziś na Instagramie zobaczyłem bardzo ładne zdjęcie z jakiejś koreańskiej biblioteki. Wysokie regały z książkami, pomiędzy nimi na podłodze siedzi ładna dziewczyna w sukience. Przed nią stos rozsypanych książek, a ona trzyma jedną i czyta. Pomyślałem sobie: „Kto tak, kurwa, czyta?". Że siedzisz na podłodze w bibliotece, otoczony górą książek. I akurat jesteś w połowie jednej z nich. Bezsensowna sytuacja. Estetyczna, ale głupia. I ewidentnie zaaranżowana do zdjęcia. Dla mnie to jest nieautentyczne.

Sprawa dodatkowo się komplikuje, jeśli zagłębimy się w temat sponsoringu. Gdy musisz mówić to, co dyktuje brief od klienta lub agencji reklamowej. Ja takie tematy zawsze staram się ugryźć w sposób możliwie najbardziej autentyczny.

Mówisz wprost, że ci zapłacili.

Tak, ale nie do końca o to mi chodzi. Bo to właśnie jest łatwe. Łatwo jest oznaczyć materiał jako sponsorowany i powiedzieć: „Tak, to reklama". Ale mi chodzi o autentyczność w obrębie tej reklamy.

Jeśli chodzi o reklamowanie produktów, to youtuberom jest dużo łatwiej niż kiedyś znanym ludziom. Kiedy Beata Tyszkiewicz, jako pierwsza znana aktorka, wystąpiła na początku lat 90. w reklamie odkurzaczy, to posypały się na nią straszne gromy. Wtedy ludziom kultury nie wypadało występować w reklamach, to był obciach. Potem już trochę wypadało, ale tylko w reklamach samochodów czy perfum, odkurzacze to wciąż był obciach. Dziś już żadnego obciachu nie czują ani aktorzy, ani tym bardziej youtuberzy. Nie wiem, co byś musiał zareklamować, żeby twoi fani powiedzieli: „O Jezu, Krzysztof, weź spierdalaj".

E, akurat u mnie te standardy są dość wysokie. Wydaje mi się, że nie mogę zrobić wielu rzeczy, które wolno innym. Chyba przyzwyczaiłem ludzi do tego, że jestem trochę bardziej wybredny.

Rok temu miałem taką sytuację, że zapostowałem na Instagramie bardzo typowe zdjęcie reklamowe. Ja plus kilka produktów. I pojawiło się chyba z pięćset komentarzy w tonie „przyzwyczaiłeś nas do wyższych standardów, większej kreatywności" i tak dalej. I z jednej strony rozumiem, o co tym komentującym chodziło, ale z drugiej pomyślałem: „Dajcie żyć!" (śmiech). Przecież każdy inny profil, który śledzicie, puszcza takie rzeczy. Czemu tylko ja muszę być tym, który wymyśla koło za każdym razem, gdy próbuje coś zrobić?

Bo w oczach swoich fanów nie jesteś „każdym innym". Gdybyś był, to by nie byli twoimi fanami.

No właśnie. Ale sam widzisz, że istnieje też druga strona zaufania, którym ludzie cię darzą, i wysokich standardów, do których ich przyzwyczajasz. Tak wysokich, że ciężko je choć o centymetr obniżyć.

Gdzie jest twoja granica reklamowego obciachu? Powiedzmy, że odzywa się do ciebie firma produkująca papier toaletowy i proponuje ci tyle hajsu, że ciężko byłoby odmówić.

Jeśli dostałbym wolną rękę, to zrobiłbym film toczący bekę z tego, że reklamuję papier toaletowy za absurdalne pieniądze. I myślę, że zrobiłbym to na tyle zabawnie, że gratulowano by mi szczerości. Nie reklamowałbym papieru toaletowego w tonie „Sztuki składania historii".

(śmiech) Właśnie wyobraziłem sobie reklamę papieru toaletowego pt. „Krok pierwszy". A gdyby nie dali ci wolnej ręki i zaproponowali coś, co mogłoby ugodzić w markę „Krzysztof Gonciarz"? Straty wizerunkowe w zamian za zyski finansowe.

Ciężko mi to sobie tak teoretycznie wyobrazić. Zresztą prawie każda reklama, w której bierzesz udział jako osoba publiczna, niesie ze sobą pewne straty wizerunkowe. Za wyjątkiem rzadkich przypadków takiego superdopasowania, np. kiedy sparowałem się z Intelem. To była wielokrotnie nagradzana współpraca. Spodobała się i widzom, i klientowi, i wszyscy na tym zyskali. Ale inne akcje reklamowe to czysta kalkulacja. Używając bliskiej memu sercu metaforyki: to działa trochę jak pasek wytrzymałości w grach wideo. Każda reklama wyczerpuje postać youtubera. Z czasem ta postać trochę się regeneruje. Ale nie możesz przesadzić i zrobić zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. Bo masz ten taki regenerujący się pasek cierpliwości i tolerancji swoich widzów.

Ile reklam z rzędu przetrwałby twój pasek?

Prawdopodobnie dużo. Bo jednak budowałem moją markę latami. Zniszczenie jej do zera trwałoby dość długo. Zdarzało mi się publikować trzy czy cztery materiały sponsorowane w obrębie jednego tygodnia i były zazwyczaj na tyle zróżnicowane i atrakcyjne, że nikt tego nie krytykował.

Ale wiesz, na Zachodzie robi się na YouTubie product placementy, które w Polsce byłyby słusznie uważane za niezgodne ze sztuką. Anglojęzyczni youtuberzy często robią takie trzydziesto-, sześćdziesięcio-, dziewięćdziesięciosekundowe „przerwy reklamowe", w których mówią o jakiejś apce, serwisie, gierce na smartfony. Sam dostaję dużo takich ofert na maila, z międzynarodowych agencji.

Odmawiasz?

Polski YouTube jest na tyle rozwinięty i dojrzały, że takie rzeczy nie wchodzą w ogóle w grę. Można takie coś w ostateczności wrzucić na instastory, sam czasem robię takie kampanie dla Skillshare'a – bo to fajna platforma, i nie czuję, że wciskam użytkownikom jakiś shit. Ale jakbym miał w „Beczce" nagle zrobić sześćdziesiąt sekund reklamy jakiejś gierki mobilnej? To by było okropne samozaoranie.

Ale może dobre pieniądze?

Właśnie nie. Dobre pieniądze są w Polsce. Polski YouTube – w przeliczeniu na zasięg – ma bardzo dobre stawki. Mówię oczywiście o współpracach z agencjami i klientami, nie o AdSense, na którym ciężko u nas zarobić sensowne pieniądze. YouTuber z milionem subów, jak dobrze się kręci biznesowo, może za film sponsorowany wziąć trzydzieści, pięćdziesiąt, sto tysięcy, zależy to od wielu czynników. Ten sam youtuber odbiera na maila ofertę, że jakaś firma zapłaci mu tysiąc pięćset dolarów za dwuminutową wstawkę o grze mobilnej na początku filmu.

A może to jest właśnie kwota zbliżona do „rynkowej" wartości takiej kampanii?

Nie do końca. Działania w obrębie Polski rządzą się innymi prawami. Chodzi o buzz, wizerunek, budowanie pozytywnych skojarzeń. Takie kampanie z zagranicy to czysta – jak się to nazywa – „efektywnościówka". Nikt nie patrzy, czy wizerunek youtubera jest pozytywny, czy nie. Dwieście tysięcy wyświetleń u Rafonixa jest warte tyle samo, co dwieście tysięcy wyświetleń u Darwinów, jeśli tylko liczba przekierowań na link sponsorski będzie zbliżona. Ja nigdy nie robię reklam tego typu. U mnie chodzi o to, że ludzie kojarzą, że „Piątnica wzięła Gonciarza, żeby zrobił im film", a nie o to, żeby ludzie kupili twarożek, klikając link pod filmem.

GONCIARZ SIĘ SPRZEDAŁ

Jesteś majętną osobą, podróżujesz, prowadzisz ciekawe życie. Czy łapiesz się czasem na tym, że tak bardzo przyzwyczaiłeś się do swoich przywilejów, że o nich zapominasz? I na przykład łapiesz się na byciu dupkiem.

Twoje pytanie skojarzyło mi się z Robem Grynem, przedsiębiorcą,który osiągnął olbrzymi sukces w bardzo młodym wieku. Jest takie efektowne zdanie, którym media go opisują: „najmłodszy wśród najbogatszych Polaków". Na marginesie: typ kiedyś skrytykował mnie za „nieprawidłowe" przebiegnięcie maratonu na diecie ketogenicznej, irytując się, że „ludzie wierzą w to, co im mówi ten cygan Gonciarz" (śmiech).

„Cygan Gonciarz" to znakomity tytuł tej książki!

Albo wrzućmy to na tył okładki, jako cytat z Roba Gryna: „Że też ludzie wierzą w to, co im mówi ten cygan Gonciarz" (śmiech). Ale do rzeczy: koleś romansuje trochę z YouTube'em i próbuje być takim internetowym coachem i mentorem, nagrywa życiowe porady.

Pamiętam taki film, w którym Gryn jedzie sobie wyciągiem w górach w Kalifornii. W poniedziałek rano. Cały jego wywód jest na temat tego, jak ważna w życiu jest niezależność. Iże gdyby on miał wybierać pomiędzy pieniędzmi a wolnością, to wybrałby tę drugą. I że on sobie teraz jedzie na narty, i w ogóle może spędzać czas jak chce, i w ogóle nie wyobraża sobie pracy dla nikogo, kto ograniczałby go czasowo, bo czułby się uwiązany. Więc jeśli ktoś marzy o takiej samej wolności, żeby sobie spontanicznie pojeździć na nartach w poniedziałek, to niech sobie ją po prostu weźmie. I teraz plot twist: to jest typ, dla którego pracowało wtedy sporo osób (śmiech).

(śmiech) W tym momencie powinien gorąco pozdrowić swoich pracowników.

Staram się być bardzo wrażliwy na takie tematy, ale raz na jakiś czas sam potrafię wdepnąć na minę. I ludzie sprowadzają mnie na ziemię. Na przykład, gdy mówię coś w rodzaju: „Och, lubię sobie wyjechać do innego miasta, na przykład Nowego Jorku, nie mieć planu i tak po prostu romantycznie się zgubić, łazić bez celu".

I ktoś mi na to kiedyś odpowiedział: „Kurwa, Krzysztof, ty masz taką możliwość, bo sobie tam za pół roku pojedziesz znowu. A wyobraź sobie, że taka wycieczka jest dla ciebie astronomicznym kosztem i prawdopodobnie będziesz tam tylko raz w życiu. W takiej sytuacji nie masz czasu na to, żeby się romantycznie gubić, tylko chcesz zaliczyć tak dużo atrakcji, jak tylko możesz".

No i tu muszę przyznać rację. Czasem zapominam, w jakim miejscu jestem. W branży jestem znany z tego, że moje stawki są raczej wyższe niż niższe. I czasem łapię się na tym, że gardzę pieniędzmi typu piętnaście tysięcy złotych za pracę, która zajmie nam pół dnia. Wtedy odzywa się we mnie ten głos, który mówi, że kurwa, są ludzie którzy rok pracują na takie kwoty, a ja wybrzydzam. Czytając te słowa, pewnie sporo osób uzna, że trzeba brać każdy taki deal, bo odrzucanie go byłoby aroganckie.

Ale wybrzydzanie to nie jakaś fanaberia, to kwestie wizerunkowe, niechęć do rozmieniania się na drobne. Żeby nie robić co dwa dni innej reklamy. I żeby ludzie znowu nie pisali: „sprzedałeś się", „reklamujesz wszystko" albo – mój ulubiony tekst, który od czasu do czasu jest rzucany kompletnie poważnie – „czym różnisz się od prostytutki, skoro bierzesz pieniądze za usługi?".

Jak każda pracująca osoba na świecie.

No więc ja nie chcę „się sprzedać" nawet nie po to, żeby ludzie nie gadali. Po prostu chcę robić fajne rzeczy na własnych warunkach, skoro już mam taką możliwość. Wiem, że to rozsądne podejście, jednak cały czas nie daje mi spokoju myśl, że odrzucanie takich średnio ciekawych, ale łatwych rzeczy jest nieskromne. A potem wchodzi mój overthinking i wizualizuję sobie siebie samego budzącego się na śmietniku z myślą: „Trzeba było brać te piętnaście tysięcy".

(śmiech) „Ta reklama szczotek do sedesu z 2019, to jednak mogło się udać".

Dokładnie (śmiech). Ostatnio przyjmowałem zdecydowanie więcej takich

zleceń i przeliczałem pieniądze na różne nietypowe akcje, które mogę zorganizować. Że okej, zrobię jakąś współpracę komercyjną, kilku ludzi mnie wyśmieje – ale z drugiej strony, jak dostanę za to piętnaście koła, to sfinansuje mi to jakiś własny projekt.

Tak wygląda struktura mojej działalności komercyjnej. Z jednej strony mam tego YouTube'a i akcje promocyjne, a z drugiej studio produkcyjne. I to są dwa zupełnie różne światy, jeśli chodzi o kwestie finansowe.

Branża produkcji zasadza na szczegółowych budżetach. Musisz się najpierw zastanowić, czego potrzebujesz, ile czasu ci to zajmie, rozpisać, ile wynosi dniówka operatora, dniówka zdjęciowca, dniówka oświetleniowca i tak dalej. Zbierasz to do kupy, doliczasz 30% marży – i to jest budżet filmu.

A w przypadku działalności na YouTubie? Patrzę na brief i wyciągam jakąś cenę z dupy: pfff, okej, pięćdziesiąt tysięcy. I klient się na to godzi lub nie.

Ja słyszałem od branżuni, że twoje „ceny z dupy" nie schodzą poniżej trzydziestu tysięcy.

Z reguły nie. Przynajmniej tak się chcemy pozycjonować. Te trzydzieści tysięcy to oficjalna wersja (śmiech).

To nie są japońskie ceny?

Nie, są dostosowane do polskiego rynku. Zresztą, to nie ja je wymyśliłem, ceny ustala rynek, a w Polsce jest odpowiednio dużo firm, które są skłonne tyle zapłacić.

Jak rozmawiam z ludźmi z branży reklamowej, to często słyszę, że tym influencerom się w dupach poprzewracało. Że biorą tysiące złotych za parę snapów i że ta bańka zaraz pęknie.

Czasem, jak słyszę te anegdoty o tym, że influencer wziął sto tysięcy za jakiś drobiazg, to mam takie poczucie, że ja pierdolę, przecież ja ten swój biznes źle prowadzę. Czy ja odpowiednio dużo zarabiam, czy jestem jakimś frajerem? Bo wiesz, z jednej strony mnie się utożsamia z wysokimi cenami, po branży podobno chodzą żarciki, że ktoś wziął „tyle pieniędzy, co Gonciarz", ale potem wchodzę na Instagrama i widzę sportowe auto kolegi po fachu. Sporo ludzi uważa, że Gonciarz ma bardzo dużo kasy. Ja lubię o tym żartować, mówiąc, że jasne, popatrzcie tylko na jego chatę i furę.

Ten żart może być niejasny dla niektórych.

Mój pokój w Tokio ma jakieś sześć metrów kwadratowych, w Warszawie wynajmuję kawalerkę trzydzieści metrów kwadratowych. Samochodu nie mam.

No wiesz, niejeden czytelnik pomyśli teraz: „Zajebiście, to i tak daleko poza moim zasięgiem". Wracając: wyniki kampanii na YouTube bywają niemożliwe do zmierzenia. Myślisz, że to kiedyś pieprznie? Że marki ogarną się i powiedzą: „Po co my mamy płacić fury hajsu jakimś dzieciakom, skoro nawet nie wiemy, co z tego mamy?".

Wiesz, różne formy reklamy są mniej lub bardziej mierzalne. Jak postawisz billboard w centrum Warszawy, to nie zmierzysz precyzyjnie, jaki miał on wpływ na sprzedaż czy na wizerunek marki. Możesz tylko z grubsza oszacować, jaki tam jest ruch i ile osób mogło zobaczyć twój billboard. W internecie mamy przynajmniej Google Analytics i informacje na temat grupy śledzącej danego influencera – w jakim wieku są jego fani, skąd pochodzą, czy więcej jest kobiet, czy mężczyzn i tak dalej.

Gdyby influencer marketing miał pierdolnąć, to już dawno pierdolnęłaby większość małych stacji telewizyjnych. Reklama telewizyjna to astronomiczne budżety w porównaniu z YouTube'em. W tym momencie ta różnica jest według mnie nieproporcjonalna do faktycznego wpływu na rzeczywistość.

Zresztą „stawki z dupy" to nie jedyny model rozliczania się z influencerami. Jest też na przykład taki: youtuber robi film sponsorowany, pod filmem jest link do sklepu, gdzie można kupić produkt, autor filmu dostaje prowizję od każdego zakupu. To wydaje się bardziej fair, bo pieniądze dostaje się za bardzo konkretny, łatwy do zmierzenia efekt.

Ale ja nie jestem fanem takich rozwiązań, sam chyba nigdy tak nie robiłem. Wolę informować widzów, że jakaś usługa istnieje, niż namawiać ich do zakupu. W ogóle unikam komunikatów „musisz to kupić!", specjalizuję się w budowaniu pozytywnych skojarzeń. Dużym sukcesem była nasza kampania dla Piątnicy, w której reklamowaliśmy jogurty Skyr. Zrobiliśmy bardzo ładny, pozytywny i ładujący pozytywną energią film w cudownych krajobrazach Podlasia, a produkt tylko się przez niego delikatnie przewinął.

A przy okazji nie namawiam ludzi do produktów, w które sam nie wierzę. Nie robię przypadkowych reklam. Staram się, żeby były autentyczne i trochę niedopowiedziane, co polska branża od jakiegoś czasu kuma. Długo były takie

tendencje, zarówno w blogosferze, jak i na YouTube, żeby wpychać ludziom rzeczy do gardeł.

A można to robić subtelniej – mówię tu na przykład o mojej kampanii dla firmy Żywiec Zdrój. Nie rozpływałem się nad tym, jaka ta woda jest pyszna, tylko opowiedziałem o recyklingu plastikowych butelek. Taki film jest osadzeniem marki w jakimś kontekście, a nie laurką, która ją wychwala. I nie jest też nudny czy bezwartościowy dla widzów ani niespójny z innymi rzeczami na kanale. Wychodzisz od własnego, unikatowego formatu, i próbujesz dojść do produktu.

Pod względem komercyjnym najśmieszniejszym programem, jaki stworzyłem, jest „Mądrość tłumów", w którym od czasu do czasu robimy odcinki sponsorowane. Ten program jest niesamowicie pojemny na produkty.

Na przykład: promujemy wojenną grę wideo. Robię odcinek „Czego nie mówią żołnierze". Wchodzi idealnie, jest łatwe i szybkie w produkcji, śmieszy publiczność, a luźny format powoduje że nie jestem raczej wizerunkowo rozliczany z tego, że coś tam reklamuję. Reklamy są przy tym czasem tak ironiczne, że spokojnie wziąłbym tam produkty, których nie zaakceptowałbym nigdzie indziej. Myślę, że w „Mądrości tłumów" mógłbym zrobić śmieszną i skuteczną reklamę papieru toaletowego, która zostałaby pozytywnie odebrana przez społeczność widzów.

Krzysztof, do rzeczy. Unikasz odpowiedzi na pytanie, czy to wszystko w końcu pierdolnie.

Nie wiem. Jeśli widzę jakieś zagrożenie dla siebie, to są to tzw. mikroinfluencerzy, którzy zgadzają się na dużo niższe stawki. Być może firmom będzie się bardziej opłacało zrobić kampanię z tysiącem takich osób, zamiast z jednym Gonciarzem. To jest coś, co może realnie zmienić układ rynkowy, chociaż na razie się raczej na to nie zanosi.

Michał Szafrański mówi, że tak długo, jak masz faktyczny wpływ na ludzi i ich zaufanie, tak długo jesteś coś wart i możesz przekuć to w zysk zarówno jako – mówiąc brutalnie – powierzchnia reklamowa, jak i zarabiając na swoich własnych produktach. Na przykład takich, jak ten wywiad-rzeka. Ileś osób w Polsce i na świecie interesuje się mną, więc prawdopodobnie ileś osób kupi tę książkę.

Szafrański mówi też, i ja się z tym zgadzam, że prawdziwe rozbicie banku dla influencera to własny hit sprzedażowy. W ten sposób zarabiasz miliony i budujesz buldożer, który będzie jechał latami, a nie robiąc dziesięć kampanii reklamowych w roku. Bo to drugie jest nieprzewidywalne, poza twoją kontrolą i, na pewnym poziomie nie różni się wiele od pracy dla jakiegoś korpo.

Pamiętasz jakąś najsłabszą kampanię influencerską w Polsce? Taką, która do dziś wspominana jest jako taki antyprzykład.

Koszulki marki Naeba (śmiech). No i był kiedyś taki koleś o ksywie kolorowyvlog. Kręcił takie ziomeczkowe rozkminki, miał fajne flow i narzekał na „polską rzeczywistość". I nagrał reklamę jakiejś aplikacji na smartfony, taki pięciominutowy filmik, w którym opowiadał o zaletach tej aplikacji. Już tego nie powinno się robić – film promocyjny, w którym po prostu wymieniasz cechy produktu. Ale dodatkowo mówił to takim tonem, że było ewidentne, że się do tego zmusza. Nie podołał warsztatowo. Nie zrobił nic, żeby ludzie mu uwierzyli, tylko był trochę jak prezenter z telezakupów Mango. Jego publiczność zareagowała na to bardzo agresywnie, a dla nas to był case do pokazywania klientom podczas prezentacji „Jak NIE robić rzeczy". Bo najlepiej uczyć się na czyichś błędach, nie?

Ale moim zdaniem polska branża youtube'owa popełniła stosunkowo niewiele błędów. I chciałbym myśleć, że miałem w to jakiś swój wkład, bo czuję, że byłem jedną z pierwszych osób w Polsce, które zaczęły o YouTubie myśleć w kategoriach komercyjnych. Zależało mi na tym, żeby tę swoją wiedzę udostępniać innym, dbać o solidarność cenową i wizerunkową. Mówimy tu o czasach, gdy osób, które mogły zarabiać na YouTube, było kilkanaście, więc wszyscy się kojarzyli. Każdy odcinek „Zapytaj Beczkę" miał po trzysta, czterysta tysięcy wyświetleń, a zarobki były z tego żadne. Za to finansowo świetnie radziła sobie ówczesna blogosfera – Kominek, Segritta, Fashionelka. To byli ludzie, których utożsamiałem z internetowym sukcesem. Oni robili coś dobrze i ja się tego czegoś chciałem nauczyć. Chciałem zostać „Kominkiem YouTube'a".

Zależało mi, żeby poznać Kominka osobiście i bardzo chciałem przejąć jego sposób myślenia o działalności internetowej. Udało mi się w końcu do niego dotrzeć i od czasu do czasu umawialiśmy się na jakiś obiad w Warszawie. On miał wtedy taki skurwysyńsko-bucowaty image. Był na przykład zna-

ny z tego, że mówił ludziom wprost niemiłe rzeczy. Ale zarazem też bardzo wierzył w branżową solidarność i był lojalny wobec twórców internetowych. Rzeczywistość widział trochę jako walkę między „nami" a „tamtymi". My, czyli twórcy internetowi, kontra tamci – klienci i agencje, którym trzeba się stawiać. Bo oni nie wiedzą, jak to się robi, a my mamy nosa.

Myślę, że moja relacja z nim dała mi dużo asertywności w stosunkach z klientami. Nauczyłem się od niego, żeby nie pozwalać wchodzić sobie na głowę i wychodzić z założenia, że to jest moja przestrzeń i ja umiem się w niej dobrze poruszać. Chciałem to przekazać dalej. Bo to były takie czasy, że twórcy internetowi robili akcje promocyjne za dwa tysiące złotych, zapewniając firmom zasięgi rzędu miliona użytkowników. Młodzi twórcy zakładali, że ludzie z agencji naradzają się w swoich poważnych salkach konferencyjnych, używają fachowej grypserki, więc wiedzą, co robią. Tymczasem i jedna, i druga strona blefowała, ucząc się influencer marketingu na żywym organizmie. Poznałem wtedy JJay Jokera, CTSG czy czołowych twórców minecraftowych. Oni wtedy wykręcali kosmiczne zasięgi i zarabiali niezłe pieniądze z samego AdSens'a – coś między pięcioma a dziesięcioma tysiącami złotych miesięcznie. Co jak na tamte czasy było imponujące. To była kwota, przy której można było mówić że już im odjebuje od hajsu (śmiech). Ale zarazem oni sami nie wierzyli w swój potencjał komercyjny. Nie kumali, jaką wartość może mieć to, że każdy ich film ogląda trzysta tysięcy osób.

Czułem, że gdzieś tam kryją się pieniądze, po które trzeba sięgnąć. Ale żeby to się udało, to wszyscy twórcy muszą zdać sobie z tego sprawę i mówić twardo: dwadzieścia tysięcy, a nie dwa. I to się w końcu udało, chociaż nie bez problemów.

Jak to?

Pamiętam taką kampanię, w ramach której agencja prowadziła negocjacje ze mną, Radkiem Kotarskim, Rockiem i Rojo. Naradzaliśmy się we czwórkę na Facebooku i bardzo wszystkim doradzałem, żeby każdy solidarnie powiedział, że chce minimum dziesięć tysięcy złotych. Nie wszyscy byli do tego przekonani, ale bardzo mocno ich ciągnąłem w tę stronę. I co? I gówno, agencja zdecydowała się zaangażować wszystkich oprócz mnie (śmiech). Nie miałem do nich rzecz jasna żadnej urazy, ale to był taki typowy „fuck-my-life-

-moment". Ja tu się starałem, żebyśmy wszyscy zarobili więcej, po czym jako jedyny nie zarobiłem nic.

Niemniej byłem chyba jednym z pierwszych polskich youtuberów, który zrozumiał wartość YouTube'a w czasach, gdy się o tym w ogóle nie mówiło. Czuję, że gdzieś tam dołożyłem cegiełkę do tego, jak dziś wygląda rynek.

Teraz będziesz miał to wydrukowane w książce, czarno na białym.

Tak. A jak w książce, to musi być prawda.

A gdzie dziś są te wszystkie Kominki, Fashionelki czy Segritty?

Fashionelka robi chyba wciąż mniej więcej to samo, co robiła. Kominek poszedł chyba głównie w szkolenia on-line'owe. Segritta dalej funkcjonuje jako influencerka, ale mniej się w to angażuje. Ma swoje życie i blogosfera przestała być dla niej ważna. Szczyt popularności blogów miał miejsce około 2013 roku. Było w tym dużo hajpu i trochę gwiazdorzenia, bo o blogosferze pisały wtedy czasopisma lifestyle'owe.

Ja się do tego środowiska trochę podczepiłem. Było kilka takich kampanii, na przykład Somersby, ze mną i blogerami. Albo Orange Travel – to był pierwszy raz, kiedy moja twarz trafiła na jakiś billboard. Przy czym nie używało się jeszcze powszechnie słowa „influencer". Więc funkcjonowaliśmy jako „blogerzy i youtuberzy": Fashionelka, Kominek, Segritta, Rock i ja. Swoją drogą w tamtym okresie poznałem Ilonę Patro, która ogarniała wówczas pierwsze polskie deale z blogerami i YouTuberami dla agencji interaktywnej Heureka. Skumaliśmy się i pracujemy ze sobą do dziś – obecnie jest współwłaścicielką polskiego Tofu Media. Z nikim nie pracowałem tak długo jak z nią, a mało ludzi o tym wie, bo Ilona zwykle pozostaje w cieniu. A była w tej grze od samej prehistorii. Kiedyś nazywano ją pieszczotliwie „matką polskich blogerów".

Ale wróćmy do tematu. To ciekawe, patrząc z dzisiejszej perspektywy, że, dla zwiększenia swojego biznesowego potencjału jako youtuber musiałem kiedyś udawać blogera. Przecież ja nawet specjalnie postawiłem sobie stronkę! Zrobiłem bloga pod adresem krzysztofgonciarz.com i czasem coś tam pisałem. Samo przekierowanie ruchu z YouTube'a czyniło ze mnie jednego z najpoczytniejszych blogerów w Polsce, a to było tylko biznesowe nagięcie rzeczywistości. Była kasa na blogi, nie było na działania na YouTube. Więc trzeba było się tymczasowo przefarbować.

Dlaczego nie było kasy na YouTubie?

Pokutowało myślenie, że to platforma dla dzieci, bez przełożenia na sprzedaż. Wyrzucanie pieniędzy w błoto. Branża musiała dojrzeć, oswoić się z nowym stanem rzeczy. Ale i YouTube musiał dorosnąć. Przecież w tamtych czasach bardzo mało było tam „dorosłych" treści.

Dlaczego ta „złota era blogerów" w końcu się skończyła?

Zaczęto używać słowa „influencer". To była kategoria, w której mieściliśmy się wszyscy – blogerzy, youtuberzy, instagramerzy. Zaczęto nas oceniać na podstawie zasięgów. I okazało się, że zasięg twórców wideo jest znacznie wyższy.

Ale to nie jest tak, że blogosfera padła. Jest na przykład Michał Szafrański, który osiągnął spektakularny sukces jako bloger i influencer. Nagrywa podcasty na YouTube'a, ale sukces jego przekazu nie zależy od platformy. On po prostu zdecydował, że będzie dawał porady finansowe, jest w tym szczery i konkretny, a ludzie mu ufają i cenią jego content.

Taka forma prowadzenia bloga, że masz w adresie swoje nazwisko-kropka-peel i publikujesz tam jakieś lifestyle'owe rzeczy, mocno się zestarzała. A niektórzy blogerzy przenieśli się na inne platformy. Taka Jessica Mercedes była jednak kiedyś klasyfikowana jako blogerka. Okej, może i na jakimś etapie swojej działalności miała bloga, ale dziś kojarzy się ją przede wszystkim jako instagramerkę albo influencerkę trochę „lewitującą" ponad wszystkimi platformami. Zmienił się paradygmat. Niegdysiejsi blogerzy są dziś kimś kompletnie innym.

A przy okazji okazało się, że jednak warto pokazać w internecie twarz. Kominek przed długi czas funkcjonował jedynie jako ksywka. Nikt nie wiedział, kim jest i jak wygląda.

Ciekawe jest to, że są tacy ludzie, którzy potrafią się świetnie sprzedać na piśmie, ale jak staną przed kamerą, to po sekundzie wiesz, że coś tu nie gra. I na odwrót: dajesz youtuberowi tekst do napisania i po pierwszym zdaniu łapiesz się za głowę. Jedno i drugie to chyba kwestia praktyki. Ale faktycznie wielu polskich blogerów trochę się odbiło od tego, że w pewnym momencie zaczęto oczekiwać od influencerów, że będą bardziej namacalni.

Wiele było takich prób. Gdy słyszę, że znany bloger albo znana blogerka odpala kanał youtube'owy, to podskórnie czuję, że to może być coś słabego. Tak samo jak wtedy, gdy osoba znana głównie ze zdjęć nagle zaczyna mówić do kamery. Wprowadzenie funkcji Stories do Instagrama było trochę rewolucją. Nagle osoby publikujące dotąd same zdjęcia zaczęły relacjonować swoje życie w tym nowym formacie. Ci, którzy byli w tym dobrzy, weszli wtedy na inny poziom popularności.

Kominek próbował być na YouTubie. Robił jakieś wywiady, pogadał z Lepperem i Korwinem. I przestał (śmiech).

Tak, było coś takiego. Ja się cieszę z tego, że kiedyś nabrałem wprawy w pisaniu i dziś się tego nie boję. A zarazem gadania do kamery nauczyłem się przez praktykę, więc czuję się bezpieczny w tym ekosystemie mediów internetowych.

Jeszcze á propos słabych kampanii, kojarzysz taki kanał „Sprytne Babki"?

To damska wersja „5 Sposobów na...".

Kiedyś Gargamel zauważył ich kampanię dla Castoramy. Opisywały tam pomysły na ozdoby świąteczne. I jedna z dziewczyn wzięła pustak wentylacyjny, pomalowała go na biało, przewiązała wstążką i postawiła przed domem. Piękny sposób na ozdobę świąteczną.

(śmiech) Ja w ogóle uważam, że natura tego typu lifehacków jest dość zabawna. Sposoby na robienie absolutnie bezużytecznych rzeczy. Wiesz, że można wino butem otworzyć?

Jak?

Nie wiem, nigdy mi się nie udało.

KARTA „NA CZASIE"

Czemu kanał Kruszwila odniół tak spektakularny sukces? Okej, na początku koleś miał świetny pomysł. Ale to nie było tak, że wypuścił jeden hit i przepadł. Widzowie z nim zostali.

Nie wiem, ciężko stwierdzić. Najwidoczniej Kruszwil z kolegami wypełnili jakąś przestrzeń, w której nic nie było. Tylko trudno powiedzieć, co to za przestrzeń. Jak już mówiłem, jego pierwsze filmiki mi się podobały, to wydawało się świeże i bystre. Ale jak widzę te późniejsze rzeczy, to kompletnie nie rozumiem, dlaczego ludzie to oglądają.

Może jesteś za stary?

Pewnie tak. Wydaje mi się, że to było do pewnego stopnia randomowe. Równie dobrze to mogłoby być coś innego, no ale YouTube tak trochę działa, że jak się złapie wysoką falę, to można na niej bardzo daleko popłynąć. A jak już znajdziesz się odpowiednio daleko, to jesteś trochę „too big to fail".

Kruszwil oczywiście w pewnym momencie sam usunął ten wielki kanał, niby wyprzedzając ruch YouTube'a – to przynajmniej jego oficjalne wyjaśnienie. Ale tak naprawdę mu to nie zaszkodziło, szybko odbudował zasięgi.

Marka „Kruszwil" to ciekawie zbudowane imperium zasięgowe. Jeśli odłożyć na bok oceny tego, co oni w tych filmach robią, to trzeba przyznać, że wprowadzanie kolejnych postaci, budowanie im historii i zakładanie osobnych kanałów jest bardzo sprytne i inteligentnie przeprowadzane.

Ciekawe jest to, że YouTube stał się taki duży, że już istnieją w nim osobne światy. Na przykład jeden, który nie wie, kim jest Kruszwil i drugi, który nie ma pojęcia, co to za jeden ten cały Gonciarz. Zdarzyło mi się rozmawiać z moimi widzami, którzy po usłyszeniu ksywy „Kruszwil" pytali: „O, a kto to?

Nie znam". Myślałem wtedy: „Poważnie? Korzystasz z YouTube'a i nawet nie mignęło ci to przed oczami?". Okazuje się, że świat YouTube'a jest już w Polsce tak duży, że nawet tak ogromne zjawiska mogą cię ominąć.

Myślisz, że to możliwe, że gdy Kruszwil znudzi się widzom lub jego audytorium podrośnie, to zrobi „manewr Gimpera", czyli usiądzie na tle czarnej płachty i powie: „Od teraz jestem poważnym człowiekiem i robię poważne treści."?

Jak już mówiłem, internet nie pamięta i nie wypomina przeszłości – wbrew temu, co myśli jakiś tam Wykop. Bo to, że sto osób na Wykopie podbije jakiś twój cytat z Facebooka sprzed pięciu lat, nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest to, jak łatwo oderwać się od przeszłości w internecie. Więc Kruszwil może zrobić dokładnie to samo, co Gimper i też może mu się to udać.

Zresztą przywołajmy przykład o większej skali, czyli Logana Paula. Dla tych, co nie pamiętają: to bardzo znany amerykański youtuber, który pod koniec 2017 roku nagrał film z Aokigahary, czyli japońskiego lasu samobójców, gdzie biegał w śmiesznej czapce i robił zbliżenia na prawdziwe zwłoki. On w tym momencie bardzo się ukulturalnił, robi tylko rzeczy przewidywalne i grzeczne. Nagrywa jakieś podcasty, zmierza w stronę show-biznesu. Ze swojego błędu i odkupienia ułożył wzruszającą narrację, którą monetyzuje. Miał kryzys, ale szybko się od tego odciął. I robiąc rzeczy mniej kontrowersyjne, wciąż korzysta z zasięgu, który zbudował sobie, gdy jechał po bandzie.

Więc wracając do Kruszwila – nie dość, że stoją przed nim możliwości, o których rozmawiamy, to myślę, że to ugrzecznianie już się dzieje. Przecież jest postać Kamerzysty, który wydał płytę rapową. I nie ma w tym żadnejkontrowersji, to po prostu muzyka. Wykorzystał zbudowaną przez siebie pozycję, żeby zrobić coś standardowego i show-biznesowego.

A może to jest tak, że źle postrzegamy instytucje youtube'owych kryzysów? Weźmy tego Logana Paula. Mogło rzeczywiście wydarzyć się to, co wydaje się na pierwszy rzut oka: gość zrobił głupotę, fani go opuścili. Potem przeprosił, oni wybaczyli, wrócili i wszystko było okej. Ale może było tak, że ci fani nawet na moment się od niego nie odwrócili? Może wszystkie łapki w dół i negatywne komentarze były od przypadkowych ludzi z zewnątrz, którzy usłyszeli, że jakiś youtuber zrobił coś złego, więc wpadli go zbluzgać? Może Logan nawet nie musiał się korzyć, żeby wyświetlenia mu nie spadły, bo wierna publiczność i tak by była przy nim?

Tak, mogło tak być. Ale to ukorzenie się mogło mu się jednak przydać. Nie do tego, żeby nie stracić fanów, tylko żeby zyskać nowych. Kasia kiedyś zwróciła uwagę na to, że amerykańska popkultura uwielbia historie odkupienia. Justin Bieber miał taki okres, że odwalał wszystko, co się dało: chlał, ćpał, wdawał się w bójki, przyłapywano go z prostytutkami, nawet jeździł w jakichś w nielegalnych wyścigach, do tego po pijaku. I wisienka na torcie: dostał dwa lata w zawieszeniu, bo pokłócił się z sąsiadem i rzucał w jego dom jajkami. Apotem wrócił na właściwą ścieżkę, związał się z porządną dziewczyną, ustatkował, niedawno wzięli ślub. Teraz znów wszyscy go kochają. To prosta, ale potężna narracja: ktoś zbłądził i przeprosił, udał się na banicję i wrócił.

Ale generalnie nie chcę zakładać, że ludzie wywołują kryzysy celowo. Bycie w centrum czegoś takiego jest na tyle nieprzyjemne, że trudno mi uwierzyć, że ktoś to robi na własne życzenie.

Słyszałeś o tych sierpniowych badaniach, z których wynikało, że amerykańskie dzieci chciałyby zostać youtuberami?

Tak. Duży ból dupy był o to, że więcej dzieci chciało zostać youtuberem niż astronautą.

Z czego to wynika? Wydaje im się, że bycie youtuberem jest łatwe i przyjemne?

To jest styl życia, którego istotą jest, żeby tworzyć takie poczucie. Na tym polegają media społecznościowe, że wysyłasz w świat komunikat: mam fajne życie, zazdrość lub żyj jak ja. I na dzieciaki to działa, zresztą nie tylko na dzieciaki. Nie oceniając, czy to dobrze, czy źle – tak po prostu jest. Influencer to zawód, którego celem jest sprzedawanie idei, że jest to fajny zawód.

Może zaraz wytworzy się nowy podgatunek YouTube'a: ludzie, którzy twierdzą, że jest chujowo i sobie z niczym nie radzą.

Internet chyba nie jest jeszcze gotowy na szerokie spektrum emocji. A emocje to bardzo potężne narzędzie. Ilekroć sam próbuję operować smutkiem w swoich filmach, to ten przekaz wychodzi tak potężnie, że muszę go przycinać, kontrolować, bo jest zbyt dołujący. Kiedyś nagrałem vloga, który miał być pokazywany w ramach wystawy w MOCAK-u. Mówiłem tam o smutku. Jak obejrzałem zmontowany epizod, to postanowiłem go nie publikować. Bo to było zbyt hardcore'owe. Sprawiałem wrażenie, jakby było ze mną bardzo źle. Że ludzie powinni do mnie podchodzić i pytać, czy wszystko okej.

Tak cynicznie patrząc na liczby – film „Dziura w mojej głowie", w którym opowiadasz o słabym samopoczuciu i bloku twórczym, miał dość przeciętną oglądalność.

Dziwnie się mówi o takich filmach przez pryzmat oglądalności. „Historia Kasi i Krzysia" zdecydowania wygrała z „Dziurą w mojej głowie". Numer 1 w karcie „Na czasie", dobra robota.

„Dziura w mojej głowie" – jeśli chodzi o oglądalność to, jasne, ledwie dwieście dwadzieścia tysięcy. Ale jeśli chodzi o dotarcie emocjonalnie do ludzi, to było to bardzo intensywne.

W tamtym filmie płakałeś. Kiedy odkryłeś, że płacz może sprzedać film?

Nie myślę o tym w tych kategoriach.

Nie twierdzę, że myślisz. Ale kiedyś nie płakałeś wcale. Ostatnio zdarzyło ci się to dwukrotnie. Na stówę musiałeś zauważyć, że to w jakiś sposób działa. Nawet, jeśli nie robisz tego z wyrachowania.

No to zaznaczam: nie robię tego z wyrachowania. Ale to jest taki miecz trochę obosieczny. Z jednej strony masz tę szczerość, chcesz pokazać emocje. A z drugiej: otwierasz bardzo dużo takich emocjonalnych przegródek w ludziach, które niekoniecznie są tym, o co ci chodzi. Bardzo mocno to działa na ludzi, ale też wywołuje skrajne reakcje. Np. w moim filmie o związku z Kasią się popłakałem i było trochę komentarzy typu: „Kasia widocznie potrzebuje prawdziwego mężczyzny, a nie jakiejś pizdeczki, co się rozkleiła na filmie".

Dokładnie to samo wtedy pomyślałem.

(śmiech) Domyślam się. Więc to jest coś, czego nie traktuję lekko. Zdarzyło mi się upublicznić płacz trzykrotnie, bardzo świadomie. Raz wkleiłem na instastory zapłakane zdjęcie, bo byłem strasznie zestresowany, znajdowałem się w bardzo mrocznym miejscu. Ale dodało mi to sił, jak się podzieliłem z ludźmi. Pomyślałem potem: „Czemu ludzie tak nie robią?". Czemu ten przekaz zawsze musi być w stylu: „siemanko, fajnie, ale mam pyszny obiadek i super życko".

Poczułem ulgę i satysfakcję ze zrobienia czegoś szczerego. Zakomunikowania, że „wbrew temu, co myślicie, moje życie to nie są same uśmiechy i sukcesy". Drugi raz to był film z dziurą w głowie, a trzeci raz film z Kasią. Nie liczę oczywiście łez wzruszenia, bo dość łatwo się wzruszam, jak coś mi wyjdzie. Jak mi się udało z Patronite'em, to miałem łzy szczęścia w oczach.

Widzę trzy rodzaje zarzutów dotyczących płaczu w twoich filmach. Pierwszy: że to szantaż emocjonalny. Drugi: że to pretensjonalne. A trzeci: że to nie wypada, bo jesteś w takim miejscu, że jak cię ogląda będąca na zasiłku samotna matka z trójką dzieci, to dla niej ten bogaty Gonciarz płaczący w Japonii nad swoim losem wygląda śmiesznie.

Kiedyś miałem taki pomysł na scenariusz fabularyzowanego vloga, trochę w stylu reżysera i scenarzysty Charliego Kaufmana. Taki popierdolony scenariusz z przełamywaniem czwartej ściany. Opowiadałby o vlogerze, który nie odróżnia prawdziwego życia od fikcji. I uważa, że nie może mu być smutno. Że to bezczelne: pokazuje odbiorcom wyidealizowany obraz, oni widzą, że ma od nich lepiej, i teraz ma płakać? Więc musi się odcinać od złych emocji. Bo złe emocje świadczą o tym, że nie doceniasz tego, co masz.

To jest coś, co przerobiłem w swojej głowie. Emocjonalnie argument pt. „jest ci za dobrze, żebyś mógł płakać" jest trochę bez sensu. Bo dla każdego człowieka poziom szczęścia jest mniej więcej taki sam. Wahania są dość niewielkie, jeśli chodzi o średnią w życiu. Szczęście jest jak termostat. Jak otworzysz okno i wpuścisz trochę porażki albo sukcesu, to się na chwilę zrobi zimniej albo cieplej. A potem zamykasz okno i wszystko wraca do normy. Jak zarobisz dużo pieniędzy, to po chwili znajdziesz sobie trochę rzeczy, na które możesz ponarzekać. A jak się wydarzy coś złego, to prędzej czy później i tak się uśmiechniesz.

Na tym polega bezsens ludzkiego dążenia do sukcesu – bo te sukcesy dają taki krótkotrwały haj. Gdy sobie porównam swój poziom szczęścia dziś i jak miałem dwadzieścia trzy lata, to wydaje mi się, że byłem tak samo szczęśliwy, ale moje życie było dużo prostsze.

A zgodziłbyś się z tym, że płacz może być traktowany jako szantaż emocjonalny?

W pewnym stopniu. Ale nie używam płaczu cynicznie. Pamiętam film, w którym pierwszy raz pokazałem płacz, ten ze szczęścia z Patronit'a. Przy montażu zastanawialiśmy się, czy tego jednak nie wyciąć. Miałem wątpliwości. Wydawało mi się, że to może trochę za dużo, za bardzo, że ludzie będą się śmiali... No i zostawiliśmy. Okazało się, że dobrze zrobiliśmy – wiele osób się cieszyło, widząc moje szczęście. Ludzie, którzy przyczynili się do tego sukcesu, zostali dodatkowo wyróżnieni i napędzeni do dalszego działania. Zobaczyli, że to, co zrobili, ma sens.

Więc dziś się cieszę, że pozwoliłem sobie wtedy na tę emocjonalność. Na ujawnienie prawdziwych uczuć. Bo wiesz, w internecie chowasz 90% swoich emocji. Zakres tych, które są akceptowalne, jest dość wąski. Mile widziana jest radość. Czasem również nienawiść. Ale smutek jest mało popularny. W tym świecie w którym wszyscy ciągle próbują udawać lepszych niż są, chciałbym przynajmniej czasami pokazać jakąś niewygodną prawdę na swój temat.

W ogóle proces nagrywania filmu o „Dziurze" był niezwykły. To było tak, że nagrałem swoje pierwsze wejście – takie, w którym mówię, że po dłuższej przerwie będzie odcinek. Po wyłączeniu nagrywania od razu się rozpłakałem. Z ulgi, wzruszenia i ogólnego natłoku emocji. Poczułem wtedy, że jestem uratowany, że te czarne myśli o tym, że to może faktycznie być mój koniec, mogą zostać zgaszone. Muszę po prostu dalej robić swoje i wszystko będzie dobrze. Płakałem ze szczęścia, smutku i szoku jednocześnie. Uznałem, że włączę nagrywanie z powrotem. Kiedy to zrobiłem, ten płacz od razu się zmienił, przygasł. Byłem skrępowany tym, że ktoś mnie zobaczy w takim stanie.

Ale nagrałem to ujęcie płaczu, i po wyłączeniu nagrywania miałem jeszcze większy emocjonalny kocioł w głowie. Umiem w takich sytuacjach wykonać taki medytacyjny krok w tył, obserwować swoje emocje zamiast się z nimi utożsamiać. Uderzyła mnie ta dychotomia: próbuję sfotografować stan emocjonalny, który zmienia się pod wpływem faktu, że jest fotografowany. Wyłączanie nagrywania jest elementem, którego nie mogę nagrać, bo jest wyłączeniem nagrywania. I w tej sytuacji nigdy nie uwiecznię „prawdy", zawsze będzie ten rozdźwięk pomiędzy tym, co trafi do internetu, a tym, co czuję.

To uczucie – to było jak dobicie do osiągalnych granic szczerości w tworzeniu contentu do internetu. Jak próba rozpędzenia się do prędkości światła tylko po to, by stwierdzić, że jest to fizycznie niemożliwe. Emocjonalna zasada nieoznaczoności, niemożliwość jednoczesnego przeżywania emocji i nagrania ich. Wiem, to wszystko brzmi jak jakiś metafizyczny odlot, ale to były moje myśli w tamtej sytuacji. Bardzo ważny moment mojego życia. „Przemiana bohatera"– jak na lekcji polskiego.
Dlatego, jak widzę pytania typu „czy płakałeś żeby podbić oglądalność", to trochę się uśmiecham pod nosem.

Wspomniałeś o swoim sukcesie na platformie Patronite. Pomówmy o nim chwilę. Z jednej strony mówiło się wtedy o „efekcie Gonciarza", ale zarazem przez długi czas nikt nie mógł tego sukcesu powtórzyć ani przebić.
Aż w końcu udało się to Darwinom. Ulżyło mi wtedy, bo bycie numerem jeden na tej platformie przez długi czas było dla mnie męczące psychicznie. Wielu ludzi patrzyło mi wtedy na ręce i – nie będę owijał w bawełnę – życzyło mi źle. Otrzymywanie od widzów trzydziestu tysięcy złotych miesięcznie może przysporzyć wielu zawistników.
Gdy okazało się, że mój Patronite tak mocno wystrzelił, to była jedna z najbardziej wzruszających chwil w moim życiu. Pieniądze to jedno, ale dla mnie ważniejsze było zdanie sobie sprawy z tego, że ludzie faktycznie mnie lubią. Długo nie było mnie wtedy w Polsce, nie miałem żadnego kontaktu z uśmiechniętymi twarzami widzów. Nie wiedziałem, co na mnie czeka w kraju. I nagle tysiące ludzi bezinteresownie i z radością zorganizowało mi budżet tak, bym mógł robić filmy po swojemu. Cieszyli się, mogąc mi pomóc. To było mistyczne przeżycie.

Nie czujesz że trochę to zepsułeś? Długo nie aktualizowałeś swojej „zbiórkowej" strony, a twój profil podupadł.
Tak, pogubilem się trochę w strukturze własnego życia. Wydawało mi się, że Patronite wymaga jakichś „osobnych" projektów, takich jak Grenlandia. A ja robiłem filmy, które po prostu miałem ochotę robić w danym momencie. Poległa komunikacja. Zajeżdżałem się kręcąc filmy i jednocześnie czułem, że zawodzę ludzi, bo nie kręcę filmów.

Smutno mi, że pozwoliłem. by ten profil podupadł. I mam nadzieję że te osoby wciąż czują do mnie sympatię. Może uda się to kiedyś odbudować.

A nie było trochę tak, że pieniądze z Patronite'a przestały ci być potrzebne, bo osiągnąłeś sukces komercyjny?
Nie, to zawsze była dla mnie istotna część budżetu, dzięki której przez ostatnie lata mogłem sobie pozwalać na więcej szaleństwa w produkcji.

Czytelnicy już mogli zapomnieć, że zaczęliśmy tę rozmowę od Kruszwila. Wróćmy więc do karty „Na czasie". I pogadajmy o patostreamingu.
Teraz to zjawisko chyba trochę zanika lub zepchnięto je do podziemia. Odpowiednio dużo ludzi je dostrzegło i zaczęło na jego temat rozmawiać. Bo faktycznie, był już taki moment, w którym się wydawało, że to jest przyszłość polskiego YouTube'a (śmiech). Pamiętam, że w „Zapytaj Beczkę" miałem taki żart: narzekacie, że wszystko na polskim YouTube jest zerżnięte z tematów zachodnich, no to macie, tutaj jest prawdziwie polski oryginalny format (śmiech).

Ja patostreamerów nadrobiłem dopiero w tym roku. Wcześniej oczywiście o nich słyszałem, ale nie interesowało mnie to szczególnie. Byłem przekonany, że chodzi o to, że ludzie upijają się przed kamerą, coś tam pobełkoczą i już. A potem obejrzałem dwa czy trzy filmy i zobaczyłem transmitowaną na żywo do internetu przemoc domową czy seks po używkach. Ludzie oglądali, jak chłopak bije dziewczynę, lub na odwrót, i nie dzwonili na policję, tylko oglądali dalej i pisali komentarze. To straszny banał powiedzieć, że coś jest jak z odcinka „Black Mirror", ale to naprawdę takie było.
Tak. Ale pomijając przemoc domową czy inne przestępstwa, które ci ludzie rejestrują – to nie oni są tu czemukolwiek winni. Ciężko ich winić za to, że znaleźli sobie jakiś tam patent na życie. W ich przypadku możesz nie mieć miliarda opcji na fajny zarobek. Natomiast nie jestem w stanie zrozumieć tych tłumów, które to oglądały. Ja nie wytrzymałbym trzydziestusekund patrzenia na coś takiego, bo by mi się zrobiło zwyczajnie smutno.

Był też moment, kiedy patostreamerzy byli zapraszani do telewizji jako reprezentanci polskiego YouTube'a – na przykład TVN-owska „Uwaga!" przed-

stawiała sylwetkę Rafatusa, rozmawiała z Danielem Magicalem. Uważasz, że takie sytuacje mogą zaszkodzić środowisku?

Kiedyś miałem takie zapędy, żeby dbać o wizerunek środowiskowy. Twierdziłem, że youtuberzy powinni być solidarni ze sobą i w takiej wczesnej fazie wzrostu polskiego YouTube'a czułem się w obowiązku wyciągnąć rękę do nowych osób i się z nimi zakolegować. Ale z czasem przestałem w to wierzyć, bo wydaje mi się, że ta branża jest już na tyle duża, że chyba nie wrzuca Grupy Filmowej Darwin i Rafatusa do jednej kategorii „twórców internetowych".

Oczywiście, że wrzuca. Dla wielu dziennikarzy to bardzo wygodny worek.

No okej, masz trochę racji. Pamiętam, że patostreaming eksplodował, gdy sam realizowałem filmy z Grenlandii i Islandii. Włożyłem w nie dużo pracy i byłem bardzo zadowolony. I nagle na Antywebie pojawił się artykuł na temat Daniela Magicala w tonie, że „ooo, YouTube to taka patologia" i tak dalej. Ku uciesze Wykopu, żyłka mi pękła (śmiech).

Chociaż wiem, że media tak działają, że raczej skupiają się na chujowych rzeczach, a nie na fajnych. Wiem, że lepiej kliknie się nagłówek o tym, że „polski youtuber najebany", niż że „polski youtuber kręci materiał z Innuitami".

To może trzeba było się najebać z tymi Innuitami?

(Śmiech). Czasem mam wrażenie, że trochę za bardzo staram się, żeby moje vlogi były takie... „eleganckie". Może to wielu osobom wydaje się nudne. Mam sporo zasad, według których robię content – na przykład nigdy nie mówię źle o miejscach, które odwiedzam. Bo przecież nikt mnie tam nie zapraszał, to jakie mam prawo narzekać?

I to mi chyba ogranicza zasięg, bo być może ludzie wolą zobaczyć kogoś bardziej przebojowego. Gościa z osiedla, który przyjedzie, przybije miejscowemu pionę, wypije z nim browara, ponarzeka, pobluzga i będzie w tym wszystkim bardziej szczery i bezpośredni. Taką satysfakcję daje swoim widzom Cejrowski, szafujący ocenami. Nie zgadzam się z większością jego opinii, ale trudno odmówić mu wyrazistości.

Twoje filmy są bardzo premium i to buduje twój wizerunek. Tu Islandia, tam maraton w Londynie, tutaj Japonia, pyszne sashimi, prowadzenie firmy, dieta keto, a wszystko w estetycznej otoczce. Nie czujesz, że to może tworzyć pewien dystans? Sprawiać, że wydajesz się osobą niedostępną?

Czuję, ale to wszystko jest szczere z mojej strony. Staram się robić rzeczy, które mi samemu imponują.

„Jestem premium" – Krzysztof Gonciarz.

W sensie... nie potrafiłbym udawać jakiegoś takiego ziomeczka, z którym każdy się może identyfikować, bo nie jestem takim ziomeczkiem. Czasem chciałbym, ale udawanie to nie droga. Nigdy nie uważałem się za reprezentanta dużej demografii i zawsze byłem trochę odmieńcem.

Robię rzeczy, które dla mnie samego są wyzwaniem. To, co widać na moim kanale, to nie jest pójście po linii najmniejszego oporu – patrzcie, taki jestem, rzeczy spadają mi z nieba. To wszystko jest wygrindowane potem i łzami. To nie jest narracja typu „mam to i tamto", ale „zdobywam to i tamto".

Chcę robić rzeczy, które mnie samemu by się podobały. Zazdrościłbym, gdyby zrobił to ktoś inny. I często zazdroszczę, biję brawo innym, myślę sobie, że inni są super. Staram się być taki jak ludzie, których uważam za lepszych od siebie. Za bardzo się tłumaczę? To chyba są normalne, ludzkie motywacje, nie sądzę, żeby w tym, co mówię, było coś szczególnie oryginalnego.

Więc jaka jest teraz, w 2019 roku, twoja relacja z twoim odbiorcą? Mentor, starszy kolega? Da się to określić jednym słowem?

Hmm... Myślę, że duży procent ludzi, którzy oglądają to, co robię, szuka jakichś pomysłów do podpatrzenia, które mogliby zaimplementować w swoim życiu. Czy chodziłoby o łatwość poruszania się po świecie, czy dietę keto, czy inne rzeczy lifestyle'owe. One wszystkie trafiają na bardzo podatny grunt, bo wydaje mi się, że oglądają mnie ludzie, którzy szukają inspiracji czy jakichś ciekawych rzeczy w życiu i mają otwarte głowy.

Ogląda mnie też wielu Polaków mieszkających za granicą, którzy jakoś się ze mną identyfikują. I nie dziwi mnie to. Pamiętam taką sytuację: jak wyprowadzałem się już powoli do Japonii, oprowadzał mnie po Tokio mój kolega, Kuba Tepper. Był dla mnie trochę takim polskim „senpajem" (śmiech). I zapytał: „Wiesz, że jak pomieszkasz tu parę lat i wrócisz do Polski, to będzie ci się ciężko gadało z ludźmi?". Machnąłem ręką, bo i nie do końca rozumiałem, o co mu chodzi. Ale teraz już rozumiem – i nie dotyczy to tylko Japonii,

ale w ogóle mieszkania za granicą. Gdy przyjeżdżasz do Polski, zauważasz rzeczy, które wcześniej były dla ciebie przezroczyste, bo nie mogłeś na nie spojrzeć z dystansu.

Podaj jakiś przykład.

Hmm... no dobra, chociaż wyrwany z kontekstu może brzmieć obraźliwie. Ale to nic obraźliwego. To tylko stwierdzenie faktu: mieszkając poza Polską, może raz na rok słyszę słowa „Jan Paweł II" (śmiech). Mieszkając w Polsce, możesz odnieść wrażenie, że to osoba, wokół której kręci się cały świat, tymczasem wcale tak nie jest. Ot, takie skrzywienie poznawcze, z którego nie zdajesz sobie sprawy, mieszkając w Polsce. Oczywiście nie mówię, czy to dobrze, czy źle. Każdy kraj ma takie swoje wewnętrzne memy.

Kiedy dwa lata temu w Wietnamie mówiłem, że jestem z Polski, to jeśli ludzie mieli jakieś skojarzenie, to jedno: Robert Lewandowski. Nie wiem, czy jakikolwiek papież jest szczególnie istotną postacią z perspektywy Azji Wschodniej.

Ja w Azji wyzbyłem się takiego poczucia, że Europa jest centrum świata. Nie wyjeżdżając nigdy poza Polskę, można dojść do wniosku, że jesteśmy bardzo ważni na świecie, również ze względu na papieża Polaka. Kilkanaście lat temu patrzył na niego cały świat, więc trochę tego fejmu spłynęło na Polskę. A jak się stąd wyjedzie do innej kultury, to przychodzi brutalna weryfikacja. Jak byłem mały, to byłem przekonany, że Polska jest najbardziej niezwykłym krajem na świecie, bo przecież aż tyle uczymy się o Polsce na lekcjach historii – o zwycięstwach, porażkach, poświęceniach. Dopiero później nadeszła refleksja, że historia Polski jest masowo znana wyłącznie w Polsce. I gdy jako taki dumny dwunastolatek pojechałem do Austrii i przedstawiałem się jako Polak, byłem zaskoczony, że to na nikim nie robi wrażenia (śmiech). Jako produkt polskiego systemu edukacji czułem, że jestem reprezentantem jakiegoś narodu wybranego, przed którym wszyscy powinni klękać. Bo przecież nikt nie zniósł tyle, co my. I ta Austria mi trochę to poczucie dumy narodowej przekłuła.

Dalej mam jej trochę w sobie, ale w zdrowym stopniu. I trochę mnie boli, że w Polsce, która tak historycznie wycierpiała, ścierała się z najeźdźcami, zaborcami, okupantami i tyle dekad walczyła o wolność, tak niewiele mówi się o protestach w Hongkongu. To niezwykle ważne wydarzenia, świadomość o których jest niezwykle niska. Choć teoretycznie powinniśmy być na takie tematy wrażliwi, to traktujemy je w kategoriach „daleko i pewnie nieprawda". To moja perspektywa – kogoś, kto spędził sporo czasu za granicą i oglądał trochę inne programy informacyjne. Czasem zastanawiam się, o ilu istotnych wydarzeniach w ogóle nie usłyszałem, bo w Polsce się o nich nie mówiło?

CLICKBAITOWY TYTUŁ ROZDZIAŁU

Weryfikowanie informacji pochodzących z internetu to dziś w teorii absolutnie kluczowa umiejętność, ale dzieciaków we współczesnej szkole w ogóle się tego nie uczy. I nic dziwnego, skoro nierzadko ich nauczyciele sami podają na Facebooku fake newsy czy trollerskie obrazki stworzone tylko do baitowania. Czy uważasz, że istnieje jakakolwiek szansa, żeby internet stał się bardziej wiarygodny, czy musimy się pogodzić z tym, że social media to szlam i chaos informacyjny?

Hm... Z jednej strony same platformy socialmediowe zauważają problem i próbują się zmieniać. Z drugiej: wchodzimy tu w taki rejon, w którym wszystko zaczyna brzmieć jak teoria spiskowa.

To znaczy?

No jeśli słyszysz, że Facebook próbuje usprawnić algorytmy, żeby odfiltrować te wszystkie fake'owe informacje, to powinna iść za tym myśl: jaki jest w tym interes Facebooka? Firma istnieje dla zysku, a zysk Facebooka tkwi m.in. w maksymalizacji czasu spędzanego na tej platformie. Taki serwis ma sens tylko wtedy, kiedy wciąga i angażuje użytkowników.

Im lepiej algorytmy Facebooka rozumieją, jak różne treści działają na ludzi, im sprawniej analizują nasze zachowanie i błędy naszych mózgów, tym bardziej jesteśmy bezradni. Facebook prawdopodobnie już teraz jest w stanie posortować cały twój newsfeed tak, by wywołać dowolne emocje, np. radość czy strach. Więc czemu algorytmy nie miałyby ci podsuwać rzeczy, które cię wkurwiają? Wkurwienie to bardzo silny bodziec.

Między innymi z tego powodu trochę się od Facebooka odciąłem. Usunąłem aplikację Facebook z telefonu, mam tylko narzędzia do wysyłania wiadomości i prowadzenia fanpage'a. A na wszystkich innych urządzeniach zainstalowałem wtyczkę do przeglądarki, która blokuje mi newsfeeda.

Tylko newsfeeda?

Tak, bo wciąż używam Messengera jako narzędzia do pracy. Nie mógłbym się od niego odciąć, za dużo mam tam znajomości biznesowych. A wyłączenie newsfeeda zmieniło moje życie wyłącznie na lepsze. Chociaż przez jakiś czas miałem taki problem, że brak newsfeeda odciął mnie od Polski i tych lokalnych rzeczy, z których mógłbym pożartować. Zauważyłem wtedy, że trochę mi brakuje tematów. Nie wiem, co akurat trenduje.

Bez dostępu do newsów z Facebooka ciężej robi się clickbaity do filmów, nie?

Oczywiście. Na szczęście część rzeczy, o których nie mam pojęcia, ogarniają mi moi współpracownicy i współpracowniczki.

Lubisz clickbaitować?

Lubię swoje filmy. Jeśli za pomocą clickbaitu skuszę kogoś do kliknięcia, to uważam, że nie robię nic złego (śmiech). Staram się, by filmy były lepsze niż baity, do których się uciekam. Taki wilk w owczej skórze.

Pff, każdy twórca tak może powiedzieć.

No wiem, dlatego też tak mówię (śmiech). Podam ci przykład tego, jak to działa w mojej firmie. Jakiś czas temu Gimper był w finale „Tańca z Gwiazdami". I akurat wtedy nagrywałem Q&A. Iza, z którą pracuję, napisała mi, że muszę poruszyć temat Gimpera w TVN, żebyśmy użyli go jako clickbaitu. Więc daliśmy miniaturkę z Działowym i tytuł: „Moje zdanie o Gimperze w »Tańcu z Gwiazdami«". I cyk, trzysta tysięcy wyświetleń, trzykrotność ówczesnej średniej. A powiedziałem o tym Gimperze ze trzy zdania (śmiech).

Nie uważam, żeby to było działanie wymierzone w użytkowników. To walka z algorytmem. Wiesz, że w ciągu jakichś pięciu minut od publikacji dziesięciominutowego filmu zwykle wiem, czy będzie miał dobrą oglądalność? Czasami po dwóch minutach. Jakość contentu nie ma znaczenia. Ważne jest, by zwracał uwagę, zbierał kliki i utrzymywał uwagę widzów. Wtedy YouTube

uzna, że jest wartościowy i wypchnie go do większej liczby użytkowników. To nie użytkownicy decydują o tym, czy film się dobrze ogląda, czy nie, tylko algorytm.

Ale musi być różnica w odbiorze filmu słabego i dobrego. To nie może być tylko zależne od tytułu, ludzie to nie zombie, którzy po kliknięciu po prostu obejrzą cokolwiek.

To idzie w dwóch falach. Najpierw jest faza, w której YouTube decyduje, czy wysyłać informację o nowym filmie do większej czy mniejszej liczby ludzi. Tutaj ważne są clickbaity i utrzymanie uwagi przez pierwsze sekundy.

Druga fala to faktyczne zainteresowanie filmem. Nawet jeśli film w pierwszym rzucie rozszedł się słabo, może na tym etapie nadrobić. Tak było na przykład z „Historią Kasi i Krzysia". Pierwsze pół godziny – słabo, nie wyglądało to na hit. Po paru godzinach było lepiej. A półtora dnia później był na pierwszym miejscu w „Na czasie".

A miewasz czasem dylemat: clickbaitować czy nie? Bo na przykład temat wydaje ci się zbyt premium, żeby sprzedawać go ordynarnym tytułem?

Ten dylemat clickbaitować czy nie czasami bywa naprawdę śmieszny. Na przykład w tym roku zrobiłem film sylwetkowy o polsko-japońskim zawodniku sumo. Poszliśmy w „poważny" tytuł i miniaturkę, bo uznałem, że w tym przypadku nie chcę robić nic tandetnego. Mogliśmy dać na miniaturkę wielką michę ryżu, pałeczki i mój wykrzywiony ryj oraz tytuł „Kto je 10 tysięcy kalorii dziennie?!". Ale wybraliśmy po prostu „Jestem zawodnikiem sumo".

Film nie siadł. Był jednym z najsłabiej klikających się odcinków w tym okresie, algorytm ocenił go jako nieatrakcyjny. W godzinę po publikacji myślałem, że będzie klęska. A jednak przyszła druga fala – ludzi, którzy dowiedzieli się, że film jest ciekawy i po prostu chcieli go obejrzeć. Algorytm YouTube'a to wychwycił, filmowi w kolejnych dniach zaczęła wzrastać oglądalność i ostatecznie nadrobił straty. No ale od początku mogłem zrobić tam baita. Nikt za takie chwyty nie karze.

Przykładem filmu, który skutecznie złapał obie fale ruchu, jest film pod tytułem „Mieszkanie za 3500 zł w najdroższym mieście świata". Na miniaturce napisaliśmy „6 m² za 3500 zł miesięcznie". Clickbait zadziałał od razu – mieliśmy pieniądze, a na miniaturce była moja znajoma modelka, Pantinka, której

mieszkanie pokazywaliśmy. Ale tutaj była też fajna treść, meritum – poszło na milion sześćset tysięcy wyświetleń. Chciałbym częściej robić takie proste i skuteczne filmy, ale cóż, nie jest łatwo znaleźć tak atrakcyjne tematy, które jednocześnie będą się mieścić w obrębie mojej „linii programowej".

Muszę też obalić pewien mit – dawanie zdjęć modelek na miniaturki wcale nie musi zwiększać klikalności filmów.

Im bardziej wulgarny clickbait, tym lepiej siada?

Nie ma aż takiego przełożenia, ale czasem udaje się strzelić w dziesiątkę. Swoją drogą mam niekedy wrażenie, że to, jak działa YouTube, jest do pewnego stopnia przypadkowe. Czasem puszczamy trzy czy cztery filmy z podobnym, kilkudniowym odstępem i jeden z nich klika się na przykład 50% słabiej. Przecież to niemożliwe, że nagle połowa ludzi postanowiła nie oglądać tego jednego filmu. To nie była ich decyzja, a po prostu pierdnięcie tego algorytmu, który zdecydował na podstawie pierwszych reakcji oglądających, czy to siądzie, czy nie. I to jest strasznie frustrujące.

Bo niejednokrotnie puszczałem film, na którym mi zależy, wkładałem w niego dużo serca i czułem, że jest fajny, a on w ogóle nie działał. Na przykład film o Yumeko, znajomej Japonce, która mówi po polsku i gra Chopina na fortepianie. Myślałem, że siedzę na złocie. Japonka, język polski, Chopin. Nawet były łzy, bo pod koniec swojego recitalu Yumeko bardzo się wzruszyła. A oglądalność – poniżej przeciętnej. Gorzej niż odcinek, w którym parzę kawę, idę do biura i mówię, że odpisuję na maile. Jak tu się nie sfrustrować?

Zdarzają ci się zaskoczenia w drugą stronę?

Też. Na przykład kiedyś YouTube uznał, że mój vlog z tytułem nawiązujących do tajfunów – z krótką sceną deszczu gdzieś pod koniec – jest bardzo warty uwagi moich widzów i wypchnął go do ludzi z całą siłą. Reakcje na ten odcinek były takie same jak na każdy inny. Ale oglądalność trzykrotnie wyższa.

Chcę, żeby było jasne, o czym tutaj mówimy. To nie są moje narzekania na reakcje publiczności. Te są zazwyczaj zgodne z moimi oczekiwaniami, a jeśli się co do nich mylę, przyjmuję to z pokorą. Mówimy tutaj o humorach algorytmów, wydawniczym voodoo, które nie ma nic wspólnego z kreatywnością i tworzeniem filmów. To inżynieria publikacji na YouTube. Oczywiście ktoś

mógłby powiedzieć, że celem algorytmu jest oszacowanie zachowania ludzi. „Dobry film zawsze się obroni". Według mnie nie zawsze jest to prawda.

Wydaje mi się, że toczysz z tym bardziej intensywną walkę niż większość twórców. Nie sądzę, by Abstrachuje podchodzili do swojej oglądalności z aż tak wielką niepewnością jak ty.

Myślę, że to jest specyfika kanału vlogowego oraz częstotliwości publikacji na nim. Kiedyś YouTube bardzo faworyzował daily vlogi, dziś już tego nie robi. Poza tym dochodzi też kwestia świeżości kanału. Oglądalność na YouTube działa trochę jak fale morskie, na których możesz surfować. Jak masz jakiś spory hit – taki, który trafi na kartę „Na czasie" – to dzięki niemu poczujesz przypływ nowych użytkowników. Nowi użytkownicy, świeżo zasubskrybowani, mają większą szansę na otrzymanie powiadomienia o twoim nowym filmie. Więc ta spirala się nakręca – jak złapiesz falę, to jesteś w stanie się na niej trochę przejechać, tak by jeden film nakręcił następny i tak w kółko. Ale jeśli wiatr przestaje wiać, to, publikując na kanale średnio angażujące filmy, możesz zaorać swój kanał do ziemi. Podobnie działały kiedyś fanpage'e na Facebooku. „Świeży" fanpage zawsze miał więcej zaangażowania niż stary.

WYNOSZENIE ŚMIECI

Wróciłem dziś do pierwszego odcinka „Zapytaj Beczkę". I tam padło pytanie: „Krzychu, czy dałbyś radę pokazać swoje codzienne życie". Pamiętasz, co odpowiedziałeś?

Nie.

Powiedziałeś tak: „Nieee, nie czuję się odpowiednią osobą, żeby śledzić mnie, gdy wynoszę śmieci. Bez przesady".

(śmiech) To był moment, gdy napisałem pierwszą książkę – „Wybuchające beczki", co było bardzo dobrym pomysłem, na który wpadła moja ówczesna dziewczyna. Natalia powiedziała mi, że tyle rozkminiam o tych grach, że może bym książkę napisał. I choć czułem się na siłach, to z początku nie czułem się „godzien", żeby to zrobić. Byłem przekonany, że pisanie książki na jakiś temat jest uznaniem samego siebie za autorytet w tej dziedzinie.

Ambitna działalność.

Dziś wiem, że to było niesłuszne podejście. Jeśli jesteś w stanie napisać książkę na jakiś temat, to napisz. Najwyżej będzie chujowa. Nikt nie mówi, że pisanie książki to wywyższanie się.

Ale pomaga w budowaniu autorytetu. Tobie pomogło.

Tak. A już po premierze zorientowałem się, że napisanie książki na jakiś temat umacnia twój status specjalisty w danej dziedzinie. Z perspektywy czasu uważam, że nie odwaliłem fuszerki. Nie była to książka wybitna, ale się starałem.

Czy to była pierwsza w Polsce książka youtubera?

„Beczki" wyszły rok przed „Zeznaniami Niekrytego Krytyka", więc teoretycznie można by tak powiedzieć. Ale ja nie byłem wtedy youtuberem. To dość zabawne, bo przecież ja swój kanał na YouTube – zatytułowany „wybuchajacebeczki" (do dziś funkcjonuje pod tym adresem) – założyłem po to, by promować na nim swoją książkę. Czyli to nie była książka youtubera, to był kanał youtube'owy dziennikarza gamingowego, który napisał książkę.

Wracasz czasem do „Wybuchających beczek"?

Nie, myślę, że nie byłbym w stanie tego dzisiaj czytać.

Skręca cię z zażenowania?

Tak, za mocno starałem się w tej książce udowodnić, że jestem inteligentny. W ogóle przez dużą część życia miałem ten problem, że zależało mi, żeby być postrzegany jako osoba inteligentna. Nawet, gdy w dzieciństwie grałem w RPG, to z reguły wybierałem tę klasę, dla której inteligencja jest najważniejszym parametrem.

W pierwszej części „Baldur's Gate" strasznie wkurzające było to, że kiedy się wybierało maga, to w początkowych etapach gry dostawało się wpierdol. Na pierwszym poziomie miało się jeden magiczny pocisk na dzień i było się bezużytecznym, zwłaszcza w porównaniu z tymi wszystkimi wymiatającymi osiłkami.

A może w życiu jest tak samo? (śmiech)

Miałeś kompleksy intelektualne? Czułeś, że za mało przeczytałeś i obejrzałeś?

Chyba tak. Bardzo chciałem orientować się w wielu dziedzinach, ale w każdej czułem się niedoedukowany. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że przykrywałem to takim na siłę zawadiackim i przeintelektualizowanym językiem.

Ale udało ci się ten język sprzedać ludziom.

Chyba tak. Chociaż on też wzbudzał kontrowersje. Gdy poczułem się nieco pewniej w serwisie GRY-OnLine i wiedziałem, że mogę sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa, to brnąłem w dziwne sposoby wysławiania się. Ironiczne zapożyczenia, wyszukane słowa... Wielu czytelników komentowało to negatywnie: „O, to ten koleś od przekombinowanych, nadętych tekstów". Chyba

mieli trochę racji. Natomiast nie wszyscy byli świadomi tego, że był to celowy zabieg. Zabawa konwencją.

Wróćmy do pierwszego pytania. Kiedy zmieniłeś zdanie i stwierdziłeś, że jednak chciałbyś, żeby ludzie oglądali cię podczas wyrzucania śmieci?

Wpływ miało na to kilka czynników. Po pierwsze: zacząłem mieszkać w Japonii, więc moje otoczenie zaczęło być dla polskiego widza interesujące. Pewnie gdybym nigdy nie wyjechał i przez cały ten czas mieszkał w Polsce, to nie robiłbym vlogów, bo kogo by w Polsce obchodziło, jak mi się żyje w Polsce? Drugim czynnikiem była moda na vlogi w stylu Caseya Neistata. Gdy zaczynałem ten format produkować, to on był najjaśniej świecącą gwiazdą. Ten facet zdefiniował, jak to powinno wyglądać. Jak wyłuskać ciekawe elementy życia i jak o nich opowiadać.

Neistat był nawet niedawno w Warszawie.

Tak. I ta wizyta była dość kontrowersyjna. Zaprosiła go Polska Fundacja Narodowa i według wielu osób wyszło zdecydowanie za drogo. Efektem tej wizyty był filmik z zaspanym Neistatem chodzącym po deszczowej Warszawie przez jedno popołudnie. I tyle. Później wiele osób krytycznie się wypowiadało i o nim, i o organizacji tego wydarzenia. Ale ciężko mi stwierdzić, co dokładnie nie zagrało.

Uważasz, że wysłanie youtubera w jakieś miejsce to dobry sposób na promocję tego regionu?

Tak, ale takie działania trzeba robić z przytupem. Promocja dobrze działa, kiedy jest gęsta, intensywna i zrobiona z przekonaniem z obydwu stron. A wielu vlogerów podróżniczych, jak np. FunForLouie, jest chyba tak przyzwyczajonych do zwiedzania różnych zakątków świata, że ciężko zrobić na nich wrażenie. Potem takie filmy też nie wyróżniają się niczym na ich kanałach. No bo chyba tylko w Polsce pamiętamy, że Casey Neistat był w naszym kraju. Nie było w tym jego filmie prawie żadnej wartości promocyjnej, bo nie wydarzyło się tam nic ciekawego dla jego widzów.

YouTube to wciąż nowoczesna forma, miejsce dla eksperymentów. Ale eksperymentowanie czasem się opłaca. Sam byłem na takiej wycieczce promocyjnej w Izraelu. To była studencka inicjatywa, projekt jakiegoś kierunku

związanego ze stosunkami międzynarodowymi. Izrael zwiedzali wtedy influencerzy z różnych krajów. Zebrano ludzi o łącznym zasięgu kilku milionów osób. Koszty w stosunku do uzyskanych zasięgów były niewielkie. Zresztą youtuberzy nie wzięli kasy – po prostu dostali wycieczkę za darmo. Chociaż... Weźmy na przykład mnie. Zrobiłem tam cztery odcinki, każdy zobaczyło 200–300 tysięcy osób. Jaka była realna korzyść z tej akcji dla państwa Izrael? Nie wiem. Wracamy do tematu mierzalności reklam i działań wizerunkowych. Na szczęście nie wszystko na świecie musi być „efektywnościowe". Nie wszędzie patrzy się na to, żeby nakłady zwróciły się co do grosza. Czasami po prostu robi się fajne rzeczy, bo są fajne.

To zapytam inaczej: która sytuacja jest lepsza? Ta, w ramach której płacisz youtuberowi za odwiedzenie jakiegoś miejsca, czy taka, w której youtuber sam zainteresował się tematem i przyleciał „w barterze"?

Moim zdaniem twórca, który przyleci z własnej woli za darmo, zrobi lepszą reklamę niż ten, któremu zapłacisz. Bo jeśli przyleciał sam, to znaczy, że miejsce go naturalnie jara. Ale to może zbyt kategoryczna opinia. Ciężko mówić na ten temat w oderwaniu od konkretnych przykładów. Wątpię, żeby Casey przyleciał do Polski bez motywacji w postaci wynagrodzenia. A może lepiej, że w ogóle był. Nie wiem. Ale wiesz, co jest ciekawe?

No?

W jego filmach nie ma nigdzie mowy o tym, że wziął za to kasę. Według standardów polskiego YouTube'a to, co zrobił, jest nieetyczną reklamą. Nasze branżowe standardy, jeśli chodzi o transparentność takich działań, są w skali świata naprawdę wysokie. Ja – i jako widz, i jako twórca – lubię przejrzyste sytuacje. Jestem dość wyczulony na bullshit w postaci działań reklamowych niekomunikowanych wprost. Czołowi światowi twórcy mają sobie więcej do zarzucenia niż polscy.

NA KOŃCU INTERNETU

Zaprosiłeś na GonKon ekipę Friza – jednego z najszybciej obecnie rosnących youtuberów. To wzbudziło pewne kontrowersje w twojej widowni.

Tak, ludzie pytali, po co to zrobiłem. A dla mnie to, co robi Friz z przyjaciółmi, jest spoko. To content przeznaczony dla młodszego odbiorcy, ale nie można go z góry dyskredytować. Nie wszystko, co jest robione dla dzieciaków, to gówno. Content Friza z ekipą jest dla mnie zupełnie nieobraźliwy, oni tam nic hardcore'owego nie robią. Nie rzygają do wiadra.

Rzygają do wiadra, tylko poza kamerą.

Tak?

No, zakładam, że jeśli masz około 20 lat, wielki dom, w którym mieszkasz z kolegami i koleżankami i robicie razem filmiki, to...

...to od czasu do czasu ktoś tam pewnie rzeczywiście rzyga do wiadra (śmiech). No tak, niech pierwszy rzuci kamieniem, kto by nie rzygał. Ja też w swoim życiu rzygałem do wiadra. Ale poza kamerą to nie problem. Kiedy Karolek zrzygał się przed obiektywem, to była to trochę inna sytuacja.

À propos Karolka. Gdybyś miał dzieci, to reglamentowałbyś im jakoś dostęp do YouTube'a?

Myślę, że chciałbym jakoś ukształtować ich gust, żeby same wybierały spoko rzeczy. Pokazać, dlaczego coś jest dobre, a coś nie. Nie na zasadzie, że tego nie oglądaj, bo ci nie wolno. Może przydałoby mi się, żebym miał dziecko, bo dzięki temu musiałbym nadrobić dziecięcego YouTube'a. Póki co znam głównie Friza.

I Kruszwila.

No właśnie, to dla mnie jak jasna i ciemna strona Mocy.

Ciebie już dzieciaki nie oglądają?

Zdarzają się pojedyncze osoby. Na finisażu wystawy „Tokio 24" podszedł do mnie chłopak z mamą i chciał zdjęcie. I mama też chciała zdjęcie. Byli bardzo sympatyczni, zrobiliśmy selfiki, odszedłem i po godzinie ktoś mi pisze: „LOL, Małgorzata Rozenek-Majdan jest na twojej wystawie". Patrzę na jej Instagrama i to była ona! Kompletnie nie znam jej twarzy, bo oglądam mało telewizji. Znam postać, wiem, kim jest, ale chyba nie oglądałem z nią nigdy żadnego programu. Ale było mi bardzo miło, że przyszła i że pozytywnie się wypowiedziała. Zaprosiłem za to jej syna na GonKon (śmiech).

Wracając do twojego pytania: syn pani Małgorzaty był dość młody. Przynajmniej dziesięć lat młodszy niż średnia wieku moich odbiorców. Pomyślałem sobie, że to jest spoko. Że jakiś dzieciak mnie ogląda i jeśli znajduje tam coś dla siebie oprócz heheszków Beczki, to jestem z niego dumny. Bo robię content ewidentnie dla starszych: życie w Japonii, prowadzenie firmy, ekspansja kreatywna na różne dziedziny... To nie jest coś, co interesowałoby większość dzieci.

Przez długi czas na YouTubie ciążyło takie odium, że jest tam tylko content dla gimbazy.

„YouTube trzepie hajs na dzieciakach". Klasyka. Ludzie, którzy tak mówią, zapominają o upływie czasu. Zaczęło się faktycznie od dzieciaków, gimbazy, „Minecrafta". Oni pierwsi wkręcili się w tę platformę, zaczęli doceniać instytucję youtubera jako kogoś na równi z piosenkarzem, aktorem, celebrytą. To pierwsze pokolenie zaczęło dorastać, a za nim przyszły kolejne. Przecież dla dzisiejszych dwunastolatków praktycznie nie istniał świat bez youtuberów. To jest tak, jakbyśmy mówili im, że kiedyś na świecie nie było piosenkarzy, piosenki zostały wymyślone siedem lat temu.

Dziś na YouTubie da się robić content „starszy" niż kiedyś, bo po prostu na tej platformie jest więcej starszych ludzi. Ciężko wskazać jakąś wielką youtube'ową karierę zbudowaną na filmach dla targetu 30+, postowanych w 2012 roku. Jestem prawie pewien, że nie było takiego case'u ani w Polsce, ani na świecie. A dziś już taką karierę można robić.

Czy dostajesz feedback od młodszych youtuberów, że „wychowywali się" na twoich filmach?

Tak, sporo mam takich historii, że ktoś, kto obecnie jest bardzo znany, oglądał mnie jako dziecko. Na przykład Jasiu Dąbrowski. Chyba się nie obrazi, jak to opowiem... Znamy się już trochę czasu i jeśli cofniesz historię naszych wiadomości na Messengerze do samego początku, to zobaczysz, że pierwszy raz napisał do mnie, gdy miał z dwanaście lat i zapytał, czy może ze mną w „StarCrafta" zagrać, bo ogląda tvgry.pl (śmiech). Nie miał jeszcze wtedy kanału na YouTubie.

A na premierze „WebShows" był Ajgor Ignacy, który poprosił Dema, żeby mu kupił piwo, bo sam miał wtedy z piętnaście lat (śmiech).

Wróćmy do dostępu dzieci do filmików w internecie. Dziennikarz James Bridle, powiedział kiedyś: „Jeśli macie małe dzieci, to trzymajcie je z dala od YouTube'a". Rzucił to przy okazji omawiania pewnego eksperymentu. Okazuje się, że jeśli puścisz dziecku na YouTubie jakąś niewinną animację i włączysz autoplay, to po kilku godzinach może się okazać, że twój przedszkolak właśnie ogląda Hitlera albo Kaczora Donalda mordującego wilkołaki piłą łańcuchową.

Jak to?

Istnieje cały dziwaczny gatunek youtube'owych filmów, które są remiksami popularnych kreskówek. Na przykład jakieś „nieoficjalne" przygody Świnki Peppy albo filmik, w którym Batman spotyka postacie z Disneya. Scenariusze zwykle są bardzo naiwne, część pewnie generuje komputer. Czasem są to animacje, czasem grają tam aktorzy.

Rozumiem. To musi być żyła złota, bo kilkuletnie dzieci mają nieograniczony apetyt na ulubionych bohaterów.

Zgadza się. Te filmy mają dziesiątki milionów wyświetleń. Ale nie wszyscy ich twórcy robią je wyłącznie dla zysku. Niektóre produkcje to ewidentny trolling – są bardzo mroczne i brutalne. Mają w tytule Myszkę Miki, a okazuje się, że w filmie ta Myszka Miki masturbuje się lub poznaje Adolfa Hitlera. Najgorsze, że YouTube – przynajmniej do niedawna – kompletnie nie radził sobie z filtrowaniem takich treści. Więc jeśli rodzic zostawił włączony autoplay, to często

algorytm YouTube'a podsuwał dziecku coraz dziwniejsze rzeczy...

...aż kończyło się Hitlerem lub jakąś krwawą jatką. I trauma gotowa.

Żebyś wiedział. Bridle twierdzi, że zna relacje rodziców, według których algorytmy YouTube'a wywołały u ich pociech lęki, np. przed ciemnością czy przed oglądaniem niektórych kreskówek w telewizji.

Strasznie perfidne. Małe dzieci są o tyle wdzięcznym targetem, że potrafią długo skupić uwagę na czymś, co oglądają.

Niektóre z tych treści są – jak na YouTube – bardzo długie. Mają po kilkanaście, kilkadziesiąt minut. A czas oglądania filmu jest na współczesnym YouTubie ważnym parametrem.

Kiedyś wyobrażałem sobie, że za ileś lat będziesz miał generowaną przez jakiś algorytm muzykę na żywo. Nienapisaną wcześniej, komponowaną na bieżąco. I ten algorytm będzie analizował masę czynników – temperaturę w pomieszczeniu, zachowanie ludzi, może nawet poziom neuroprzekaźników u pojedynczych osób. Wszystko po to, by ocenić, jak się bawią. Muzyka będzie generowana w taki sposób, żeby jej celem była np. maksymalizacja dobrej zabawy. I będziesz mógł sobie tak to wszystko ustawić, żeby w końcu się odwodnić i zemdleć z zabawy tak dobrej, by zapomnieć przy niej o pozostałych funkcjach życiowych.

Pomyślałem wtedy, że to abstrakcyjny żart, ale to, o czym mi opowiedziałeś jest dowodem na to, że to już się dzieje. Ta machina zmierza do maksymalizacji transu – te filmy, które najlepiej hipnotyzują, mają najwięcej wyświetleń.

Pomijając te wszystkie mroczne treści, to strasznie smutne, jak brzydkie są filmy, którymi hipnotyzuje się dzieci. Okej, duże studia mają swoje kanały, ale miliony wyświetleń zbierają jakieś półamatorskie gówna. A tyle się mówi o profesjonalizacji YouTube'a. Ciekawe też, że w Polsce nie powstał żaden jakościowy kanał dla najmłodszych, który zgarniałby miliony wyświetleń. Niby jest CeZiK i jego „NutkoSfera", którą ogląda sporo osób. Ale porównajmy to np. z ohydnym teledyskiem do dziecięcego szlagieru „Kaczuszki" na kanale „MagicRecordsPoland". Takie coś ma dziś prawie 200 milionów wyświetleń – kosmos.

Niewielką liczbę polskich youtuberów dziecięcych można też wytłumaczyć tym, że cały tort podzielili już między siebie twórcy zagraniczni. To jest po prostu segment, w którym wygrywa content globalny, język ma mniejsze znaczenie. Nie potrzebujesz, żeby unboxing klocków LEGO był po polsku, jeśli sam film to tylko czyjeś ręce bawiące się klockami.

Ba, może nawet niektórzy rodzice chętniej puszczą dziecku filmy po angielsku – niech się osłucha z językiem. Do tego dochodzi efekt „social proof". Lepiej puścić kanał anglojęzyczny, który ma te setki milionów wyświetleń, niż ryzykować puszczenie jakiegoś polskiego dziwactwa, w którym nie wiadomo, co może być.

Pamiętasz „Myszka Miki TV", o której Dem zrobił filmik? Nieudaną próbę zrobienia kanału dla dzieci, która ewoluowała w jakieś januszowe żarty o chlaniu?

Tak! Wspaniałe miejsce w internecie, niepowtarzalne.

Tak. I autorskie prawie jak „Kraina Grzybów". Wspaniały projekt.

Z podobnych rzeczy, ty byłeś odpowiedzialny za serię „Świat Ziemi".

Oj tak, świetnie wspominam ten projekt. To była parodia polskiej telewizji edukacyjnej lat 90., inspirowana brytyjskim projektem „Look around you". Poszliśmy tam w taki dziwny humor, nad którym trzeba się chwilę zastanowić, by go dostrzec. Praktycznie każda linijka tekstu w tych filmach jest żartem. „Przenieśmy się w czasie i przestrzeni. Podróżować będziemy wstecz i na zachód" – Dem mi napisał po publikacji tego filmu, że to jego ulubione zdanie na polskim YouTubie.

Był taki czas, że spędzaliście chyba sporo czasu z Demem, i wydawało się że możecie razem działać regularnie. Co się stało?

Próbowaliśmy wymyślać różne wspólne projekty, w pewnym momencie pisaliśmy nawet razem serial. Trochę jak „Nieprzygotowani", ale śmieszny (śmiech).

Dlaczego nie wyszło?

„Różnice artystyczne". To brzmi, jakbyśmy się pokłócili czy coś, ale nie, nigdy nie było między nami żadnej spiny. Po prostu jesteśmy bardzo różnymi typa-

mi osobowości i mimo że czasem coś nam razem wychodziło, te nasze klocki zwykle niezbyt do siebie pasowały.
Bardzo się cieszę, że Dem osiągnął w końcu mainstreamowy sukces przez „Kuce z Bronksu", zrobiłem mu potem taki tribute w „Beczce", do którego zaprosiłem wielu znajomych. Powiedziałem wszystkim: „Wyobraźmy sobie, że Dem umarł, i robimy mu pośmiertny filmik" (śmiech). To taki żart oparty na prawdzie – jakby taki twórca jak Dem zmarł, to ludzie by się obsrali, jaki był genialny. A że żyje, to zbyt rzadko się o nim mówi.

Szkoda, że na YouTubie jest mało kwasowych rzeczy niepodobnych do niczego innego – takich jak „Kraina Grzybów" czy „Myszka Miki TV"...
Pewnie dlatego, że ciężko na tym zarobić. Jeśli takie rzeczy się pojawiają, to rzadko wychodzą z niszy i po jakimś czasie znikają. Chociaż na przykład Klocuchowi się udało.

Skoro już tu jesteśmy, to muszę zadać ci to pytanie: wiesz, kim jest Klocuch?
Przed długi czas myślałem, że wiem. Bo padłem ofiarą prowokacji (śmiech).

Kiedyś w filmie z ciekawostkami na swój temat powiedziałeś, że wiesz.
Owszem. Nie kłamałem, wierzyłem że wiem. Ale byłem w błędzie. Kilka lat temu zastępstwo w „Zapytaj Beczkę" miał Cyber Marian. Jakoś mimochodem rzucił Ilonie Patro, która siedziała obok mnie przy stoliku, że to on jest Klocuchem. Ilona niezbyt kojarzyła Klocucha, więc zbyła tę informację, a ja zastrzygłem uszami: „Że co?!".
„No tak, to nasz taki mały projekt poboczny z bratem"– powiedział. Byłem pod wielkim wrażeniem, bo Cyber Marian nie pasował mi do poczucia humoru Klocucha. Poprzysiągłem milczenie, więc nie mogłem tej teorii z nikim zweryfikować, ale ta informacja zepsuła mi radość z oglądania filmów Klocucha. To już nie było to samo, gdy wiedziałem, kim jest naprawdę.
Po kilku latach napisałem do Cyber Mariana: „Hej, a może Klocuch zrobiłby »Zapytaj Beczkę«?". A on odpisał, że nie crossują Klocucha z nikim, żeby utrzymać tę aurę tajemniczości. Parę dni później rozmawiałem z Mietczyńskim. I on mi powiedział: „Słyszałeś, że podobno Cyber Marian wkręca ludzi, że jest Klocuchem?". „Mhmm, no tak, słyszałem, he, he" – odparłem, zachowując kamienną twarz.

Sam Marian w końcu mi się przyznał, rzekomo z powodu wyrzutów sumienia. Zapomniał o tym, że mnie wkręcił, i zdziwił się, gdy napisałem do niego kilka lat później. Wróciłem więc do punktu wyjścia i tych samych teorii spiskowych, którymi żyje reszta internetu.

Śledziłeś Klocucha od samego początku?
Tak, poznałem go już na samym początku działalności. Gdy jeszcze był bardzo mocno w niszy.

Mogę powiedzieć tyle, że bardzo żałuję, że Klocuch nie zamknął kanału właśnie na tamtym wczesnym etapie. Wtedy, kiedy jeszcze nikt nie mógł wiedzieć, czy to prawdziwa osoba, czy postać stworzona dla żartu. Gdyby Klocuch zniknął w tamtym momencie, do teraz moglibyśmy się kłócić, czy to był prawdziwy dzieciak, czy nie. A dziś to oczywiste, że za kanałem stoi dorosła osoba – raz, że gość ma od lat ten sam głos chłopca przed mutacją. A dwa, że te jego dzisiejsze filmy są trochę zbyt profesjonalne i samoświadome.
Tak, te wszystkie piosenki, świadomy montaż, running joki, ...

On już wie, że wszyscy wiedzą. Teraz między nim i widzami jest taka umowa: wy mnie będziecie oglądać, a ja dla was pozostanę wiecznie w roli nieogarniętego czwartoklasisty.
Byłem zły na Cyber Mariana, bo jak już myślałem, że wiem, kto za tym stoi, to mnie to przestało bawić. Ta cała iluzja mi runęła. On mi zmarnował kilka lat contentu Klocucha, bo gdy zaczynałem oglądać nowy filmik, to od razu myślałem „Eee, przecież to Cyber Marian".

Klocucha śledzili totalni obsesjonaci. Były na przykład filmiki analizujące język, którym się posługiwał – okazało się, że typ tak miesza regionalizmy z różnych części Polski, że nie da się ustalić, skąd pochodzi. Czy – poza okresem, w którym myślałeś, że za wszystkim stoi Cyber Marian – też byłeś wkręcony w ustalanie jego tożsamości?
I to bardzo mocno. Byłbym w stanie uwierzyć w teorię, że Klocuch to tak naprawdę kilka osób, że ten kanał był przekazywany z rąk do rąk. Bo są takie analizy, że ten głos się zmieniał na przestrzeni lat.

Warto przy okazji zaznaczyć, że Klocuch był pierwszym youtuberem w Polsce, który doczekał się swojej wystawy. W prywatnej galerii, ale jednak – przez niego nie mogę mówić, że to ja byłem pierwszy. Co więcej: ta wystawa miała mieć otwarcie w tym samym dniu, w którym odbywał się pierwszy GonKon w 2018 roku. Pamiętam, że Artur Wabik, który go współorganizował, powiedział takim poważnym tonem: „Wiesz, znalazłem wydarzenie, które może kolidować z naszymi planami. Patrz: »Klocuch. Moje jest wygranko«. Pomyślałem, że może trochę faktycznie, ale już bez przesady, żebyśmy przesuwali taką wielką imprezę przez wernisaż Klocucha.

Zawsze czułem jakąś naturalną sympatię do ludzi, którzy robią YouTube'a, nie spieniężając go w jakiś oczywisty sposób. Klocuch na pewno coś tam zarobił na YouTubie, ale nie było u niego jakichś jednoznacznych akcji sponsorskich czy czegoś.

Nie licząc Delmy (śmiech).

A tak, faktycznie (śmiech). Miałeś kiedyś kontakt z Klocuchem?

Tak, to było w tej fazie, gdy jeszcze nikt nie wiedział, czy to prowokacja, czy nie, a Klocuch dostawał łapki w dół. Ja pracowałem wtedy w TVGRYpl i wymyśliłem, żeby zrobił coś dla nas. Dużo ludzi w redakcji się oburzało na ten pomysł, że „daj spokój, takie gówno?". A mnie to już wtedy mocno bawiło, chociaż nie byłem pewny, czy Klocuch to prawdziwa osoba, czy postać.
Więc napisałem do niego bardzo miłą profesjonalną wiadomość, czy nie zechciałby podjąć z nami współpracy, zrecenzować gry i tak dalej. A on odpisał tylko: „niewiem jaka gra". Stuprocentowo trzymał się postaci: „niewiem" łącznie, wszystko małymi literami i tak dalej. Pomyślałem: „Uuu, dobry jest" (śmiech). Stwierdziłem, że to ten moment, w którym muszę odpuścić.

A byłeś fanem Testovirona?

Uwielbiałem go i wciąż uwielbiam. Kiedyś przez pół roku miałem taką zajawkę na ten film z pomarańczką, że znajomi mieli mnie dość. Bo do wyrzygania mówiłem im rzeczy typu „masz, poczęstuj się" albo „nie dla psa, dla pana to". Boże, jak mnie to bawiło (śmiech). Kiedyś miałem w ogóle taki pomysł, żeby zrobić taką dokumentalną serię o tych tajemniczych polskich memach i viralach.

Ostatnio coś takiego zrobił WuWunio z kanału „Pal Hajs TV", który pojechał do Buska-Zdroju i znalazł kolesia od „Jestem hardkorem".

O, no właśnie. To miałem bardziej globalny pomysł. Na przykład, żeby znaleźć gościa od „forfitera" i zrobić z nim wywiad.

To by było megatrudne. Koleś może być 60-letnim anonimem zaszytym w jakiejś głębokiej Luizjanie. I weź go tam szukaj.

Trudne, ale nie niemożliwe. Jakby ktoś się postarał, pojechał tam, pogadał z Polonią, to ktoś musi go znać. W środowiskach polonijnych w Stanach wszyscy się znają. Zresztą Kasia mi kiedyś powiedziała, że koleś od „forfitera" to wujek jej kolegi. Zachwyciłem się tym. Mówię: „Kurwa, niesamowite, jedziemy". Namówiłem ją, żeby zrobić o tym film. Więc Kasia odezwała się do tego kolegi. A on się przyznał, że to ściema. Byłem bardzo smutny.

CODZIENNA OKA

Czemu kłamiesz we vlogach?

Rozwiń.

Najpierw pokazujesz swoje życie i sugerujesz, że tak właśnie wygląda. A jak potem twoi widzowie wyciągają wnioski na temat twojego życia, to często mówisz: „Stop, nie znacie mojego życia, znacie je tylko z vlogów". Przecież ta granica realności i nierealności jest bardzo płynna.

To nie jest tak, że wszystkie wnioski płynące z vlogów są błędne. Vlogi to nie jakaś alternatywna rzeczywistość, która nie ma nic wspólnego z prawdą. Są tam raczej przemilczenia lub zmiękczenia rzeczywistości. Czasem omijam na przykład złe rzeczy, które mi się wydarzyły w ciągu dnia. Nie licząc kilku wyjątków. Ty to nazywasz kłamstwem, dla mnie to raczej świadome kreowanie wizerunku i uczciwość wobec siebie samego.

Kiedy zaczynałem robić daily vlogi, to wiele osób komentowało: „Oho, »Big Brothera« se zrobi i będzie kręcił jak sra". A to nie tak – staram się raczej układać tę rzeczywistość we vlogach tak, by finalnie przyniosły ludziom jakąś pozytywną energię i trochę motywacji.

Czyli to taki ekshibicjonizm, który nie jest ekshibicjonizmem. Jesteś jak ekshibicjonista, który chodzi w płaszczu na waleta, ale go nie rozpina.

(śmiech) Tak. Albo ma majtki pod spodem.

Szczerze mówiąc, daily vlogi są moją najmniej ulubioną częścią twojej twórczości. Rozumiem je od strony biznesowej – to sprzedażowa wizytówka komunikująca klientom, że jest taki koleś, który umie szybko skręcić ładny obrazek. Ale jaka korzyść płynie z tego dla widza? Zwłaszcza, jeśli akurat chodzisz po Poznaniu albo Katowicach?

Dobrze, że podajesz przykłady vlogów kręconych z Polski, bo nie mogę tego zbić moim „japońskim" argumentem, że „wspólnie z widzami poznajemy dalekie zakątki świata". Tam nawet jak idę z pracy do domu, to mogę się wykpić, że po drodze widz poznaje inną kulturę.

Dla mnie wartość vlogów tkwi w ich ciągłości – że możesz zobaczyć, jak różne osoby prowadzą swoje życie. Przy czym można to robić na różne sposoby – vlogowe życie Caseya Neistata, zwłaszcza w początkowym okresie, było życiem na sterydach. Każdego dnia ciekawy content, każdego dnia nowe przygody. Przez jakiś czas sam chciałem robić coś podobnego. Kasia mówiła mi wtedy, żebym wyluzował – że jak będę miał nieciekawy dzień, to żebym zrobił film o nieciekawym dniu. Ale ja się uparłem, a ona miała stuprocentową rację.

Więc po pewnym czasie przyjąłem inną taktykę, również dlatego, że nie zdołałbym nadążyć za tempem Caseya. I poszedłem w bardziej realistyczne przedstawianie życia. Nie chciałem preparować jakichś sztucznych sytuacji, żeby się lepiej kliknęło.

Przez pewien czas współtworzyliście z Kasią wspólny format „The Uwaga Pies".

To była świetna zabawa. Uczyliśmy się nowych rzeczy, poznawaliśmy Japonię i doskonaliliśmy swój warsztat.

„The Uwaga Pies" to anglojęzyczny kanał. Mieliście nadzieję na międzynarodową karierę?

Nadzieję mieliśmy. W tamtym czasie to byłoby możliwe. Ale szybko dowiedziałem się o sobie, że nie działam zbyt dobrze, gdy mówię po angielsku do kamery. Umiem się bez problemu komunikować w tym języku, umiem nawet prowadzić rozmowy biznesowe. Ale charyzma mi zupełnie ucieka, gdy próbuję kręcić filmy po angielsku. A oglądalność zdobywa się jednak głównie charyzmą, w mniejszym stopniu poziomem technicznym filmu.

Tak, też odnoszę wrażenie, że byłeś słabszym ogniwem tego kanału. On byłby dużo fajniejszy, gdybyś nie przysłonił go swoim cieniem. Gdyby to były filmy

Kasi, taki kobiecy kanał o Japonii. To byłoby ciekawsze, niż coś, co z perspektywy czasu wygląda jak odprysk daily vloga Krzysztofa Gonciarza.
Dziś też to widzę. Ale na początku istnienia „The Uwaga Pies" vlogów Gonciarza jeszcze nie było. W tamtym czasie to był główny życiowy projekt dla nas obojga.

Był taki okres, że jednocześnie współtworzyłeś „The Uwaga Pies" i nagrywałeś vlogi. Oczywiście, te formaty były zupełnie różne, ale opowiadały dokładnie o tym samym – czyli o Japonii. Czy nie występował tu konflikt interesów?
Występował. To wynikało trochę z faktu, że daily vlogi nieoczekiwanie odniosły sukces. Ani ja, ani Kasia nie spodziewaliśmy się, że decyzja o codziennych nagrywkach stanie się tak istotna. Bo to nie brzmiało jak jakiś superważny projekt. Po prostu chciałem sobie poćwiczyć i ponagrywać po polsku. Nawet w pierwszym odcinku, „Narysowali mi słonia", mówię od niechcenia, że zobaczymy jak to będzie, coś tam sobie poopowiadam o życiu. To nie działało na zasadzie: „A teraz ogłaszam niesamowity nowy projekt!". Sam nie wiedziałem, czy to się będzie ludziom podobać, czy nie.
Ale okazało się, że pykło, bo byłem pierwszą osobą w Polsce, która coś w tym stylu zaczęła robić. Pomogła mi w tym Japonia, czyli miejsce „egzotyczne" z punktu widzenia Polaków.
Jak już się okazało, że to jest sukces, to twardo postanowiłem, żeby odcinki były wypuszczane codziennie. Cały nasz zespół, który dopiero się budował, był nastawiony na to, żeby wypuszczać cokolwiek każdego dnia. Było przy tym strasznie dużo zamieszania – jak ktoś czegoś nie mógł skończyć, to sam montowałem po nocy. Jak niczego nie mieliśmy, to robiliśmy awaryjne Q&A. Byle było cokolwiek, byle wypuścić choćby o 23:59. Teraz wyluzowałem. I jak się nie uda, to macham ręką i mówię: „No trudno".
Ale á propos konfliktu interesów, o który pytasz. Pamiętam, jak wspólnie z Kasią realizowaliśmy w Japonii pewien projekt. To był objazd po kraju z kilkorgiem innych youtuberów. I zostaliśmy wynajęci jako „The Uwaga Pies", ale ja miałem to ciśnienie, żeby cały czas publikować daily vlogi. Więc przez pewien czas dublowałem treści na obu kanałach. Bardzo psułem atmosferę. Bo jeśli ja bym pokazał wszystko, co widzieliśmy przed premierą materiału na „The Uwaga Pies", to przecież obejrzałoby go mniej ludzi. Nie byłby już tak ciekawy.

Ja bym się na miejscu Kasi wkurwiał.
I Kasia się wkurwiała. Aczkolwiek wtedy udało nam się znaleźć kompromis i ostatecznie zawiesiłem vlogi na kilka dni.

Daily vlogi szybko stały się dość pojemnym formatem – są tam i twoje spacery do pracy, i wywiady z ciekawymi ludźmi, i projekty reklamowe.
To prawda. Zrobiłem prawie osiemset odcinków i dla przykładu w tych ramach jest dwadzieścia pięć filmów na temat Igrzysk Olimpijskich.

Czy to oznacza, że formuła klasycznego daily vloga się dla ciebie wyczerpała?
Tak, i to już jakiś czas temu. Dlatego szukam sobie na to jakichś nowych pomysłów. I dlatego przestałem cisnąć je tak często i regularnie.

Jesteś nimi zmęczony?
Tak, ale wciąż uważam, że to świetny format. Super jest ta regularność i powtarzalność. Chętnie bym odnalazł w sobie wenę na kolejnych dwieście odcinków. W daily vlogach jest fajny balans pomiędzy tym, co można zrobić na autopilocie, za bardzo się nie zastanawiając, a tym, co wymaga pomysłu i kreatywności. No i ten format jest dla mnie łatwy. Łatwo mi zrobić daily vloga, który ma ręce i nogi, fajny klimat i tak dalej. To, co nie jest łatwe, to mieć na niego pomysł, który będzie się klikał.
A wracając do twojego pytania, co ma z tego dla siebie widz – ja sam bardzo lubię, gdy ktoś udostępnia mi w internecie coś interesującego. Mogę się wtedy postawić w roli takiego dokumentalisty, który przychodzi i uczestniczy w czymś niezwykłym i odbija to od siebie i swojej wrażliwości.

Wolisz nagrywać siebie czy innych?
Wolę nagrywać sytuacje, niż je samodzielnie tworzyć. Dla mnie narracja o mnie samym jest męcząca. Bardzo natomiast lubię robić filmy takie, jak seria z Igrzysk Olimpijskich. Ja tam nie jestem głównym bohaterem, a tylko jedną z postaci. Osobą, z którą publiczność może się utożsamiać. Reprezentuję mojego widza w jakimś konkretnym, niedostępnym dla niego kontekście.

Wszystko wspaniale, ale zakładam, że jednak kiedyś się te daily vlogi skończą.
Na pewno. Ja w ogóle przez długi czas myślałem, że daily vlogi w obecnej

formie, to już ostateczne wcielenie tego, co robię. Że ja będę na tym jechał do końca swojej youtube'owo-wideowej kariery. Ale to faktycznie jakoś wygasa. Zawsze mówiłem, że w tej branży trzeba wciąż i wciąż wymyślać się na nowo. Jakkolwiek dobry by nie był twój pomysł, to jeśli robisz wciąż to samo, prędzej czy później przestanie być przebojowe.

Rozmawialiśmy o Niekrytym Krytyku, że on od kilkunastu lat robi ten sam format i utrzymuje oglądalność na mniej więcej równym poziomie. Ale zarazem jego ważność na rynku youtube'owym jest coraz mniejsza. Bo mieć pół miliona wyświetleń dziś i sześć lat temu – to zupełnie inne rzeczy. Myślę, że ten mój kryzys z początku roku w dużej mierze wynikał z tego, że nie mogłem odnaleźć kierunku, w którym chciałbym iść. Czułem, że grindowanie vlogów to taka pułapka, którą sam na siebie zastawiłem. Bo jestem w stanie za ich pomocą generować hity, podróżować, robić content podróżniczy i tak dalej. Ale nad tym wszystkim jest sufit, którego nie potrafię przebić.

To była straszna perspektywa. I rozważyłem zako... hmm... Może zakończenie kariery to za dużo powiedziane. Bo tego bym nie zrobił. Ale gdzieś w oddali zaczęło mi migotać pytanie: co by się stało, jakbym przestał? Co mogę robić dalej? Wiadomo, że zająłbym się Tofu i przestał świecić własną twarzą. Ale dla mnie to była jednak bardzo niewesoła wizja. I dokładnie w tamtym momencie dostałem ofertę zrobienia „Tokio 24" w muzeum Manggha. Ten projekt pokazał mi, że może nie muszę mieć klapek na oczach i myśleć tylko o YouTubie. Nowy Gonciarz może zaistnieć w całkiem nowych mediach.

Oczywiście, cały czas YouTube jest mi bliski. Wciąż się zastanawiam, jak zrobić ciekawy film i o czym miałby on być. Ale mam mniej ciśnienia niż kiedyś, żeby testować nowe formaty na YouTubie czy coś w tym stylu.

A gdybyś przestał „świecić twarzą", to byłoby to bolesne dla twojego ego? Gdybyś nie był już Gonciarzem, którego ludzie rozpoznają na ulicy, i stał się szefem firmy, który raz na jakiś czas ma wywiad w jakimś biznesowym magazynie?

Musiałbym się do tego przyzwyczaić, ale chyba umiałbym się tak wygasić.

A potrzebujesz tej rozpoznawalności?

Myślę, że to mi – osobie aspołecznej – ułatwia poruszanie się po rzeczywistości. Bo na przykład nie muszę się przełamywać, żeby poznawać uzdolnionych ludzi. Sami do mnie przychodzą.

CZEMU GONCIARZ NIE LUBI YOUTUBE'A

Czy stresuje cię to, że YouTube jest dziś taką niepewną platformą, bardzo zależną z jednej strony od twojej intuicji, a z drugiej od algorytmu? To dwie zmienne, które ciężko kontrolować. Etat w korporacji byłby jednak stabilniejszą i bardziej przewidywalną opcją.

Tak, stresuje mnie to. Chociaż w ostatnim czasie trochę się od tego uwolniłem i przestałem być więźniem statystyk na YouTubie. Szymon, mój manager, powiedział mi coś, co mnie uspokoiło: że tak długo pracowałem na to, co mam, i tak mocno wryłem się ludziom w pamięć, że jak nie zrobię nowego filmu przez miesiąc, to mnie nie zapomną. I podał przykład Gargamela, który najpierw zrobił sobie półroczną przerwę od YouTube'a, a potem wrzucił film, który szybko zdobył dwa miliony wyświetleń. Tak wierny jest ten jego fandom i tak dobre są jego produkcje.

I to mnie trochę wyzwoliło. Cały czas staram się publikować możliwie najwięcej, ale nie robię tego z przymusu, który odczuwałem wcześniej. Poczułem, że już nie muszę być podporządkowany YouTube'owi. Chociaż wciąż stresuje mnie fakt, że są ludzie, którzy zdobywają milion subskrypcji w parę miesięcy, a ja od ośmiu lat nie mogę przekroczyć tej granicy. To trochę upokarzające. Ale zarazem: chyba nie ma w Polsce youtubera, który miałby większy zasięg niż ja i o którym jednocześnie pomyślałbym, że chciałbym robić to, co on. Pogodziłem się z tym, że rzeczy, które robię, mają takie, a nie inne zasięgi. Moim celem nie jest robienie filmów pod możliwie największą oglądalność.

Jesteś fanem tego, jak YouTube wygląda dziś jako platforma?

Niespecjalnie. Tak jak mówiliśmy: klikalność w dużej mierze zależy od tandetnych miniaturek i tytułów. Przez to gówno niemal zawsze wygra z czymś

fajnym. Czasem uda się zrobić nieco spokojniejszy i bardziej „elegancki" film i sprzedać go w „elegancki" sposób – przykładem niech będzie moja „Sztuka składania historii". Ale takie strzały zdarzają się rzadko.
Więc jakiś czas temu straciłem jakiekolwiek opory. Bo nikt elegancji nie wynagradza. I jak robimy vlogi, to zawsze w firmie jest dyskusja: jak zrobić najbardziej chamski clickbait.

Zadam ci więc pytanie, którego nie lubisz: jak YouTube będzie wyglądał za dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat? Bo mocno się zmienił, od kiedy powstał. Zaczęło się od lekkiej anarchii, amatorskich nagrań i pirackich filmów. Piętnaście lat później mamy pełną profesjonalizację i świadomą (choć jak widać kontrowersyjną) politykę selekcji treści. W którą stronę teraz to pójdzie?
Wydaje się, że i sam YouTube okrzepł, i wszyscy, którzy dostarczają mu contentu, zaczynają wchodzić w pierwszą fazę dojrzałości. Rzeczy, które się dzieją w świecie youtube'owym od kilku lat da się coraz łatwiej przewidywać. To już nie są jakieś mody, które wybuchają i znikają. To coraz wyraźniej różne wzory, długofalowe trendy, które można analizować i robić wiarygodne prognozy. Szczególnie w Stanach staje się to wszystko ustrukturyzowaną gałęzią show-biznesu, a w tej machinie nie ma za bardzo miejsca na spontaniczność i przypadek.
Ale dokładnie przewidzieć, jak to będzie za dekadę czy dwie? Nie dam rady. Oczami wyobraźni widzę kogoś, kto sięgnie po tę książkę w 2030 i będzie się ze mnie śmiał, jak ja śmiałem się wcześniej z przepowiedni Kurasińskiego.

Ale w tym przypadku to nie jest wróżenie ze szklanej kuli. Sam wspomniałeś, że widać mocne trendy. Na przykład części demografii YouTube stopniowo zastępuje telewizję.
Jasne. No i jaki wielki wpływ na YouTube'a miał rozwój smartfonów – teraz to taka platforma do oglądania w czasie lunchu. Masz pięć minut wolnego, to sobie coś obejrzysz.
Przez bardzo długi czas w kontekście YouTube'a rzucało się terminem „profesjonalizacja". Od 2012 się o tym mówiło – że następuje, albo że nastąpi. Więc po paru latach to był straszny suchar. Do dziś ludzie wieszczą profesjonalizację, podczas gdy ona już dawno nastąpiła. Bo dla mnie profesjonalista to ktoś, kto robi jakąś rzecz na tyle dobrze, że na niej zarabia i nie musi robić

niczego innego. I na tej zasadzie YouTube miał profesjonalistów już w 2011 czy 2012 roku.
Dziś myślę, że produkcje youtube'owe są sprytniejsze od współczesnej telewizji. Pamiętajmy, że „telewizyjna średnia" to nie HBO, tylko wszystkie te przaśne kanały pod wyższymi cyferkami na pilocie. Stacje telewizyjne robią rzeczy inaczej pod kątem produkcyjnym. To potężne organizacje z wielkimi budżetami i ekipami. I myślę, że różnica pomiędzy produkcją youtube'ową i telewizyjną tkwi w 5-10% doskonałości technicznej. Z powodu tej różnicy produkcji youtube'owych nie da się emitować poza YouTube'em. Ale tych 5-10% to różnica pomiędzy pracą na przykład dwudziestu osób i dwóch osób. Więc internetowy model tworzenia contentu jest nieporównywalnie bardziej efektywny. Jak pomyślę o tym, co my z Kasią robiliśmy na Igrzyskach Olimpijskich i co zrobiły różne media, które tam były, to zwrot z inwestycji – i inwestycją nazwijmy obecność takiej osoby jak ja czy Kasia na igrzyskach – był bardzo dobry w stosunku do tego, ile i jakiego materiału naprodukowaliśmy. Jeśli możesz wysłać na taką imprezę jedną osobę, to sprawny youtuber jest lepszym wyborem niż dziennikarz.

A może wynika to po części z tego, że te ekipy telewizyjne są mniej zaangażowane emocjonalnie? Jak wysyłasz na tę olimpiadę czterech operatorów, montażystę, oświetleniowca i prezentera, to oni pracują na etacie, dla większego organizmu. Jak jakiś operator nie nagra jakiejś konkretnej setki, to będzie miał to gdzieś. Wróci do Warszawy i powie szefostwu: „No, sorki, nie udało się, nie było możliwości". U was strata dobrej setki byłaby większym ryzykiem. Bo jak zrobicie słaby materiał, to realnie na tym stracicie – wyświetlenia, suby czy po prostu pieniądze.
To prawda, ale u nas w firmie pracują montażyści, którzy nie mają takiego podejścia, że „trzeba zrobić chałturkę".

No nad nimi jest zbyt mało szczebli! Jak coś spieprzą, to od razu odpowiadają przed tobą, czyli szefem. Nad operatorem czy montażystą w stacji telewizyjnej jest zdecydowanie więcej szczebli i jeśli już zbierają opieprz, to raczej od bezpośredniego przełożonego.
No, u mnie jest jeszcze Iza (śmiech).
Do czego zmierzałem: po części dzięki YouTube'owi wytworzyła się nowa

szkoła produkcji wideo. Na czym polega różnica pomiędzy nową i starą? Stara to taka, że mamy plan zdjęciowy i bierzemy iluś tam ludzi. A nowa to szkoła robienia rzeczy bardzo szybko, sprawnie i efektywnie. Na zasadzie: wchodzisz i jest gotowe.

Ja jestem ekstremalnym przykładem tej nowej szkoły, bo lubię robić rzeczy bardzo szybko i na przypale. Wręcz czuję, że to jest trochę słabość, bo brakuje mi cierpliwości, żeby zrobić coś świetnie. A grupa filmowa Darwin jest pomiędzy tymi szkołami.

I ja myślę, że media i telewizja, a może i również film, w pewnym momencie się obudzą. Ogarną, że rzeczy da się robić inaczej. Cały taki sformalizowany model, jak powinna wyglądać produkcja, jakie są role – zostanie w pewnym momencie podważony. Bo to jest system zbudowany na starej technologii. Technologii, która jest trudna do ogarnięcia dla małych zespołów. Nawet młodzi ludzie po szkołach filmowych mają tendencję do oldskulu i komplikowania. Spytaj kolesia po łódzkiej filmówce, jakie światło będzie dobre do nagrania wywiadu. Jak zamkniesz się w dziesięciu tysiącach złotych, to trafiłeś na minimalistę.

Ten system oparty jest też na starszych profesjonalistach i profesjonalistkach, przyzwyczajonych do bardzo konkretnego etosu pracy i konkretnych rozwiązań. Jakbyś powiedział Martinowi Scorsese, żeby wziął i nakręcił komórką film na YouTube'a, to być może nawet by podjął wyzwanie, ale mógłby czuć się zagubiony bez dużej ekipy, planu i tak dalej.

YouTube jest dla mnie estetyką sprytu. Wiele osób mówi, że moje filmy są ładne. Ale moje podejście do tworzenia tych „ładnych" rzeczy jest takie, że ja po prostu patrzę, gdzie jest ładnie, i idę tam kręcić. A produkcja rozumiana tradycyjnie jest w stanie od podstaw zrobić tak, że będzie ładnie.

Jak TVP czy TVN robią film, to po to jest oświetlenie, make-up i kostiumy, żeby stworzyć pewną rzeczywistość. A ja to wiesz, zobaczę, że się gdzieś ładnie odbija słońce, i to mi wystarczy, żeby dać ludziom jakieś uniesienie estetyczne. To jest sprytne, ale oczywiście bardzo ograniczone. Bo nie umiesz tak tworzyć rzeczywistości, tylko ją rejestrować.

Widzisz szansę na to, żeby nowa szkoła i stara szkoła współdziałały?

Widzę. W ogóle zastanawia mnie, na ile stare media – czyli telewizja – i nowe media – czyli te internetowe – się w Polsce wymieszają. Bo skąd się w ogóle wziął sukces YouTube'a w Polsce? Jeśli porównasz sobie branże youtube'owe z różnych krajów, to ta polska rozwinęła się dość szybko w porównaniu z zagranicą. I w Polsce na YouTubie – w stosunku np. do Korei czy Japonii – jest relatywnie mały udział telewizji.

W wielu różnych krajach to jest normalne, że content telewizyjny jest gdzieś tam obecny w krajobrazie YouTube'a. A w Polsce czasem się pojawi jakiś wrzucony fragment serialu – i to tyle.

W ogóle polskie media mocno przespały kilka kluczowych lat gdzieś pomiędzy 2012 a 2015. To był taki czas, w którym telewizje kompletnie nie mówiły do młodych Polaków. Dziś się to troszeczkę zmieniło, ale wtedy dwunastoczy siedemnastolatkowie nie mieli kompletnie nic do oglądania w telewizji.

Idealna sytuacja dla youtuberów.

Właśnie! Z tego się wzięło to, że polski YouTube błyskawicznie wystrzelił, szybko zaczęły tam być pieniądze i zasięgi. Bo jeśli chodzi o walkę o te młodzieńcze serca, to to było kompletnie bezkonkurencyjne. Co ludzie mieli do wyboru? Jakich celebrytów mogli oglądać? Kubę Wojewódzkiego? Dodę? Filipa Chajzera? Te same twarze od dziesięciu, piętnastu lat. Dopiero z czasem pojawiały się nowe, np. Dawid Kwiatkowski, Maciej Musiał czy Dawid Podsiadło. Ludzie zbliżeni wiekowo do targetu, o którym mówię. Urodzeni już w latach 90.

Miejsca było strasznie dużo. Telewizja mogła w pewnym momencie zapewnić sobie dużo większy kawałek tego youtube'owego tortu, mogła bardzo tanio podkupić nawet kanały, marki, ludzi. Tylko trzeba było oferować ludziom po sto tysięcy złotych, a nie po sto złotych za film.

A pamiętasz, jak stacje telewizyjne bały się nawet krótkich fragmentów swoich programów wrzucanych na YouTube'a? Ktoś na przykład brał śmieszny kawałek jakiejś audycji z TVN-u i TVN momentalnie obsrywał zbroję. I te rzeczy natychmiast były zrzucane. Po co to robili? Żeby więcej osób wchodziło na tego ich playera, na którym trzeba przebijać się przez długie kwadranse reklam? Powodzenia.

No, tego nikt z nas wtedy nie kumał. To był moment, który polskie biznesy totalnie przespały. Bo pomyśl, ile tam było potencjalnego terytorium, żeby

się rozepchać! Ja tam wtedy byłem i żałuję, że nie zrobiłem więcej, nie pomyślałem bardziej przyszłościowo, nie wziąłem więcej dla siebie, nie zacząłem formatów, które dziś by procentowały. W 2012 czy 2013 roku YouTube był jak złoże minerałów. Wystarczyło tylko czerpać. A nikt tego nie robił. Ani telewizje, ani korporacje, ani branża muzyczna.

Z drugiej strony, kiedy już współprace youtuberów z mediami się zdarzały, to nie kończyły się najlepiej. Na przykład Niekryty Krytyk miewał romanse z Radiem Zet już w 2011, ale nie trwały one długo.

Bo być może nie wcelowano z formatem lub z pomysłem. Wiesz, ja nie twierdzę, że należało wtedy przyjść do Niekrytego Krytyka i dać mu talk-show po Majewskim. Trzeba było sprawić, że telewizja, we współpracy z ludźmi, zacznie robić content do internetu, który będzie budował telewizji zasięg w internecie i wizerunek telewizji wśród młodych ludzi.

Nikt pewnie nie zrobił badań tego typu, ale założę się, że jeśli porównałbyś popularność wśród młodych ludzi marek telewizyjnych – np. 4FunTV – z popularnością Abstrachujów czy Friza, to większą mieliby ci ostatni. A jeśli ktoś znałby i to, i to i zbadałbyś emocje, to żywsze zdecydowanie wzbudzaliby youtuberzy. Jeden człowiek jest w stanie konkurować z całą stacją telewizyjną!

A czy duże firmy na początku twojej działalności youtube'owej proponowały ci współprace?

Tak. Większość dużych portali i firm mediowych w Polsce na jakimś etapie proponowała mi robienie dla nich treści. Przeleć największe telewizje i portale i o praktycznie każdej z tych firm powiem: „Oni też". Agora, Wirtualna Polska, Onet, TVN, Polsat, TVP – wszystkie największe platformy próbowały pozyskać kogoś takiego, jak ja.

Więc czemu się nie godziłeś?

Bo wszystkie te propozycje były żałosne.

Jak taka współpraca miałaby wyglądać?

Zamiast robić swój kanał youtube'owy – tyrałbym dla nich za pensję lub za symboliczne pieniądze. Więc niemal zawsze odmawiałem robienia contentu,

który byłby publikowany gdzieś poza moim kanałem. A zarazem wiedziałem, że na treściach, które idą do mnie, buduję własną kulę śnieżną.

Ale przede wszystkim to była kwestia pieniędzy. Pamiętam jak wróciłem do Polski ze swoją pierwszą serią z Japonii, dość popularną. I od razu dostałem propozycję współpracy. Więc wyruszyłem do Warszawy na spotkanie z jednym z największych portali w sprawie nabycia praw do dystrybucji tych filmów. Zaoferowali mi sto złotych od sztuki. Cały budżet operacji wynosił dwa tysiące złotych. A 10% tego budżetu wydałem na pociąg do Warszawy.

(pusty śmiech)

To było tym bardziej żałosne, że ja naprawdę byłem otwarty na propozycje. Próba pozyskania mnie jako twórcy contentu dla czołowych polskich portali – ten plan nie był skazany na niepowodzenie. I historia pokazała, że takie osoby należało pozyskiwać nieco agresywniej.

Wszystkie propozycje były takie?

Tylko jedna była przyzwoita. Dość poważny polski biznesmen związany z branżą mediową zaproponował mi wspólne otwarcie start-upu. I propozycja była na tyle opłacalna i efektowna, że poważnie to rozważałem. Czułem, że stoję przed życiowym rozstajem. Przez parę nocy nie spałem, bo zastanawiałem się, co mam zrobić. Czy siedzieć na YouTubie i robić to, na co mam ochotę, czy zacząć pracę w warszawskiej korporacji? Może byłbym w tym dobry?

Chwilę temu powiedziałeś, że jesteś ciekaw, w jaki sposób nowe i stare media się ze sobą wymieszają. To już się dzieje. Chyba najciekawszy przykład to film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu"– o księżach-pedofilach. Dokument ten obejrzano ponad dwadzieścia dwa miliony razy w ciągu pół roku. Totalny pokaz siły w stosunku do młodszych youtuberów – przyszedł sobie z tradycyjnych mediów jakiś dziad po czterdziestce, wszedł na ich platformę i skorał wszystkich tak mocno, że nie ma czego zbierać.

Piękna sprawa. A w dodatku jego Patronite ma obecnie absurdalne rozmiary. I co więcej: ten film, wbrew moim przewidywaniom, nie został upolitycznio-ny. Został tak dobrze opowiedziany, że jest ponad tymi kwestiami.

Myślisz, że twórcy youtube'owi pójdą w tę stronę – robienia dużych, dobrze zresearchowanych treści?

Mówiłem o tym na GonKonie – najpierw był film Gargamela o internetowych podrywaczach, a później dokument Sekielskich. I pomyślałem sobie, że to ciekawe przykłady „youtuberstwa śledczego", które mogłoby zdobyć popularność. Takie dłuższe formy wymagające przygotowań, wywiadów, researchu itd. Fajnie wierzyć, że coś takiego byłoby możliwe, ale boję się, że YouTube jako platforma jest za bardzo randomowy. Wkładasz w coś wiele miesięcy pracy, a ostatecznie wszystko zależy od miniaturki i godziny publikacji. YouTube nie zasługuje na taki content.

Która platforma byłaby bardziej „godna"?

To jest ogólny problem wiodących platform, że ich inżynieria dyktuje, jaki content powstaje i dominuje na świecie. Instagram w pewnym sensie zaorał pewne obszary fotografii. Bo żeby robić Instagrama, trzeba robić zdjęcia pod Instagrama. Takie, które się tam klikną – a klikną się na przykład pionowe, a nie poziome. I z tym nie wygrasz, choćbyś był najwybitniejszym fotografem. Nawet jak zrobisz przepiękne poziome zdjęcie, to ono nie wygra, niezależnie od swojej cudowności.

I podobnie działa YouTube – stworzył pewne gatunki, które działają i które są promowane. I jeśli zależy ci na zasięgu, to innych rzeczy nie opłaca się robić. A przez to, że YouTube to internetowy monopolista na content wideo, a Instagram zmonopolizował internetową fotografię, możemy mówić o pewnej twórczej dyktaturze. Ktoś ci mówi: najlepiej będzie, jeśli wszystkie pliki wideo będą zawierały to, to, to i to.

Wiadomo, że można się z tego wyrwać. Że wciąż jest miejsce dla Klocucha, „Krainy Grzybów" czy innych offowych rzeczy, które mają szansę na bycie viralem. Ale z kalkulacji ryzyka wynika jasno, że tego typu projekty są coraz bardziej nieopłacalne. Z kolejnymi latami trzeba mieć na YouTube coraz więcej odwagi, żeby zaproponować coś świeżego.

Co myślisz o tej sytuacji?

Co myślę jako twórca czy jako odbiorca?

I jako twórca, i jako odbiorca.

Że to naprawdę przejebane.

KIEDY ZAPYTAJ

BECZKĘ

(͡° ͜ʖ ͡°)

Wiesz, obejrzałem ostatnio z 30 odcinków „Zapytaj Beczkę". Ciurkiem.
O, i co myślisz? (śmiech)

Kilka zasadniczych wniosków: im dalej w las, tym mocniej drzesz mordę i tym więcej robisz festyniarskich miniaturek oraz clickbaitowych tytułów.
Też to zauważyłem (śmiech). Nie no, te rzeczy są oczywiście samoświadome. Moje alter ego, czyli prowadzący „Zapytaj Beczkę", ewoluuje. To osoba, która we mnie żyje i się zmienia. A przy okazji z biegiem czasu rozwijam umiejętności aktorsko-komediowe, więc mogę sobie pozwolić na rzeczy, które dawniej mnie przerastały. Bardziej ufam sobie, jeśli chodzi o możliwość udźwignięcia jakiegoś trudnego dowcipu.

Na przykład czego nie zrobiłbyś dawniej?
Choćby recytacji Chodakowskiej. Trzy lata temu byłyby wyłącznie żenujące. Teraz też są żenujące, ale przy okazji trochę śmieszne (śmiech).

Świadomie grasz żenadą i cringe'em?
Staram się, ale jeśli finalnie ludzie śmieją się z ciebie, a nie z postaci i sytuacji, które tworzysz, to znaczy, że się pogubiłeś. Ja czasem celowo żartuję w sposób żenujący. I ufam sobie w tym względzie. Ale dopuszczam możliwość, że dla odbiorcy elementy żenujące są również w momentach, które według mnie są śmieszne (śmiech).

Potrafisz oglądać swoje starsze rzeczy, takie, powiedzmy, sprzed pięciu czy siedmiu lat?
Rzadko. Komediowe rzeczy z przeszłości to zwykle strasznie ciężka przeprawa. Ale ostatnio pokazałem znajomej „Świat Ziemi" – stary projekt, który był

parodią polskiej telewizji edukacyjnej z lat 90. Obejrzałem bez bólu, bardzo mi się podobało. I jej też.
Humor z „Zapytaj Beczkę" szybko się dezaktualizuje, bo często mówię o bieżących sprawach i pokazuję aktualne memy. Ale zmienia się też sposób podawania żartów. W starych odcinkach widzę dowcipy, które napisane były okej, ale kompletnie nie umiałem ich dowieźć. Tylko wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z sprawy z tego, że mogę lepiej.

A widzowie zdawali sobie sprawę?
Ten program zawsze był pozytywnie odbierany. Nigdy nie było tak, że ludzie masowo łapkowali w dół jakiś odcinek. Jeśli nawet wzbudzałem kontrowersje, to robiłem to celowo i miałem wszystko pod kontrolą. Zdarzały się osoby, które wściekały się na żarty z nietolerancji, ale to tylko dlatego, że same utożsamiały się z nietolerancją (śmiech). Ale tym ludziom jakoś nigdy udało się zebrać sił wystarczających do rozkręcenia porządnej afery.
„Zapytaj Beczkę" od samego początku było dla mnie bardzo skutecznym tworem, jeśli chodzi o docieralność przekazu. Ten program hakuje platformę, na której jest zamieszczany. Mogę w tej formule powiedzieć właściwie cokolwiek i nie bać się konsekwencji, bo wszystko jest tam chaotyczne, a wątki błyskawicznie galopują. Zdaję sobie sprawę z tego, że każdy żart może mi tam ujść na sucho, i dlatego odważam się na więcej niż w innych formatach.

Mam taką teorię na temat YouTube'a...
Słucham.

Gdy zakładasz nowy kanał, zwykle stajesz na głowie, żeby tworzyć świetny content i przyciągnąć ludzi. Powiedzmy, że się udaje – po pewnym czasie masz fajny kanał, dużą bazę fanów. I ci fani się moszczą jak na wygodnej kanapie, z której nie chce się wstawać. Dochodzisz do punktu, gdy już właściwie nie musisz szczególnie się starać. Oczywiście, jeśli mocno zaniedbasz kanał albo zrobisz coś skandalicznego, to część fanów się wykruszy. Ale zasadniczo wystarczy, że będziesz dość regularnie wrzucał coś lekko powyżej poziomu kompletnego gówna, a ludzie zostaną.
Czekaj, sugerujesz, że tak jest u mnie?

Tego nie powiedziałem. Myślę po prostu, że taki mechanizm istnieje. Na przykład Niekryty Krytyk od 12 lat napieprza to samo. I do końca życia pod każdym filmem będzie miał po pół miliona wyświetleń.

No, „Zapytaj Beczkę" bez wątpienia cały czas dobrze się trzyma, jeśli chodzi o oglądalność. Często słyszę od dwudziestoparolatków, że odkryli „Beczkę" jeszcze w liceum i miało to wpływ na kształtowanie się ich poglądów i poczucia humoru. Być może część z nich teraz ogląda ten cykl głównie z przyzwyczajenia lub sentymentu. Ale też widzę, że gdy nagrywam rzadziej, to ludzie autentycznie tęsknią.

Uważam, że to, o czym mówisz, to niekoniecznie prawda. Bo na przykład na moim kanale vlogowym zdarzają się słabsze okresy. Potrzebuję tam regularnej dostawy nowych pomysłów, patentów, historii.

„Zapytaj Beczkę" jest dla ciebie obecnie bardziej zarobkowe, zasięgowe czy wizerunkowe?

Moja działalność komediowa nie była w ostatnich 10 latach szczególnie dochodowa. Były jakieś pojedyncze komercyjne akcje, ale rzadko, i miały dużo niższe budżety, niż kanał podróżniczo-vlogowy. Więc robię to raczej dla siebie niż dla pieniędzy.

Przez pięć czy sześć lat kanał „Zapytaj Beczkę" miał więcej subskrypcji niż „Krzysztof Gonciarz". I wtedy te moje komediowe rzeczy były dla mnie takim wlotem lejka sprzedażowego. Miałem wysokozasięgową tubę do gadania rzeczy do dużej liczby ludzi. Ludzi, których Beczka zawsze mógł zaprosić na ten drugi, mniej popularny kanał. Przez pewien czas byłem znany głównie z komedii. Dopóki nie zacząłem robić daily vlogów i „The Uwaga Pies", to ludzie nie wiedzieli, jaki jestem naprawdę. Większość brała mnie za Beczkę. To rodziło sytuacje, w których ludzie bardzo się dziwili, gdy poznawali mnie na żywo: „Co ten Beczka taki spokojny i nic się nie odzywa?".

A próbowałeś kiedyś dostosować się do tych oczekiwań i grać na żywo tego świra z „Zapytaj Beczkę"?

Nie, przenigdy bym się tak publicznie nie wyluzował. W moim życiu było tylko kilka osób, które mogły towarzyszyć mi w trakcie nagrywania „Zapytaj Beczkę" – i wszystkie były moimi dziewczynami. Wstydzę się wygłupiać

przy ludziach. Potrafię to w sobie obudzić tylko w ściśle określonych, kontrolowanych warunkach. Na tegorocznym GonKonie pierwszy raz odważyłem się zrobić coś komediowego na żywo przed dużą publicznością – recytację Chodakowskiej. Kosztowało mnie to sporo nerwów, ale chyba wyszło fajnie.

Kiedy budzi się w tobie Beczka?

Muszę przełączyć się na inne fale. Dużo jest w tym improwizacji. Chciałbym, żeby w takich warunkach powstawało więcej tekstów kultury, bo wydaje mi się to bardzo autentyczne (śmiech). Wyhodowałem sobie taki dziwny aspekt swojej psychiki, który pojawia się tylko w konkretnych, laboratoryjnych warunkach: brak przypadkowych osób w pobliżu, odpowiednie ustawienie studia, moja playlista przed nagraniem.

To ciekawe – ludzie z reguły boją się swojej prawdziwej twarzy, więc w towarzystwie zakładają jakąś maskę. Ty masz na odwrót – krępujesz się właśnie tej maski.

Wiesz, to działa trochę tak jak wtedy, gdy bałeś się powiedzieć wierszyk przy cioci na spędzie rodzinnym. Tylko zamiast wierszyka są fraszki Beczki (śmiech).

Część youtuberów czuje dyskomfort, gdy to nie oni kontrolują kamerę czy program do montażu. Gdy prowadzałem wywiady z youtuberami w Gazeta.pl, to miałem kilka odmów – że pisany wywiad to jak najbardziej, ale przed kamerą niekoniecznie.

Tak, poczucie bycia filmowanym przez cudzą kamerę to coś, co bardzo dużo zmienia w mojej pewności siebie, zachowaniu itd. Mogłoby się wydawać, że przez ostatnich kilka lat obyłem się z kamerą, ale w 100% komfortowo czuję się tylko wtedy, gdy to ja trzymam ją w dłoni.

Pamiętam to z naszego wywiadu w Gazeta.pl – byłeś dość spięty i przyniosłeś własną kamerę, jakby miała cię wspierać i dodawać otuchy. Przez całe nagranie trzymałeś ją na kolanach.

Gdy kręci mnie ktoś inny, to ulatuje ze mnie 60% energii. bo nie wiem, jak wyglądam i jak jestem ustawiony. Gaśnie mi mowa ciała i nie mam pewności, kiedy ktoś włącza lub wyłącza nagrywanie. Na vlogach czy instastories czę-

sto można zobaczyć takie cringe'owe scenki: dwóch youtuberów idzie gdzieś razem i jeden zaczyna nagrywać drugiego, mówiąc: „O, tutaj jest ze mną mój ziomeczek". A ziomeczek cedzi: „siemaaa", tonem takim, jakby był martwy w środku. To jest w chuj niezręczne także dla nagrywającego, bo widzi że ten jego ziomeczek nie chce być obsadzony w roli supportu. Każdy jest pierwszoplanowym bohaterem swojej narracji.

W pewnym momencie swojej kariery zacząłeś budować zespół montażystów, stało się to ważnym elementem twojego kanału vlogowego i ogółem twojej marki. A jednak rzadko korzystałeś z pomocy montażystów na kanale komediowym.

To prawda. Myślę, że były dwa powody. Po pierwsze, wstyd i zażenowanie (śmiech). Żartuję, ale nie żartuję. Mój surowy materiał bez cięć jest taki bardzo... intymny. Widać różne niewypały, momenty zastanowienia, żarty, które są zbyt słabe, by wejść do programu. Potrzebowałem czasu, by pozwolić komuś na oglądanie siebie w takim wydaniu. Druga kwestia jest taka, że komedia to kompletnie inny rodzaj montażu, pomiędzy mną a montażystą musi być chemia. To musi być ktoś, kto rozumie moje poczucie humoru i na bazie półproduktów wyobrazi sobie ten sam żart, co ja. Albo lepszy.

I pojawił się Piter.

Piter Klonowski, tak. Oddanie mu „Beczki" do montażu to był dla mnie bardzo ważny moment. Dogadaliśmy się perfekcyjnie. Piter potrafi wziąć moje żarty i zrobić z nimi coś więcej, napompować je, przekręcić i wysadzić.

Więc jak wygląda teraz wasza współpraca?

Zazwyczaj robimy tak, że po nagraniu ja zajmuję się wstępną selekcją materiału. Nazywamy to „rough cut". Dzięki temu oszczędzamy bardzo dużo czasu, bo z ponad godzinnego materiału, który składa się głównie z ciszy, dostajemy piętnaście-dwadzieścia minut konkretu, który ma już ułożoną strukturę i żarty trafiają tak, jak powinny.

Więc na czym polega część Pitera?

Ten mój pierwszy etap idzie mi bardzo szybko, bo zwyczajnie pamiętam, co wyszło dobrze, a co słabo. Nie muszę się niczego domyślać. Jeśli pewne kwestie są nagrane nie po kolei, ja to wiem. Piter dostaje film w takiej surowej postaci i, jak my to nazywamy, „dośmiesza". Dokłada efekty specjalne, dźwięk, memy, własną warstwę skojarzeń i tych detalików, które pojawiają się gdzieś na pół sekundy. Piter oglądał „Zapytaj Beczkę" w młodości i nie trzeba mu nigdy tłumaczyć żartów. Podobnie jest z Izą, która w tym procesie czasami wspiera nas różnymi dziwnymi grafikami.

Piter to montażysta, z którym rozumiesz się najlepiej?

Jeśli chodzi o humor, to tak. Ale więzi pomiędzy mną a montażystami są zasadzone na różnych gruntach. Konrad najlepiej przekłada skomplikowane emocje na język filmu. Paweł znakomicie operuje formą, ocierając się przy tym o nowoczesną telewizję. Bartek jest bardzo wierny materiałowi źródłowemu. Maciek doskonale wyczuwa ciszę i niedopowiedzenie. No i jest jeszcze Hed, czyli Szymon Liebert. Można go chyba nazwać geniuszem. To człowiek, który wszystko zawsze robi dobrze, z pomysłem, świeżo, na czas. „Po 3 sekundach widać, że Hed montował" – to typowy komentarz na moim kanale.

CHŁOP PRZEBRANY ZA BABĘ

Myślisz, że komediowe kanały na YouTubie jakoś zmieniły podejście do komedii mainstreamowej, puszczanej na przykład w telewizji?

Jedyną opcją dla telewizji jest robienie rzeczy z dużym rozmachem – światła, scena, żywa publiczność, celebryci. Coś, na co twórcy internetowi nie mogą sobie często pozwolić. Ale dziś nie ma w Polsce jakiejś mocnej, komediowej marki związanej z telewizją. Ostatnio były próby z „Saturday Night Live", ale nie wypaliło.

„Ucho prezesa"?

To jest taka produkcja zawieszona pomiędzy światami. Hybryda internetu – bo pierwsze odcinki były publikowane na YouTubie – telewizji – bo były robione według telewizyjnych standardów – i platform streamingowych po wkroczeniu Showmaxa. Oryginalny twór. Część moich znajomych z automatu zaczęło ten serial hejtować i prawie dałem się w to wciągnąć. Ale zorientowałem się, że przecież nie musimy z urzędu hejtować wszystkiego, co staje się mainstreamowo popularne.

W komediowym krajobrazie są jeszcze kabarety. Wciąż zapełniają sale i przyciągają setki tysięcy ludzi przed telewizory.

No i stand-upy, które są coraz popularniejsze i zdecydowanie lepsze niż kabarety.

I są już w zasadzie olbrzymim rynkiem – stand-uperzy sprzedają bilety na występy w ogromnych salach koncertowych, występują w reklamach, na YouTubie niektóre występy mają po 10 milionów wyświetleń – liczby nieosiągalne dla większości polskich youtuberów. I to wszystko bez wsparcia telewizji.

Często słyszę jakieś sugestie, że scena komedii youtube'owej powinna mieć beef ze sceną stand-uperską. Internetowe śmieszki trochę się przyzwyczaiły do posiadania monopolu na „edgy" humor trafiający do młodszych. Bo my mamy memy, jump-cuty, cały ten popierdolony postmodernizm. Humor internetowy był przez kilka lat jedyną kontrą dla szajsu z telewizji. I przez lata dziwiono się, że w Polsce nie ma sceny stand-upowej. Kilkanaście lat temu często o tym myślałem – czy stand-up po polsku by nie działał? Czy Polacy jakoś kulturowo po prostu nie są w stanie tego udźwignąć? Czy to może kwestia czasu, aż stand-uperzy się pojawią? Okazało się, że to ostatnie. Są. Pojawili się, sam nie wiem kiedy.

Myślałeś kiedyś o stand-upie?

Chciałbym to umieć, ale wątpię, żebym był w stanie się tego nauczyć. Ja nie mam panowania nad energią, która jest pomiędzy człowiekiem na scenie a publicznością, nie umiem na żywo tym dyrygować. Dem kiedyś zrobił trasę stand-upową, w czasach, kiedy prawie nikt tego jeszcze w Polsce nie robił.

Sam mu organizowałem pierwszy występ w Warszawie!

O, serio? Świat jest mały. Szkoda, że nie poszedł w tę stronę, dobrze wypada na żywo. Mi się to zdarzyło raz, w Krakowie, w Artefakt Cafe. Słabo mi poszło. Opowiedziałem jakieś historyjki, ale zapomniałem o tym, że to miało być śmieszne. Na szczęście widziała to tylko garstka osób. Nie mogłem wtedy zrozumieć, na ile komik opowiada rzeczy, które naprawdę mu się przydarzyły, a na ile wszystko zmyśla.

A w „Beczce" nie masz takiego problemu?

Widzisz, ja ci mówię, że „Beczka" to stan umysłu, który aktywuje się tylko w konkretnych warunkach. Nie umiem tego włączyć wszędzie tam, gdzie by mi się to przydało. To jest jak Super-Saiyan z „Dragon Balla", trzeba się dopiero nauczyć włączać to na zawołanie.

Czyli w „Beczce" opowiadasz rzeczy, które naprawdę cię spotykają, czy naginasz rzeczywistość?

Czasem tak, czasem tak. Wszystko ma jakieś podłoże w rzeczywistości – większość żartów do „Beczki" notuję sobie w codziennych sytuacjach. Ktoś mi coś opowiada, czuję niezręczność sytuacji. Notuję. Kelner mówi coś dziwnego. Notuję. Mam notes na żarty, w którym zawsze jest około setki takich myśli, „ziarenek", z których można uszyć skecz. Raczej nie zmyślam całych sytuacji, bo w tej formule nie mam takiej potrzeby. W stand-upie więcej pracuje się narracją, nie możesz po prostu zrobić cięcia po jednym żarcie i przejść do następnego. Dlatego tam jest więcej struktury.

Podaj jakieś przykłady żartów z tego notesu.

(otwiera Evernote) No na przykład: „spuszczanie się nad". Taki punkt wyjścia – znaleźć w którymś komentarzu, że ktoś użył takiego sformułowania, zatrzymać się nad nim i pozwolić mu wybrzmieć. Potem zarysować sytuację, w której ludzie faktycznie „spuszczają się nad czymś", tak żeby widz to sobie wyobraził. Taka dekonstrukcja języka.

„Na instagramie nie myśli się, kto zrobił zdjęcie, tylko kto jest na zdjęciu". Jakieś takie losowe przemyślenie, które kiedyś sobie zapisałem. Można z tego uszyć żart z przekazem: że jak popatrzysz na profile np. blogerek podróżniczych, to mnóstwo pięknych zdjęć, pięknych sylwetek, nieskazitelnych zachodów słońca. I komentarzy „brawo kochana jesteś niesamowita!". A gdzie brawa dla tego biednego, instagramowego chłopaka, który to zdjęcie wykonał?

„Jak ludzie się rozpoznają, że już się kiedyś widzieli, to mają taką krótkotrwałą satysfakcję z tego". Zrobić jakąś miniscenkę, że dwóch kolesi dochodzi do wniosku że kiedyś parę lat temu byli na jednej imprezie. I nic z tego nie wynika. Coś ich połączyło, ale to nie ma znaczenia. To nie jest tak, że są znajomymi, albo że znają się od tylu lat.

„Clickbaitowe tytuły pornosów na Pornhubie". To zanotowałem z pół roku temu. Typ żartu, który przewiduje rzeczywistość, bo kolega mi mówił, że widział już takie clickbaity na tej stronie.

„Jesteś bezużyteczny jak teksty kapitana przez głośnik na pokładzie samolotu". Bo wiesz, jak jesteś w długim locie, w pewnym momencie kapitan przez głośnik mówi, że wszystko przebiega pomyślnie, a na miejscu jest pochmurnie. A na zewnątrz minus 70 stopni Celsjusza. Zawsze mnie to bawiło.

I rozumiem, że, mając takie tropy, szukasz komentarzy, które mogą być do nich punktem wyjścia. Wychodzisz na błyskotliwego, bo wybierasz pytania, znając odpowiedzi?

Tak, ale nie zawsze tak było. Przez długi czas całkowicie improwizowałem. Do dziś sporo tam improwizuję – wybieram sobie komentarze, które mnie bawią, i liczę na to że stojąc przed kamerą, wymyślę coś kreatywnego. W ogóle mam tak, że, nie potrafię sobie napisać linijek. Moje kwestie zawsze muszą być improwizowane, bo tylko wtedy brzmią naturalnie. Lubię grać takimi malutkimi zawahaniami głosu, pauzami na szukanie odpowiedniego słowa, błędami gramatycznymi i przejęzyczeniami.

Dużo robisz powtórek?

Nie. Jeśli żart nie wchodzi po dwóch, trzech powtórzeniach, to zwykle z niego rezygnuję. A 90% tego, co widzisz w programie, to pierwsze podejście.

Zdarza ci się, że bardzo chcesz powiedzieć żart na jakiś temat, ale nie możesz znaleźć odpowiedniego kontekstu?

Tak, zresztą ten mój proces twórczy został przez widzów rozpracowany, a ja sam lubię z tego żartować. Ludzie w komentarzach specjalnie używają słów, które mogę wyszukiwać, tak żeby złapać mnie podczas przeszukiwania tej ściany tekstu. To samo w sobie dość śmieszne. Komentarze typu „Krzysiu lubisz masło? #aborcja #feminizm".

Mówiłeś też kiedyś, że ktoś napisał dla ciebie specjalne narzędzie do pracy z komentarzami.

Znajomy programista, Bartek Igielski. Napisał mi narzędzie do wyświetlania wszystkich komentarzy pod filmem na jednej stronie. To brzmi banalnie, ale YouTube sobie z tym nie radzi. Kiedy masz kilka, kilkanaście tysięcy komentarzy pod filmem, samo rozwijanie tej listy na platformie YouTube'a może zająć ci godzinę. A potem wystarczy mały glitch w przeglądarce, okno ci się odświeży, i zaczynasz od nowa. Dzięki Bartkowi mam na to patent. Chcesz śmieszną ciekawostkę na ten temat?

Nie.

Tylko tak mówisz. No więc, jak byliśmy na Igrzyskach Olimpijskich, to nasze

publikowane na bieżąco filmy miały blokadę regionalną – wynikało to z licencji Eurosportu na transmisję Igrzysk. Filmy mogły być dostępne tylko z Europy. Sportowcom, którzy nagrywali z nami, byłem w stanie udostępnić filmy na Dropboksie. Ale nie mieli dostępu do komentarzy. Z pomocą przyszła nam aplikacja Bartka. Więc ten mały tool, napisany do „Zapytaj Beczkę", używany był przez polskich olimpijczyków do czytania hejtów na swój temat (śmiech).

Wróćmy do stand-upu. Miałeś jakiś bezpośredni kontakt z wykonawcami tego rodzaju komedii?

Nigdy nie poznałem żadnego profesjonalnego stand-upera osobiście, za to oglądałem trochę polskich występów i były naprawdę spoko. Lotek jest okej, kiedyś byłem też wkręcony w postać Abelarda Gizy, który wyprodukował serial „Kryzys", będący odpowiedzią na „Louie" Louisa CK.

Tak mi się to spodobało, że napisałem do niego z pomysłem na odcinek. Chciałem stworzyć tam postać irytującego youtubera, który kompletnie nie umie występować na żywo, ale zaprosił komika do współpracy i nagranie jest bardzo niezręczne dla obu stron. Szczerze mówiąc, uważam, że w prawdziwym życiu dokładnie tak by się to potoczyło (śmiech). Niestety, napisałem do niego za późno, serial był już wtedy ukończony.

A miałeś kiedykolwiek zajawkę na jakiś polski kabaret?

Mumio, ale wtedy wszyscy mieli na nich zajawkę. A z takich bardziej wstydliwych... pamiętam, że lubiłem co roku oglądać Kabareton z Opola. Pamiętam nawet, jak Maciej Stuhr lubił się nabijać z Krakowa.

Tak, nawet parodiował Turnaua.

A wcześniej, jak miałem może z 10 lat, to lubiłem Marcina Dańca (śmiech).

Wczesny polski stand-up (śmiech). Pamiętasz, jak Daniec zrobił występ o Whitney Houston?

Tak, że przekręcał jej imię i nazwisko. Na Wetknął... Gustą, czy coś takiego?

Wetknął Chustką. I nazywał jej kilkuletnią wtedy córkę „Murzyniątkiem".

Żyliśmy w innym świecie. Jak miałem 10 lat, to się z tego śmiałem. Dziś wiadomo, że to wstyd, ale nie ma co się retroaktywnie oburzać.

Jasne, nie oczekuję od Marcina Dańca z roku 2000, że będzie social justice warrior. Co nie zmienia faktu, że jak się ten występ o Wetknął Chustką odpali na YouTubie, to można poczytać komentarze współczesnych widzów. A tam zachwyty, że „wtedy to było zajebiście, żadnej poprawności politycznej".

„Stare dobre czasy, można było mówić «Murzyn»". Wiadomo. Aha, jeszcze „Śmiechu Warte" lubiłem.

A wysłałeś taśmy?

Nie, nic śmiesznego mnie nie spotykało (śmiech). Ale to było niesamowite, że cała Polska w godzinie najlepszej oglądalności zaśmiewała się z tego, że ktoś się wywrócił albo że komuś pękły gacie. Oglądało się to z rodzicami, a następnego dnia omawiało z kolegami w szkole: „A widziałeś, jak tamtemu gacie pękły?". Więc dziś ktoś się może wściekać na to, że w 2019 roku dzieciaki oglądają Kruszwila, ale ja nie wiem, czy tu serio jakiś regres zaszedł (śmiech).

Drozda był ówczesną karta „Na czasie".

Swoją drogą niedawno jakaś firma kupiła na YouTube kampanię reklamową targetowaną na mój kanał, przez co, kiedy wchodzisz oglądać mój film, to wyświetla się Tadeusz Drozda mówiący: „Chcesz oglądać Krzyśka? Po co? I tak nigdy nie pojedziesz do Japonii" czy coś takiego.

A propos Drozdy. Kojarzysz taki filmik, jak Drozda, kabaret OT.TO, Kasia Pakosińska i Maria Czubaszek w bólach oglądają polską komedię youtube'ową? Abstrachujów, Maćka Dąbrowskiego, Wardęgę...

Kojarzę. Gargamel nagrał nawet na to odpowiedź.

Nie tylko on – również Abstrachuje i Maciek Dąbrowski nagrali jakieś insta-story, na którym śmieją się z bezbecznego Drozdy z lat 90. Komentarze dali Gimper, Cyber Marian, Chwytak. No to ten film to był mój pomysł – ja tych ludzi tam zaprosiłem i współprodukowałem.

O, nie wiedziałem, że to twoje.

To był jeden z moich największych sukcesów youtube'owych – ponad pół miliona wyświetleń. Część widzów myślała, że to beka z Drozdy, część, że z youtuberów. A w sumie chodziło o to, żeby pokazać, że od lat 90. tkwimy

w suchym kręgu bezbecji. Że niezależnie od tego, czy komedię robi Drozda, czy Abstrachuje, to jakościowo jest dokładnie to samo.

Pamiętam, jak Abstrachuje kiedyś alergicznie reagowali na określanie ich mianem kabaretu internetowego. Że to niby uwłaczające dla internetowej komedii. Bo tradycja kabaretowa to jest coś, od czego chcesz się odcinać, robiąc takie rzeczy.

No i jesteśmy sobie parę lat później (śmiech). Jeśli włączysz np. parodię „Gry o tron" w wykonaniu Abstrachujów, to zobaczysz tam całe wyposażenie chujowego polskiego kabaretu: śmieszne peruki, karykaturalną grę aktorską oraz obowiązkowego chłopa przebranego za babę. Oglądasz to i myślisz: kiedy to skręciło w tę stronę? Czym to się różni od jakiejś Neo-Nówki czy Paranienormalnych?

Kiedyś komedia youtube'owa to była zupełnie oddolna rzecz bez aspiracji do sukcesu komercyjnego. I często wybijały się rzeczy, które wydawać by się mogły mocno niszowe – np. Testoviron czy Klocuch.

Zauważyłeś, że dzisiaj prawie nie ma tego typu viralowych hitów? Tych kręconych byle czym filmików o tym, że ktoś śmiesznie powiedział „jem zupę". Albo geniuszy znikąd, takich jak Testoviron, którzy kręcą rzeczy dziwne, bezczelne, ale tak błyskotliwe, że nagle stają się kultowe. YouTube już nie przepuszcza rzeczy przypadkowych.

Dziś takie treści mogą się viralować, ale tylko wtedy, jeśli zostaną wrzucone bezpośrednio na Facebooka albo Instagrama – jako wideo, a nie jako link do YouTube'a. Przy czym „zostaną wrzucone" nie musi oznaczać „zostaną opublikowane przez autora", bo to są platformy kradzionego contentu. Dzisiejsze „jem zupę" zostałoby zajumane przez 50 facebookowych fanpage'y i 50 memowych kont instagramowych, puszczano by je z dodanymi emoji i napisami, za to bez jakiejkolwiek wzmianki o autorze. Ciężko jest o viral tego typu z zachowaniem autorskości.

Jakub Czarodziej ma ponad siedem milionów pod jednym filmem.

Że co? Na Facebooku?

No. I to nawet nie na jego fanpage'u, tylko ktoś to sobie wziął.

O kurde. Uszanowanko. To chyba znaczy, że dobrze gada (śmiech). W przypadku takiej treści – o bardzo autorskim charakterze – można machnąć ręką na te kradzieże. Bo i tak efekt wizerunkowy jest osiągnięty, ludzie słuchają twojego głosu i patrzą na twoją twarz.

Ale wracając do YouTube'a – tej platformie już nie zależy na przypadkowych viralach, filmikach, na których coś się komuś dzieje i ktoś to przypadkiem nagrał. Czasem do karty „Na czasie" trafi jakiś wypadek na autostradzie, ale rzadko.

Dziś, gdy się coś komuś dzieje na ulicy, to w sposób mniej lub bardziej dokładnie zaplanowany przez prankstera. Czy kiedy zaczynałeś „Zapytaj Beczkę", to próbowałeś konkurować z którymś z wczesnych youtube'owych komediantów?

Pamiętam, jak mnie dupa bolała, gdy Niekryty Krytyk trafił na okładkę „Przekroju" (śmiech).

O, dlaczego cię bolała?

Bo zazdrościłem.

Chodziło bardziej o to, że ty powinieneś tam być, czy że on nie powinien?

Chciałem tam być. Nie że powinienem, tylko chciałem być tym twórcą contentu, który jest na okładce jakiegoś magazynu. Ale Niekryty zaczął swoją karierę na YouTubie wcześniej. Kiedy ja dopiero startowałem z „Beczką", on już był praktycznie numerem jeden w tego typu treściach. Chyba byłem na siebie trochę zły, że wcześniej – po godzinach pracy w TVGRYpl – nie zacząłem robić czegoś komediowego.

Jak teraz widzisz jego postać? Twoim zdaniem to istotna osoba dla polskiego youtuba?

Oczywiście. Spopularyzował komedię youtube'ową, mocno inspirowaną filmami z That Guy With the Glasses. Przetłumaczył ten humor dla polskiej widowni. Ciągnęło to polski YouTube w dobrą stronę, choć do mnie nie przemawiało. Chociaż... zdarzało mi się zaśmiać na tym czy innym jego filmie. Nagrał sporo fajnych rzeczy i sporo męczących.

Z drugiej strony: on był zawsze mocno odcięty od środowiska. Taki trochę dziki. Wychował kilku naśladowców, ale był na dystans od branży.

W pewnym momencie stał się synonimem internetowego suchara.
No tak, plus te jego książki... Przeczytałem pierwszą, to była ciężka przeprawa. Ale Maciej raczej nie pisał jej z myślą o mnie czy o tobie i ponoć sprzedał gigantyczny nakład, więc na zdrowie.

Do dwóch jego książek ilustracje robił autor komiksów Robert Sienicki. Strasznie mu się dostało, jakieś osoby w środowisku komiksiarzy pisały wręcz, że się „zeszmacił". A Robert odpowiedział im zdjęciem na Facebooku, jak leży w gaciach na plaży w Grecji, i napisał, że Niekryty ufundował mu urlop (śmiech).
No i bardzo słusznie. Jak robisz w takiej branży, to nie unikniesz chałtur.

Mnie w Niekrytym najbardziej imponuje to, że od 12 lat nagrywa dokładnie ten sam format, niemal bez modyfikacji. Umarłbym z nudów.
Ale wciąż mu się to ogląda.

Wspominałem już, jak to, moim zdaniem, działa. Jemu się udaje nie tyle spełniać potrzeby widzów, ile ich nie wkurwiać. On odgrzewa ten sam kotlet przez 12 lat, oni się zasiedzieli i na to patrzą, wszyscy są umiarkowanie zadowoleni.
A ja serio nie chcę o nim mówić źle. Jedyne, co mogę mu wytknąć, to to, że nigdy nie ogarnął się biznesowo tak, jak by mógł. Poza tą książką nie przypominam sobie jakichś spektakularnych komercyjnych sukcesów. Nie odnalazł się w języku filmów sponsorowanych i robił niezbyt ciekawe rzeczy.

GRAMICE
BECZKI

Jak kojarzy ci się hasło „poprawność polityczna", tak często używane, gdy mówi się o komedii? Co to w ogóle dla ciebie jest?
Ważne pytanie. Ostatnio krajobraz ułożył się taki, że poprawność polityczna jest orężem tak zwanych lewaków, a ich przeciwnicy bronią „swobody wypowiedzi". Ten układ sił, moim zdaniem, nie ma sensu.

Dlaczego?
Jeśli jedna strona chce coś powiedzieć, a druga chce ją za to skrytykować, to obie powinny mieć do tego prawo. Mnie samemu zdarza mi się wytykać palcem rasistowskie czy homofobiczne wypowiedzi, ale nie jestem przekonany, czy chciałbym prawnego zakazu ich wygłaszania. Tego typu ograniczenia to grząski grunt.

Nawet, jeśli dzięki takim ograniczeniom mielibyśmy mniej agresji czy mowy nienawiści w dyskursie publicznym?
Mogłoby się tak wydarzyć, ale mam w głowie taką idealistyczną wizję, że powinniśmy dążyć do tego, by ludzie nie chcieli mówić głupot po prostu dlatego, że są głupie, a nie dlatego, że jest to karalne. I żeby nawet ktoś, kto w środku jest rasistą czy homofobem, niezbyt chciał wygłaszać na głos swoje poglądy. Nie ze strachu przed sądem, tylko przed tym, że wyjdzie przed ludźmi na idiotę... Utopijne, wiem.

Rozmawiamy niedługo po tym, jak prawicowy publicysta Rafał Ziemkiewicz dostał wyrok za tweeta o dziennikarce Annie Dryjańskiej, że „jest zdeformowana, a jednak ją mama urodziła". Karą jest wykupienie przeprosin w ser-

wisie Onet, co dla prywatnej osoby oznacza wydanie fury siana, stu tysięcy złotych lub więcej. Uważasz, że nie powinien zostać w ten sposób ukarany?

W idealnym świecie społeczeństwo machnęłoby ręką na takiego typa. Przylepiłoby mu łatkę chama, z którym się nie pracuje ani nie rozmawia. Wolę ostracyzm społeczny niż wyroki sądowe. Przecież to nikomu nie da nauczki, tylko raczej budulec do wznoszenia tej ich „twierdzy wolności słowa". Albo do jej uszczelniania – żeby się nie dostały do środka „opary lewackiego szaleństwa". Swoją drogą zgooglaj sobie tę frazę: „w oparach lewackiego szaleństwa" – to chyba ulubione sformułowanie polskich mediów prawicowych. Czasami zamiast o „oparach" piszą o „odmętach szaleństwa", ale rzadziej.

A ty masz jakieś granice w swojej komedii?

Może to dla niektórych zabrzmi zabawnie, ale jestem ostrożny i staram się nie być kontrowersyjny. Czasem żartuję, jadąc po bandzie, z tematów wrażliwych, ale to wszystko jest bardzo bezpieczne.

Bez ograniczeń śmieję się z silniejszego. Jeżeli na przykład po jednej stronie jest Kościół katolicki, a po drugiej środowisko LGBT+, to nie mam oporu, żeby wziąć stronę tych drugich. Bo jeśli komuś w takim sporze stanie się krzywda, to raczej nie Kościołowi. A już na pewno nie zaszkodzą mu śmieszki jakiegoś kolesia z internetu.

Nie operuję jednak nigdy językiem zarzutów. Nawet mówiąc o kimś negatywne rzeczy, dużo chętniej przyjmuję tok myślenia, z którym się nie zgadzam, by go sparodiować. Nie mówię „Kościół jest taki i taki", tylko raczej ironizuję: „Zmuśmy ludzi żeby mieli «Bóg, honor, ojczyzna» w paszportach, a państwo polskie niech kolaboruje z «Red Is Bad«".

Lubię pisać żarty na tematy społeczne, bo mam wtedy okazję wejść w dyskusję ze swoją społecznością. Przy czym w Polsce zakres tematów od jakichś pięciu lat jest ten sam: geje, feminizm, imigranci, mniejszości rasowe w Polsce i tak dalej. Wciąż te same tematy chwytają i wzbudzają emocje. One stale rotują – jak się ludziom znudziło ustawianie uchodźców jako wrogów, to przyszedł czas na homoseksualistów.

W 2015 i 2016 roku sporo pisałeś na Facebooku na temat uchodźców. Wtedy ludzie w mediach społecznościowych, nierzadko pod prawdziwymi nazwiskami, pisali o „strzelaniu do łódek" albo „odpalaniu pieców w Auschwitz".

Zaskoczyły cię rozmiary tej agresji czy też raczej podejrzewałeś, że to sobie bulgocze pod skorupą?

Szczerze zaskoczyły, ale zarazem gdzieś tam nie dopuszczam do siebie tego, że ci ludzie tak naprawdę myślą. Pisanie takich bzdur w internecie wynika tak naprawdę z braku kontroli nad emocjami. Człowiek jest zły, przepełniony adrenaliną, siada do komputera i chce ponapierdalać. Taka bardziej akceptowalna forma darcia mordy na ulicy.

Nie chcę tego bronić, bo tego się nie da bronić. Ale chcę wierzyć, że nie stoi za tym szczera chęć mordowania ludzi, tylko nieumiejętność zwerbalizowania tego, co się czuje. A dodatkowo brak świadomości, że jak coś napiszesz w internecie, to to nie trafia w próżnię, że słowa rezonują i mają moc sprawczą. Chcę w to wierzyć, bo jeśli jest inaczej, to nic, tylko wyskoczyć przez okno (śmiech).

Tylu ludzi jest w stanie napisać coś takiego... A jeśli się wejdzie w ich profile na Facebooku, to widzi się zwyczajne osoby – tu je kiełbaskę z grilla, tam pozuje z rodzinką, a jeszcze gdzie indziej leży sobie na plaży. Może niektórzy traktują internet jak luźną rozmowę z kolegami przy piwie, w której mówi się różne przegięte rzeczy, ale to wcale nie jest tak, że zaraz wstaniemy od stołu i zaczniemy ludzi rąbać siekierami? Staram się tak to sobie tłumaczyć.

Wiesz, strach był paliwem dla niejednego ludobójstwa.

Wiem. To, co mówię, to raczej próba szukania jakiegoś pocieszenia dla siebie samego, a nie chęć usprawiedliwiania takich osób.

A widzisz jakieś szanse na to, że żeby edukować tego typu osoby w internecie, choćby za pośrednictwem YouTube'a? Zdarzało się, że ludzie do ciebie pisali, że zmienili dzięki tobie zdanie?

Pisali. Ale mnie się wydaje, że to, co ja robię, wcale nie jest takie dobre (śmiech).

O, mamy tytuł książki!

Wydaje mi się że rodzaj komedii, który uprawiam, opiera się bardziej na „wink wink pozdro dla kumatych". Wybierasz sobie wkurwiony komentarz jednej strony, czytasz go i jakoś tam dekonstruujesz. A druga strona bije bra-

wo, że „ale ich zaorał". To bardzo łatwe i chociaż staram się być konstruktywny, to nie wiem, czy ktokolwiek wyciąga z tego jakąś naukę. Nie sądzę, żeby było tak, że jakiś konserwatysta nagle poczuje się oświecony, bo obejrzał „Zapytaj Beczkę". Ale trochę chciałbym, żeby tak było.

Do tego formatu przypięto łatkę „lewackiego" tylko dlatego, że w ogóle poruszam takie tematy. A to jest chyba nieco bardziej zbalansowane. Gdyby to odrzeć z konwencji darcia ryja, to znaleźliby się księża, którzy mówią podobne rzeczy. Więc nie wydaje mi się, żeby ten mój program miał jakąś szczególnie wyrazistą linię programową. Łatka lewackości wynika chyba z faktu, że w polskim internecie bardzo mało jest takich rzeczy. Więc z braku laku zróbmy z Beczki wielkiego progresywistę i lewaka. Tymczasem jedyne, co tam konsekwentnie promuję, to idea tolerancji.

Uważasz, że osoby tworzące komedie powinny uważać na język? Mówię tu na przykład o używaniu w żartach słów takich jak „pedał".

Staram się tego słowa nie używać. Ale to wynika z chęci bycia hiperpoprawnym. Ironiczne używanie tego wyrazu może wynikać z chęci rozbrojenia go, unieszkodliwienia, wyszydzenia. Może dzięki temu straci swoją moc tak, by nie dało się nim niszczyć ludzkich żyć.

Swoją drogą niedawno miałem w centrum Warszawy sytuację, która mnie – heteroseksualistę – zaskoczyła. Zaproponowałem znajomemu gejowi, mniej więcej 20-letniemu, żebyśmy poszli do moich znajomych, bo robią jakieś ognisko. A on zaczął wypytywać, co to za znajomi, skąd ich znam, gdzie pracują i tak dalej. Gdy zaskoczony zapytałem, czemu o to wszystko pyta, odpowiedział mi, że woli się upewnić, bo to różnie bywa. Bo zdarza mu się pójść na imprezę do dalszych znajomych, a tam ktoś go opluje, gdy się dowie, że jest homoseksualistą.

Byłem zdumiony – mówimy przecież o Warszawie, niby najbardziej liberalnym mieście w Polsce. Z perspektywy Japonii myślałem, że chociaż stolica jest daleka od tego typu klimatów. Dotarło do mnie, że okej, być może te problemy są dużo poważniejsze, niż mi się wydaje. Bo staram się być wrażliwy społecznie, ale ta moja wrażliwość jest taka trochę teoretyczna. Przez parę ostatnich lat mój kontakt z Polską był bardzo ograniczony. Patrzę na nią przez internet – wiem tyle, ile zobaczę i przeczytam w sieci.

Zdarzało mi się pytać youtuberów, z którymi robiłem wywiady, o odpowiedzialność. Na przykład o to, czy są pewni, że żaden ich żart nie zostanie opacznie zrozumiany. I że – wbrew intencjom autora – jakiś homofob lub seksista nie uzna go za poparcie dla swojego światopoglądu.

Co odpowiadali?

Parokrotnie usłyszałem frazes: „moi odbiorcy są mądrzy i ufam, że wszystko zrozumieją". Nie jestem pewien, czy to takie oczywiste. Na przykład twórcy „South Parku" chcieli, żeby Cartman był taką karykaturą buca i bigota, żeby widzowie śmiali się z tego, jaki jest ograniczony. Tymczasem Cartman ma gigantyczną grupę fanów, którzy go kochają, bo jest taki „niepoprawny politycznie" i jak palnie coś chamskiego, to się cieszą: „Ooo, ale dobrze powiedział!". Nie wydaje ci się, że gdy coś trafia do dużej publiczności, to jest niemal niemożliwe, żeby każdy odbiorca zrozumiał grę ironią?

Nie, na pewno nie. Między innymi z tego powodu nie lubię czytać komentarzy pod swoim filmami. Nawet tych pozytywnych.

Jak to? Autor „Zapytaj Beczkę" nie lubi czytać komentarzy?

Mam tu bardzo na myśli vlogi. 99% komentarzy pod „Zapytaj Beczkę" to mniej lub bardziej randomowe żarty. Ale jeśli chodzi o vlogi, to... sporo ludzi płytko patrzy na różne rzeczy.

Wiele osób nie łapie moich żartów i mnie to frustruje. Krytyczne komentarze bywają trafne, ale spora ich część bierze się z tego, że ktoś po prostu czegoś nie zrozumiał. To też jest męczące, bo nawet, gdy wiesz, że ta krytyka nie ma podstaw, to w głowie i tak analizujesz, tłumaczysz, próbujesz się wytłumaczyć z każdego słowa.

Ale najbardziej wkurzają mnie komentarze typu: „Troszkę się powymądrzam na temat życia Krzysztofa Gonciarza, nie mając jednocześnie o nim pojęcia". Przez to rzadko czytam moją sekcję komentarzy. Zbyt wielu ludzi uważa, że po zobaczeniu wyreżyserowanego wycinka czyjegoś życia ma wystarczająco dużo informacji, by udzielać przyjacielskich rad.

ODSZKODOWANIE ZA PAZURĘ

Czy poczucie humoru jest dla ciebie istotne w relacjach międzyludzkich?
Wydaje mi się, że jeśli ludzie mają podobne poczucie humoru, to jest im się łatwo dogadać. To, co cię bawi, sporo mówi o tym, jakim jesteś człowiekiem. Z czyjejś twórczości komediowej także da się wiele wyczytać o tej osobie. Poznałem wielu ludzi, którzy robią komedię w internecie, i prawie zawsze okazywało się, że prywatnie są właśnie takimi osobami, jakie wyobraziłem sobie na podstawie ich twórczości. Z ludźmi zajmującymi się innymi rzeczami to tak nie działa.
Dość łatwo sprawiać wrażenie mądrzejszego czy sympatyczniejszego niż w rzeczywistości. Ale nie da się udawać, że się jest śmieszniejszym, niż się jest. Komedia w internecie jest tak szczerym gatunkiem, że nie da się tu ściemnić. Na przykład opowiadając dla klików dowcipy, które ciebie samego nie śmieszą. Musisz być po prostu sobą. Niekoniecznie pokazywać całą swoją osobowość, a tylko jej śmieszną stronę. Ale nie można jej markować.

Wspólnie z Kasią Meciński przez pewien czas tworzyliście format komediowy „Mądrość tłumów". Mieliście podobne poczucie humoru?
Tak. Kasia lubiła ten format, bo rzadko miała okazję wygłupiać się przed kamerą.

„Mądrość tłumów" to dość cwaniacki pomysł, nie?
Bardzo. Oczywiście jest to zerżnięte z kanału „jacksfilms", z czym się od początku nie kryłem, bo to było zbyt ewidentne, żebym coś udawał. Ale ja nie mam nic przeciwko „pożyczaniu" formatów, tak samo, jak nie mam nic przeciwko temu, że TVP robi „Wiadomości", a TVN „Fakty". Niby to samo, ale zupełnie nie to samo. Bo wszystko zależy od tego, czym dany format wypełnisz. Wziąłem pomysł z Zachodu i wypełniłem go swoim poczuciem humoru. A dodatkowo założyłem sobie, że cały film – od momentu wybrania komentarzy do renderu – zajmie mi godzinę.

I udało się?
Tak. Myślę, że pierwszych 10 odcinków powstało w takim tempie. Komentarze, nagranie, montaż – wszystko w 60 minut. Przy czym montaż robiłem sam. Proporcja oglądalności do włożonej pracy była rekordowo korzystna, bo „Mądrość tłumów" zawsze się świetnie klikała.
Ale tak naprawdę ten format rozwinął się, gdy zacząłem go robić porządnie. Ludzie oddolnie wypchnęli mnie w stronę większego wypasu. Chcieli, żeby odcinki były trochę dłuższe, bardziej dopracowane, czasem z tandetnymi dekoracjami. A potem włączyłem do tego Kasię, żeby móc odgrywać scenki. Te filmiki nauczyły mnie interpretacji tekstu. Humor nie tkwi w samych komentarzach, tylko w tym, jak ja się z nimi zgrywam. Nierzadko robię z nimi coś, czego nie spodziewaliby się ich autorzy. I też czuję, że mnie to warsztatowo bardzo pomogło.

„Mądrość tłumów" szybko stała się popularna, prawda?
Tak! Mało tego – to mój najpopularniejszy format. To świetnie pokazuje, że „brand" i „oglądalność" to nie jest to samo. Gdyby oglądalność definiowała, kim jestem, byłbym „kolesiem od mądrości tłumów". A wątpię, by wśród czytelników tej książki było dużo ludzi, którym głównie kojarzę się z filmami typu „Czego nie mówić na pogrzebie".

Trochę wcześniej nabijaliśmy się z Abstrachujów, że są bezbekami. Oni też operują najprostszym możliwym humorem obserwacyjnym. Zapytam wprost: czy nie uważasz, że „Mądrość tłumów" to taki sam rak?
To trochę dwutorowa szydera.

Krzysztof Gonciarz – mistrz eufemizmów.
Ten format jest taki niejednoznaczny – bo z jednej strony mnie szczerze bawi i sprawia sporo satysfakcji. A z drugiej zdaję sobie sprawę z tego, jaki jest

rakowy. Wiem, jak romansuje z tym całym światem kanałów pokroju „WiP Bros.", „Marcin Malczyński" – wszystkich tych klonów Abstrachujów. W tym roku poszedłem już w całkowitą metaszyderę i zrobiłem film „Co mówią Gimbusy". To był pierwszy sukces Abstrachujów i przez długi czas żelazny klasyk polskiego YouTube'a. Hit czasów Kwejka. A ja wymyśliłem sobie metażart, że YouTube jest gotowy na pokolenie remake'ów. Upłynęło dość czasu, by nie miało znaczenia, że ktoś już kiedyś zrobił to samo. Więc już sam fakt zrobienia takiego filmu jest żartem, żartem z robienia filmów na YouTube.

Skąd wziąłeś nazwę „Mądrości tłumów"?

Ten tytuł już tak „osiadł", że mało kto się nad nim zastanawia, prawda? A jestem dumny z tego absurdu. Bo „mądrość tłumów" to teoria mówiąca – w wielkim uproszczeniu – że im więcej ludzi dokona jakiejś estymacji, tym średnia ich estymacji będzie bliższa prawdy. Jeśli pięć osób strzeli, ile waży krowa, a my weźmiemy ich odpowiedzi i wyciągniemy z nich średnią, to pewnie nie wyjdzie z tego waga tej krowy. Ale jeśli zrobimy taki eksperyment z udziałem 5000 osób, to okaże się, że te uśrednione szacunki będą zaskakująco trafne. W niektórych przypadkach prognozy tłumu laików mogą się okazać nawet dokładniejsze niż garstki ekspertów.

A u mnie „Mądrość tłumów" to kompletny chaos. Im więcej ludzi się wypowie w jakiejś sprawie, tym głupszy będzie następny odcinek. Ale też, przyznajmy uczciwie, teoria „mądrości tłumów" ma zastosowanie w programie „Mądrość tłumów" – bardzo często widzę sytuację, w której najbardziej „łapkowane" komentarze są naprawdę śmieszne. Tłum demokratycznie wyrzuca na wierzch dobre żarty.

Odcinki z Kasią miały najwyższą oglądalność. Wrócicie do wspólnego nagrywania „Mądrości tłumów" mimo rozstania?

Tak, ale nie dlatego, że nasze wspólne odcinki miały najwięcej wyświetleń. My to po prostu lubiliśmy razem robić. Kasia też mi mówiła, że trochę za tym tęskni.

Moglibyście zrobić odcinek: „O co nie powinien pytać dziennikarz podczas przeprowadzania wywiadu-rzeki".

No, o co?

Srałeś?

Chyba zaproszę cię do odcinka.

W twoim stylu komediowym jest dużo agresji, darcia się, takiego brutalnego chwytania widza za zmysły. Próbowałeś kiedyś czegoś dokładnie odwrotnego, czyli deadpan comedy? Takiego formalnie suchego humoru?

Kiedyś z Koniem mieliśmy taki krótki program, powstały dwa-trzy odcinki, nazywało się to „dWUJnaSUB". Takich dwóch dziadków rozmawiających ze sobą, to szło trochę w tę stronę. Ale takiej kompletnej deadpanowej persony nigdy nie miałem, bo tak nie umiem. W komedii jest tak, że musisz umieć dowieźć. Na przykład Dem potrafi dowozić tego typu żarty z kamienną twarzą. Ja nie potrafię. Zawsze bardzo zazdrościłem mu jego warsztatu, bo on ma szersze spektrum komediowe niż ja. Ale nie umiem grać minimalistycznie, tak operować drobnymi niuansami, żeby było to śmieszne. W tym roku spróbowałem czegoś w tym stylu i nagrałem film jako Młody Gon. Parodia trapera, który w kawałkach ciągle śpiewa o hajsie, ćpaniu i ruchaniu, a prywatnie nie ma pewności siebie ani charyzmy. Dobrze się przy tym bawiłem, chociaż silniejszy był w tym filmie scenariusz niż wykonanie.

Dem był też jednym z twoich zastępców w „Zapytaj Beczkę". Jak to było z tymi zastępstwami?

Pierwsza ich tura urodziła się, gdy wyjechałem do Japonii, ale chciałem, żeby program nadal powstawał regularnie. Zaprosiłem więc kilkoro znajomych twórców. Wyobrażałem sobie, że to będzie taka współpraca, w której każdy po prostu zderzy własną estetykę z formułą śmiesznego Q&A.

Z tego względu dawałem ludziom mało wskazówek, jak to powinno wyglądać. Powiedziałem tylko, że fajnie by było, jakby były jakieś nawiązania do moich żartów, żeby moja społeczność czuła, że to jest zrobione dla niej. Ale poza tym wszyscy generalnie mieli wolną rękę. Pierwszym zastępstwem było Lisie Piekło. I to był dzień, w którym rozdałem najwięcej banów w swoim życiu (śmiech).

Zgaduję: bo była kobietą.

Oczywiście. Wielu użytkowników internetu nie spodziewało się zobaczyć tam kobiety, w związku z czym nie było w stanie sobie poradzić z tą sytuacją.

Na zastępstwo zaprosiłeś też Mietczyńskiego, który potem stał się współprowadzącym „Zapytaj Beczkę". Dlaczego akurat on związał się z programem na tak długo?

Mietczyński jest być może jedynym polskim youtuberem, którego twórczość obejrzałem w całości. Trafia w moje poczucie humoru. Bardzo lubię jego sposób mówienia, to, jak konstruuje żarty: że on nie podaje ci pointy na tacy, tylko cofa rękę z tą tacą, żebyś sam musiał sobie coś dopowiedzieć.

Jego skill komediowy potrafi mnie bardzo zaskoczyć. Na przykład taki żart z jednego odcinka: jest pytanie, co sądzi o Smoleńsku. Patrzysz na to i myślisz: „Ja pierdolę, nie ma szans, żeby z tego dało się sensownie wybrnąć". A Mietek robi półtorej sekundy pauzy i mówi: „Serio?" – i kolejny komentarz. A więc miał taki sam proces myślowy, jak ja i wielu widzów, ale był trochę od nas szybszy. Gdy ja jeszcze zastanawiałem się, jak należy tu zareagować, on już zamknął całą rozkminę i wnioski w tym krótkim „Serio?". I to wystarczyło. Strasznie mi się coś takiego podoba.

Płaciłeś za zastępstwa?

Nie. Zastępstwa w „Beczce" okazały się bardzo skuteczne, jeśli chodzi o wspomaganie karier ludzi tworzących komedię na YouTubie. Jestem naprawdę dumny z odcinków z Maćkiem Z Dupy i GF Darwin. Bo i jeden, i drugi kanał po zastępstwie w „Beczce" przeżył prawdziwą eksplozję popularności i bardzo się cieszę, że mogłem w tym pomóc.

A czy kiedykolwiek współpraca bardziej się opłaciła tobie niż twórcy, z którym współpracowałeś? Że ktoś ściągnął do ciebie tylu swoich fanów, że od razu zauważyłeś duży skok liczby obejrzeń czy subskrypcji?

Te filmy zawsze miały dobrą oglądalność, ale chyba żaden nie dał mi jakiegoś długofalowego boosta. Moja korzyść polega na tym, że mój kanał przez pewien czas był trochę takim hubem dla fajnej – według mnie – komedii internetowej w Polsce. Zrobiła się świetna grupa ludzi, którzy nagrali „Zapytaj Beczkę", miło było wejść do tego grona i przybić sobie z nimi piąteczkę.

Niestety, cała koncepcja runęła głównie dlatego, że nie było aż tak wielu ludzi, których chciałbym do tego zaprosić. Naprawdę nad tym ubolewam, bardzo chciałbym, żeby to był taki program, gdzie pojawiają się nowi komicy, którzy potem robią wielkie kariery. Natomiast udało mi się zaprosić już wszystkich, których chciałem. Pojawiały się na YouTubie różne nowe osoby, które wydawały mi się obiecujące. Ale wolałem najpierw je trochę poobserwować, dać czas, żeby się rozwinęły. No i, niestety, po tym czasie stwierdzałem, że jednak to nie to, z różnych powodów.

Zdradzisz, czyje kandydatury rozważałeś?

Na przykład myślałem o Bazyliszku. Ale ona zniknęła z YouTube'a jeszcze zanim ten pomysł we mnie dojrzał.

A to może powinieneś zapraszać kogoś spoza Youtube'a?

Kiedyś mieliśmy taki pomysł z Maćkiem Dąbrowskim, żeby zaprosić na zastępstwo w „Zapytaj beczkę" Piotra Fronczewskiego. I trochę reżyserować, ale trochę po prostu wykorzystać sam fakt, że on jest z zupełnie innego świata. Usadzić go, dać te pytania, niech on nie wie, o co w nich chodzi, niech będzie zażenowany itd.

To miała być taka niespodzianka w drugim czy trzecim sezonie zastępstw. Niestety, jakoś nigdy się za to nie zabraliśmy. Ale niedługo w „Zapytaj Beczkę" Piotr Cyrwus będzie recytował Chodakowską!

Zgodził się bez problemu?

Tak, w ogóle bez kasy. Chcemy to kręcić na scenie prawdziwego teatru, ubrać Cyrwusa w czarny golf i zrobić poważną otoczkę.

Czemu tak rzadko środowisko youtuberskie crossuje się ze środowiskami aktorskimi na przykład?

Myślę, że problemem jest to, że te środowiska się nie znają i nie rozumieją. Youtuberzy czują pewien respekt przed aktorami, wydaje im się że to są tacy wyższej kategorii celebryci i że nie zniżą się do tego, żeby z nami rozmawiać. I myślę że nawet coś w tym jest. To znaczy, nie twierdzę, że aktorzy są jacyś nadęci i się wywyższają. Ale ci, których miałem okazję poznać, to byli tacy Artyści pisani wielką literą, ludzie z jakiegoś innego świata. Na przykład, gdy rozmawiałem przez chwilę z Michałem Żebrowskim, cały czas czułem jakąś barierę między nami. Z drugiej strony np. Karol Paciorek jakoś robi wywiady z ludźmi tego typu i potrafi się do nich przedostać.

Cezary Pazura sam przyszedł na YouTube'a. Nie znam tego zza kulis, ale z całą pewnością to jest bardzo precyzyjnie zaplanowane przez sieć partnerską i stoi za nim sztab osób. Średnio mu wychodzi granie „wujka Czarka, który wziął i założył sobie kanał".

Tak, to wyłazi najmocniej w tych momentach, gdy prosi o lajki i suby. Bo te wyrażenia w jego ustach brzmią nienaturalnie... Dla niego po prostu kolejna linijka, którą czyta z poprawną dykcją. Ale jednak nie kupuję tego, że on wie, co to znaczy. Że jemu osobiście na tych łapkach w górę zależy. Swoją drogą, miałem kiedyś zabawną sytuację z Pazurą...

No?

To było podczas jednej konferencji o marketingu... Niedawno. Zaproszono mnie na panel dyskusyjny na temat twórców internetowych byli tam też Kominek i Arlena Witt. I prowadzić ten panel miał Cezary Pazura. Pazura chyba nie wiedział, że ma być prowadzącym, bo przez większość czasu opowiadał swoje anegdotki i nie zadawał nam za bardzo pytań. Więc rzadko dochodziliśmy do głosu, co zostało przez publiczność źle odebrane. Ale jak potem się dowiedziałem, to był raczej problem organizacyjny: ktoś mu nie wytłumaczył jasno, w jakiej roli ma się tam pojawić, więc po prostu robił to, co zwykle robi na scenie. Najbardziej mnie bawi puenta tej historii: organizatorzy zaproponowali, że wypłacą mi zadośćuczynienie pieniężne (śmiech).

Cooo? Ile?

Trzy tysiące złotych za straty moralne (śmiech).

I co, wzięłeś?

Jasne. Akurat straciłem tam dokładny ekwiwalent trzech tysięcy złotych moralności.

MARSZ NIERÓWNOŚCI

Czemu polski YouTube jest tak prawicowy?

Polska jest po prostu takim krajem. Miejscem, w którym dominują konserwatywne poglądy.

Ten powód podaje w prywatnych rozmowach większość youtuberów i youtuberek, których znam. Jest jakiś lęk przed utratą suba czy łapką w dół, jeśli nieoczekiwanie powiesz coś progresywnego, a twoja publiczność nie jest do tego przyzwyczajona.

No tak. Za to jeśli publicznie powiesz, że chodzisz do kościoła, nikt w Polsce się od ciebie nie odwróci.

No, to zależy, o jakim kościele mówimy (śmiech).

O katolickim. Raczej nie spodziewałbyś się jakiegoś odpływu widzów w odwecie za manifestowanie katolicyzmu. A jak powiesz, że nie masz nic do gejów, to może być trochę gorzej.

Zdarza ci się, że ludzie próbują cię ewangelizować?

Jasne. Mam nawet kilkoro głęboko wierzących znajomych, które na moje harce patrzą z ojcowską zadumą, wierząc, że prędzej czy później zrozumiem swoje błędy. „Stary, pamiętaj, że On cię kocha, nieważne, czy w to wierzysz, czy nie". Doceniam dobre intencje, aczkolwiek niezbyt życzę sobie takich rad. Wiesz, ile osób próbowało mnie popchnąć w stronę religii na etapie „Dziury w mojej głowie"?

To dość logiczna taktyka ewangelizacyjna – odezwać się do kogoś w momencie kryzysu. A miewasz odpływy widzów, kiedy poruszasz „progresywne" tematy na przykład w „Zapytaj Beczkę"?

Żartowałem kiedyś sobie, że osoby o konserwatywnych poglądach oglądają „Beczkę" na odwrót. Moje poglądy śmieszą ich jako absurdalne żarty, a moje żarty są właściwym przekazem, z którym się zgadzają.
Dla mnie to jest o tyle zabawne, że na tym poważniejszym kanale zdecydowanie rzadziej poruszam tematy polityczne czy społeczne.

Dlaczego?
Bo przekaz w „Zapytaj Beczkę" jest nieporównywalnie bardziej kuloodporny. To nie są dogłębne analizy i argumentacje, a jedynie rzucanie różnych haseł, myśli i skojarzeń. I mi się to podoba, nie chcę wywoływać dyskusji na tematy światopoglądowe pod filmami. Uważam, że „dyskusja w komentarzach na YouTubie" to strata czasu dla wszystkich jej uczestników, a nie coś, co można uznać za poważną, konstruktywną i merytoryczną dysputę. Ja naprawdę w całej tej swojej publicznej karierze unikam zostania takim ekspertem od wszystkiego – nie znam się, ale się wypowiem.

Dużo dostajesz takich możliwości?
No jasne. TVN kiedyś regularnie chciał mojej wypowiedzi do każdego newsa wychodzącego z Japonii. Parę razy się zgodziłem, a potem przestałem, bo naprawdę żaden ze mnie ekspert od japońskich spraw.
Kampanie społeczne uświadamiające rzeczy, co do których nie jestem świadomy. Cytaty w książkach, pracach naukowych, artykułach na tematy, na które nie mam pojęcia. Tak jak mówiliśmy o odrzucaniu dealów komercyjnych, tak samo w tym, co robię, trzeba odrzucać wiele propozycji zabłyśnięcia. Znaczy, „trzeba", ja uważam, że się powinno.
Osobną kwestią są akcje charytatywne czy zbiórki pieniędzy na szczytne cele, z którymi ludzie często do mnie przychodzą. Z jednej strony ma się ochotę wykorzystać swoje zasięgi, żeby pomóc. Ale z drugiej strony to tak nie działa, że jak będziesz wrzucał nową akcję charytatywną co godzinę, to pomożesz wszystkim potrzebującym. Jak zaczniesz zasypywać swoich fanów treściami tego rodzaju, to twoja tablica szybko zmieni się w tablicę ogłoszeniową, na którą ludzie przestaną zwracać uwagę.

Pamiętasz sytuację, w której wypowiedziałeś się o czymś błędnie i potem żałowałeś?

Kiedyś prowadziłem bloga i napisałem tekst o tym, że młodzi ludzie nie lubią wszystkich twarzy polskiej polityki. Pamiętam, że ktoś skomentował go, mówiąc „po co pisać artykuł, mając tak mało do powiedzenia?". I miał rację. Życie nauczyło mnie pokory, jeśli chodzi o zajmowanie stanowiska na różne tematy. Więcej natomiast wolno mi w „Zapytaj Beczkę". Nawet moi rodzice – osoby o konserwatywnych poglądach – przyzwyczaili się do tej konwencji i nie robią mi wyrzutów.

Czekaj, czekaj, twoi rodzice są konserwatywni i oglądają „Zapytaj Beczkę"?
Zgadza się. Oni są konserwatywni, ale nie oczekują raczej, że dopasuję się do ich poglądów.

Miałeś kiedyś problemy z rodzicami z powodu żartów, które robiłeś?
Tak. Nie podobała im się animacja o Piłsudskim, którą kiedyś zrobiłem. Trwało to z sześciesiąt sekund i przypominało trochę popularną wówczas reklamę wody mineralnej Vytautas. Taki szybki ciąg skojarzeń i głupich żartów oparty na animacji. Uczyłem się wtedy After Effectsa i mogłem sobie trochę poćwiczyć.
To był kontrowersyjny film, mimo że w ogóle nie nie stała za nim żadna ideologia. Nie miałem wtedy jeszcze dostatecznie silnej „licencji poetyckiej", by to zostało zrozumiane. Dziś mógłbym takie coś zrobić i raczej nikt nie poczułby się urażony, bo ludzie już bardziej znają moje poczucie humoru. Moim rodzicom było przykro.
Mieliśmy też spięcie o to, że zapostowałem na Instagramie zdjęcie wspierające Czarny Protest. To twardy orzech do zgryzienia, bo z jednej strony chcę szanować ich postawy i jako syn czuję się zobowiązany do pewnej „lojalności". Z drugiej strony mam własne poglądy i całkowity konformizm nie jest dla mnie możliwy.

A są tematy, których nie poruszasz ze względu na nich?
Tak. Ale nie powiem, jakie, bo będą czytali tę książkę.

Czyli cała ta twoja „lewacka propaganda" to jest przekaz i tak przefiltrowany przez myślenie, że mama zobaczy.
Owszem. Ale może to dobrze? Może gdyby nie ten filtr, to bym za bardzo odleciał?

Skoro już jesteśmy przy Czarnym Proteście: to wydarzenie zrobiło na tobie duże wrażenie?
Tak, dlatego się zaangażowałem. Przy czym muszę zaznaczyć, że nie mam precyzyjnie przemyślanego stanowiska na temat aborcji. Nie twierdzę, że wolna amerykanka w temacie aborcji to koniecznie słuszne rozwiązanie. Nie twierdzę też, że całkowity zakaz jest dopuszczalny w cywilizowanym społeczeństwie. Można mnie na pewno zagiąć, podając jakieś skomplikowane przypadki spomiędzy „za" i „przeciw". Ale przecież w Czarnym Proteście nie chodziło o próbę wywalczenia skrajności. Chodziło o obronę przed skrajnością.

Byłeś kiedyś jednoznacznie przeciwny aborcji?
Mam takie mgliste wspomnienia ze szkoły podstawowej, kiedy katechetka opowiadała nam o dziewczynach, które miały aborcję, a przez resztę życia nawiedzały je wyrzuty sumienia i koszmary o płaczących niemowlętach. To była straszna wizja. Spłycona do bólu, ale przecież na takich graniu na emocjach ten temat jest zasadzony w dyskusji publicznej.

Kiedy zmieniłeś zdanie?
Nie pamiętam. Czuję, że to się wiąże z zanikaniem we mnie jakichkolwiek uczuć wobec Kościoła. To jest trochę tak, że jak przestajesz być związany tymi niepodważalnymi dogmatami religii, to nagle budzisz się w świecie, w którym istnieje nauka, dyskusja etyczna, argumentacja za i przeciw. Nie tylko na ten temat. Religia uczy cię nie interesowania się pewnymi tematami, nie zadawania pytań.

Dużo ludzi mogłoby się z tobą nie zgodzić.
Ja sam dopiero po latach zdałem sobie sprawę z tego, jakie pranie mózgu przechodziłem jako nastolatek na lekcjach religii. Pani w liceum zapytała kiedyś na początku zajęć: „Czy jest tutaj ktokolwiek, kto ma jakiekolwiek wątpliwości, że Jezus Chrystus istniał naprawdę?". Cała sala milczała, chociaż połowa uczniów mogłaby swobodnie podnieść rękę. Nie czułem, że ludzie dookoła mnie są jakoś szczególnie wierzący, raczej po prostu zakładają, że tak trzeba, i nie próbują z tym dyskutować. Więc siedzimy razem w milczeniu, i przez to milczenie wyrażamy wiarę.

To było raczej pytanie o Jezusa jako postać historyczną, a nie o Jezusa-zmartwychwstałego Mesjasza.
Jasne, ale tu chodzi o sam ton pytania. Nie wypada się nie zgadzać, nie wypada wątpić i żądać dodatkowych argumentów. Tak jak z tą aborcją. Myślisz, że w szkole podstawowej którekolwiek dziecko jest w stanie intelektualnie podjąć dyskusję z historią, w której dziewczyna „zabija swoje dziecko" i później ma koszmary, w którym to dziecko płacze? Louis CK miał o tym w swoim stand-upie fragment, że przeciwnicy aborcji naprawdę wierzą, że jest to okrutne zabijanie dzieci. I oczywiście, że są temu przeciwni. Każdy zdrowo myślący człowiek jest przeciwny zabijaniu dzieci.

Piękny cytat do wyciągnięcia z książki.
Tak, dajmy to na tył okładki.

Pochodzisz z religijnego domu? Rodzice chodzili do kościoła?
Tak. I przeszedłem tę standardową polską edukację religijną z ostatnim sakramentem, jaki przyjąłem – bierzmowaniem. Myślę, że na etapie bierzmowania robiłem to już tylko po to, żeby rodzina to ode mnie dostała. Nie było to jakieś takie na ostrzu noża, ale na zasadzie, że wypadałoby. Nic mnie to nie kosztowało. No, może oprócz czasu i odrobiny godności. Więc zrobiłem to głównie dla babci.
Myślę, że na etapie bierzmowania już czułem, że to jest takie... trochę udawane z mojej strony. A potem z biegiem lat coraz bardziej. W sensie: zatraciłem te uczucia religijne w sobie. I zacząłem widzieć, że powiedziano mi, że mam te rzeczy czuć, a nie, że ze mnie wynika, że to czuję. Poczułem, że to są tylko oczekiwania otoczenia i presja. A nie moja własna potrzeba.

Wróćmy do kanału vlogowego. Gdy przez Białymstok przechodził pierwszy raz Marsz Równości, jego przeciwnicy próbowali go blokować, obrzucili manifestujących petardami i butelkami, kilka osób zostało rannych. Poruszyłeś ten temat na kanale „Krzysztof Gonciarz".
Moje stanowisko z filmu „Marsz Nierówności" spotkało się z bardzo żywą reakcją. I wyszło to, o czym mówiłem wcześniej – w komentarzach ludzie z obydwu stron rzucali w siebie niesprawdzonymi informacjami i wymieniają się linkami do „źródeł" w postaci śmieciowych artykułów z serwisów o zerowej wiarygodności.

Dlatego bardzo nie lubię takich dyskusji. Bo wydaje mi się, że często przedstawiciele ani jednej, ani drugiej strony nie wiedzą, co mówią. I wszyscy błądzą po omacku, a ty z reguły bardziej ufasz tym, do których ci bliżej światopoglądowo. Ja absolutnie nie wierzę, że w takich przypadkach „prawda leży pośrodku". Ten komunał to taki kompromis dla głupków. Prawda leży tam, gdzie leży, ale ustalenie tego w internetowej awanturze wydaje się niemożliwe.

EWA CHODAKOWSKA

Czemu akurat Chodakowska?

Ewa Chodakowska spełnia wszystkie warunki, jakich potrzebuję, by móc kogoś swobodnie kogoś parodiować. Tworzy bardzo dużo treści, które, wyjęte z kontekstu, mogą brzmieć dość zabawnie. Jednocześnie ludzie, którzy śledzą jej media społecznościowe, są już tak przyzwyczajeni do jej specyficznego języka, że nie zwracają w ogóle na te rzeczy uwagi.

Dla mnie świadoma lektura postów Ewy z Instagrama to bardzo intensywne przeżycie. Gdyby takie rzeczy pisała osoba bez gigantycznej rzeszy followersów i bardzo silnej marki... Ciężko to sobie w ogóle wyobrazić.

Ta rozdęta retoryka w rodzaju „JA walczę ZA WAS", ta niemal sakralizacja siebie samej, w histerycznym tonie. Przepiękne. A jednocześnie skuteczne. Nie lubię znęcać się nad słabszym, więc fakt, że Ewa Chodakowska jest jedną z najpotężniejszych kobiet w Polsce, to dla mnie perfekcyjna furtka. Czuję się bezkarny, bo przecież to, co robię, to tylko takie podgryzanie po kostkach, kompletnie niegroźne przy skali jej działalności. Nie zmierzam przecież do żadnego manifestu typu „obalmy imperium Ewy Chodakowskiej". W tej mojej komedii nie ma głębszego przekazu. No, może poza „zatrzymajmy się na chwilę i zastanówmy, co piszemy/czytamy".

Miałeś kiedyś jakiś odzew ze strony Chodakowskiej?

Nie, nigdy, żadnej najmniejszej reakcji. Nie mam żadnej gwarancji, że ona w ogóle wie o moim istnieniu. Przyznam, że chętnie zaprosiłbym ją gościnnie do jednego odcinka, dał szansę zemścić się na mnie, bądź po prostu zdystansować się do tych moich ekscesów.

Zaprosiłeś?

Wiesz co, no jakoś wstydzę się.

(śmiech)

W sensie co ja mam jej powiedzieć? „Hej, może kojarzysz, że od roku parodiuję twoje posty na Instagramie. To dość popularny segment mojej komedii. Może kawka?".

I co, mam jej wysłać przykładowe linki do „Beczek"? Do odcinka pt. „Nobel dla Chodakowskiej", w którym mówię, że była kandydatką do Pokojowej Nagrody Nobla za posty na Insta?

Może ta książka pomoże wam zbudować jakąś relację.

Może. Ja w ogóle w komedii niezbyt lubię dawać disclaimery, żeby ktoś nie poczuł się urażony. Według mnie to jest piłowanie pazurów. Jak z kogoś żartuję, to nigdy nie piszę do tej osoby: „wiesz co, zrobiłem żart na twój temat, ale jakby co, to jesteśmy spoko, wcale tak nie myślę". Wydaje mi się to artystycznie nieszczere.

Pamiętam, jak na etapie „Kropek" Włodek Markowicz napisał do mnie kiedyś z pytaniem, czy te moje parodie mają być w zamiarze szydercze, czy sympatyczne. Nie odpisałem, bo obie odpowiedzi mi się wydawały złe. Nigdy nie mam w komedii negatywnych intencji, na zasadzie zbeształ, zrugać, zaorać. Ale też nie wszystko musi być przyjacielskim kuksańcem, po którym zaraz się upewniamy, że wszyscy cali.

A miałeś kiedyś z kimś konflikt z powodu twojej komedii?

Doszły mnie kiedyś słuchy, że Stuu za mną nie przepada po jakichś żartach na jego temat. Ale to było dawno temu, nie wiem, czy to prawda. W tym roku mieliśmy okazję poznać się osobiście i miło nam się gadało. Nagraliśmy nawet razem film, poradnik, jak zaczepiać youtuberów na ulicy o zdjęcie. To był bardzo fajny projekt. Satysfakcjonujące jest wrzucenie dwóch tak różnych twórców do jednego filmu i wybrnięcie z tego w sposób, który jest wizerunkowo pozytywny dla jednego i drugiego.

Usiadłeś akurat na Chodakowskiej, ale przecież w internecie polskich celebrytów odwala się dużo inby.

Tak, ja często przecieram oczy ze zdumienia na widok tego, co osoby publiczne w Polsce wypuszczają w świat. Weźmy taką Magdę Gessler... Tego się nie da wymyślić.

Czemu więc nie parodiujesz Magdy Gessler?

Raz spróbowałem, nawet mnie śmieszył mój pomysł na interpretację. Chciałem pójść w stronę psychodelicznej recytacji poezji z grzybowymi wizualkami. Ale jednak ta treść jest taka za bardzo... ewidentnie śmieszna. Za dużo w tym jest intencjonalności, czuć, że Magda Gessler dobrze wie, że stworzyła swoją własną konwencję postowania w mediach społecznościowych i teraz trochę cytuje samą siebie.

W przypadku Chodakowskiej myślę, że to jest mniej samoświadome, ten humor trzeba z postów dopiero wyciągnąć. Bo to nie jest tak, że patrzysz na insta Chody i od razu widzisz lolcontent. Przeglądasz sobie tę treść i potrzebujesz kogoś, kto nagle chwyci cię za ramię i powie „czekaj, czekaj, czekaj, cofnijmy się o kilka zdań". I ja robię dokładnie to.

A co ze słynnym „prawicowym Twitterem"?

O rany. To już jest kompletnie inne królestwo śmiesznych treści. Ale widzisz, parodiowanie tych tweetów, bądź nawet odnoszenie się do nich, od razu powoduje, że humor jest nacechowany politycznie. Według mnie rzeczy, które wypisuje Ziemkiewicz, tak samo zasługiwałyby na wyśmianie, gdyby był opętanym lewakiem. To nie jest kwestia, czy się z kimś zgadzam, czy nie, tylko czy on regularnie generuje sytuacje, w których łapiesz się za głowę i krzyczysz „że CO napisał?!".

Zdradzę ci śmieszny moment mojej komediowej kariery.

Dawaj.

Kiedyś w „Beczce" miałem postać „Buraka", osoby, która wciąż wszystkim dookoła zarzucała buractwo i cebulactwo, takiego rubasznego, konserwatywnego typka, który „na chłopski rozum" oburza się na różne progresywne idee.

Typ człowieka, który mówi, że plecami do gejów lepiej się nie odwracać.

Dokładnie. Jego powiedzonkiem było po prostu „Buractwo!". No więc kiedyś,

nie żartuję, ten mój żart zacytował Samuel Pereira, próbując pojechać po Kuźniarze na Twitterze.

(śmiech) Że co?

Naprawdę. Chodziło o to, że Kuźniar powiedział w jakimś wywiadzie, że podczas podróży do Stanów kupił sobie jakieś rzeczy, a potem zwrócił je do sklepu na koniec urlopu. „BURACTWO!!!" – skwitował to Pereira, wklejając fragment mojego filmu.

Wow.

Wiesz, ja to szanuję, że ludzie, z którymi ideowo jest mi kompletnie nie po drodze, potrafią przebić się przez mój content i coś tam dla siebie znaleźć.

Miałeś jeszcze jakieś inne fascynujące przygody w świecie mediów i polityki?

Kiedyś trafiłem na Twittera Janusza Piechocińskiego jako ciekawostka. Że reklamuję serki Piątnica.

RESZTA
INTERNETU

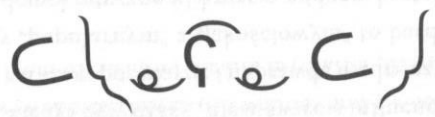

STARZY
LUDZIE W INTERNECIE

Lubisz środowisko youtuberów i influencerów?
Wiele rzeczy mnie w nim irytuje. Uważam na przykład, że ten influencerski świat jest na maksa niesprawiedliwy. Ja wiem, że brzmię jak stary dziad, który narzeka, że „kiedyś były czasy", ale w świecie influencerów rzadko znajdujesz coś, co jest zarazem popularne i naprawdę mądre czy zajebiste. Balansowanie pomiędzy „popularnym" a „jakościowym" to bardzo trudna sztuka w sytuacji, kiedy demokratyczne kliknięcia widzów kształtują twoją markę oraz siłę biznesową. Trudno jest stworzyć dobry koktajl treści klikalnych, atrakcyjnych komercyjnie, śmiesznych i poruszających emocjonalnie. Ten świat jest zasadzony na ściemie, która polega na pokazywaniu, że jest u ciebie lepiej niż rzeczywiście jest. Ta różnica pomiędzy tym, jak influencerzy żyją prywatnie i tym, jak prezentują się publicznie, często jest uderzająca. Czasem masz komuś ochotę powiedzieć, że może powinien oddać te buty Balenciagi do sklepu.

A uważasz że kiedyś to było lepiej pod tym względem?
Na YouTubie?

W ogóle w internecie. Na przykład w ostatnich 20 latach.
Nieee. Może w jakiejś bardzo wczesnej fazie, gdy internet był elitarną konstrukcją, to faktycznie ściągał ludzi jakoś już wstępnie „odsianych". Wtedy trzeba było być „komputerowcem"...
Albo studiować na odpowiedniej uczelni i mieć dostęp do sali komputerowej.
Właśnie. Internet był złożony z raczej inteligentnych ludzi, z którymi można było pogadać z pewną nutą snobizmu na IRC-u.

10 lat starszy ode mnie kolega opowiadał mi o pewnym forum z końca lat 90. Wszyscy byli tam w 100% identyfikowalni, bo polska sieć była tak mała, że zrzeszała kilka tysięcy osób w kraju – studentów, doktorantów, programistów. Więc ludzie czuli, że są wśród swoich, i czasem pisali bardzo intymne posty o swoim życiu seksualnym czy uczuciowym. Aż w końcu strona przestała istnieć, nic po niej nie zostało. Część forumowiczów po latach trochę na to narzekała: że szkoda, tyle postów przepadło, że to trochę jak pamiętniki z tamtego okresu, że może ktoś jednak zrobił backup i trzeba poszukać. Ale ten mój kolega należał do innej frakcji – tej, która mówiła, że wcale nie szkoda, bo na tym forum były takie zwierzenia, że lepiej, żeby to na zawsze przepadło. Bo jakby to wylazło, to nikt z nich nie zrobiłby już poważnej kariery (śmiech).
Pamiętam, jak kiedyś trafiłem na jakieś takie forum o seksie. Zwróciłem uwagę na taką jedną postać, która często się tam przewijała. Gówniarz i troll, bardzo niemiły. I on się tam też chwalił, że jest zawodowym graczem w Starcrafta w Korei (śmiech). Miałbym kilka typów, kto to mógł być.

Część tych forów do dzisiaj istnieje. I to jest dość przerażające, że można czytać swoje posty z 2004 roku. Z czasów, w których pisało się jakieś bzdury albo miało nieco głupsze poglądy.
To prawda. Takie rzeczy będą wygrzebywane coraz częściej, a ludzie z ich powodu już dziś tracą pracę. Ostatnio za stare twitty publicznie rozliczono Jamesa Gunna – reżysera obu części „Strażników Galaktyki".

No właśnie, w temacie rozliczania. Jakiś czas temu na YouTubie pojawiła się moda na jechanie influencerów za bycie bucem, seksistą, rasistą itd. Robili to na przykład Gargamel czy Generator Frajdy. Lubiłeś oglądać takie rzeczy?
Lubiłem, ale załapałem się na to trochę za późno. Więc przegapiłem czas, gdy Gargamel dopiero stawał się popularny. I ocknąłem się w momencie, jak już był. Te filmiki są bardzo satysfakcjonujące, ale tylko pod warunkiem, że zgadzasz się z tokiem myślenia autora. Czyli na przykład jesteś liberalny i lewicujący jak Gargamel. Wtedy będziesz miał ochotę wstawać i bić brawo, że strasznie kogoś tam zaorał.
Ale moją ulubioną dramą nakręconą przez młodych youtuberów była sprawa „Turbo Matury", a potem kłótnia pomiędzy Generatorem Frajdy i Michałem Wawrzyniakiem. Pamiętasz ją?

Tak, jakaś youtuberka niby bezinteresownie zareklamowała Turbo Maturę jako produkt autorstwa znakomitego eksperta. Zapomniała tylko wspomnieć, że ten ekspert to jej chłopak.

Dokładnie. Ludzie szybko to wychwycili i rozerwali ją na strzępy, po czym wmieszał się w to wszystko „Kołcz Majk", czyli Michał Wawrzyniak – jeden z czołowych polskich trenerów motywacyjnych. Wszedł na pewniaka, żeby porozstawiać dzieciaki po kątach. Przyszedł też Generator Frajdy – dwudziestoparolatek o wyglądzie piwniczaka – chudy koleś z podkrążonymi oczami i przymulonym głosem. I ten piwniczak tak doszczętnie zaorał Kołcza Majka, że nie było czego zbierać z tego wielkiego mówcy motywacyjnego (śmiech). Wawrzyniak przecież teoretycznie powinien doskonale wiedzieć, jak rozgrywać takie sytuacje na swoją korzyść. On przecież uczy ludzi m.in. wystąpień publicznych i zażegnywania kryzysów. A położyła go grupa dwa razy młodszych dzieciaków. Do dziś się uśmiecham, jak o tym myślę.

Łatwo się nad nim pastwić, ale jednak to jest koleś, który wszedł na YouTube'a koło czterdziestki. Niewielu było takich, którzy zrobili to samo i się utrzymali.

No jest Rock na przykład. Ale to prawda, że niewiele więcej przykładów byłbym w stanie podać.

Często używasz tego sformułowania: ludzie młodzi. Był taki moment, w którym stwierdziłeś, że powoli przestajesz do nich należeć?

Nie pamiętam konkretnego momentu, ale też... ja zawsze czułem się sporo młodszy niż jestem, nie wiem dlaczego. Może to kwestia tego, że to, co robię, jest „młodzieżowe"? Ludzie, z którymi zadaję się zawodowo, z reguły są młodsi ode mnie. I przez to mentalnie trochę wyleciałem ze swojej grupy wiekowej. Ktoś mógłby wytknąć, że jestem niedojrzały, że w moim wieku trzeba myśleć o zakładaniu rodziny itd. Ale z drugiej strony: nie mam sobie za złe, że mam „młodszą głowę" – bo dzięki temu jestem chyba nieco bardziej otwarty na nowe rzeczy.

Na przykład na co?

Na przykład na nowe technologie. Lubię obserwować, jak ludzie w moim wieku i nawet trochę młodsi odbijają się od coraz to nowszych urządzeń czy platform socialmediowych. Już dekadę temu ludzie z mojego rocznika pisali, że „są za starzy, żeby używać iPada". Potem były smartfony – pamiętam, jak mówiło się, że „po co mi te wszystkie funkcje, ważne, żeby dzwoniło" (śmiech). A w kolejnych latach: „Facebook, no nie wiem, za stary jestem na to". „Fanpage? O kurde, po co to komu". I tak można dojść do Snapchata i TikToka. Tu już jest supersolidny odsiew, bo to bardzo młodzieżowe platformy. Bawi, jak wielu moich rówieśników wróżyło Snapchatowi upadek, bo nie wiedzieli, jak właściwie działa. I teraz – gdy Snapchat rzeczywiście podupadł – przypisują sobie, że „mieli rację". Chociaż nie mieli, bo podupadł z innych powodów: przez Instagrama, który mechanizm snapów zaimplementował u siebie. Czyli niby przewidzieli finał, ale tak naprawdę nie przewidzieli nic. Klasyczne internetowe wróżenie.

Jest taki bloger i startupowiec, Artur Kurasiński. Bardzo go lubię, ale trochę się z niego pośmieję. Kiedyś kręciłem z Kurasińskim spot dla jednego z operatorów komórkowych. I w tym spocie Artur – jako świadomy krytyk współczesności – wygłosił ostrą i wyrazistą opinię, że „dusza firmy Apple jest bardzo skażona" (śmiech). To było z pięć lat temu. I wiesz, to jest opinia na takim poziomie ogólności, że zawsze możesz udowodnić, że miałeś rację. Albo że nie miałeś, wszystko jedno (śmiech). Brzmi fajnie, ale absolutnie nic z tego nie wynika.

Kurasiński w ogóle dużo wieszczy na swoim Facebooku. I pewnie raz na jakiś czas nawet trafia.

Bo internet w ogóle się nie rozlicza z przepowiedni. Mówi się, że internet pamięta, ale jest dokładnie na odwrót – internet zapomina. Mogę napisać, co myślę, że się wydarzy, i dużo ludzi powie: „Łooo, co za mądry koleś". Ale jeśli pół roku później to się nie wydarzy, to nikt o tej mojej przepowiedni nie będzie pamiętał. Za to jak się wydarzy, to sam o niej przypomnę i wyjdę na jeszcze mądrzejszego. Dlatego nie lubię wróżenia z fusów i rzadko, nawet w wywiadach dla mediów, rozwodzę się na tematy typu „gdzie będzie YouTube za pięć lat".

Na szczęście to już mamy za sobą (śmiech).

Czasem żartuję, że powinien istnieć mechanizm wyciągania konsekwencji wobec ludzi, którzy wróżą mój koniec. Bo tego było tyle przez lata! Że ja się

skończę na tym albo na tamtym. Wiesz, że kiedyś wspomniany przed chwilą Michał Wawrzyniak – przy okazji kryzysu wizerunkowego związanego z Nebą, moją marką z koszulkami – napisał, że „przewidział, że taki będzie koniec Gonciarza"? (śmiech) No brawo, kurwa, prorok się znalazł.
Tego było przez te wszystkie lata naprawdę dużo. Udowodniłem ludziom, że nie mieli racji, ale ich to nie obchodzi, bo pewnie sami już zapomnieli, co pisali. A powinno być tak, że teraz przyjdzie 10 000 osób i takiego typa wyśmieje jak Nelson z „Simpsonów" (śmiech).

Ale jak Mariusz Max Kolonko wykrakał wygraną Trumpa w momencie, w którym nikt się tego nie spodziewał, to się tym strasznie chwalił.
Bo jak dużo wieszczysz, to czasem coś strzelisz. To statystyka – jak rzucasz kością 100 razy, to wypadnie ci w końcu szóstka. Kolonce udało się strzelić wyjątkowo spektakularnie, więc to robi wrażenie. Jak u bukmachera: jeśli strzeliłeś coś, co było mniej prawdopodobne, to wygrywasz więcej.

Miałeś kiedyś tak, że ci ludzie, którzy mówili o twoim końcu, ciebie samego przekonali, że może to rzeczywiście jest koniec?
Nie. To nie są głosy, które brałbym do siebie. Po prostu czasem je tu i tam widuję. Nawet kiedyś chciałem zrobić specjalny odcinek vloga, w którym czytałbym hejty na siebie samego sprzed siedmiu lat. Takie w stylu: daj już sobie spokój, nic z tego nie będzie, po co to robisz i tak dalej. Bo wiesz, praktycznie pod każdym odcinkiem „Zapytaj Beczkę" jest komentarz, że ten program to nie to samo i że to już się kończy. Pod każdym odcinkiem od pięciu lat. Naprawdę trzeba w życiu robić swoje i nie oglądać się na opinie ludzi, którzy mają niepełne informacje na nasz temat.

KRZYSZTOF GONCIARZ – DZIAŁACZ INTERNETOWY

Czy gdybyś miał trzydzieści razy mniej widzów, to wciąż byś nagrywał?
Liczyłbym, że zbuduję większą oglądalność. Tak samo, jak liczę teraz. Taki wzrost w moim przypadku może już nie jest bardzo dynamiczny. Ale zawsze ma się ochotę na troszkę więcej.
Zresztą, tu nie chodzi o to, żeby jarać się cyferkami. Tylko o poczucie, że po drugiej stronie internetu są osoby z krwi i kości, które to oglądają. W to, co robię, wpisana jest pewna niszowość, z której zdaję sobie sprawę. Gdybym się uparł, że chcę robić bardziej zasięgowe filmy, to pewnie bym wymyślił coś takiego, co mogłoby się ścigać z peletonem polskiego YouTube'a.
Ale ja po prostu robię takie rzeczy, jakie robię. I ogląda je stosunkowo dużo widzów, jak na taki typ contentu. Ale wyobraźmy sobie autobus wypełniony reprezentatywnym przekrojem polskiego społeczeństwa. Czy gdyby tym ludziom puścić mój film, to wszyscy zaczęli oglądać i dobrze się bawić? Nie sądzę. Nie każdego interesuje życie w Tokio, prowadzenie firmy, poszukiwanie kreatywnych zajawek. Oglądają mnie często ludzie, którym mój styl życia w pewien sposób imponuje, chcą wynieść z niego coś dla siebie. Ale to co robię, nie jest dla każdego.

A którego polskiego youtubera oglądałaby większość tego autobusu?
Pewnie Abstrachujów czy inny taki jakiś damsko-męski humor nieadresowany do konkretnej grupy wiekowej. Dzieciaki oglądałyby Friza, Kruszwila, Stuu. Gdy mówi się o kanałach na YouTubie, to zbyt często porównuje się zasięgi bez porównywania targetów. Co, Gonciarz, nie smutno ci, że więcej ludzi ogląda Stuu? Niekoniecznie, bo wśród widzów Stuu nie ma dużo mo-

jego targetu. Oczywiście można szukać analogii z telewizją i powiedzieć, że mógłbym być taką Martyną Wojciechowską.

Albo Cejrowskim. No właśnie jakie były twoje doświadczenia z telewizją?

W 2012 roku, gdy w Polsce trwały protesty przeciwko ACTA, miałem dziwną przygodę z TVN-em. Z jakiegoś powodu zostałem wypchnięty na bycie jedną z twarzy tego kryzysu.

Pamiętam, że z Tuskiem gadałeś!

Owszem, byłem na debacie z Tuskiem (śmiech). Wtedy to było dla mnie ekscytujące. Czułem się, jakbym robił coś ważnego. Ale, z perspektywy czasu, wydaje mi się to bardzo dziecinne. Nie miało żadnego znaczenia – zaprosili jakichś ludzi i w sumie co z tego? Nie miało to wpływu na powodzenie lub niepowodzenie protestów.

Wracając do tego TVN-u. Poszedłem do jednego z ich programów i podpisali mnie na pasku: „Krzysztof Gonciarz – działacz internetowy".

(śmiech) „Krzysztof Gonciarz – internauta".

„Reprezentant internautów". I pamiętam, że ta moja konfrontacja ze światem telewizji była bardzo śmieszna. Nie szedłem tam, żeby coś zwojować, bo nie utożsamiałem się aż tak z tą sprawą. Myślałem, że chodziło im o to, żebym przyszedł i opowiedział, jak młodzi ludzie w internecie to odbierają. A zostałem postawiony w roli osoby, która ma mocne stanowisko, w dodatku w kontrze ze stanowiskiem stacji.

Dostawałem bardzo podchwytliwe pytanie, więc plątałem się przez kilka sekund, zanim moja wypowiedź zaczynała mieć jakiś sens. I w momencie, w którym już dochodziłem do jakiejś tezy, prowadzący mi przerywał i pytał o coś innego: „czy gdyby pana własność została panu ukradziona, to pan by nie dociekał swoich praw?". Dostajesz na twarz coś takiego i weź z tego wybrnij w ciągu pięciu sekund, które są ci dane.

„Czy pańska żona przestała się puszczać?".

Mniej więcej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że kiedy idziesz do telewizji, to nie możesz słuchać pytań, tylko powinieneś mieć w głowie gotowe oświadczenia i je wygłaszać. To jedyna metoda, żeby z tym wygrać. W pewnym momencie, gdy już wiedziałem, że i tak nie dojdę do głosu, to zrobiłem trollface'a na antenie. Ten mój trollface stał się na chwilę małym memem, a nawet występował w poważnych analizach jako „symbol niekompatybilności światów". Tyle ugrałem.

Od tego czasu zrozumiałem, jak często – nie tylko w telewizji – w celach retorycznych, zamiast odpowiedzieć na pytanie, mówi się wcześniej przygotowane oświadczenie. Ludzie tego nie wychwytują, a to skuteczny sposób manipulacji rozmową.

Jak z perspektywy czasu wspominasz całą tę sytuację z ACTA?

Wolność słowa w internecie jest ważna.

Bardzo okrągła odpowiedź.

Jak z telewizji. Widzisz? Właśnie zrobiłem to, o czym opowiedziałem chwilę temu. Ale odpowiadając faktycznie – kojarzę ją z takim poczuciem głębokiej niemocy.

Kiedy to wszystko się działo, to odnosiłem wrażenie, że reakcja była trochę przesadnie rozdmuchana. Istniały przecież sprawy, które dużo bardziej zasługiwały na rozdmuchiwanie, a było o nich cicho.

Ciężko zrozumieć, co przesądza o tym, że o jednych sprawach mówi się głośno, a o innych milczy. Reagujemy na wiadomości ze świata albo nadmiernie histerycznie, albo przesadnie obojętnie.

A ponadto internetowymi tłumami łatwo jest manipulować. Tak samo było wtedy, choć o fake newsach się jeszcze nie mówiło. Pamiętam, że mieliśmy z Natalią moment lekkiej paniki, kiedy temat ACTA zaczął naprawdę eskalować. Mój film na ten temat zbierał bardzo dużo wyświetleń i stał się jednym z najpopularniejszych polskich głosów w dyskusji na ten temat. Innym był fanpage na Facebooku, założony przez blogera Andrzeja Tucholskiego – szybko się zgadaliśmy, by skoordynować nasze ewentualne następne kroki. Tysiące ludzi wyszły na ulicę. Anonymous opublikowali film, w którym zapowiadali ataki na polskie strony rządowe. Ja dostałem zaproszenie na debatę w Kancelarii Premiera. „Przyjedź do Warszawy, zakładamy partię – musimy porozmawiać" – napisał do mnie znajomy, który miał wówczas pod sobą serwisy internetowe z kilkoma milionami użytkowników. A ja byłem w tym

wszystkim takim Nikodemem Dyzmą, a nie Snowdenem. Nie wiedziałem, co mam robić, ale z jakiegoś powodu bardzo wielu ludzi widziało we mnie jakiegoś przewodnika. Przyszedł moment, w którym zacząłem się oglądać za siebie, wracając z pracy wieczorami, obserwowałem, jakie samochody są zaparkowane na odcinku pomiędzy GRY-OnLine a moim mieszkaniem.

(śmiech)

Śmiesznie to brzmi z dzisiejszej perspektywy, ale łatwo jest być mądrym po fakcie. Wtedy nie było jasne, co się wydarzy i jaka będzie w tym moja rola. Ja w gruncie rzeczy nie miałem ochoty na to wszystko, ale uznałem, że na tyle dużo ludzi liczy, że coś zrobię, że głupio jest po prostu uznać, że jeny, znajdźcie sobie innego PR-owca dla tego ruchu, ja się wypisuję.

A samo spotkanie z premierem?

Cztery godziny siedzenia, powiedziałem jakieś trzy zdania. Pasjonujące, naprawdę. Najzabawniejszym momentem dnia było dla mnie, jak zapowiedziano wypowiedź Krzysztofa Gontarka, blogera. Wszyscy wtedy facepalm, kurwa, przekręcili Gonciarzowi nazwisko, łże-elity. Minister Cyfryzacji z nas szydzi! A prawda była taka, że na sali rzeczywiście siedział Krzysztof Gontarek. Taki bloger.

„Co tam premier, Hołdys wysłuchał", napisał mój znajomy na Facebooku. Faktycznie, Zbigniew Hołdys siedział kilka krzeseł dalej. Wtedy wchodzę ja, cały na biało, i mówię o szacunku do praw autorskich.

Jak się skończyła ta cała sytuacja?

Wszystko oczywiście rozeszło się po kościach. Temat co jakiś czas wraca. Założę się, że ACTA – w jakiejś innej, gorszej postaci – dawno już jest w mocy.

Ostatnio środowiska internetowe – w tym Wikipedia – próbowały rozkręcić inbę wokół dyrektywy, którą tłum ochrzcił mianem „ACTA 2". Odbywały się nawet protesty. Tylko szum był tym razem zbyt mały, nikogo to nie obeszło. I dyrektywa przeszła bez poprawek.

No właśnie. Tylko o ACTA udało się oprzeć memy i odpowiednią narrację. Cała ta przygoda wykształciła we mnie bardzo fatalistyczne podejście do tego, co dzieje się w internecie. Że czasami nie ma znaczenia, czy siedzimy na kwejku, czy walczymy o demokrację.

Zniechęcanie do aktywizmu społecznego i obywatelskiego wkurwienia to niezbyt szlachetna postawa.

To prawda, może przesadzam. Chyba chodzi mi o to, że rozczytanie rzeczywistości politycznej jest bardzo trudne. Tłum nie wie, kiedy powinien wyjść na ulice, a te mechanizmy, które powodują, że czasem wychodzi, są najeżone błędami.

Nie chcę zniechęcać do robienia takich rzeczy, ale zachęcić do robienia ich z głową. Jak dzieje się jakaś inba, to warto zadać pytanie, dlaczego. Dotrzeć do źródeł, a nie tylko udostępniać memy.

Aktywizm internetowy często pada właśnie ofiarą szyderstw tego typu: „bójcie się naszych memów". Jest nawet taki termin „slaktywizm", czyli leniwy aktywizm.

Ja bym, mimo wszystko, trochę tego bronił. Budowanie masy krytycznej w internecie nie jest zastępstwem wyjścia na ulice i protestowania, ale to też element naszej rzeczywistości. Internet jest realem, serio.

Jak wybuchła mi w twarz afera z Naebą, moją marką ciuchów, nikt nic z tym nie zrobił „w realu". A jednak tysiące, może dziesiątki tysięcy osób wzięło udział w tym scenariuszu. Podczas moich nieprzespanych nocy, nie było wielkim pocieszeniem, że przynajmniej tłum z pochodniami nie idzie pod mój dom. Chociaż może... No, to by było faktycznie bardziej stresujące.

Od czasu ACTA często zdarzało ci się angażować ludzi w jakieś sprawy większej wagi?

Jestem z tym ostrożny. Myślę dziesięć razy, zanim się zaangażuję. Wiele lat temu na YouTubie pojawiła się postać o nazwisku Grażyna Żarko. Taka pani w średnim wieku, która plotła jakieś bzdury, a w komentarzach ją okropnie wyzywano. Okazało się, że to była prowokacja, projekt stworzony przez reżysera Bartłomieja Szkopa i producenta telewizyjnego Grzegorza Cholewę, odpowiedzialnych również za „Klatkę B" i postać Barbary Kwarc. Projekt z Żarko miał pokazać mechanizmy hejtu.

Po ujawnieniu tego, zrobiłem zrzutkę crowdfundingową na wakacje dla tej pani – taką niewinną, żeby pokazać że w internecie są też mili ludzie, żeby miała jakąś odskocznię od tego co przeszła. To były czasy, kiedy crowdfunding w Polsce budził bardzo dużo zawiści. Więc oberwało się trochę i mnie, i jej, że niby wyłudzanie pieniędzy od ludzi dla aktorki, która wiedziała, na co się pisze. Trudno mi to ocenić z perspektywy czasu, ani to było jakieś super mądre, ani głupie.

W ogóle z tym crowdfundingiem to śmiesznie było. Jeden z pierwszych polskich youtuberów, dziś już długo nieaktywny, Kamil Scheicht zrobił kiedyś zbiórkę pieniędzy na aparat dla siebie do kręcenia odcinków. Bo poprzedni mu się zepsuł albo został mu skradziony, coś takiego.

Ta zbiórka została jednoznacznie źle odebrana przez społeczność. Żebractwo. Wykorzystywanie ludzi. Twórca musi tworzyć z pasji. Przecież na biednego nie trafiło. Wszystko. Chciałbym dziś znaleźć ludzi, którzy wtedy podcięli mu skrzydła, i zapytać ich o zdanie na temat tego, co wydarzyło się lata później w temacie crowdfundingu w Polsce. Patronite. Gonciarz, Darwini, Langusta na Palmie, Sekielski.

Miałem z Scheichtem takie bardzo filmowe spotkanie po latach. Na ulicy w Londynie zaczepił mnie jakiś typ. „Nie poznajesz mnie", powiedział. „Kiedyś byłem youtuberem" (śmiech).

Wracając do ACTA – ten temat zbudował ci dużą popularność poza środowiskiem graczy.

Tak, ale to nie było wykalkulowane. Mój film o ACTA wystrzelił, ale był po prostu spontaniczną reakcją na tę sprawę. Nagrałem niewinne, intuicyjne dla mnie przemyślenia, które stały się najpopularniejszym filmem w Polsce na ten temat, co trochę mnie przerosło, bo nie czułem się merytorycznie gotowy do bycia głosem ludu. Na szczęście okazało się, że w telewizji wystarczy w dobrym momencie zrobić trollface'a.

WIZUALIZACJA

Skąd wziąłeś postać Krzysztofa Kanciarza? Powstała w 2012 roku. To dość wcześnie – od tego typu coachów zaroiło się w polskim internecie nieco później.

Kanciarz, Gimbus i wszystkie inne postaci zrodziły się z jakiejś takiej improwizacji. Bo w „Zapytaj Beczkę" jest jej bardzo dużo. Pierwsze 50 odcinków było właściwie w 100% improwizowane. Wybierałem wcześniej komentarze i czasem coś mi wtedy przychodziło do głowy, ale nie zapisywałem tego nigdzie. Stawałem przed kamerą jako czysta tablica. Czasem patrzyłem na jakiś komentarz i nawet nie pamiętałem, dlaczego go wybrałem, więc wymyślałem coś na poczekaniu. W takim improwizacyjnym amoku rodziło się mnóstwo rzeczy.

Kanciarz był chyba wspólnym pomysłem Natalii Berdys, Łukasza Konatowicza i moim. Wyszło po prostu od tego, że to śmieszne przekręcić „Krzysztof Gonciarz" na „Krzysztof Kanciarz". Ale od razu uznaliśmy, że to świetne imię i nazwisko dla takiego złego coacha biznesowego. Scenariusze wymyślaliśmy razem z Łukaszem, który zapoznał mnie z postacią Roberta Kiyosakiego – gwiazdy rozwoju osobistego, autora książki „Bogaty ojciec, biedny ojciec", która chyba do dziś nieźle się sprzedaje.

Jestem dumny, że wyprzedziliśmy trendy, bo era prawdziwej beki z coachów przyszła dopiero parę lat później. Myśmy odpowiednio wcześnie zauważyli to środowisko. Te ich techniki „samorozwoju" i „motywacji osobistej" jeszcze nie były tak popularne, ale wydały nam się szalenie absurdalne.

Część tekstów dla Kanciarza jest zbudowana na prawdziwych cytatach z książek motywacyjnych. One często były poprzerabiane, miały dodane różne gierki słowne i dwuznaczności – dużo wniósł tu Koniu, który jest mistrzem takiego humoru. Ale trafiały się też zdania tak idiotyczne, że brzmiały jak przerobione, a były wiernymi cytatami.

A jak dziś się odnosisz do instytucji coachów? Bawią cię, traktujesz ich poważnie, czy uważasz, że to zróżnicowane środowisko i trzeba umieć oddzielić ziarno od plew?

Myślę, że jestem bardzo niekompatybilny z tym typem ludzi. Głupio mi mówić, że wszyscy są źli, bo może są jacyś dobrzy, ale ja chyba tych dobrych nie poznałem. Może wynika to z tego, że też jestem nauczony mowy ciała i różnych prezentacyjnych sztuczek. Dla kogoś, kto zna ten warsztat, wystąpienia coachów brzmią tak absurdalnie sztucznie, że trudno je traktować poważnie. Mnie przekonuje Elon Musk, który jąka się, rozgląda po scenie, przejęzycza się, robi dziwne rzeczy, ale na koniec kupuję jego przekaz, mimo że każdy specjalista od wystąpień publicznych miałby mnóstwo uwag. Ponadto Musk – w przeciwieństwie do coachów – naprawdę jest milionerem. Więc chyba jednak lepiej od nich zna się na osiąganiu sukcesów.

W tym środowisku jest wielu ludzi, którzy uczą innych chyba głównie po to, żeby samemu poćwiczyć jakieś blefy, wywieranie wpływu na ludzi. Już pomijam takich profesjonalistów, którzy są w tym dobrzy, jak Mateusz Grzesiak, on jest jak Lex Luthor tego świata (śmiech). Ale wiele jest nagrań z coachami bez żadnej charyzmy, pewności siebie i tak dalej. I oni też próbują uczyć ludzi.

„Jesteś zwycięzcą".

No to już jest przykład bardzo ekstremalny, ten koleś był może aż za bardzo realizacją tego, o czym mówię. Więcej satysfakcji daje obśmiewanie rzeczy, które się ludziom podobają, niż tych, które same w sobie są memami.

Skoro jesteśmy przy coachingu i mówcach motywacyjnych, pogadajmy o Łukaszu Jakóbiaku i o jego „wizualizacji" z Ellen DeGeneres. Ale – zaznaczę od razu – nie po to, żeby się z niego pośmiać, bo najłatwiej szydzi się z kogoś, kto podejmuje ryzyko i przegrywa.

Tak, tutaj bardzo łatwo jest być szydercą. Mądrym po fakcie.

Chcę wrócić do tej sytuacji, bo uważam, że to jeden z najdziwniejszych filmów w historii YouTube'a – nie tylko polskiego. Koleś strasznie chciał, żeby Ellen DeGeneres zrobiła z nim wywiad. Więc najpierw wkręcił fanów, że zaprosiła go do swojego talk show, a potem wypuścił film, w którym, w wiernie odtworzonym studiu programu Ellen, udziela wywiadu jej sobowtórce. I nazwał to „wizualizacją marzenia". Totalne kuriozum. Pamiętasz, jak zareagowałeś, gdy pierwszy raz zobaczyłeś film „Visualization Level Up"?

Było mi go szkoda, bo wyobraziłem sobie, że to się dało zrobić dobrze. Tylko zabrakło tam dobrego scenariusza, autoironii, poczucia humoru. Moim zdaniem cały problem leżał w scenariuszu. Gdyby był zabawniejszy, to by to siadło.

Przed naszą dzisiejszą rozmową przypomniałem sobie ten film, chociaż z trudem, bo jednak niełatwo się przez to brnie. Zwróciłem uwagę na kosmiczne koszty produkcji – to wszystko jest tak profesjonalne, że nie zdziwiłbym się, gdyby Jakóbiak wydał na to ponad sto tysięcy złotych. Oświetlenie, scenografia, rekwizyty identyczne do tych z prawdziwego studia Ellen. Jakiś czas temu rozmawialiśmy o tym, że jeśli followuje cię odpowiednio dużo osób, to na YouTubie nie da się przegrać. A jednak Jakóbiak spadł z niesamowicie wysokiego konia.

Ale myślisz, że to aż taka porażka, że odsunęli się od niego najstarsi fani? Okej – śmiały się z niego tysiące, którym był albo obojętny, albo które już wcześniej go nie lubiły. Ale może stała publiczność wciąż z nim jest. Ktoś w końcu przychodzi na jego wykłady motywacyjne. Ktoś ogląda te jego wywiady.

Widziałeś jego ostatnie wyświetlenia? Bardzo niskie, zwłaszcza w porównaniu do starych czasów. Ale też trzeba zaznaczyć, że nie zaprasza już do siebie celebrytów, tylko z psychologów i przedsiębiorców. I to też może mieć wpływ – kiedyś Doda i Abstrachuje, teraz Kiciński i Eichelberger.

No właśnie. Zresztą, on zawsze miał jakąś swoją specyficzną niszę oglądalności. Bo ciężko było mi wyobrazić sobie, jaki typ ludzi oglądał Jakóbiaka, nawet w czasach jego świetności. On się usytuował na rubieżach celebryctwa i serwisów plotkarskich, był gdzieś pomiędzy starym a nowym polskim show-biznesem. Uważam, że on ten kryzys z Ellen przetrwał, tylko poszedł w inną stronę. Nie spisywałbym go jeszcze na straty.

Możliwe, że zamknął sobie trochę drzwi w części show-biznesowej, pewnie część większych gwiazd stwierdziła, że może lepiej się u niego nie pojawiać, bo to jakiś dziwny koleś. Ja raz u niego byłem i było całkiem przyjemnie.

Poszedłbym znowu – nie żałuję, że gdzieś tam na miniaturce wyświetlam się obok niego.

A jakie masz zdanie na temat tego motywacyjno-coachowego aspektu jego działalności?

Możesz się domyślać, jakie (śmiech). Jeśli o to chodzi, to nie robię dla nikogo wyjątków. Generalnie nie pochwalam mówców motywacyjnych, niezależnie od tego, kim są. Kiedyś na Blog Forum Gdańsk miałem występ na żywo w roli Krzysztofa Kanciarza, gdzie zroastowałem trochę branżę. Powiedziałem, że dzięki Łukaszowi zrozumiałem że możliwe jest wszystko, nawet jeżdżenie po Polsce z cyklem wykładów o tym, że możliwe jest wszystko. Był na sali, potem powiedział mi, że go to rozbawiło.

Jakóbiak był jednym z pierwszych youtuberów, który połączył robienie filmów z coachingiem.

Tak, przy czym ja wierzę w jego autentyczność. On w byciu tą wesołą mordeczką z YouTube'a jest jakoś tam prawdziwy. Ale zawsze ciągnęło mnie w stronę docinania mu. Sparodiowaliśmy kiedyś z Łukaszem Konatowiczem jego jedną słynną mowę motywacyjną. Tę o Lady Gadze.

Pół godziny opowiadania o tym, jak poświęcił masę pieniędzy, czasu i starań, żeby zrobić sobie rozmazane selfie z Lady Gagą?

Tak, tam jest cała historia jego prób, że latał za nią po świecie, wniósł transparent na kulach ortopedycznych, rzucił jej jakiś wielki balon, wypożyczył drogi wyświetlacz LCD... a potem zrobił sobie z nią selfie, jak przejeżdżała koło niego limuzyną. Dziwna historia. Gdyby jeszcze w finale pojechał z nią na drinka albo skończył u niej w mieszkaniu, poznał ją, porozmawiał, spędzili miło czas. Ale nie – zrobił selfie i to koniec. Z tej pointy nie wynika nic, a już zwłaszcza, że jak się uprzesz, to wszystko jest możliwe. Więc z Koniem zrobiliśmy odcinek o Kanciarzu, który by spotkać się ze Steve'em Jobsem, ucieka się do nekromancji (śmiech).

Wracając do Ellen...

Nigdy nie byłem z Łukaszem blisko, ale pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy, że gdybym mógł tam wtrącić swoje trzy grosze, to chętnie bym mu po-

mógł podlać to wszystko odrobiną dystansu, która uczyniłaby ten przekaz strawniejszym. To się mogło udać, ale przez ten brak humoru było strasznie creepy, wręcz uderzało w stalkingowe klimaty.

Łukasz mówił, że ma nadzieję, że ten filmik trafi do Ellen. Wyobrażam sobie, że potem najgorsza dla niego musiała być świadomość, że prawdopodobnie to się stało. Ellen i ludzie z jej ekipy widzieli, co zrobił, i podjęli decyzję, że to dziwne i może jednak go nie zapraszajmy. Gdyby to nie wypaliło, gdyby przeszło niezauważone i na pewno do niej nie dotarło, tragizm tej sytuacji byłby mniejszy.

Gdybyś dowiedział się przed realizacją filmu, że Łukasz Jakóbiak zamierza dostać się do program Ellen DeGeneres dzięki wysokobudżetowemu projektowi youtube'owemu, to stwierdziłbyś, że to jest do zrobienia?

Tak, to się mogło wydarzyć. Gdybym wiedział że Łukasz próbuje coś takiego zrobić, to nie założyłbym, że to będzie fail. Wręcz przeciwnie. Pamiętam, jak ta sprawa wybuchła i dowiedziałem się, że to się wydarzyło, to moją pierwszą, intuicyjną reakcją było: „o kurde, ale jaja, pewnie to się uda". A potem zobaczyłem film... Należało na to patrzeć bardziej jak na wirusowy publicity stunt, a mniej jak na, ugh, „wizualizację marzeń".

Dobrze, zejdźmy z Jakóbiaka. Czy sami coache odnosili się w rozmowach z tobą do Kanciarza?

Tak, przy czym za każdym razem dostawałem pochwałę, że tak świetnie sparodiowałem „tego innego, słabszego coacha" (śmiech). Nikt z nich nie zobaczył w Kanciarzu siebie samego.

Przeszedłeś ciekawą drogę, jeśli chodzi o nastawienie do mówców motywacyjnych czy coachów.

To prawda. Z początku się z nich nabijałem u Kanciarza, a potem sam zrobiłem „Sztukę składania historii", „Więcej niż jedno życie", „Krok pierwszy" i kilka innych filmów z tej serii. Jeden z moich największych sukcesów. Bardzo motywacyjne treści, stworzone przez gościa, który przez kilka lat regularnie parodiował motywacyjne treści. Twarz Krzysztofa Kanciarza nagle zaczyna romansować ze światem, który wyśmiewał.

Co się zmieniło?

Nagle uznałem, że okej, spróbuję pobalansować na tej granicy. Może nie zrobię pornografii motywacyjnej, bardziej erotykę motywacyjną (śmiech). Przekaz u mnie jest jednak nieco subtelniejszy niż u przeciętnego mówcy motywacyjnego. Można by tam było uderzyć młotkiem. Acz rozumiem kogoś, kto „Sztukę składania historii" skwitowałby krótkim: „co za pierdolenie".

A wierzysz w przekaz tych filmów?

Tak. I uważam, że nie jest to aż taki inspiracyjny suchar. „Krok pierwszy" to nie jest zwykłe pierdolenie typu „uwierz w siebie". Pasja, upór, grindowanie – pod tym wszystkim się podpisuję i nie wstydzę się, że to zrobiłem. To wszystko wyszło ze mnie zupełnie szczerze i oddaje moje realne podejście do życia. A „Więcej niż jedno życie" przedstawia wnioski, do których doszedłem sam i które nie są jakoś bezpośrednio motywujące. Chociaż zdaję sobie sprawę, że ten przesadnie poważny ton głosu, którego używam, może wydawać się śmieszny.

Pamiętasz taką sytuację, w której ktoś napastliwie próbował cię coachować lub motywować, używając do tego sztucznych, wyuczonych formułek?

Ale na żywo?

Tak.

Pamiętam, jak kiedyś znajomy przyszedł z kolegą wkręconym w takie klimaty. I on mnie pouczał, że powinienem być bardziej przedsiębiorczy i że on się dziwi, że youtuberzy nie robią tego tego czy tamtego. Ale te jego rady były takie... hm... powiedzmy, że kompletnie nie rozumiałem, czemu mi mówi takie rzeczy. Mogłem zgodnie z prawdą odpowiedzieć mu, że realizuję ciekawsze projekty niż te, o których opowiada. Ale tak bardzo odleciał podczas tej swojej perory, że nawet nie chciało mi się podejmować z nim dyskusji.

To było w czasach, gdy pracowałem w TVGRYpl. Ten koleś był naszym fanem, mocno zajaranym Korwinem – do tego stopnia, że należał do jednej z tych jego partii. W pewnym momencie został nawet jego współpracownikiem. I teraz pointa historii: mija sześć lat, wchodzę na fejsa i czytam, że ktoś od Korwina miał zarażać kobiety kiłą i bada już to prokuratura. No i to był ten koleś (śmiech).

Poznałem też kiedyś w Korei Południowej youtubera, który ewidentnie był mocno zajarany klimatami „dream big". Wierzył, że „trzeba mierzyć wysoko", więc przerobił całą dostępną literaturę typu „jak mówić, żeby zjednać sobie ludzi". Był w tym wszystkim bardzo inspirujący, ale nie mówił nic konkretnego. Opowiadał o jakichś swoich pomysłach na filmy, używał wyrażeń typu „zmiana kulturowego paradygmatu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Azją", tego typu bzdety. Mówił, jakby był czołowym hollywoodzkim producentem, który ma kontrolę nad tym, w którą stronę pójdzie Hollywood.

Mam na takie osoby ustawiony wykrywacz bullshitu. Łatwo wyłapuję ściemę i nie lubię ludzi wypełnionych formułkami. Jak ktoś wchodzi w interakcję ze mną z taką pewnością siebie, której wyuczył się z książek, to zazwyczaj staram się zachowywać dokładnie odwrotnie niż on. Postawą ciała się zmniejszam, mówię nie dbając o charyzmę, jestem zawstydzony. Pokazuję, że będziemy grać według zasad, w których ich warsztat nie ma dla mnie znaczenia. Natomiast sam najlepiej „klikam" z ludźmi, którzy mają pasję, a nie wystudiowaną retorykę.

Szafrański taki jest?

Szafrański składa się w 100% z konkretów, a jednocześnie potrafi to sprzedawać tak, że kupiłbyś od niego używane skarpetki. Ale myśle, że ma trochę podobne do mnie podejście do komunikacji. Obaj mamy trochę wyjebane na pewne standardy, jesteśmy tymi, którzy powiedzą na głos to, co wszyscy myślą.

Często mówisz, że lubisz z nim rozmawiać.

Bardzo lubię ludzi, którzy mówią tak, że ciężko mi za nimi nadążyć. Lubię tak się zgubić. I Szafranski jest właśnie taką osobą, która w trakcie opowiadania odlatuje daleko, ale zarazem ma wszystko dogłębnie przemyślane. Mówi z zaangażowaniem i z głęboką wiarą. Trochę nie wszystko łapiesz, ale fajnie się tego słucha. Taką osobą jest też Dawid Myśliwiec z kanału „Uwaga! Naukowy Bełkot". Potrafi prowadzić nieco niezrozumiały, ale logiczny i pełen pasji wywód.

Trochę tak działał film „Big Short" – może i nie wszystko rozumiesz, ale to, co rozumiesz, całkowicie wystarcza. No i jak to jest pięknie opowiedziane...

To prawda. W ogóle, jeśli chodzi o taki przekaz ekspercki, to nie cierpię, gdy tłumaczy się go na język łatwy do zrozumienia. Lubię czasem poczuć, że czegoś nie kumam i czegoś się ode mnie intelektualnie wymaga. Żebym poruszył część mózgu, których dawno nie używałem. Nie przepadam przez to za filmikami na YouTube typu „skomplikowane koncepcje wytłumaczone jak pięciolatkom".

Coś podobnego robią właśnie coache – biorą jakąś wiedzę o psychologii, upraszczają różne koncepcje i robią z tego te motywacyjne wykłady, które są dla każdego zrozumiałe, ale właściwie nic z nich nie wynika. Bo te „wizualizacje", o których mówi Jakóbiak, to technika używana na przykład przez psychologów sportowych. Ale nie chodzi w niej o to, że jak sobie będziesz coś mocno wyobrażać, to w końcu to się stanie.

Tak i jak ktoś przejrzy coachów, to potem często uznaje, że wszystkie pomysły na to, że można jakoś pracować nad sobą, samodoskonalić się, to taki sam bullshit i skok na kasę. Tymczasem są różne techniki, które mogą pomóc np. lepiej panować nad stresem, chociaż wymagają trochę więcej wysiłku niż słuchanie pogadanek coacha. Trochę taką złą prasę ma też medytacja. A ja sam medytuję i wszystkim polecam.

O nie, czyli jesteśmy w momencie książki, w którym znana osoba opowiada, jak bardzo pomogła jej w życiu medytacja...

(śmiech) Ale naprawdę pomogła! W ogóle trafiłem na medytację bardzo przypadkowo. Realizowałem wtedy projekt „Miesiąc bez internetu" i postanowiłem któregoś dnia nie robić zupełnie niczego. Ustawiłem kamerę na siebie, usiadłem na kanapie i nagrałem timelapsa, jak nie robię nic. Przez godzinę. Poza czysto popkulturowymi skojarzeniami, nie myślałem wtedy o tym, czym jest medytacja. Ten temat w Polsce był wtedy trochę egzotyczny. Dziś stykamy się z nim częściej. Nawet wyraz „mindfulness" zyskał polski odpowiednik w postaci „uważności".

Po tym, jak sobie uświadomiłem, że nierobienie niczego przez godzinę powoduje takie dziwne uczucie w głowie, trafiłem właśnie na mindfulness. To mi się zawsze wydawało fascynujące, że jesteś ty i twój mózg, i w pewnym sensie nic innego nie istnieje. Więc jeśli potrafisz zmienić to, jak się czujesz we własnym mózgu – a to przecież istota twojego doświadczania rzeczywistości – to

znalazłeś jakieś sekretne przejście do gigantycznych zmian w życiu.

Sam Harris w swojej aplikacji „Waking up" używa super metafory. Wyobraź sobie, że jesteś w płonącym muzeum, z którego możesz wynieść jeden przedmiot – ten, na którym skupisz swoją uwagę. Zamiast wynieść bezcenne dzieło sztuki, większość ludzi wynosi to, co ma pod ręką, np. krzesło z kawiarni. Niewyszkolony w kontrolowaniu myśli mózg właśnie tak działa.

Bo jak często panujemy nad swoimi myślami i świadomie wybieramy to, o czym „warto" myśleć, a jak często po prostu płyniemy ze strumieniem, nad którym nie próbujemy przejmować kontroli? Leżymy o trzeciej w nocy w łóżku, w głowie tlą się jakieś rozgrzebane życiowe projekty i niby wtedy rozmyślamy. A przecież nie dochodzimy w takich chwilach do niczego produktywnego, nic z tego myślenia nie wynika, to tylko bałagan w głowie i pożar, z którego ratujemy byle co. A są rzeczy, o których warto myśleć.

Medytacja pomaga w bardzo wielu dziedzinach życia. Uprawiają ją nie tylko jakieś nawiedzone, „uduchowione" osoby, ale znani sportowcy, startupowcy, artyści, pisarze, intelektualiści. Jeśli poprosiliśmy ludzi sukcesu o kilka lifehacków, to możliwe, że medytacja przewijałaby się w ich odpowiedziach najczęściej.

Zaraz za kokainą.

Sportowcy raczej wskażą na medytację (śmiech).

errata

strona	jest	powinno być
4	(◡ ͜ʖ ◡)	Kiedyś to było
4	╰╲(͡° ͜ʖ ͡°)╱╯	Cierpienia młodego komputerowca
4	ಠ_ಠ	My dostawaliśmy wpierdol
4	(ಥ ͜ʖಥ)	Wejście przez sklep z dywanami
4	(͡°ω ͡°)	Z poważaniem, Lordareon
4	(⋐ ͜ʖ ⋑)	Trója z basenu
4	(͡° ͜ʖ ͡°)=ε/̵͇̿̿/'̿'̿ ̿	Nerds send their regards
4	╲(⊖ᗜ⊖)╱	Filmiki w internecie
4	(͡°- ͡°)	Brzydkie słowo
4	╲_(͡° ͜ʖ ͡°)_╱	Po prostu moralność
4	(ʘ ͜ʖʘ) ∩∩	300% prowizji
4	ᕦ(͡° ͜ʖ ͡°)ᕤ	Sztuka składania papieru toaletowego
4	(͡↑ ͜ʖ ͡↑)	Gonciarz się sprzedał
4	╲(ಠ ͜ʖಠ)╱	Karta "Na czasie"
4	(◉! ͜ʖ" ◉)	Clickbaitowy tytuł rozdziału
4	┬┴┤(͡° ͜ʖ├┬┴┬	Wynoszenie śmieci
4	╲_(⊙_ʖ⊙)_╱	Na końcu internetu
4	(͡° ͜ʖ ͡°)	Codzienna orka
4	(͡o_ ͡o)	Czemu Gonciarz nie lubi YouTube'a
4	ᕙ(͡° ͜ʖ ͡°)ᕗ	Kiedy zapytaj beczkę
4	(͡° ͜ʖ ͡°)	(͡° ͜ʖ ͡°)
4	(▀̿ ͜ʖ ▀̿)	Chłop przebrany za babę
4	(͡° ͜ʖ ͡°)	Granica beczki
4	(͡° ͜ʖ ͡°)	Odszkodowanie za Pazurę
4	╤╦︻(ಠ ͜ʖಠ;)︻╦╤─ ___ XXXX	Marsz nierówności

strona	jest	powinno być
4	(͡° ͜ʖ ͡°)	Ewa Chodakowska
5	༼ つ ͡° ͜ʖ ͡° ༽つ	Reszta internetu
5	٩ ͜ʖ٩	Starzy ludzie w internecie
5	(ಠ ͜ʖಠ)	Krzysztof Gonciarz - działacz internetowy
5	ᕦ(͡° ͜ʖ ͡°)━☆ﾟ.*･	Wizualizacja
5	[̲̅$̲̅(ಠ ͜ʖಠ)̲̅$̲̅]	Widz towarem
5	(͡° ͜ʖ ͡°)	O sobie
5	︵‿(͡T ͜ʖ ͡T)‿︵	Nie lubię mężczyzn
5	(☞ ͜ʖ)☞	Tinder czy Uber
5	(ㄱ ͜ʖㄱ)	Jak się rozstać
5	(◉ ͜ʖ◉)	Używki
5	(͡°_ ͡°)	Jedno oko otworzy i już do komputera
5	͡°) ͜ʖ (͡°	Przed i po
5	(# ͜ʖ #)	Postać mało istotna
5	◉" (͡° ͜ʖ ͡°)! ◉	Gej z Dubaju we friendzonie
5	[̲̅$̲̅(͡° ͜ʖ ͡°)̲̅$̲̅]	Dolary
5	ᑕ(͡°)	Cichy na imprezach
5	(╯ಠ益ಠ)╯彡┻━┻	Krzysztof Gonciarz to straszny człowiek
5	ε= ┌(͡° ͜ʖ ͡°)┘	Podróżnik
5	(∩ ͡° ͜ʖ ͡°)⊃━☆ﾟ.*・｡ﾟ	Szalone Tokio
5	(✧≖ ͜ʖ≖)	Kliknij dzwoneczek
5	(͡°(͡° ͜ʖ(͡° ͜ʖ ͡°)ʖ ͡°) ͡°)	Duże ilości naraz Gonciarza
5	☆:*(͡° ͜ʖ ͡°)*☆:	Symfonia wielkiego miasta
5	(╯ ͡° ▽ ͡°)╯ ︵ ┻━┻	Zmiana
5	(͡° ͜ʖ ͡°) (͡° ͜ʖ ͡°)	Epilog

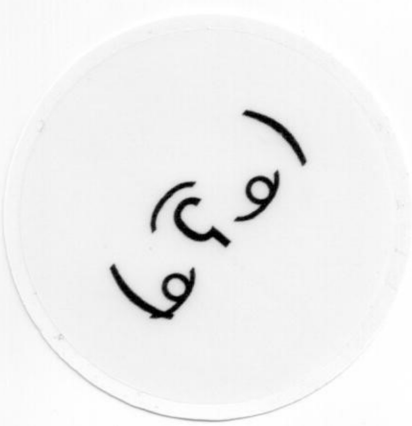

WIDZ TOWAREM

Boisz się o swoje dane w internecie?

Niespecjalnie. Zostawiłem tam już tyle moich śladów, że pewne rzeczy są nieodwracalne. Ale niezbyt się tym przejmuję. Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony za każdym razem, gdy ludzie oburzają się na profilowanie w mediach społecznościowych lub reklamach kontekstowych. Dlaczego takie wykorzystanie technologii kogokolwiek zaskakuje w 2019 roku?

Przecież żyjemy w świecie, w którym mówisz komuś, że masz na coś ochotę, a godzinę później widzisz reklamę tego czegoś na Facebooku. Albo nigdy nikomu nie mówisz o jakiejś swojej potrzebie, a mimo tego, pewien algorytm jest ją w stanie u ciebie przewidzieć.

Ludzie mają prawo być zaskoczeni, bo tego typu targetowanie dzieje się niejako „pod spodem" serwisów. Nic tu nie jest transparentne, nikt się takimi praktykami wprost nie chwali. Dodatkowo: w lipcu tego roku Google potwierdził, że podsłuchuje, co mówimy, przez słuchawki urządzeń z asystentem Google. Od razu jednak zapewnili, że prawie z tych nagrań nie korzystają. Nawet, jeśli mówią prawdę, to jest to bardzo niepokojące i dystopijne. Ludzie mają prawo czuć się nieswojo.

To prawda, nasza cywilizacja stworzyła narzędzia, które są absolutnie przerażające. Tylko czemu nas dziwi, gdy widzimy te narzędzia w użyciu? Wiadomo, że każdy z nas pozostawia po sobie cyfrowy ślad i że prywatność w internecie nie istnieje.

No właśnie nie „wiadomo". Ty wiesz, bo jesteś młody i internet jest dla ciebie naturalnym środowiskiem. A pięćdziesięcio – czy sześćdziesięciolatkowie mają prawo nie być tego świadomi, bo internet pojawił się w momencie, w którym ich świat był już jasny i ułożony. Z kolei osoby młodsze – kilku-lub nawet kilkunastoletnie dzieci – też nie czytają wielostronicowych regulaminów aplikacji, na które się zgadzają, żeby sobie pouzywać Snapchata czy Instagrama.

Ale jakie to ma właściwie znaczenie? Jestem święcie przekonany, że w tych sprawach jest już dawno pozamiatane. Jesteśmy masowo śledzeni, badani i zamieniani w statystyki. Inwigilują nas usługi, z których korzystamy i państwa, w których przebywamy. A niekiedy i te, w których nigdy nie byliśmy. I jestem przekonany, że dyskusje o prywatności, które toczymy, są i tak lata świetlne od tego, co Facebook, Google czy Amazon są w stanie naprawdę zrobić z dzisiejszym światem. Bawimy się w piaskownicy, podczas gdy oni budują rakietę na księżyc. Sądzę, że gdyby Zuckerberg, Bezos i paru innych prezesów z Doliny Krzemowej zrobiło sobie pijacki zakład o to, że jutro miliardy ludzi na świecie uderzą się przekrojonym ziemniakiem w czoło, to byliby w stanie do tego doprowadzić.

W pewnym momencie życia orientujesz się, że istnieje nad tobą państwo – coś, co kontroluje wiele aspektów twojej rzeczywistości, a ty masz na to ograniczony wpływ. W dzisiejszych czasach musisz sobie też zdać sprawę, że nad państwami są cyberkorpy, które reżyserują duże części twojego życia. Walka z nimi poprzez to, że zainstalujesz sobie VPN, albo że nie będziesz się logował na fejsa z obcego komputera, to jak obalanie rządów przez słuchanie Rage Against the Machine i pogo w pokoju.

Jasne, przeciętny człowiek, który chce swobodnie korzystać z internetu, raczej nie wyrwie się spod tej inwigilacji. Ale serio nie przeraża cię jej skala? Fakt, że cyberkorpy są tak potężne?

Oczywiście, że nie. Bo zdałem sobie sprawę z tego, że jesteśmy produktem, towarem, który jest sprzedawany. Oswoiłem się z tą myślą już na etapie banerów reklamowych na wczesnych stronach internetowych. Rozumiałem, że oglądając jakąś darmową stronę, nie jestem klientem, tylko towarem.

Czyli twoi widzowie to towar, który sprzedajesz?

To brzmi okrutnie, ale przecież na tym jest oparty cały model influencer marketingu. Kiedy robię na swój kanał film promocyjny, tylko część stawki

to zapłata za to, ile włożyłem w niego pracy. Większość wynagrodzenia dostaję za to, że wypycham ten film do swojej społeczności widzów. Sprzedaję czas i uwagę ludzi, którzy ufają mi na tyle, by oglądać to, co robię. Mroczne? To jest po prostu opis procesu, w którym wszyscy uczestniczymy od lat. Jak oglądasz moje filmy, to jesteś towarem, który sprzedaję reklamodawcom. Ale jeśli kupiłeś tę książkę, to jesteś moim klientem.

W internecie łatwo zauważyć socialmediowe „bańki", w których wszyscy tkwimy. Zjawisko to prowadzi do zamykania się na cudze poglądy i opierania swoich wypowiedzi tylko na źródłach, które potwierdzałyby nasze przypuszczenia. Jak ty sobie radzisz z wychodzeniem poza swoją „bańkę"?

Staram się wychodzić, ale to trudne. Po zamieszaniu wokół Marszu Równości w Białymstoku przepatrzyłem zarówno lewicowy, jak i prawicowy internet. To są dwie kompletnie różne rzeczywistości. Scott Adams, autor komiksów o Dilbercie, który zaangażował się ostatnimi laty w politykę jako głośny fan Donalda Trumpa, nazywa to „dwoma różnymi filmami, które są jednocześnie wyświetlane na tym samym ekranie".

Bardzo trudno jest dociekać w internecie prawdy, ale myślę, że już sam fakt zdania sobie sprawy z względności internetu, który widzimy, to krok do przodu. Znajdź sobie zaufanego znajomego o przeciwstawnych poglądach i zamieńcie się kontami na Facebooku. Zobaczycie kompletnie inną rzeczywistość.

Chciałbyś, żeby ludzie oglądali cię świadomie i podważali to, co mówisz?

Jasne. Należy przede wszystkim zadać pytanie – dlaczego osoba X ogląda Gonciarza? Czy dlatego, że świadomie podjęła taki wybór? Wstała rano i uznała „wejdę na kanał Krzysztofa Gonciarza i obejrzę najnowszy film"? Czy może YouTube po prostu polecił jej najnowszy odcinek w formie powiadomienia, wyświetlił jej miniaturkę, która odpowiednio zwróciła uwagę i pokazała film w szpalcie „Wybrane dla ciebie"? A może pięcioro znajomych osób wrzuciło Gonciarza na Facebooka, więc wypada wiedzieć, o czym się teraz mówi na dzielni?

Osób, które „trafiły" na mój film, jest zdecydowanie więcej niż tych, które „wybrały" oglądanie go. To przerażające, bo jako twórca contentu możesz łatwo dojść do smutnego wniosku: content nie ma znaczenia. Dobra treść nie ma znaczenia. Bo wszystko przechodzi przez algorytmy, dla których nie ma „fajnego filmu", jest tylko optymalizacja czasu spędzonego na stronie, targetowanie upodobań i przewidywanie zachowania użytkownika na platformie.

ŠOBIE

(ᴇʒᴇ)

NIE LUBIĘ MĘŻCZYZN

Zauważyłem, że większość osób, które zatrudniasz, to kobiety. Przypadek?

Nie sądzę. To dla mnie grubszy temat. Gdybyśmy odbywali tę rozmowę pół roku temu, to bym ci powiedział, że tak jakoś wyszło, od przypadku do przypadku. Dziś chyba jednak myślę, że... nie lubię mężczyzn. Nie wiem, z czego to wynika, ale faktycznie w otoczeniu bliskich mi osób przewaga kobiet jest ogromna.

Piona, mam to samo. Wkurwia mnie zwłaszcza metaforyczne porównywanie kutasów, nagminne u facetów.

Tak, mnie też. Ja do końca nie umiem opisać swoich uczuć w tym zakresie. Jest tylko kilka typów mężczyzn, z którymi jestem w stanie budować jakieś relacje. To sprawia, że większość facetów trzymam na dystans. Nie cierpię koncepcji męskości wywodzącej się z polskich lat 80. czy 90., o której rozmawialiśmy na początku tej książki. Sam dorastałem w tych czasach, ale jestem kompletnie niekompatybilny z większością facetów.

Legendarny Afrojax nagrał ostatnio numer krytykujący ten maczyzm – piosenka kończy się tekstem „Męskość do gazu".

Jak się domyślasz, bywam czasem zaczepiany przez obce osoby. I dziewczyny w takich sytuacjach prezentują znacznie wyższy poziom kultury osobistej. Nie spoufalają się nachalnie, szanują moją przestrzeń osobistą. Zdecydowanie częściej zdarza się, że podchodzi do mnie napastliwy, pijany typ niż pijana dziewczyna. To dla mnie nieprzyjemne, bo potrzebuję wtedy bufora, takiego 20-centymetrowego pola siłowego, które mężczyźni najczęściej naruszają.

Swoją pierwszą współpracę w „Zapytaj Beczkę" zorganizowałeś właśnie z dziewczyną – Pauliną z „Lisiego Piekła". Reakcje widzów były agresywne, pisali rzeczy typu: „Nie podoba mi się, ale czego się spodziewać, skoro to kobieta". Do tego mnóstwo żartów na temat wyglądu. Zauważasz, że kobiety mają pod górkę na YouTubie lub szerzej: w internecie?

Bardzo. Dziewczyny z jednej strony mają więcej obostrzeń, a z drugiej strony jest wobec nich więcej oczekiwań. Kobiety w komedii to bardzo trudny temat. Kiedy dziewczyna przeklina w żarcie, to usłyszy, że nie wypada, bo to w kobiecych ustach „nie brzmi dobrze". Ostrzejsze żarty? Też nie wypada. Już nie mówiąc o jakimkolwiek „kloacznym" humorze. A potem słyszysz, że kobiety nie potrafią być śmieszne. Sytuacja bez wyjścia. Inna rzecz: kwestie związane z wyglądem. W jakiej roli kobieta by nie występowała, to ktoś będzie oceniał jej urodę, figurę, atrakcyjność... Facetowi ciężko się w to wczuć i to skumać, bo dla niego bycie facetem to „human experience".

Defaultowe ustawienia.

Dokładnie. Nagle się okazuje, że przez facetów temat okresu jest rozkminiany głównie po to, żeby stwierdzić, kiedy można uprawiać seks, a kiedy nie. Albo kiedy dziewczyna ma dobry humor, a kiedy zły. Za to jeśli ta dziewczyna poprosi faceta, żeby np. kupił jej tampony, on często jest w szoku, chociaż to logiczne, że skoro ona ma okres, to tych tamponów potrzebuje. Mnie to niezmiernie bawi, że okres jest rzeczą w tak oczywisty sposób obecną w życiu wielkiej części ludzkości, a jednocześnie jakąś niebywałą tajemnicą dla innej jej części.

Albo weźmy tematy związane z poczuciem bezpieczeństwa. Dziewczyny muszą mieć wgrane procedury przechodzenia przez rzeczywistość. Facet po prostu idzie sobie na imprezę, porobi tam coś i wraca. A jak jesteś dziewczyną, musisz mieć wszystko rozkminione. Zawsze pamiętasz, by nie zostawiać swojego drinka bez opieki. Masz przeczucie, że koleś, z którym rozmawiasz, jest pojebany – oceniasz, jaka jest szansa, że coś ci zrobi. Powiedzieć, żeby dał ci spokój, czy lepiej nie, bo mu odwali? Jak się zachować? Jak się poruszać po ulicy po zmroku? Wziąć ze sobą gaz pieprzowy? I to jest normalne życie. Rzeczywistość, w której sobie żyjesz.

Powiedz mi, Bartek, jakie środki, choćby minimalne, stosujesz w codziennym życiu, żeby zabezpieczyć się przed przemocą seksualną?

Żadne.

No właśnie. Absolutnie żadne. Bo nie musimy. A zarazem znam bardzo dużo dziewczyn, którym ktoś im coś dosypał do drinka. Mnie jako facetowi zawsze się wydawało, że to jest równie rzadki przypadek, co jakaś napaść czy rozbój. Że zdarza się, ale gdzieś tam daleko i sporadycznie. A w środowisku modelek? Prawie każda, którą znam, miała taką sytuację, że ktoś jej czegoś dosypał.

Pewna youtuberka opowiadała mi kiedyś, że w każdym tygodniu w jej skrzynce odbiorczej pojawiają się tony creepy wiadomości. Przy tym ona robi całkowicie neutralny content, nie gra erotyką, nie flirtuje z odbiorcami. A cały czas jest seksualizowana.

Moim faworytem na tym gruncie są zdjęcia penisów. Jak można pomyśleć, że ktokolwiek chciałby dostać zdjęcie obcego penisa? Panowie, reality check.

Ciężko jest znaleźć przykłady analogicznego traktowania mężczyzn. Nawet jeśli mężczyzna jest konwencjonalnie przystojny, to nie jest stale spamowany obleśnymi fantazjami.

Absolutnie. Mogę mówić po sobie: czasem może ktoś napisze, że jestem ciachem, ale w moim przypadku absurdalnym byłoby czuć się urażonym czymś takim. To po prostu nie jest to samo. U facetów to jest nie tylko rzadkie, lecz także znaczy co innego. Nie można postawić znaku równości pomiędzy wiadomością „ruchałabym cię" do mężczyzny i wiadomością „ruchałbym cię" do kobiety.

Znajoma powiedziała mi, że zasadniczą różnicą jest tu poczucie zagrożenia. Jeśli samotny mężczyzna trafi do pokoju z pięcioma nieznajomymi kobietami, które komentują jego wygląd, to może go to zniesmaczy, ale nie przestraszy. A jeśli kobieta jest w pokoju z pięcioma obcymi mężczyznami, którzy ją „komplementują", to to przestaje być neutralne. Ona musi uważać, sytuacja jest potencjalnie niebezpieczna.

Tak. Albo inny przykład: jesteś facetem, stoisz sam w windzie i w ostatniej chwili wbiega do niej dziewczyna. Nie kalkulujesz odruchowo, czy może warto wyjść z tej windy, bo ta osoba może zrobić ci krzywdę. A dla dziewczyn to jest bardzo normalne – gdy wsiada z nimi do windy mężczyzna, analizują, czy może być groźny.

Kiedy dotarło do ciebie, że tak jest?

Pomogła mi w tym pewna ważna dla mnie osoba, aktywna feministka, która naprowadziła mnie na takie tory. Przebywanie z nią mocno otworzyło mi oczy.

A miałeś kiedyś takie piwniczne podejście: „Łeee, te feministki, czego od nas chcą"?

Tak. Nie zadawałem sobie trudu myślenia na ten temat. Żyjesz sobie, masz to swoje życko, patrzysz przez okno, wszystko jest w porządku, słonko świeci, pogoda ładna, a tu nagle jakieś feministki czegoś od ciebie chcą (śmiech). Opowiem ci na ten temat historię. Niedawno realizowaliśmy w firmie projekt dla dużego klienta. Prowadziły go dwie młode dziewczyny. Przed ważnym spotkaniem z jakimś tam dyrektorem powiedziano im, że dobrze by było, jakby do reprezentacji naszej firmy dołączył jakiś mężczyzna. Najlepiej starszy od nich, żeby poważniej to wszystko wyglądało. Kompletnie nie byłem na coś takiego przygotowany, chociaż teoretycznie wiem, skąd pochodzę.

Z czego, twoim zdaniem, to wynika?

Te rzeczy są wynikiem jakichś myślowych nawyków. Możesz całe życie jeść czipsy i dziwić się, że tyjesz, bo nikt ci nigdy nie wyjaśnił, że czipsy są niezdrowe.

Tak samo jest ze schematami myślowymi – ludzie wynoszą z domu jakieś poglądy, a potem ich nie kwestionują. Do tego bardzo rzadko włączają autorefleksję. A wydaje mi się, że wystarczy mieć w głowie taki mechanizm: zakładasz na chwilę, że druga strona ma rację i przeprowadzasz sobie w mózgu symulację – „A co, jeśli tak właśnie jest?". Staram się ją uruchamiać, gdy się z kimś nie zgadzam, to bardzo pouczające.

A pamiętasz takie rewolucyjne momenty, w których dotarło do Ciebie, że coś, co miałeś porządnie wgrane w głowę, jest bullshitem, i musiałeś to zmienić z minuty na minutę?

Nie zmieniam poglądów z minuty na minutę, ale dość łatwo jest mnie do czegoś przekonać. Staram się przyjmować punkt widzenia rozmówcy, nie odrzucać z góry jego argumentów. Gdy ktoś ma poglądy, z którymi się nie zgadzam, to często wychodzę z rozmowy z nim z myślą: „No, ciekawe, muszę

się nad tym zastanowić". Niespecjalnie potrafię z ludźmi debatować na jakieś poważniejsze tematy. Z tobą też tak mam – gdy mnie pytasz o jakieś głębsze rzeczy, to często odpowiadam wymijająco.

Czyli gdyby Krzysztofa Gonciarza zaczepił w roku 1933 w Berlinie młody członek Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, i zacząłby mu wychwalać swój program, to Krzysztof odpowiedziałby: „E, w sumie może masz rację, zastanowię się".

Myślę, że mało kto może w takim przykładzie powiedzieć o sobie, że na 100% by wyczuł, że to się nie skończy dobrze. Łatwo jest patrzeć na to z dzisiejszej perspektywy i być mądrym (śmiech).

Wracając: prawie każdy miał w życiu taki moment refleksji, że, kurwa, coś, w co wierzył całe życie, nagle okazuje się być gówno warte.

No ja tak miałem z kwestiami damsko-męskimi. Feministka, o której wcześniej wspomniałem, rzucała w moim kierunku różnymi uwagami, zakładając, że ja się z nią zgadzam. Na przykład pokazywała mi coś na komputerze i mówiła: „Widziałeś to? Ale żałosne". A ja na to patrzyłem i myślałem: „Ej, co właściwie jest z tym nie tak?".

Żenuje mnie przyznanie się do tego, że w dawnych czasach – przed moją prywatną rewolucją feministyczną – mieliśmy z kolegą Koniem taki fanpage na Facebooku, który nazywał się „Infodupeczki". Wrzucaliśmy tam zdjęcia gorących lasek, a na tych zdjęciach były ciekawostki o świecie. Jedno nie miało żadnego związku z drugim, ale wiesz, żart polegał na tym, że baitowaliśmy cyckami, a na obrazkach były jakieś wartościowe informacje. Nie stało się to nigdy popularne, ale sama koncepcja... no, teraz bym czegoś takiego nie zrobił (śmiech).

Pamiętam też, że kiedyś na moim fanpage'u zapostowałem zdjęcie, na którym stało kilka dziewczyn topless i one wszystkie miały numerki. Chodziło o to, żeby ludzie pisali w komentarzach, która im się najbardziej podoba. W pewnym momencie to był najbardziej popularny post w historii mojego fanpage'a. Zdjęcie nie dość, że seksistowskie, to ukradzione z netu. To były czasy, w których nikt nie oczekiwał od „branży influencerskiej" profesjonalizmu. Dziś pewnie ktoś by mi wytknął, że brak źródła, że generalnie nie wypada. Ale dziś przede wszystkim sam bym czegoś takiego nie zapostował.

Niedługo przed trzydziestką moja ówczesna dziewczyna zwróciła mi uwagę, że używam słowa „dupy", mówiąc o kobietach. I powiedziała mi, żebym może przestał. Zaprotestowałem: „Czemu? Czym się różni «laska» od «dupa»? Ojejej, wielkie mi co". Moment wstydliwej refleksji przyszedł później: „Okej, chyba troszkę jestem knurem i powinienem coś z tym zrobić".

Też mi się zdarza tego słowa używać, w takich kontekstach, że wydaje mi się, że nad tym panuję. Ale oczywiście zgadzam się z nią. To słowo tak mi weszło w język, że to wymaga samoświadomości, żeby się go oduczyć.

Mnie kiedyś Kasia zwróciła uwagę na to, że powiedziałem o dwóch nowych stażystkach: „powiedz laskom, żeby coś tam zrobiły". Kasia stwierdziła, że to nieprofesjonalne i że nie powinienem mówić o nich w ten sposób. Trochę mi zajęło, przedyskutowanie tego ze sobą samym w głowie.

Słowo „laska" jest na pewno mniej nielegalne niż „dupa". Myślę, że z Kasią się trochę nie mogliśmy zrozumieć na płaszczyźnie językowej. Dla niej słowo „laski" było lekceważącym określeniem na ładne dziewczyny. A w moim rozumieniu słowo „laska" nie ma już tego dawniejszego znaczenia wartościującego urodę. To po prostu potocznie osoba płci żeńskiej. Ale werdykt w takich sprawach powinien należeć do kobiet, więc nie zamierzam się o to wykłócać. Zmiana słownictwa nic mnie nie kosztuje, więc teraz już nie używam tego słowa w profesjonalnym kontekście.

Czemu o tym mówię? Bo nikt nie jest idealny. Trzeba się uczyć i pozostawać wrażliwym. A dialog wymaga oczywiście dojrzałości dwóch stron: z jednej strony musi być rozsądna reakcja współmierna do przewinienia, a z drugiej: empatia i chęć rozważenia argumentu drugiej strony. To pierwsze też jest ważne, bo gdyby po moim tekście o „laskach" Kasia nagrała film demaskujący mnie jako szowinistyczną świnię, zamiast po prostu zwrócić mi uwagę, to pewnie trudniej by mi było się pokajać. I zamiast się spotkać, minęlibyśmy się po drodze, poróżnieni skrajnymi narracjami. Takie rozminięcie jest często widoczne w dzisiejszej kulturze.

Byłem niedawno na ślubie i po raz kolejny uderzył mnie ten fragment Nowego Testamentu, który tak strasznie ustawia role płciowe: „Żony, bądźcie uległe mężom swoim jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak Chrystus Głową Kościoła. Mężowie, miłujcie żony swoje, jak i Chrystus umiłował Kościół". Totalnie podwójny standard: obowiązkiem żony jest ulegać i służyć mężowi, a obowiąz-

kiem męża jest miłować żonę, ale z pozycji jej pana i władcy. Groteskowa, rażąca dysproporcja. Już tradycyjne pojmowanie małżeństwa nas ustawia.

Oczywiście.

Jest taki muzyk, Robert „Litza" Friedrich. Grał kiedyś z Acid Drinkers i Kazikiem na Żywo, teraz chyba więcej osób kojarzy go jako twórcę Arki Noego. Litza w pewnym momencie przeżył nawrócenie, bardzo chętnie mówi o tym publicznie. Wczoraj trafiłem na jego przemówienie z jakiejś konferencji o ojcostwie. Mówił, jak neokatechumenat – czyli ruch nawet przez część katolików uważany za skrajny – pomógł mu uniknąć „kryzysu ojcostwa". Pozwolę sobie zacytować jego przemówienie: „Neokatechumenat uczył mnie krok po kroku, jak być ojcem. Widzę też, jak moja żona zmieniła spojrzenie na mnie. Prosty przykład: jak dzieci mają wiedzieć, że ojciec jest najważniejszy w domu? Dostaję największy kotlet podczas obiadu, jako pierwszy. Takie proste znaki! Albo że matka mówi: przyjedzie ojciec, to wam pokaże. Ona stara się, żebym był w domu taką figurą, która decyduje. Wiele razy jest mądrzejsza ode mnie i mogłaby zweryfikować to, co mówię, ale przy dzieciach tego nie robi. I dzięki jej postawie mój autorytet u dzieci jest taki, jaki jest". Koniec cytatu.

Jezu, straszne.

Nie wiem, jak tobie, ale mi to wygląda na jakiś groteskowy patriarchat.

Wow... Jestem pod ogromnym wrażeniem. Co trzeba mieć w głowie, żeby się chwalić tym w taki sposób? I robić z tego przemowę ilustrującą twój „sukces rodzicielski", ubierając to w szaty jakiegoś TED Talka?

Ale to jest dokładne pójście za tym, co mówi Biblia we fragmencie, który zacytowałem wcześniej. Mąż w domu jest jak Chrystus, nikt przecież nie będzie kwestionował słów Chrystusa.

Nie no, ja nie wątpię, ale wyobrażam sobie tę salę, w której on to powiedział. Ci ludzie go słuchają i nie ma tam ani jednego gościa, który podniósłby rękę i powiedział: „Yyy, przepraszam, ale co jeśli zrobisz coś głupiego"? Jak w ogóle można wychodzić z czymś takim do ludzi? Trzeba być bardzo pewnym tego, że publiczność myśli tak samo jak ty, żeby mówić takie rzeczy. On nawet sam

przyznaje figlarnie, że żona jest mądrzejsza od niego, a jednocześnie gloryfikuje strukturę zamordyzmu.

No wiesz, to była konserwatywna konferencja, dostał straszne oklaski pod koniec. Natomiast ja zastanawiałem się nad inną kwestią. Pomyśl: masz taki dom, w którym ojciec jest nieomylny. I któregoś dnia rodzina siedzi sobie przy obiedzie, ojciec coś tam chrzani, a dorastające dziecko wypala: „Oj, tata, bzdury gadasz". Po raz pierwszy ktoś ma czelność nie zgodzić się z głową domu. Co się wtedy dzieje? Ciężko jest utrzymać autorytet, za którym nie stoi nic poza rolą społeczną i zasadami religii.

Sama religia jest przecież czymś, co przyjmuje się bez mówienia „sprawdzam". Rzadko jest tak, że dobierasz sobie jakieś wyznanie, bo to intelektualnie przemyślałeś i do niego dojrzałeś.

Twoi rodzice są konserwatywni. Czy to znaczy, że u ciebie w domu ojciec też był tym najmądrzejszym i najważniejszym, co dostawał większe kotlety?

(śmiech) Moi rodzice w jakiś dziwny sposób dzielili rzeczywistość między siebie, każde miało obszary, na których znało się lepiej. Mama wypowiadała się w kwestiach wymagających rozsądnego, spokojnego podejścia. A tata zawsze bardziej siedział w tematach moich pasji, nadążania za tym, co robiłem i lubiłem jako nastolatek.

Sądzę, że ich podejście do życia dobrze obrazuje gotowanie. Mój tata jest specjalistą od przyrządzania ryb. A jeśli chodzi o rzeczy typu „obiad domowy w Polsce", np. bitki, to jest to zdecydowanie domena mamy. Każde z nich ma nawet zupę, w której się specjalizuje: zupą taty jest cebulowa, a mamy – krupnik. Urzeka mnie, jak mocno respektują ten podział i jeszcze nawzajem się hajpują: tata mówi, że mama jest najlepsza w czymś tam, a mama, że tacie super wychodzi coś innego.

Partnerski związek. W Japonii ten patriarchalny kult szefa-ojca jest obecny, nie?

Japonia to zabawny kraj, jeśli chodzi o takie społeczne rzeczy. Jest na przykład krajem bardzo rasistowskim, któremu generalnie świat nie za bardzo ma za złe ten rasizm. Wszyscy wiedzą, że tak jest, i uznają to za normalne. Tak samo, gdy Trump zostanie złapany na kłamstwie – no i co, przecież wia-

domo, że on kłamie, to część jego wizerunku. Analogicznie: Japonia jest patriarchalna i rasistowska – no i co. No taka jest. Element kultury.
Nie lubię się wypowiadać negatywnie na temat Japonii i japońskich problemów społecznych, bo, parafrazując to, co się mówi w Polsce: nie chce być imigrantem, co się nie asymiluje. Nikt mnie tu nie zapraszał, a jak mi się nie podoba, to mogę wypierdalać. Oni tak tu mają i nic mi do tego.

Wysłałem ci dziś dwa badania na temat lęków Polaków i Polek. Jedno przygotował IPSOS dla OKO.press, a drugie Kantar dla „Gazety Wyborczej". Wynika z nich między innymi, że większość mężczyzn między osiemnastym i trzydziestym rokiem życia wierzy w patriarchat: uważają, że rola mężczyzny to praca i utrzymanie rodziny, a kobieta ma zajmować się domem. I nie mieć zbyt wielu partnerów seksualnych, bo to źle o niej świadczy.
No tak, gadaliśmy już o tym przy okazji Linkiewicz.

Ponadto mężczyźni najbardziej boją się ataku LGBT+ i ideologii gender na polskie rodziny. W porównaniu do nich kobiety są realistkami: zdecydowanie bardziej od gejów i lesbijek boją się katastrofy ekologicznej, załamania systemu służby zdrowia, wyjścia Polski z Unii Europejskiej i nasilenia ruchów nacjonalistycznych.
Jestem taką odwrotnością tego statystycznego mężczyzny-Polaka, że jest to dla mnie aż creepy. Wspominałem, że dużo bardziej komfortowo się czuję wśród kobiet niż wśród mężczyzn. Teraz widzę, że czyni to ze mnie lewaka.

W ogóle według tego badania baby to banda lewaczek. Nie dziwię się, że część mężczyzn jest samotna, bo jak tu wejść w związek z lewaczką. Ciężko jest być heteroseksualnym mężczyzną.
Heteroseksualni katolicy bez wątpienia mają w Polsce najgorzej.

A przecież prawicowcy mogliby tworzyć szczęśliwe prawicowe jednopłciowe związki. Bez domieszki lewackości ze strony jakiejś lewackiej baby.
(śmiech) Był taki komiks o miłości dwóch kiboli, „Nacjolove" Jakuba Topora. Ta obecna polaryzacja jest o tyle zabawna, że prawie każdy jest pełnym pakietem poglądów. Niewielu jest ludzi, którzy np. nienawidzą imigrantów, ale są otwarci w kwestii LGBT+.

Tak, ale strach przed LGBT+ jest dużo bardziej abstrakcyjny niż strach przed tym stereotypowym imigrantem. Bo co ci ten gej zrobi? Nic. A w optyce przeciętnego człowieka imigrant przyjedzie i zabierze ci pracę. Realna strata.
W tym badaniu to było najzabawniejsze. Że te wszystkie lęki, które deklarują ankietowani, da się jakoś uzasadnić. A strach przed LGBT+... Czego ty się właściwie boisz? Opisz, co się dokładnie wydarzy w twoim życiu w związku z tym, że przyjdą ci straszni geje. Czym jest ten „atak na polskie rodziny"? Co złego ten gej czy ta lesbijka ci zrobi?
Polska zapomina, że w wielu krajach śluby par jednopłciowych są od dawna legalne i nic się strasznego nie stało. Że homoseksualistami są artyści, sportowcy, politycy, nawet prezes Apple. James Cameron od lat mówi, że popiera prawo homoseksualistów do małżeństw właśnie dlatego, że jest konserwatystą. A nasi prawicowcy trzymają się tych samych, absurdalnych stereotypów co dekady temu. Gej? Plecami się nie odwracam, he he! Polecam fanpage „Prawicowe poczucie chómoru". Topos seksu analnego i fekaliów mocno się trzyma. Miałem nawet ostatnio w „Zapytaj Beczkę" skecz o żarcie na tym poziomie, zapostowanym na Twitterze Przemysława Wiplera.

Wróćmy do początku tego rozdziału i do pozycji kobiet w internecie. Social media to prawdziwa pułapka dla pań. Jeśli dziewczyna prowadzi aktywne życie seksualne i się z tym nie kryje, to jest nazywana szmatą. Ale jeśli nie chce pójść do łóżka z jakimś gościem, to ten gość też nazwie ją szmatą. Czego by nie zrobiła, to będzie to rozpatrywane przez pryzmat wyglądu lub seksu.
To prawda, a do tego z solidarnością pomiędzy kobietami bywa dość marnie. Teraz widać pewne zmiany, bo feministki zaczęły nawoływać, żeby kobiety trzymały się razem, a nie oceniały czy wzajemnie podjebywały. Ale nie wszędzie to dotarło. Kiedy wejdziesz w komentarze u youtuberek czy influencerek mających głównie żeńską publiczność, to bardzo dużo jest tam seksizmu czy slutshamingu ze strony obserwatorek.

Na Facebooku dobrze widać, że jak kobieta napisze cos antyfeministyczego, dostaje mnóstwo lajków od facetów. I ta wypowiedź jest przez nich rozpatrywana jako jakiś ostateczny dowód: patrzcie, feministki nie mają racji, bo nawet kobiety się z nimi nie zgadzają.

To ciężkie, bo na pewno jest sporo dziewczyn, które łykają ten haczyk. „Ludzie się cieszą, kiedy tak mówię, więc będę tak mówić". A często to są osoby, które nie dość, że już korzystają z dokonań feminizmu, to wciąż go potrzebują.

Jakiś czas temu byliśmy w Bieszczadach z moją dziewczyną, i podsłuchaliśmy w PTTK rozmowę dwóch panów po czterdziestce. Potwornie bluzgali na jakąś grupę: te dziwki, te szmaty, wstydu nie mają. Myślimy: „Kurde, o kim to? Kogo można tak potwornie wyklinać?". Wiesz o kim mówili? O instagramerkach.

(śmiech)

Że „nic nie robią, tylko se dupe fotografują i dostają za to kupę hajsu, i firmy im produkty wysyłają, no pączki w maśle". Pośmialiśmy się z nich, że to straszni frustraci. Ale chwilę później pomyślałem, że kiedy masz 45 lat i nigdy nie miałeś szans na taki zarobek jak instagramerki, to możesz czuć frustrację. Ci dwaj goście prawdopodobnie zarabiali pieniądze w zdecydowanie bardziej mozolny sposób, czyli siedząc w biurze od ósmej do szesnastej.

Ale to nie jest wina tych dziewczyn z Instagrama.

Wiadomo. To jest kapitalizm w najczystszej postaci: jeśli masz odbiorców, którzy chcą patrzeć na twój tyłek, to czemu masz im go nie pokazać?

Pamiętam widziałem taki żart w jakimś stand-upie na Netfliksie – komik po prostu powiedział, że są na świecie dziewczyny, którym codziennie kilka milionów osób gapi się na tyłek. I zrobił pauzę, żeby pozwolić wybrzmieć temu zdaniu.

Swoją drogą, gdy kształtowała się w Polsce branża influencerska, to nie trzeba było być śliczną instagramerką, żeby tak o tobie mówili. Ja słyszałem niemal dokładnie to samo – że w zasadzie nic nie robię i zbieram hajs zamiast „iść do uczciwej pracy".

TINDER CZY UBER

Na początku książki mówiłeś, że jako nastolatek miałeś ogromne problemy z nawiązywaniem znajomości z dziewczynami. Czy twoja obecna pozycja miała wpływ na relacje damsko-męskie?

Pytasz, czy dziewczyny lecą na hajs i popularność?

Właśnie tak! (śmiech)

Szczerze mówiąc, nigdy mnie to szczególnie nie obchodziło. Prawie całe dorosłe życie byłem w stałych związkach. Ostatnio pierwszy raz od bardzo dawna nie jestem. I całkiem mi z tym dobrze – uczę się bycia samemu, a jednocześnie mam więcej okazji do poznawania różnych ludzi, niż mogłem się spodziewać.

I nie chodzi o to, żeby narzekać jak typowy polski raper, że „kiedyś to w ogóle nikt nie chciał ze mną rozmawiać, a teraz te szmaty same się ustawiają w kolejce". Mój typ osobowości raczej nie przyciąga osób, które „lecą na fejm". Rozpoznawalność powoduje jednak, że ludzie często reagują na mnie tak, jakby mnie trochę znali, choć to oczywiście tylko złudzenie. Jeśli założyć, że obejrzenie kilku odcinków bardziej prywatnych vlogów daje ci podobny wgląd w moją osobowość, co jedna-dwie randki, to byłem na tych randkach z jakimś milionem osób. Nawet ci, którzy nie oglądają moich filmów, uznają moją popularność za pewnego rodzaju gwarancję bezpieczeństwa. Jest mała szansa, że coś odjebię, skoro żyję w rzeczywistości, w której zaufanie i wizerunek są fundamentami mojej działalności.

Dla mnie, introwertyka, to wymarzona sytuacja. Mogę dość szybko przeskakiwać ten pierwszy, niezręczny etap poznawania się, szybko łapię luz z nowymi osobami. Więcej zadaję pytań i słucham, niż opowiadam o sobie. W sumie

mówiliśmy o randkach, a to, co teraz mówię, tyczy się ogólnie mojego życia towarzyskiego.

Jaki masz opis na Tinderze?

Czekaj, sprawdzę... Mam jedno słowo i znak zapytania: „Techenko?".

Czyli zakładasz, że osoba, która przesunie cię w prawo, wie, kim jesteś.

Wiesz co, to nie jest takie oczywiste, nie ja jeden mam krótki opis. W pewnym momencie dorzuciłem do niego drugie zdanie – że nie ma nic głupszego, niż pisanie na Tinderze, że „nie szukam przygód". Ale usunąłem, bo podoba mi się minimalizm.

Jest dużo tinderowych opisów sugerujących ironiczny dystans, w stylu: „Och, jestem tu tylko przelotem...". Kreowanie się na osobę, która lekko gardzi tym Tinderem i wpadła tylko zobaczyć, co się tu dzieje.

Mnie bardziej dziwią opisy typu: „nie szukam przygód, chcę stabilnego związku i masz mi podesłać swoje CV". Bardziej takie chińskie swatanie niż fajna, niezobowiązująca zabawa. Nie kumam takiego podejścia. Z góry deklarujesz, że szukasz poważnego związku, ale może... no nie wiem, spróbuj się z kimś umówić, to zobaczysz, czy ta osoba ci się w ogóle podoba. Chyba, że dziewczyny są tak zasypywane propozycjami seksu, że jeśli nie napiszą tego wprost, to nie mogą się opędzić.

Kiedyś gadałem z dziewczyną, która miała wpisane na Tinderze „NO ONS", czyli „no one night stand" – w wolnym tłumaczeniu „bez przygód łóżkowych na jedną noc". Z tym, że ona się chętnie na te ONS-y umawiała. Zapytałem ją, o co chodzi. Powiedziała mi, że póki nie miała tego opisu, to uderzały do niej masy prostaków z tekstami typu: „Chodź się ruchać". Kiedy napisała „NO ONS", to ich odsetek się zmniejszył. Więc ona szuka ONS-ów, ale odsiewa zjebów.

Ja kiedyś poznałem dziewczynę, która miała mój ulubiony opis na Tinderze. „Wyobraźmy sobie, że już byliśmy na pierwszej randce i bardzo mi zależy, ponowałeś swoimi historiami, czas zdobyć kolejną bazę, mordo" (śmiech). Mówiła, że wielu kolesi nie kumało, o co jej chodzi. I że ten żart jest pewnym takim filtrem, bo tylko mały procent ludzi potrafi się wstrzelić w ten wajb. Zawadiackie w sympatyczny sposób.

To w ogóle śmieszna historia – umówiliśmy się, a ona, jadąc na spotkanie, została zatrzymana przez policję za przekroczenie prędkości, więc do randki nie doszło. A później w rozmowie z nią wyszło, że ona nie wie, czym ja się w ogóle zajmuję. Napisała mi: „Ej, słuchaj, pokazywałam koleżance, że jest jeden normalny koleś na tym Tinderze, a ona mi na to, że to przecież <nazwisko>, ale już zapomniałam jakie. Ty podobno jesteś jakiś znany". Więc na pewno nie „leciała na fejm". Mój profil sam w sobie spodobał jej się tak bardzo, że przekroczyła prędkość, pędząc do mnie (śmiech).

To czemu nie umówiliście się później?

Oho, widzę, detektor ściemy włączony. Mieszka w mieście, w którym nie bywam regularnie. Ale poczekaj, bo rysujemy mój wizerunek tinderowicza, a ja tylko kilka razy się umówiłem się na Tinderze.

O, już się zaczynasz krygować: „och, ja tylko tu jestem przelotem"...

Jest jakieś przekonanie, na szczęście coraz słabsze, że konto na Tinderze to coś wstydliwego. Mnie w tej zabawie podoba się to, że możesz trafić na ciekawe osoby, które są z kompletnie innego środowiska niż ty.

A co najczęściej do ciebie piszą dziewczyny na Tinderze?

Pytają, czy moje konto to fejk.

Czyli piszą do ciebie fanki. Umawiasz się z fankami?

Nie. Myślę że mam dobre wyczucie tego, czy kogoś interesuję ja jako osoba, czy publiczna persona Krzysztofa Gonciarza, z którą fajnie by było mieć fotkę.

Żeby potem wrzucić na Tindera (śmiech).

Jeśli ktoś stawia się w pozycji „fana", od razu kreuje bardzo jednostronną relację, w której możesz go łatwo skrzywdzić. To nie jest dla mnie spoko. Youtuberzy nie mają wokół siebie wulgarnej otoczki „ruchania na sławę", jaką mają raperzy, więc łatwiej przeoczyć niemoralność takich układów. Ale ja się w nie nie angażuję.

Co innego, jeśli ktoś po prostu kojarzy, kim jestem, ale ma do mnie normal-

ne podejście. Wtedy to bardzo skraca dystans. Zbudowałem w ten sposób niejedną relację i przyjaźń. Interesuję się osobami, które robią fajne rzeczy w życiu. Bo robienie fajnych rzeczy mi imponuje. Myślę, że fantazjując o idealnej partnerce, myślę o osobach, które mają pasję i odnoszą na jej polu sukcesy. Moja wymarzona partnerka to jednocześnie mój najlepszy przyjaciel, ktoś, z kim chciałbym dzielić wszystko.

Ten fragment wywiadu wygląda trochę jak ogłoszenie matrymonialne: młody (35), niepijący, z własnym lokum, szuka przyjaciółki, a może kogoś więcej...
W ogóle ta książka to jeden wielki suplement do mojego profilu na Tinderze (śmiech). Mój idealny związek to coś jak Underwoodowie z „House of Cards". Sztama ponad wszystko, wspólne naginanie rzeczywistości pod siebie. Może z mniejszą dozą intrygi, ale z podobnie nienaruszalną nicią porozumienia.

Oni tam mieli taki trochę otwarty związek.
Mógłbym sobie wyobrazić siebie w długotrwałym otwartym związku, bo jestem zdania, że otwarte związki są możliwe. Nie mam zapędów, by „posiadać" drugą osobę. Jeśli czuję zazdrość, to bardziej o kwestie mentalne niż fizyczne. Ale do tego potrzebne jest bezgraniczne zaufanie.
Czasem myślę, że sfera relacji romantycznych nie zmieniła się wiele przez ostatnie 30 lat, a przecież cały postęp technologiczno-kulturowy, który się w tym czasie dokonał, i tutaj może dokonać rewolucji. Może cały model tradycyjnej monogamii prędzej czy później zacznie się zmieniać. Trochę już się chyba zmienia.

Jak na twoje życie randkowe wpływa twoja znana twarz?
Często mówię, że bycie taką osobą jak ja, jest trochę jak bycie ładną dziewczyną. Ludzie nawiązują z tobą kontakt wzrokowy. Jeśli wydajesz się sympatyczny, to zagadują. Zawsze jest ktoś chętny, by postawić ci drinka. Gdy chcesz być sam, to musisz to wyraźnie sygnalizować mową ciała, bo nawet zwykły uśmiech od razu kogoś przyciąga.
Myślę, że z tego powodu tak dobrze się dogaduję z kilkoma moimi przyjaciółkami, które pracują jako modelki. Nasze style życia kształtują podobne mechanizmy. Plus dochodzi to ciągłe podróżowanie po świecie i smutne poczucie tymczasowości wszystkiego, co jest dookoła nas.

Świat modelek jest dla mnie tak fascynujący, że chciałbym o tym napisać książkę. Bardzo się cieszę, że otarłem się o to środowisko. Modelki mają uruchomiony w życiu taki randomizator statusu społecznego. Jakaś dziewczyna może mieszkać w Tokio w totalnej dziurze, bo agencja załatwiła jej najtańsze możliwe mieszkanie. A następnego dnia może zostać zaproszona przez jakiegoś miliardera na jacht. Albo idzie na imprezę, na której będzie DiCaprio, więc klub zapłacił dwudziestu modelkom, żeby Leo miał z kim pogadać... Zadałem kiedyś przyjaciółce-modelce pytanie, czy jakby się naprawdę postarała, to ogarnęłaby, żeby jeszcze dzisiaj znaleźć się w prywatnym odrzutowcu. Zastanowiła się i odparła, że chyba tak.
To trudny styl życia, wymagający dużo zdrowego rozsądku, umiejętności opierania się pokusom. Dużo wokół ciebie hien, każdego dnia masz otwarte opcje zniszczenia swojej przyszłości. Ponadto życie modelki to życie pośród creepów. Te dziewczyny mają w sobie tyle nieufności i mechanizmów obronnych, zaprogramowanych przez samo to, w jakim świecie żyją... Dla mnie to jest zajebiście ciekawe. Funkcjonowanie w rzeczywistości, w której jesteś młodą dziewczyną, masz 20 lat i statystycznie każdy facet chciałby cię wyruchać. Jeden spróbuje postawić ci shota, drugi zaprosi cię na lot helikopterem na swoją prywatną wyspę, a trzeci dorzuci ci do drinka pigułkę gwałtu. I nigdy nie wiesz, który jest który. Przerażające, nie?

JAK SIĘ ROZSTAĆ

Pamiętasz swój pierwszy związek?

Tak, przy czym moja ówczesna nieumiejętność radzenia sobie z tematami związkowymi była jakaś rekordowa. Chyba nie do końca wiedziałem, po co z kimś jestem. Jaki był powód, dla którego w ogóle byłem w związku? Może chodziło o seks? Że żeby ruchać się „na legalu", to trzeba być w związku. A poza tym... no, wszyscy dookoła z kimś byli, więc wydawało się, że to jest to, co powinno się robić.

Presja.

Chyba nikt tak precyzyjnie nie potrafi ocenić, gdzie ta presja społeczna się zaczyna, a gdzie kończy. W danym momencie wybory mogą wydawać się twoimi własnymi, a kiedy spojrzysz z perspektywy czasu, to nie masz pojęcia, czemu postąpiłeś tak, a nie inaczej. Mniej więcej na etapie liceum ludzie zaczynają się „wiązać" – jaki procent z nich naprawdę głęboko przemyślał powody swoich decyzji, a dla ilu była to po prostu nowa, ekscytująca rzecz, którą się robi w tym wieku?

Mimo wszystko jako nastolatek przeżywałeś sprawy sercowe dosyć mocno – wspominałeś o tym w naszej wcześniejszej rozmowie. Czy z czasem to się zmieniło?

Tak, to był proces, który zaczął się jakoś na studiach. Zacząłem się emocjonalnie wycofywać, starałem się być opanowany. Wydaje mi się, że to zaczęło we mnie kiełkować gdzieś pod koniec związku z Natalią – mojej pierwszej znaczącej relacji damsko-męskiej. Może stałem się poważniejszy?

Te zmiany były świadome?

Nie, dopiero teraz zaczynam to zauważać. Słowo „opanowany" pojawiło się w mojej głowie dopiero kilka tygodni temu, w kontekście imprez. Wydaje mi się, że zawsze jestem opanowany w przestrzeni publicznej i nigdy nie daję się ponieść.

No nie wiem. Ostatnio szkalowałeś jakiegoś klienta na Facebooku, bo przedstawił ci złe warunki umowy na chwilę przed zrobieniem projektu.

Ale to nie był wybuch złości, nad którym nie miałem kontroli, tylko wykalkulowane działanie. W takich przypadkach raczej wiem, gdzie się zatrzymać, żeby nie przekroczyć pewnej granicy. Nie napisałem na przykład, o jaką firmę chodzi, bo to by już było bardzo nieprofesjonalne. Po prostu podałem przykład pewnego nadużycia jako branżową ciekawostkę.

A przekroczyłeś kiedyś granicę tak, że potem tego żałowałeś?

Kiedyś miałem taki dziwny rant na Facebooku, to było niedługo po tym, jak skończyłem pracować w GRY-OnLine. Pierwszy raz od paru lat nie pojechałem na targi E3, tylko oglądałem streama z konferencji. I nie wiedzieć czemu postanowiłem publikować na bieżąco swoje reakcje. To były jednozdaniowe posty, takie jakby tweety, tylko na Facebooku. A to zawsze była zła platforma do wrzucania czegoś co pięć minut. I jako ktoś, który siedzi w social mediach, powinienem to wiedzieć.

Ludzie zaczęli mi pisać, że spamuję i po cholerę piszę takie rzeczy. A ja odpowiedziałem, że nie będą mi mówili, co mam postować, bo to jest mój kanał i skoro się nie podoba, to wypierdalać. Może nie do końca tymi słowami, ale taki był przekaz. Na drugi dzień to przeczytałem i pomyślałem sobie: „O ja pierdolę, jaki wstyd".

Alkohol?

Nie, byłem po paru kieliszkach wina. Nie jakiś pijany, ale w takim stanie, że łatwiej człowiekowi przychodzą do głowy takie durne pomysły. A poza tym

wydarzeniem? Nie pamiętam takich sytuacji. Generalnie jestem dość stoicki. Nie umiem się na przykład zachwycać jedzeniem, moje pozytywne reakcje w restauracjach ograniczają się do czegoś w stylu: „Ooo, dobre".

Mam to samo. Kiedyś nasz wspólny znajomy z Japonii zaprosił mnie do dobrej restauracji z sashimi, którą miałem zareklamować po angielsku. I nie potrafiłem. Strasznie sztywno mi to wychodziło, mówiłem jakieś bzdury typu: „Mmm, deliszys, wery gud". Ekipa nie była zadowolona, wszyscy powtarzali: „Say more, say more".

To bardzo japońska rzecz, takie stawianie kogoś pod ścianą nie do końca wyjaśnionych oczekiwań. Nagle dowiadujesz się, że jesteś komuś winien jakąś przysługę, przy czym jej istota nie jest zbyt jasna.

Kiedyś wylądowałem w tokijskim salonie fryzjerskim, w którym odbywała się jakaś międzynarodowa impreza. Poszedłem, bo dostałem zaproszenie, a na miejscu okazało się, że mam współprowadzić lekcję angielskiego dla fryzjerów. Wchodzę i słyszę: „O, a tutaj mamy obcokrajowca. Skąd jesteś?". Odpowiadam: „Z Polski". A oni: „Dziś będziemy uczyć się angielskiego. Pierwsza lekcja: wyrażenia przydatne w salonie fryzjerskim. Jedziesz, Krzysztof!". Musisz się wielu rzeczy domyślać. Wiele razy wykorzystywano fakt, że jestem filmowcem. Oczekiwano ode mnie, że coś nagram, ale nikt mnie nie briefował. Na zasadzie: „No i będzie ta impreza, i będzie Kris. Kris, weźmiesz kamerę, prawda?". A na miejscu: „Tu jest koleś, który udzieli ci wywiadu" (śmiech).

Wróćmy do związków. Znalazłem na YouTubie filmik, na którym Natalia robi prelekcję na temat, którym zajmuje się zawodowo. Jest świetnie przygotowana, mówi po angielsku. A w komentarzach ludzie nazywają ją „byłą Gonciarza".

Natalia pojawiała się w moich filmach, o związku z nią mówiłem widzom całkiem otwarcie. To było w pierwszej, bardzo amatorskiej fazie rozwoju mojego kanału na YouTubie. W tej mojej małej społeczności była znana jako moja partnerka. I gdy kanałowi rosła popularność, wymknęło mi się to spod kontroli. Kiedy się rozstaliśmy, to odczułem konsekwencje tej otwartości. Co chwila ktoś pytał: „gdzie jest Natalia?", powstawały różne teorie spiskowe. Wtedy wytworzyłem w sobie jakąś taką ścianę. Postanowiłem o tej sferze życia nie mówić publicznie.

A Natalię to stresowało?

Myślę, że trochę tak. Chociaż ona jest zbyt inteligentna, żeby się mocno przejmować opiniami przypadkowych komentujących. Bycie w związku z youtuberem to bardzo specyficzna sytuacja – coś, czego wcześniej nie przerabiano. Raz jeden influencer poprosił mnie o radę, co ma zrobić, bo rozstał się z dziewczyną, o której wiedzieli jego widzowie. Coś tam mu powiedziałem o własnych doświadczeniach, ale to nie była podręcznikowa wiedza. Lepiej zamieść to pod dywan czy o tym opowiedzieć, a potem uciąć temat raz a dobrze? Pierwsze będzie się za tobą ciągnąć latami, drugie może być odebrane jako tworzenie wokół siebie sensacyjno-plotkarskiej otoczki. Nikt ci nie powie, jak to zrobić w 100% poprawnie.

Wiele osób może nie być świadomych, co to znaczy wejść w związek z youtuberem. Jeśli to się skończy, to już na zawsze pozostaniesz „byłym" albo „byłą".

Przy takich rozstaniach z widzów wychodzą... różne rzeczy. Jako influencer zazwyczaj jesteś postacią pierwszoplanową swojej narracji i sympatia ludzi jest po twojej stronie, co wśród nadgorliwych fanów może rodzić niechęć do twojej czy twojego eks. To bardzo krzywdzące, bo ludzie, którzy nie mają pojęcia, co tam się wydarzyło, próbują zająć jakieś stanowisko. A nie ukrywajmy – w różnych gałęziach show-biznesu to ta bardziej znana połówka związku jest zwykle trudniejszą osobą.

Dlatego zawsze jestem bardzo ostrożny przy okazji jakichś internetowych linczów. Zasięg to potężna broń w internecie. Kiedy cię poniosą emocje, możesz zrobić wiele złego, nawet niechcący. Kiedy poza „Zapytaj Beczkę" mówię swoim zwyczajnym, krzysztofowym tonem, to staram się być możliwie najmniej negatywny. A jeśli już mówię coś negatywnego, to staram się to dokładnie przemyśleć i uzasadnić. Bo na YouTubie krytyczne opinie nie pozostają bez konsekwencji.

Rzadko mówię źle o osobach, miejscach czy eventach. Kiedy idę do restauracji i mi nie smakuje lub obsługa jest bucowata, to nie postuję instastory: „NIE IDŹCIE TU, TO CHUJOWE MIEJSCE". Boję się, że moja ocena mogłaby być niesprawiedliwa – być może akurat była jakaś awaria albo ktoś miał zły dzień.

Taki post może wiele kosztować osoby, które niczym nie zawiniły. Mam dużo pokory wobec chaosu, który nas otacza, i generalnie nie wierzę, że istnieją „debile". Jeśli coś było poniżej twoich oczekiwań, jest duża szansa, że powodem był ten chaos, przypadek, nieporozumienie, a nie czyjś „debilizm".

Przejdźmy do twojego związku-nie-związku z Kasią, o którym niedawno opowiedzieliście w dwuczęściowej „Historii Kasi i Krzysia". O tej relacji długo nie mówiłeś wprost. Choć nagrywaliście razem filmy, widzowie mogli tylko się domyślać, że jesteście parą. Czułeś, że ukrywanie tego cię rozdziera?

Chyba nie. To przyszło nam naturalnie – stworzyliśmy dla widzów świat, który pomijał kwestię naszej relacji, ale był spójny. My nie tyle kłamaliśmy, ile... nie pokazywaliśmy pewnych rzeczy.

Co się stało z tą narracją po rozstaniu z Kasią?

Nagle w moim życiu pojawiła się wyraźna wyrwa. Kasia zniknęła z moich filmów, a zarazem ta narracja musiała być kontynuowana. I w tym momencie przestało to być autentyczne. Ale przy okazji muszę to wyraźnie zaznaczyć: film o „dziurze w głowie" nie był o Kasi.

Wracając do tematu: zacząłem dostrzegać, że rozłam pomiędzy tym, co pokazuję, i tym, co faktycznie przeżywam, staje się coraz większy. Tak było świeżo po naszym rozstaniu i trochę się to ciągnęło, niestety. A z racji tego, że nie mówiliśmy o tych sprawach publicznie, to nie wiedziałem, jak się odnieść do zmian w moim życiu. To był moment, w którym ta poukładana pod vloga rzeczywistość została nadszarpnięta. Umiałem omijać prywatność „we współpracy" z Kasią, ale nagle potrzebowałem prywatności prawdziwej. Byłem uwięziony w poprzednim etapie swojego życia i nie mogłem przejść do następnego.

Ludzie, którzy oglądali vlogi, widzieli, że nagle zacząłem bywać w innych miejscach, z innym towarzystwem. Ale nie wiedzieli, co naprawdę się ze mną dzieje, więc musieli czuć pewien dysonans.

To chyba w ogóle problem youtube'owych par, które na tym, że są parami, budują popularność. Niektórzy pewnie myślą wręcz: „Kurczę, może lepiej się w ogóle nie rozstawać, bo to źle zrobi naszemu wizerunkowi"?

A przecież rozstanie po kilku latach jest trudne dla każdego. Już nawet pomijając aspekt emocjonalny, rodzi to zawsze jakieś problemy natury organizacyjno-logistycznej – ktoś się musi przeprowadzić, trzeba podzielić kupione wspólnie rzeczy, ustalić, co dalej z projektami, nad którymi pracowaliście razem. Nawet nie wspomnę o sytuacjach, gdy para ma dzieci. Rodzi się pytanie: czy jeśli przeorganizowanie życia po rozstaniu jest trudne, to czy nie lepiej dla świętego spokoju kontynuować związku?

A my z Kasią przecież mamy „dziecko", czyli firmę w Japonii.

Po co nagraliście „Historię Kasi i Krzysia"?

Z dwóch powodów. Pierwszy – ten mniej ważny – był taki, że wlekły się za nami opinie i teorie na nasz temat. A te prowadziły do absurdalnych i niekiedy nieprzyjemnych sytuacji. Ilekroć na moim kanale pojawiała się jakaś kobieta niebędąca Kasią, to od razu były komentarze: „Uuuu, a co na to Kasia? Kasia jest chyba zazdrosna!". Albo: „Widać, że Krzysiu robi zdjęcia modelkom, żeby Kasia była zazdrosna, chyba coś u nich nie gra". Takie gówniarskie rzeczy. Albo zupełnie niewinne nieporozumienia – ktoś mnie zaczepił na ulicy z pytaniem: „Na ile jesteście w Polsce?". Pytam: „My, czyli kto?". A ten ktoś: „No, ty i Kasia".

A drugi, istotniejszy, czynnik był taki, że oboje czuliśmy, że ta historia nie jest zamknięta. Że ją zdusiliśmy na potrzeby YouTube'a i że jeśli się z tym nie otworzymy, to nie domkniemy tego etapu. Że w narracji zostanie ta wyrwa, o której wspominałem.

Zrzuciliście z pleców balast.

Tak. To może być dla większości ludzi dziwne, że przeżywasz coś trudnego, bardzo prywatnego, i masz potrzebę opublikować o tym filmik. Ale nasze życia są publiczne, więc... no tak już jest. Myślimy tymi kategoriami, bo YouTube to część naszego życia. A przynajmniej mojego, bo Kasia mniej się definiuje przez YouTube'a niż ja.

Zanim zdecydowaliście się opowiedzieć waszą historię, tkwiliście w pewnym niedopowiedzeniu. Komu było z tym ciężej: tobie czy Kasi?

Myślę, że Kasi. Społeczności internetowe mają wiele wspólnego ze środowiskami kibicowskimi – ludzie walczą dla swojej „drużyny". Ci, którzy byli

widzami bardziej moimi niż Kasi, a którzy wyczuwali, że coś nie gra, mieli negatywne emocje wobec niej. Gdy przyznałem się do złego samopoczucia w filmie „Dziura w mojej głowie", ludzie pisali do Kasi: „Czemu nie zajmujesz się Krzyśkiem?".

O nie...

No właśnie. To było bardzo nieprzyjemne i chyba dobrze to zakończyliśmy. Wiadomo, że nasze filmy o rozstaniu wywołały różne opinie i ludzie interpretowali je na wszystkie możliwe sposoby, ale zrobiliśmy je przede wszystkim dla siebie, a dopiero potem dla ludzi, którzy nas przez cały ten czas śledzili. Stwierdziłem, że ponieważ byli częścią tego wszystkiego, to powinni wiedzieć, co się naprawdę działo. Natomiast to nie było skierowane do osób, które w ogóle się nie interesują, kim jesteśmy. Takich, które obejrzały tylko to, po czym uznały, że „o Jezu, jaka żebranie o atencję, jaka patologia".

A takich osób było dużo, bo „Historia Kasi i Krzysia" trafiła na pierwsze miejsce polskiej karty „Na czasie".

Tak, przypadkowych widzów było wielu. Ale ich opiniami specjalnie się nie przejmuję, bo to w ogóle nie były filmy zrobione dla oglądalności. Miały wysoką, bo były dla ludzi interesujące, ale zrobilibyśmy je nawet, gdyby miały mieć pięćset wyświetleń. Dla siebie.

A jakieś reakcje cię zaskoczyły?

Tak, niedługo po wrzuceniu zaczepił mnie na ulicy jakiś koleś i powiedział: „Cześć, Krzysiu! Super ostatni filmik z Kasią!". Powiedziałem mu: „Spoko, ziomek". I dodałem w myślach: „Pracowaliśmy na niego pięć lat" (śmiech).

Czy jednak przypadkiem nie spowodowaliście, że ludzie zupełnie niezorientowani w waszej sytuacji nagle pomyśleli, że orientują się w niej lepiej od was?

Tak, i to jest dla mnie bardzo ciekawe. Nie mam doświadczenia w publicznym mówieniu o prywatności. Pierwszy raz miałem okazję zobaczyć, jak ludzie reagują na „plotkarski" content na mój temat. To niesamowite, jak się tym interesują. Reakcja na coś intymnego jest znacznie mocniejsza niż na jakiekolwiek inne treści. Ludzie chyba po prostu lubią wchodzić z butami w cudze życie.

Okej, ktoś powie: „skoro nie chciałeś, żeby ludzie komentowali, to po co to kręciliście". Ale ja nie twierdzę, że to źle, że ludzie komentują. Tylko zaskakuje mnie, jak wiele osób po obejrzeniu takiego filmu zakłada, że ma całą wiedzę na ten temat i pełne prawo, żeby kategorycznie opiniować czy nawet radzić nam, co powinniśmy zrobić. Widziałem pełną skalę reakcji, od niechęci do motywowania: „Krzysztof, walcz o Kasię, bo jesteście dla siebie stworzeni!!!". Czasem miałem nawet ochotę odpowiedzieć: „Nic nie wiesz, człowieku". Ale wiedziałem, że jeśli się w ten sposób zaangażuję, to obydwoje z Kasią na tym stracimy.

To trochę jak ludzie, którzy po obejrzeniu miniserialu dokumentalnego o jakiejś zbrodni stają się ekspertami większymi od śledczych naprawdę zaangażowanych w tę sprawę.

Albo gdy ktoś mówi, że jakiś polityk jest debilem. Zawsze wtedy myślę, że przecież on ma dostęp do bardzo dużej liczby informacji, do których ty dostępu nie masz. Każda decyzja polityczna to wybór rozwiązania godzącego wiele różnych interesów. I to raczej nie jest tak, że politycy to głupki robiące głupie rzeczy. W ogóle uważam, że nie ma głupich ludzi. Są tylko nieporozumienia komunikacyjne.

Jesteś po dwóch długich związkach, które były diametralnie różne, jeśli chodzi o komunikację. O jednym mówiłeś wprost, o drugim wcale. Jak będzie z kolejnym? Myślisz już o tym?

„Myślę, że nadal będę trzymał swoją prywatność w ukryciu. Przynajmniej do stadium bardzo zaawansowanego związku, którego będę całkowicie pewny. Celowo unikam określenia „do ślubu", bo cóż... poglądy w tej kwestii mam raczej skomplikowane.

Są różne szkoły mówienia o związkach, gdy jesteś rozpoznawalną osobą. Michał Szafrański ostatnio opowiadał mi, że on bardzo świadomie ukrywa swoją małżonkę. Ona w ogóle nie jest obecna w jego życiu publicznym i tak jest dla niej okej.

A jeśli twoja dziewczyna sama miałaby parcie na szkło i sugerowałaby, żebyś się wyoutował?

To by było dla mnie trudne. I chyba postrzegałbym to jako niezbyt fajną cechę tej osoby. Chyba, że poznałbym kogoś, kto chce razem ze mną tworzyć filmy. Bardzo to lubię – być z kimś w związku i jednocześnie z tym kimś pracować.

Oczywiście pozostaje jeszcze inny kierunek: co, jakbym wszedł w związek z influencerką o porównywalnym bądź większym zasięgu niż ja. Myślę, że coś takiego nie wchodzi u mnie w grę, bo siłą rzeczy to byłaby taka „show-biznesowa" relacja. Jak Czarek i Maffashion, którzy zresztą niedawno ogłosili rozstanie. Nie zazdroszczę wyzwań, które życie rzuca takim relacjom.

UŻYWKI

Miewasz problemy ze zrelaksowaniem się?

No. Jestem cały czas aktywny, cały czas mam dziesięć rzeczy do zrobienia, natłok wątków, którymi trzeba się zająć. Mój mózg ciągle skacze i wybiera najpierw rzeczy najłatwiejsze do zrealizowania, przez co tematy wymagające głębszych przemyśleń często odkładam. Mimo że sprawiam wrażenie świetnie zorganizowanego, mam z tym de facto spory problem.

Kiedy ostatnio ci wysłałem fragment wywiadu do sprawdzenia, to czekałem tydzień na odpowiedź.

Ciężko było mi się za to zabrać. Ale kiedy już otworzyłem plik, to poszło. O czym to my mówiliśmy?

O tym, że niełatwo jest ci się zrelaksować.

A, no tak. Niektórym marihuana pomaga się zrelaksować, a ja jej nie lubię, bo wyciąga ze mnie wszystkie niepokoje.

Chcesz gadać o narkotykach?

Tak, bo wielokrotnie bywałem w krajach, w których trawa jest legalna. Na przykład w Kanadzie.

Paliłeś tylko w krajach, w których to jest legalne?

Oczywiście! (śmiech) Myślę, że z paleniem jest tak, że dostajesz to, czego się spodziewasz, że możesz dostać. W sensie: nastawienie jest ważne. I jak sobie przeczytasz, jak powinien działać jakiś konkretny szczep marihuany, to jest szansa, że tak zadziała.

Byłem w tym roku w sklepie specjalistycznym w Kanadzie i uderzyło mnie, jak dokładnie wszystko było tam opisane. Sprzedawca mi doradzał, pytał o moje potrzeby: czy ma być bardziej do spania, czy do aktywności dziennej.

Ale generalnie nie jestem fanem palenia. Muszę być w tym stanie sam albo w otoczeniu bliskich osób, przy których mogę się wyluzować. Inaczej mam takie jazdy, z jakich żartował kiedyś Louis CK. „Na pewno wszyscy widzą, że dziwnie trzymam rękę".

A jaki jest generalnie twój stosunek do narkotyków?

Myślę, że nie powinno się wrzucać wszystkich do jednego worka i operować abstrakcyjną kategorią pt. „narkotyki", w której mieszczą się rzeczy o bardzo różnym działaniu i stopniu szkodliwości. Uważam, że na ten temat powinno się rozmawiać. Ale ta rozmowa powinna być inna w zależności od tego, czy mówimy o psychodelikach, czy o euforykach i tak dalej.

Cieszy mnie, że obecnie w USA wraca się do dojrzalszej dyskusji na temat substancji psychoaktywnych. Michael Pollan w książce „How to Change Your Mind" doskonale opowiada historię ostatnich 60 lat polityki narkotykowej. Nadmierna nonszalancja lat 60. doprowadziła do „War on Drugs", w wyniku której do jednego worka z kokainą i heroiną wrzucono na przykład LSD – psychodelik, którego działanie na ludzki mózg jest tak fascynujące, że ignorowanie jego naukowego potencjału jest absurdalne. A jednocześnie w Stanach LSD jest tak jednoznacznie kojarzone z hipisami i działaniami antysystemowymi, że trudno je z tego marginesu wyciągnąć. Dlatego badania nad psychodelikami dotyczą głównie psylocybiny.

Podobnie jest z MDMA i ketaminą, które są uważane za narkotyki typowo imprezowe. A istnieją wiarygodne badania na to, że można nimi leczyć np. syndrom stresu pourazowego. Ten świat substancji psychoaktywnych przestaje być czarno-biały, kiedy się o nim poczyta.

Z ulgą myślę o tym, ile zmieniło się pod tym względem w Polsce przez ostatnich 15 lat. Mamy legalne CBD, a marihuana jest coraz częściej postrzegana rozsądnie: jako używka i coś, od czego można się uzależnić, ale nie jako prosta droga do rynsztoka. Nieraz słyszałem o tym, że policjant znalazł przy kimś marihuanę i machnął na to ręką. Nawet znam jedną taką historię o MDMA. Policjant skonfiskował i puścił. Naprawdę to szanuję.

Wow, a MDMA to już nie są twarde narkotyki?

Nie wiem, al dente? Nie zapominajmy też o całej kategorii używek, które pochodzą z apteki. Kiedy mówimy „narkotyki", to wyobrażamy sobie dilera

wołującego z krzaków dzieci na „pierwszą działkę za darmo". No i mieliśmy w Polsce cały ten absurdalny, mroczny epizod z legalnymi dopalaczami.

Załapałeś się na nie?

Nie, nigdy nie byłem w sklepie z dopalaczami ani nie miałem kontaktu z żadnym z produktów z tych sklepów. Popularność dopalaczy znakomicie pokazała, jak stereotypowe myślenie o środkach psychoaktywnych może rodzić przykre sytuacje. Założę się, że dla wielu ludzi, nawet dzisiaj, jakieś gówno kupione w sklepie z dopalaczami cały czas wydawałoby się bezpieczniejsze i mniej szkodliwe niż „prawdziwe" narkotyki. Bo przecież jest w sprzedaży, nie? Masz paragon.

Tymczasem te produkty to był efekt chemicznej wojny technologicznej pomiędzy producentami a legislacją, w której niska szkodliwość nie była dla nikogo priorytetem. Ale lepiej kupić „fake weed" w sklepie niż prawdziwą marihuanę od dilera – bo jakoś tak mniej przypałowo. Tylko później się okazuje, że usmażyłeś sobie mózg. Jeśli microdosing LSD był nielegalny i stygmatyzowany jako „droga do rynsztoka", a jednocześnie można było kupić „kolekcjonerski" mefedron w sklepach, to coś ewidentnie było nie tak.

No i są też apteki, i cały arsenał rozmaitych leków na kaszel. Na całe szczęście w Polsce nie mamy, w przeciwieństwie do USA, dużego problemu z ani opioidami, ani z lekami typu Ritalin czy Aderal, które przeznaczone są np. dla osób z ADHD, a zdrowi ludzie biorą je, bo działają podobnie jak amfetamina. Ciekawym przypadkiem jest też Xanax – lek przeciwlękowy, który ma masę potencjalnych skutków ubocznych, dość łatwo uzależnia, a popkultura romantyzuje go, jakby był cukierkami. Raz wziąłem rekreacyjnie trochę Xanaksu na sen i od tamtej pory boję się takich substancji. Przerażająca była ta mglistość w głowie następnego dnia. Zachowywałem się niby normalnie, widziałem się z ludźmi, rozmawiałem. Ale większości z tego nie pamiętam. To lekarstwo, które na pewno pomaga ludziom, a ja użyłem go niezgodnie z zastosowaniem, rekreacyjnie, w ramach eksperymentu.

Co ciekawe, kręciłem tego dnia jakiś film, głównie b-roll (bez wejść mówionych do kamery), a podczas przeglądania materiału sam się zaskakiwałem ujęciami, które nagrałem. Były bardzo spoko jak na to, że nie pamiętałem faktu ich nagrywania.

A jak wygląda polityka narkotykowa w Japonii?

Japonia ma absurdalnie restrykcyjne prawo, jeśli chodzi o takie rzeczy. Nawet za marihuanę można iść do więzienia albo zostać deportowanym. Znajomy mojego kolegi przesiedział kiedyś miesiąc w areszcie za palenie blanta – a i tak miał szczęście, że nie wykopali go z kraju.

Japonia się nie pierdoli, jak chodzi o takie rzeczy. Narkotyki są tak źle widziane, że kiedy na przykład pewna piosenkarka została przyłapana na posiadaniu marihuany w domu, jej płyty zniknęły ze sklepów muzycznych w całym kraju. Podobnie było z Pierre'em Takim, japońskim głosem Olafa z „Frozen". Poszedł news, że został aresztowany za kokainę. Niedługo później Disney wycofał blu-raye „Frozen" ze sklepów w Japonii.

W Polsce od lat 90. narkotyki niezmiennie przedstawia się jako strzykawkę. Podczas niedawnych wyborów poszedłem zagłosować do komisji w moim dawnym liceum. I zobaczyłem na korytarzu plakat antynarkotykowy: dziewczyna leży i wstrzykuje sobie coś w żyłę. Pomyślałem sobie: „bez kitu, jak duży odsetek licealistów bierze heroinę"?

To prawda (śmiech).

Trey Parker, współtwórca „South Parku", powiedział, że jeśli jako rodzic włożysz dziecku do głowy, że cały ten „worek z napisem narkotyki" to zło, to możesz zrobić mu krzywdę. Bo wystarczy, że zobaczy na domówce, że ci, którzy pili legalną wódkę, następnego dnia zdychają na kaca, a ci, którzy palili trawkę, czują się jak nowo narodzeni. Wtedy zda sobie sprawę, że rodzice nie mieli racji. I może dojść do wniosku, że wszystkie ich przestrogi były kłamstwem i żadne narkotyki nie są niebezpieczne.

Ale ci rodzice sami mogą nie wiedzieć, że narkotyki się czymś między sobą różnią. Jeśli zadasz człowiekowi pytanie, czy wolałby spotkać w ciemnej uliczce pięć osób pijanych czy naćpanych, to wszyscy ci, którzy nie mieli styczności z narkotykami, wybiorą pijanych. Bo to terytorium, które lepiej znają. A poprawna odpowiedź na tę zagadkę to pytanie: czym naćpanych.

A jak to było u ciebie z alkoholem?

Przestałem go pić 2,5 roku temu. Przez te wszystkie lata, gdy piłem, nie zdawałem sobie sprawy, jak wygląda pijące towarzystwo, jeśli się je obserwuje na trzeźwo. Wydawało mi się, że to normalne, że się pije, że się upija, że jak jest jakaś tam imprezka branżowa, to naturalne, że wszyscy są w pewnym momencie najebani. „W naszej branży tak po prostu jest!".

Tak mówi się we wszystkich branżach – czy marketingowej, czy influencerskiej, czy gamingowej. Kiedy zacząłem bywać na eventach jako jedyny trzeźwy, to na serio zobaczyłem, co tam się dzieje. I nie chodzi mi o to, że ktoś robi tam chlew i patologię, ale choćby o to, jak wyglądają rozmowy... Ludzie dyskutują ze sobą, nie rozumiejąc siebie nawzajem, a poziom empatii jest zerowy. Nic się nie klei i nikt tego nie dostrzega. Nie zdawałem sobie sprawy ze skali tego zjawiska, dopóki nie zobaczyłem tego jako abstynent.

Te rozmowy się doskonale klejq, tylko ty jesteś w innym stanie świadomości niż oni.

E tam, każdy mówi swoje i wszystkim rośnie ego. Mówi się, że alkohol rozwiązuje język, ale tak rozwiązuje, że nie słuchasz nikogo innego. Wydaje ci się, że jesteś taaaki pewny siebie i masz dużo do powiedzenia na wszystkie tematy... a to, co mówisz, często jest bezwartościowe i agresywne. Po pijaku każdy staje się pępkiem świata.

Nie brakuje ci alkoholu w sytuacjach, w których wiesz, że mogłoby być troszkę fajniej, gdybyś golnął to jedno piwko?

Nie, kompletnie. Straciłem taką potrzebę. Może i small talk byłby łatwiejszy, ale to wszystko. Alkohol pozwala się łatwo oszukać, że strata czasu jest w istocie czymś produktywnym.

A dodatkowo... ja chyba nigdy nie umiałem pić na imprezach. Zawsze byłem albo za mało, albo za bardzo pijany. Gdy byłem za mało, to chciałem napić się więcej, bo uznawałem, że wyluzuję, zwalczę w sobie jakieś ograniczenia i że pogadam z kimś, z kim wstydzę się rozmawiać na trzeźwo. A jak już byłem pijany, to czułem się bezużyteczny (śmiech).

Ludzie w Polsce namawiają cię do picia?

Teraz wystarczy, że im mówię, że nie piłem od ponad dwóch lat. I wtedy już nikt nie drąży tematu.

A na początku?

Zdarzało mi się słyszeć teksty typu: „weź się ze mną napij, bo jest super okazja".

A jak sobie z tym radzisz w Japonii? Z tego, co pamiętam, Tokio jest mocno imprezowe i alkoholowe.

Tak, tam kultura alkoholowa jest bardzo mocno rozwinięta. Nawet bardzo, bardzo. A dodatkowo Japończycy mają dość słabe głowy, nie są w stanie wypić dużej ilości alkoholu. Ale często piją „do końca", aż do zwały.

Widywałem takie zwały w Tokio. I efektowne, piątkowo-sobotnie najebki, w ramach których pijani salarymani, czyli białe kołnierzyki z korporacji, robili pompki na ulicach...

Tak. To jest mocny element japońskiej kultury. Wychodzisz pić po pracy z kolegami, a potem pijesz do rana. Japończycy mają taką zasadę, że po pijaku się nie liczy. Jeśli kogoś obrazisz, będąc pod wpływem alkoholu, to on nie będzie miał ci tego za złe. Tak samo, jak się z kimś pokłócisz. W Polsce ludzie naprawdę biją się po pijaku. Tam się tylko lekko szturchają. A na drugi dzień jest ogólnie spoko. To chyba dla nich taki wentyl.

Widziałem kiedyś taką absurdalną sytuację, kiedy dwóch pijanych Japończyków rzuciło się do bójki, a chwilę później zostali rozdzieleni przez znajomych. Dwie grupy salarymanów przepraszały się w bezpiecznej odległości dwóch metrów, wymieniając głębokie ukłony. Co mnie rozbawiło, to właśnie to ekspresowe tempo, od walki do przeprosin minęła nie więcej niż minuta. Swoją drogą mieszkam w Tokio w dzielnicy Shibuya, znanej z życia nocnego. Polecam wpisać hashtag #shibuyameltdown na Instagramie.

Popisywałeś się w Japonii i przepijałeś miejscowych?

Zdarzało się, ale nie czuję, żeby to był jakiś powód do dumy. Polska wytrzymałość na alkohol jest dla Japończyków wręcz cyrkową umiejętnością (śmiech). Jesteś w stanie wziąć małpkę z wysokoprocentowym alkoholem i wypić duszkiem. Albo łyknąć kilka szotów z rzędu. Okej, może i się wstawisz, ale chociaż będziesz w stanie stać prosto. Oni mogą mieć z tym problemy.

Pamiętasz swój pierwszy alkohol?

Jakieś piwo na spróbowanie, kiedy akurat rodziców nie było w domu. Potem poszło drugie i się wstawiłem. To były małe Heinekeny.

Ile miałeś lat?

Chyba 15. Ósma klasa podstawówki.

A pierwsze mocniejsze upicie?

Wódka, jakiś rok później. Z moim kolegą Dominikiem. A potem zaczęła się konkretna fascynacja alkoholem i byciem „dorosłym". Lubiliśmy na przykład wnosić własną wódkę do lokalu i pić pod stołem.

Złapali was kiedyś?

No, zdarzyło się. Kiedyś te historie wydawały mi się naprawdę ekscytujące i lubiłem tak sobie z ziomkami powspominać: „O, jak to zajebiście się najebaliśmy, trzy wódki poszły pod stołem, a zamówiliśmy dwa soki".

Typowe polskie licealne picie – bez sensu, byle więcej i szybciej.

Tak. Co więcej: ludzie w tym wieku czują się tacy sprytni, że wydaje im się, że świetnie ukrywają się przed rodzicami. A patrząc z perspektywy czasu: niektórzy rodzice ewidentnie widzą takie rzeczy i trochę to olewają. Na zasadzie: „niech się wyszaleją".

A nie miałeś nigdy problemu z rodzicami?

Po jednej z grubszych studenckich imprez i niełatwym powrocie do domu, mój tata wziął mnie nad ranem na poważną rozmowę. Z kamienną twarzą powiedział: „To jest poważna sprawa. Wymiotowałeś krwią". A to nie była prawda, po prostu całą noc zapijaliśmy wódkę sokiem pomidorowym. Czyli w sumie miałem w sobie coś z patostreamera (śmiech). Kiedy byłem w liceum, raz rodzice przyłapali mnie na paleniu marihuany. Głupi zbieg okoliczności i wpadłem. Bardzo ciężko to przeżyli i potraktowali z dużą powagą. Myślę, że nie mieli dużej wiedzy na ten temat, ale bali się tej tajemniczej substancji. Możliwe, że tamto doświadczenie trochę mi popsuło marihuanę. Tak mocno to przeżyłem i takie miałem poczucie winy z tym związane, że potem to już chyba nigdy nie było to samo.

Ale były jakieś straszne konsekwencje czy było ci wstyd?
Było mi wstyd. I czułem, że może coś źle zrobiłem.

Wciąż tak uważasz?
Nie (śmiech). Myślę, że reakcja moich rodziców była niewspółmierna do tego, co zrobiłem, ale w sumie może dobrze się stało. Gdybym mógł cofnąć czas i jakoś tego uniknąć, to chyba bym tego nie zrobił. Może ta beztroska, którą w sobie miałem, potrzebowała jakiegoś szoku. Myślę, że samo skonfrontowanie się ze światem zewnętrznym, który nie do końca rozumie marihuanę, wyszło mi na dobre.

Może dzięki temu dzisiaj nie leżysz na dworcu ze strzykawką wbitą w kable (śmiech).
Nawet nam trudno uciec przed stereotypami, nie? (śmiech) Cały czas to widmo dawania w żyłę gdzieś tam się majaczy w oddali. Nie chcę tego bagatelizować, bo oczywiście takie problemy istnieją, ale nie wiem, czy ktokolwiek z moich znajomych widział kiedykolwiek dawanie sobie w żyłę.

Swoją drogą – skoro już wpadłeś z tą marihuaną, to dobrze, że akurat przy rodzicach. Mogło być gorzej.
Znam osoby w moim wieku, którym mocno popsuło życie to, że akurat miały w kieszeni trochę towaru. Jedna z nich znalazła się przez to w bardzo nieprzyjemnym położeniu: wyrzucono ją ze szkoły, pojawiły się problemy w domu... Mówiąc krótko: poniosła konsekwencje kompletnie niewspółmierne do przewinienia. Najgorsze jest w takich sytuacjach to, jak rodzice pogłębiają problem zamiast pomóc. Sprawiają, że młodzi ludzie czują się jak margines społeczny. Więc ciągnie ich do marginesu.

Jeśli chodzi o palenie dzisiaj, to duży wpływ na wizerunek marihuany miało środowisko muzyczne, zwłaszcza opiewanie marihuany w polskim rapie. Jako dzieciak słuchałem O.S.T.R.-a w okresie, w którym palił na potęgę i pisał piosenki z refrenami typu „Pal ziele ziele, pal ziele ziele, ziomek". Taką apoteozę marihuany ciągnął przez kilkanaście płyt, po czym popsuło mu się zdrowie i na najnowszych płytach już trawy nie zachwala. Z jednej strony może to i dobrze, że ta zmiana w końcu zaszła, ale z drugiej... stary, pół kariery spędziłeś na namawianiu ludzi do jarania.
Dlatego w swoich filmach unikam takich tematów. We współczesnym polskim rapie mówi się dużo o koksie, a określenie „molly" zostało mocno rozpropagowane. Ale jak słucham nastoletniego rapera, który powtarza w kawałku „molly, molly, molly", to trochę nie wiem, czy płynie to z jego doświadczenia, czy to tylko licencja poetycka.
Kiedyś w Gdyni ze znajomymi trafiłem na bardzo młodego grafficiarza, mógł mieć z dziesięć lat. Sprayował sobie jakieś wrzuty w pustostanie. Patrzę na jego dzieło, a tu z jednej strony napis „MDMA", a z drugiej „Xanax". I serio nie mam pojęcia, czy ten gość wiedział, co robi, czy to po prostu takie powtarzanie hasełek.
Mówienie publicznie o substancjach psychoaktywnych wymaga sporej odpowiedzialności za słowo, więc sam pozwoliłem sobie na to tylko podczas pobytu w Kanadzie, na przykładzie sklepu z legalną marihuaną. A nawet tam nie chciałem robić żadnych heheszków typu: „A teraz nakręcimy, jak palę blanta". Rap może sobie na takie rzeczy pozwalać dzięki swojej teatralności i umowności, w moim przypadku nie miałoby to celu.
Ale powiem ci żart, który zrobiłem w tym materiale, a którego nikt nie wychwycił w komentarzach. „Nie będę pokazywać procesu palenia marihuany, bo to by było niepedagogiczne" – powiedziałem do kamery... zagryzając ciastkiem.

JEDNO OKO OTWORZY I JUŻ DO KOMPUTERA

Jak odczułeś brak sieci, gdy na miesiąc się od niej odciąłeś w ramach challenge'u „Miesiąc bez internetu"?
Zdarzało się, że łapałem się na tym, że coś teoretycznie jest bardzo proste, ale okazywało się, że wcale tak nie jest. I muszę od podstaw wymyślić, jak wykonać czynność typu „znalezienie konkretnego adresu w obcym mieście" (śmiech).

Tak samo jak wyłączą ci na parę godzin prąd, zdajesz sobie z tego sprawę, a mimo to z przyzwyczajenia podłączasz telefon do gniazdka.
Taki film też miałem. „Jak przeżyć 24h bez prądu i się nie zanudzić". Wyłączyłem bezpieczniki na dobę. Najmocniej z tego pamiętam to, jak bardzo przesuwają się granice czasu, gdy nie ma sztucznego oświetlenia. Był listopad, godzina siedemnasta, zrobiło się ciemno, i już byłem kaput. Mogłem sobie co najwyżej świeczkę zapalić i przy niej siedzieć.

Czytanie przy świeczce szkodzi na oczy.
No więc właśnie. Zapaliłem jakieś trzydzieści świeczek. I tak siedziałem (śmiech).

Jesteś uzależniony od internetu, gadżetów i elektroniki?
Tak, jestem. W tym momencie moim największym demonem jest Instagram. Zdecydowanie zbyt dużo czasu marnuję na scrollowanie.

Okłamujesz samego siebie, że „to przecież przydaje mi się do pracy"?
Tak, tłumaczę sam przed sobą, że robię research, a to z reguły bzdura. Ale ostatnio znalazłem w końcu rozwiązanie. Odinstalowałem Instagrama i instaluję go codziennie na 10-15 minut, po czym znowu usuwam. Czuje się jakbym odzyskał 2 godziny wolnego czasu dziennie.

To dla ciebie mroczna strona internetu?
Spędzam za dużo czasu, korzystając z tego wszystkiego, to prawda. Ale kiedyś zostawiłem u kogoś telefon i stwierdziłem, że dam sobie trochę luzu i odbiorę go dopiero pięć dni później. Chciałem zrobić eksperyment – co się stanie, jeśli osoba tak uzależniona od smartfona jak ja, nie będzie miała do niego dostępu przez prawie tydzień. No i powiem ci, że ten rachunek zysków i strat raczej nie jest na plus. Bo niby wyostrzają ci się zmysły, faktycznie zauważasz więcej detali wokół siebie, ale z drugiej strony... co ci to daje? Że idziesz ulicą i zauważysz, że pies się zesrał. No i co z tego? No zesrał się. A ty w tym samym czasie nie zrobisz czegoś ważnego do pracy.

Czyli co, prawdziwe życie jest przereklamowane?
Nie wiem, może kiedy ktoś jest w podróży i ogląda piękne miejsca tylko przez okienko smartfona, to słabo to wygląda. Jednak, jeśli się z tego smartfona umie korzystać, to można wynieść z takiego podejścia trochę korzyści. Granica między sensownym używaniem internetu a marnowaniem czasu jest jednak płynna.

Pewnie znasz Jakuba Czarodzieja?
Oczywiście. Mam nawet jego koszulkę z napisem „Dystans". Przyjaciółka mi dała.

Jego filmik o „ludziach nowoczesnych", który można streścić jako „kiedyś to było" i „jedno oko otworzysz i już do komputera", obejrzały miliony ludzi.
Dla mnie ta postać jest tak żenująca, że nawet podśmiewanie się z niej traktuję jak kopanie leżącego. Rzeczy, które ten typ mówi, są tak horrendalnie głupie, że aż ciężko się z niego śmiać. On się sam orze. Szczególnie mocno intryguje mnie jego podejście do kobiet. To niesamowite, że on założył przebranie takiego zdroworozsądkowego, racjonalnego typa, a jest totalnym seksistą!

Jego wywody brzmią jak rant kogoś, kto pokłócił się z dziewczyną i postanawia na wkurwie napisać na Facebooku coś o „dzisiejszych kobietach".
Ten jego film o współczesnych 25-letnich dziewczynach, które nie mają dla ciebie czasu, bo siedzą w smartfonie, a twoja matka w ich wieku heroicznie zarządzała domem – to brzmi jak creepy wycieczka osobista do kogoś, kto mu nie odpisał (śmiech).

Z drugiej strony te jego rzeczy są bardzo wyraźnie stargetowane. Przecież to całe narzekanie na współczesne technologie pada na bardzo podatny grunt – wiadomo, że panie i panowie w średnim wieku będą podawać to dalej. Paru młodych youtuberów się na niego zdenerwuje, ale w zasadzie co z tego?
A nie myślisz, że on stał się więźniem sukcesu swojego pierwszego filmu? Tego, jak chodził po jakimś placu budowy i gadał dyrdymały o współczesnej młodzieży? I teraz jego społeczność oczekuje stałej dawki napierdalania. Regularnych dostaw atrakcyjnie podanego zdegustowania. On nie mógłby teraz uderzyć w przeciwną stronę i zacząć zachwycać się światem.

Bardzo mam ochotę przejrzeć tę jego książkę. Ciekawe, czy to też 300 stron takiego rantu, jak na tym placu budowy (śmiech).
Kup ją, przeczytaj, i mi wyślij. Bo też chętnie przejrzę (śmiech).

Znasz taką pastę, „My, urodzeni w latach 70–80-tych", która zachwyca się dzieciństwem dzisiejszych czterdziesto-pięćdziesięcio-latków? Na zasadzie: „Latem jeździliśmy rowerami nad rzekę, nie pilnowali nas dorośli, nikt nie utonął" albo „Nasze mamy rodziły nasze rodzeństwo normalnie, a po powrocie ze szpitala nie przeżywały szoku poporodowego – codzienne obowiązki im na to nie pozwalały".
(śmiech) To jak w tym brytyjskim skeczu „Czterej panowie z Yorkshire". Siedzą dżentelmeni w białych garniturach i opowiadają sobie znad wina: „mieszkaliśmy przez trzy miesiące w zwiniętej gazecie w pojemniku na odpadki, a gdy wracaliśmy z pracy, to tata nas dusił, po czym tańczył na naszych grobach".

Jak byłeś mały, to twoi rodzice suszyli ci głowę, że „nic tylko ten komputer, lepiej idź w piłkę pograć"?

Chyba nie byłem aż takim no-life'em, jak sugerujesz. Wiele osób mogło tak uważać, bo wyglądałem jak nerd, ale jednak wychodziłem czasem na miasto, uprawiałem sport, miałem życie towarzyskie. Mój tata zawsze się razem ze mną zajawiał komputerami i towarzyszył mi w tej nerdowskiej drodze. Wiesz, graliśmy razem w gry, na przykład w przygodówkach i strategiach ja sterowałem, a tata pomagał rozkminiać. Mama też nie miała z tym problemu, rodzice mnie wspierali i widzieli w tym przyszłość.

PRZED I PO

Schudłeś!

Ja sam sobie nie zdawałem sprawy ze skali tej zmiany. Niby wiedziałem, że schudłem ileś kilogramów, ale dotarło to do mnie dopiero, gdy zobaczyłem swoje zdjęcia sprzed dwóch lat. I pomyślałem: „Wow. Faktycznie. Jest mnie dużo mniej".

Skąd właściwie wzięła się ta przemiana?

Ze złego samopoczucia. Żebym mógł o tym opowiedzieć, musimy na chwilę wrócić do alkoholu. Był taki moment, gdy pomieszkiwałem przez dwa miesiące w Seulu. Czekałem tam, aż moja japońska wiza zostanie odnowiona. Trochę wakacje, a trochę zimowanie poza Japonią.

Więc siedziałem sobie w tej Korei Południowej, a tam jest bardzo silna kultura alkoholowa. Domyślnym napojem alkoholowym jest soju – takie bardzo syfiaste coś, smakuje jak wódka pół na pół z wodą. Jest strasznie tanie, kosztuje jakiegoś dolara za butelkę wielkości małej coli. To jeden z najmroczniejszych symboli współczesnej Korei, a jednocześnie produkt tak popularny jak w Polsce piwo koncernowe w puszkach.

Znalazłbyś jakiś polski odpowiednik soju?

Chyba nie. Najbliżej byłaby małpka z wódką, o ile małpka byłaby pita codziennie przez każdego. Bo to jest też mocne, jak na alkohol, który pije się ot tak – ma kilkanaście procent. U nas nie ma takiego jednoznacznego symbolu kultury alkoholowej, jakim jest soju w Korei. „Tanie piwko z puszki" też nie pasuje, bo u nas inne piwo piją robotnicy na fajrant, a inne korpoludki po pracy. A soju dotyczy wszystkich Koreańczyków.

Ja też je piłem, uczestnicząc w intensywnym koreańskim życiu nocnym. I czułem się bardzo niedobrze. Byłem przepity, wiecznie skacowany, miałem nadwagę i doła. Musiałem coś zmienić.

I to w okolicach trzydziestki, najgorzej.

Tak, to jest taki moment, że wszyscy ci mówią, że lepiej się za siebie szybko wziąć, bo jak będziesz gruby w tym wieku, to już na resztę życia pozostaniesz gruby. Wtedy też wielu wcześniej szczupłych facetów zaczyna mocno tyć. Nie możesz już polegać na swojej przemianie materii. Chociaż ja na mojej nigdy nie mogłem za bardzo polegać.

Zawsze miałeś tendencje do tycia?

Nie. Po prostu w ogóle o siebie nie dbałem. Miałem wcześniej w życiu okresy, że chudłem i tyłem, ale to wszystko było ściśle związane z moim trybem życia. Myślę, że nie mam na co narzekać. Mój organizm zawsze sprawiedliwie mnie karał i nagradzał. Jak jem to tyję, jak chcę schudnąć, to sumiennie ćwiczę i raczej łatwo mi to przychodzi. Uczciwy deal.

I co, obudziłeś się któregoś dnia i zacząłeś ćwiczyć?

Właśnie tak. Któregoś dnia wstałem z tym nawarstwionym, wielodniowym kacem i postanowiłem, że wezmę sobie na tydzień porządniejszy hotel z siłownią i na nią pochodzę. Znalazłem taki obiekt w prestiżowej, modowej dzielnicy Sinsa. Hotel był pięciogwiazdkowy, ale z jakiegoś powodu śmierdział parówkami. Odciąłem się trochę od świata i nie wychodziłem za dużo. Siedziałem w tym hotelu i ćwiczyłem, tak trochę po omacku. Co było trudne, bo gdzieś od dwudziestego trzeciego do trzydziestego roku życia nie ruszałem się wcale. A wtedy zacząłem i się rozruszałem. Gdy już dostałem tę wizę i wróciłem do Tokio, to siłą rozpędu ćwiczyłem dalej. Zauważyłem bardzo szybko, że mi to po prostu polepsza samopoczucie.

Była jakaś część mnie, która podjęła ten taki fitnessowy styl życia z zamiarem udowodnienia, że to wszystko ściema. Ci szczęśliwi ludzie na Instagramie, uśmiechy po treningu, radośnie spoceni celebryci. I ja teraz wejdę i udowodnię, że chociaż będę intensywnie ćwiczył, to cały czas będę miał zwałę. Pokażę wszystkim, jaki to jest bullshit! Dorobię do tego ironiczne drugie dno i pokażę, jak bardzo to nic nie da!

A dało?
A dało.

Poczułeś się lepiej?
Zdecydowanie. Gdy ćwiczysz regularnie, masz lepszy humor, wyższą produktywność, większą odporność na stres. Mentalny trening też jest istotny. Nie uważam, że bieganie było przyjemnym procesem w całej rozciągłości. Dużo jest bólu i frustracji, ale są to satysfakcjonujące przeżycia. Poczucie, że masz w sobie dość dyscypliny, by regularnie wybrać spuszczenie sobie wpierdolu zamiast oglądania Netfliksa, jest uskrzydlające. Chociaż mnie najbardziej motywuje chyba zwyczajny strach przed byciem słabszą wersją samego siebie.

To znaczy?
Wyobrażam sobie siebie, który nigdy nie zaczął biegać. Jestem na 99% pewny, że ta osoba byłaby mniej szczęśliwa, niż ja teraz. Boję się procesu zanikania kondycji fizycznej, bo wiem że to taki pochłaniający cię mrok, z którego coraz trudniej się wydostać. Bardziej niż „będę wyglądać zajebiście" mówię sobie „nie chcę znowu być taki jak dawniej". Więc uczyniłem siebie samego zakładnikiem tego stylu życia, i dobrze mi z tym. Biegam, bo boję się nie biegać.

A nie myślisz, że pokazując maratony i przygotowania do nich, wpisujesz się w cały ten coacherski nurt życia na 150%? Bogaci ludzie udzielają swoim widzom porad, jak żyć lepiej, intensywniej, produktywniej, i dzięki temu stają się bardziej bogaci.
Zgadzam się, dlatego staram się za bardzo nie odlecieć w tę stronę. I to zarówno jako konsument takich treści, jak i ich nadawca. Obserwując tych autorów można odnieść wrażenie, że współczesny człowiek musi być przedsiębiorcą-startupowcem z gigantyczną bazą kontaktów, który w wolnym czasie biega Iron Many. I mam świadomość, że ktoś może uznać, że to też przesłanie Krzysztofa Gonciarza. Ale ja się z nim nie identyfikuję.

Więc uważasz, że jesteś częścią problemu? Budujesz kult próżności i konsumpcjonizmu?

Jasne, w pewnym stopniu. Czasem nawet kusi mnie, żeby specjalnie przedstawiać siebie jako takiego Supermena, co żyje na 150%. Ale chyba umiem powiedzieć „stop" i nie wpaść w ten fałsz. Mój Instagram to dość wierna reprezentacja tego, czym się w życiu zajmuję. Nie próbuję kreować się na nikogo więcej, niż jestem.

Często celebryci promujący zdrowy tryb życia chwalą się godzinami spędzonymi na siłowni, rozpisanym treningiem, dietą wyliczoną co do kalorii. Mam wrażenie, że to wszystko jest absolutnie nieosiągalne dla przeciętnego człowieka, który pracuje osiem lub więcej godzin dziennie, ma dzieci i inne zobowiązania. Stworzyliśmy sobie straszliwy świat, w którym większość populacji nie jest w stanie nawet zbliżyć się do ideału z billboardu, bo musi chodzić do pracy.
Miałem tę samą refleksje. Gdy przygotowywałem się do maratonu, doszedłem do momentu, w którym po parę razy w tygodniu miałem dwu- czy trzygodzinny trening. Poznałem wtedy ludzi, którzy mówili, że oni też by chcieli, ale trenują tylko do półmaratonu. Bo nie mają czasu na trening do całego.
Byłem bardzo zdziwiony, w ogóle tego nie rozumiałem: „Pff, przecież to jest walka z samym sobą, ze swoją fizycznością! Jak można się z góry poddawać?". Dopiero potem do mnie dotarło, że ja nie miałem tego problemu, że jak pobiegam dwie godziny, to spóźnię się do pracy albo nie spędzę popołudnia z dzieckiem.
Szczerze mówiąc, poczułem się trochę jak podrabianiec. Tym bardziej, że przebiegłem maraton we współpracy z New Balance. Czyli nie dość, że moje życie było na tyle luźne, żeby móc się przez pół roku przygotowywać, to jeszcze mi za to zapłacili (śmiech).
Więc jak mi ktoś gratulował, że „łał, ależ walka z samym sobą, gratulacje Krzysiek", to czułem się fałszywie. Co wypociłem, to moje, ale na pewno kosztowało mnie to mniej, niż wielu ludzi, którzy po prostu biegają sami dla siebie.

Dlatego tak rzadko mówisz o zdrowym trybie życia w swoich filmach?
Wiesz, no ja chyba nie jestem taki inspirujący w tym aspekcie, żeby wcielać się w trenera personalnego. Wątpię, by ludzie marzyli, by wyglądać jak ja.

Przecież schudłeś jakieś piętnaście kilo.

Nawet więcej – mam ustabilizowaną wagę około dwadzieścia kilogramów niższą niż w szczytowym momencie. Ale cały czas nie jestem jakiś szczególnie dojebany. Nie jestem Chodakowską. Jestem taką postacią, którą Chodakowska wrzuca na swój Instagram z komentarzem, że patrzcie, moja fanka schudła.

Jak są takie obrazki „przed-po" z koksami po prawej stronie, to ty jesteś jeszcze tym „przed".

Pierdol się (śmiech). Ale to prawda. Jakbym od teraz przez pół roku tak strasznie przycisnął, to byłbym w stanie „po". I to mogłaby być hardcore'owa różnica. Ale jakbym przez trzy miesiące wpierdalał pizze i czipsy, to znalazłby się przed tym „przed".

Jak zaczynasz regularnie ćwiczyć lub wprowadzasz jakiekolwiek inne zmiany w życiu, to zastanawiasz się od razu, jak to sfilmować i wyreżyserować?

Nie. Jeśli już o czymś takim mówię publicznie, to tylko, gdy to przetestuję. Na przykład o diecie keto zrobiłem film dopiero po trzech miesiącach stosowania. Na temat biegania tak na dobrą sprawę nigdy nie zacząłem się specjalnie wymądrzać. Zacząłem o tym mówić z pozycji „powiem wam jak zacząć biegać" dopiero po przebiegnięciu swojego czwartego maratonu.

To się wiąże z tym, że zawsze ważysz słowa?

Tak, szczególnie w tematach związanych ze zdrowiem. Mam wrażenie, że tutaj muszę być szczególnie odpowiedzialny. Wyobrażam sobie, że bezmyślnym wychwalaniem keto mógłbym spierdolić komuś życie (śmiech).

Z drugiej strony mam wrażenie, że naprawdę trudno coś powiedzieć o własnym doświadczeniu tak, żeby nikt nie wypomniał ci braku odpowiedzialności. Ludzie uważają, że na określone tematy wypowiadać wolno się tylko wybitnym ekspertom – a i ich czasem ktoś się czepi.

Jest taka pasta o kupowaniu bułek, która parodiuje środowiska zbierające się na forach dla zajawkowiczów: „EH PANOWIE CORAZ WIĘCEJ AMATORÓW SIĘ PCHA DO ZABAWY HEHE MAM NADZIEJĘ, ŻE PRZEJDZIE TA NOWELIZACJA USTAWY I PO BUŁKI BĘDZIE MOŻNA CHODZIĆ TYLKO Z LICENCJĄ". Niedawno zrobiłem film ze znajomym pilotem. Opowiadał o swojej drodze po drabinie licencji lotniczych, latališmy awionetką. Widziałem na jednej grupie „fanów lotnictwa" komentarz o treści „OD AWIACJI TO SIE PANIE GONCIU ODPIERDOL, JESZCZE MI TU GIMBUSÓW BRAKOWAŁO". Jego autor miał, według mojego niedoskonałego pewnie researchu, dziewiętnaście lat.

Pamiętam też, jak kiedyś zrobiłem sobie dwudziestoczterogodzinny post i opowiedziałem o tym w filmie, na zasadzie: no cześć, robię coś takiego. Nie dawałem żadnych porad, nie obiecywałem benefitów zdrowotnych. Podzieliłem się swoimi odczuciami, powiedziałem, że węch staje się bardzo wrażliwy i tak dalej. I jakaś pani zajmująca się dietetyką wysłała mi wiadomość, że jej się w głowie nie mieści, jak ja mogę takie nieodpowiedzialne rzeczy nagrywać. Kurde, czasem mam wrażenie, że żyjemy w świecie, w którym przed wszystkim, co mówisz, musisz wrzucić disclaimer w stylu: „Zrobiłem to i to, jeśli chcesz zrobić to samo, to najpierw użyj mózgu".

Dlatego dziś unikam przesadnego radzenia ludziom, jak mają żyć, bo nie chcę, żeby potem ktoś napisał: „Zrobiłem to, co Gonciarz, zobaczcie jak się skończyło". Ja wszystko, co robię, robię dla siebie. A jeśli kogoś do czegoś popchnę, to mam nadzieję, że w dobrą stronę.

To byłby zajebisty nagłówek. „Oglądał Gonciarza i umarł z głodu".

(śmiech)

W Japonii łatwiej jest prowadzić zdrowy tryb życia?

Co masz na myśli?

No na przykład w mediach się czasem słyszy, że Japończycy żyją tak długo, bo lepiej jedzą.

Tak, średni poziom jedzenia rzeczywiście jest wyższy. Łatwiej jest zdrowo się odżywiać, chociaż... Polska też nie ma się czego wstydzić. Polskie targowiska to najbardziej organiczne delikatesy jakie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Można za grosze kupić owoce i warzywa, które gdzieś na świecie byłyby super ekskluzywnym produktem. W dodatku takie bazarki są wszędzie – i na prowincji, i blisko centrów dużych miast.

Ja w Tokio mam problem ze znalezieniem tanich warzyw. Ale generalnie jak się przyjeżdża do Japonii na dłużej, to raczej się chudnie niż tyje. Chociaż

są wyjątki – jak ktoś lubi rameny i będzie wciągał po trzy dziennie, to zarobi parę nadprogramowych kilogramów.

No i w Japonii jest dużo ciekawych słodyczy – lodów, czekolady. Sporo tego jadłem w trakcie pobytu.

No tak. Więc myślę, że tu nie ma jednoznacznej odpowiedzi, gdzie łatwiej, a gdzie trudniej. Bo są rzeczy których mi brakuje i w jednym, i w drugim kraju. Poza tym w Polsce są większe porcje, np. w restauracjach. Nad Wisłą po przystawce i zupie już jestem full, a w Japonii – nie licząc ramenu – wszystko jest malutkie.

W Polsce w suszarniach możesz dostać porcje typu czterdzieści dwie rolki. W Japonii to byłoby... ekscentryczne.

Tak, ale i japońskie porcje czasem przyjmują karykaturalne rozmiary. Koło mnie jest taka restauracja all-you-can-eat ze zdrowym jedzeniem. Kelnerzy zawsze pytają, czy chcesz danie z ryżem, czy z bagietką. Jak weźmiesz z ryżem, to dostajesz miskę ryżu. A jak z bagietką, to dadzą ci jeden plasterek bagietki, taki mały sucharek. Przecież jak w Polsce podają chleb do obiadu, to od razu cały koszyk. I pół kostki masła do tego.

Filip Chajzer niedawno napisał posta o tym, że pierwszy raz od kilkunastu lat nie zjadł na obiad mięsa i go okropnie rozbolała głowa. Ale się nie poddaje i leci dalej. Koleś się żali, jakim strasznym wydarzeniem w jego życiu był jeden dzień bez mięsa. Drugiego dnia napisał, że to jego drugi dzień bez mięsa, jakby to był wielki heroizm. Trzeciego dnia, że trzeci. I tak dalej. On chyba nie ma tych rozkmin, że musi być odpowiedzialny i ważyć słowa. Nie uważasz, że twoje podejście cię trochę spowalnia? Że teoretycznie mógłbyś robić to samo, co on, i zebrałbyś więcej łapek w górę?

Ja sobie wyobrażam, że to, co robię, jest bardziej strategią niż taktyką. Długofalowe myślenie. To nie chodzi o to, żeby mieć dużo lajków pod zdjęciem, gdzie po pierwszym dniu wegetariańskiej diety deklaruję, że to zmieniło moje życie. Dążę do tego, żeby za pięć lat nikt nie mógł mi wytknąć, że coś palnąłem. I w moim przypadku to chyba działa, niewiele razy bywałem łapany na fałszu, pisaniu bzdur czy niekonsekwencji.

Sam mawiasz, że internet zapomina. Nawet, gdyby cię złapali na fałszu, to co z tego? Połowa widzów się o tym nie dowie, druga połowa dowie się, ale będzie miała to gdzieś. A cały twój kryzys będzie oznaczał jednorazowy przypływ łapek w dół.

No dobra, przekonałeś mnie, zacznę robić jak Chajzer (śmiech).

Jak się teraz czujesz ze swoją fizycznością?

Wiesz, co jest ciekawe? Po kilku latach treningów, nawet z przerwami, czujesz że twoje ciało przechodzi naprawdę solidną przebudowę. Masz inną posturę, inaczej się poruszasz, masz mniejsze ograniczenia. Jak zrobisz parę miesięcy przerwy z bieganiu, to potem zaskakująco szybko wracasz do dobrego rytmu. Ciało pamięta. Nawet moja postawa biegowa staje się coraz lepsza. Tak sama z siebie. Co kilka miesięcy czuję, jakby jakaś część mojego ciała wskoczyła na lepsze miejsce. Przy wysiłku fizycznym to uczucie porównywalne do wrzucenia wyższego biegu.

POSTAĆ MAŁO ISTOTNA

Ciężko się z tobą skontaktować.
Jednym ciężko, innym łatwo.

Komu łatwo?
Może ujmę to inaczej: łatwo jest do mnie dotrzeć, trudno jest ze mnie uzyskać jakąś reakcję. Nie odcinam się od maili czy wiadomości prywatnych. Tylko... no... wiele tematów mnie nie interesuje.

A jest tak, że miewasz poczucie winy, że ktoś czeka na odpowiedź? Czy raczej stwierdzasz, że dzięki temu udaje ci się oszczędzać czas?
Są takie sytuacje, że tego żałuję, bo czasem umknie mi coś fajnego. Ale myślę, jeśli coraz więcej ludzi ma do ciebie sprawy, to musisz zacząć odmawiać trochę z automatu. Dziewięćdziesiąt maili na sto w skrzynce odbiorczej powinno się spotkać z uprzejmą odmową.
Ale ja nie lubię tego robić, czuję się nieprzyjemnie stale odmawiając. Wiem, że z punktu widzenia osób, które mnie o coś proszą lub mi coś proponują, to zwykle są drobne rzeczy. Tyle, że tych drobiazgów zbiera się tak wiele, że przerosłoby mnie, gdybym zgadzał się na wszystko.

A pamiętasz sytuację, w której żałowałeś, że coś olałeś?
Ja non stop mam wrażenie, że coś mi przechodzi koło nosa. Na przykład parę miesięcy temu otworzyłem skrzynkę odbiorczą na fanpage'u. Wszedłem i zobaczyłem, że jakaś drużyna żeglarska zaprasza mnie na bardzo ważne regaty, jedną z najbardziej prestiżowych imprez świata. Zostanę członkiem ich drużyny w zamian za udokumentowanie tego wydarzenia. No, generalnie

dadzą mi dostęp do czegoś ekskluzywnego. Otworzyłem to tak po prostu, losowo. To była jedna z siedmiu wiadomości tego dnia i tak się akurat złożyło, że kliknąłem w tę.

To nie możesz zatrudnić kogoś od filtrowania wiadomości?
Mam takich ludzi. Wierzę, że te naprawdę ważne rzeczy jednak mi nie umykają. Ale czasem mam wątpliwości. Bo często ludzie mają dla mnie jakieś naprawdę atrakcyjne propozycje, ale nie umieją ich sprzedać, brakuje im siły przebicia.
Próbowaliśmy to ustrukturyzować i uznaliśmy, że ponieważ dostaję sporo zaproszeń, to najlepiej będzie, jeśli założę skrzynkę pocztową „Zaproś Gonciarza". I tam spływają setki fajnych tematów, które nie giną. Natomiast przetrawienie tych setek tematów jest bardzo trudne. Bo mój kalendarz i tak jest zwykle zapełniony. Czuję, że chociaż próbuję to wszystko uporządkować, to coraz mniej mam kontroli.

Masz jakiś system organizacji czasu?
Nie. Ludzie myślą, że ja sobie to wszystko obmyśliłem – że pięć lat temu usiadłem, wymyśliłem jakąś ścieżkę kariery, rozpisałem to na punkty do odhaczenia i dziś jestem tu, gdzie sobie zaplanowałem, że będę. A tymczasem moje życie to wielka improwizacja. Jestem bardzo słabo zorganizowany i bardzo niewiele planuję. Ludzie często piszą mi pod vlogami, że podziwiają mnie za skuteczność, dyscyplinę i żelazny upór. A z mojego punktu widzenia połowę czasu marnuję.

A masz wyrzuty sumienia z tego powodu? Myślisz, że zrobiłbyś dużo więcej, gdybyś się ogarnął?
Tak, ale staram się hamować tego typu myśli. Widzę w tym przejaw uzależnienia od sukcesu, od robienia wciąż większej i większej liczby rzeczy. To też jest niezdrowe.
Jest taki termin, „hustle porn", związany z postaciami w stylu Caseya Neistata czy Gary'ego Vaynerchuka. Osobowości online'owych, które tworzą wokół siebie taką pornograficzną aurę nieludzkiej produktywności, wykorzystywania każdej wolnej chwili i parcia do przodu, choćby nie wiem co. Wydaje mi się, że oni tworzą jakieś niezdrowe standardy, nieosiągalne dla normalnego człowieka.

To frustruje, bo nie każdy widzi, ile w tym reżyserii. Tak jak z Instagramem – wchodzisz tam i czujesz się gorzej, bo okazuje się, że twoje życie wygląda jak gówno na tle jakiegoś gościa, który codziennie wrzuca zdjęcia z podróży. Łatwo sobie pomyśleć: „Czemu ja tak nie mogę?". A przecież ten gość mógł przez miesiąc zapieprzać od jednej ładnej scenerii do drugiej, żeby natrzaskać sobie roczny zapas zdjęć i potem je wrzucać.

Sam staram się robić ciekawe rzeczy, ale i nie przesadzać z autokreacją. W tym moim wizerunku zawsze jest jakaś nutka ironii. No i nie staram się za bardzo ukrywać swoich niedoskonałości czy momentów, w których jestem mniej produktywny. Szczególnie ostatnio. Bo myślę, że był taki dwu- czy trzyletni okres, w którym byłem więźniem własnego hustle porn.

A pamiętasz jakieś wyjątkowo dziwne rzeczy, które ludzie zostawiali ci na skrzynce?

Dużo osób prosi mnie o takie przysługi, o które raczej prosi się znajomych, nie obcych typów z internetu. Podam ci dwa przykłady.

Kiedyś nieznajoma dziewczyna napisała mi, że potrzebuje drzwi z Ikei, które wycofano ze sprzedaży w Polsce, ale można je kupić w Japonii. To była długa wiadomość, zakończona pytaniem, czy mógłbym jej wysłać te drzwi do Polski.

Innego bardzo długiego maila dostałem od obcego kolesia, który napisał, że przeprowadza się do Japonii i boi się wziąć do samolotu swój saksofon. I czy on może mi ten saksofon wysłać kontenerem parę miesięcy wcześniej, żebym mu go przechował (śmiech). Nie rozumiem, jak można pisać takie rzeczy do osób, których nie znasz. Nie mieści mi się to w głowie. Dlaczego ja mam to niby robić?

Bo jesteś Krzyśkiem, którego życie ludzie znają tak dobrze, że wydaje im się, że jesteś ich kolegą.

Jasne – sam stworzyłem to złudzenie, że się z moimi widzami znamy. Ale ono powinno im pękać w głowach w momencie, w którym siadają do napisania do mnie maila z prywatną prośbą. Przecież to nie ma sensu – masz w Japonii coś przyziemnego do załatwienia. Kto ci może pomóc? Hmmm, no, jest ten vloger, który kręci filmy w Japonii...

Ludzie powinni ci awizo wysyłać, żebyś im odbierał paczki na tokijskiej poczcie, bo masz bliżej.

Może ci ludzie piszą w takich sprawach do innych randomowych Polaków z Japonii? Może jakby ta pani trafiła na informację, że np. jakiś polski programista pracuje w Tokio, to jego poprosiłaby o drzwi z Ikei? Bo czemu nie?

Nie sądzę. Robiłem wywiady z różnymi znanymi ludźmi i ci, którzy mają taki wyluzowany wizerunek, jak np. Tymon Tymański, opowiadali mi masę historii o tym, jak fani skracają dystans i traktują ich jak kumpli. Myślę, że np. Jerzego Stuhra nikt nie prosi o pierdoły. Ale wokół ciebie nie ma takiego nimbu niedostępności. Jesteś Krzyśkiem, który pokazuje widzom swoje życie. Jesteś blisko nich.

To zabawne, bo chwilę temu mówiłeś, jaki to ja jestem niedostępny.

Bo ostatnio przez ponad tydzień się do ciebie dobijałem z prośbą, żebyś przeczytał fragment tej książki. Odezwałeś się dopiero, jak cię zaszantażowałem, że będę ci codziennie wysyłać zdjęcia stóp Cejrowskiego na messengerze, jeśli nie odpiszesz. A wiedziałeś, że nie piszę w sprawie przechowania saksofonu.

To prawda. Popatrz na ten kontrast: nieznajomi proszą mnie o przysługi, a ja nie odpisuję nawet ludziom, których znam. Myślę, że zbudowałem wokół siebie jakąś ścianę, która jest mi bardzo potrzebna. Bo za dużo jest rzeczy, które walczą o moją uwagę każdego dnia.

W tym roku spędziłem sporo czasu w Polsce i poczułem, że wszystkie zaczepki, które słyszę, i ukradkowe spojrzenia przyczyniają się do tego, że ta ściana jest coraz wyższa. Nie chcę się alienować, ale potrzebuję prywatności, przestrzeni. Trudno to pogodzić.

A przecież ja nawet nie jestem jakiś taki super-hiper-popularny, ludzie nie rzucają się na mnie na ulicy. Co mają powiedzieć ci wszyscy telewizyjni celebryci? Ja trochę zacząłem rozumieć, dlaczego oni często sprawiają wrażenie buców. Po prostu potrzebują aury fizycznej niedostępności. Bez tego cały czas ktoś by bez końca przeszkadzał w wypiciu kawy w kawiarni.

Twoje podejście do tego ewoluowało wraz ze wzrostem popularności?

Tak, zmieniało się. Na początku – jeszcze w czasach GRY-OnLine – była

podjarka, że ktoś mnie rozpoznał na ulicy. Jak zaczynasz puszczać rzeczy w internecie, to obserwujesz jakieś tam statystyki, ale to abstrakcja. A gdy podchodzi do ciebie człowiek z krwi i kości, to nagle czujesz, że za tymi liczbami są prawdziwe osoby, które obejrzały film i coś tam poczuły. I to jest super, to do dziś mnie cieszy.

Ale gdy podchodzi nie jedna osoba, ale kilkadziesiąt, niezbyt jesteś w stanie się tym cieszyć. A ja dodatkowo jestem wstydliwy, więc takie sytuacje mnie często peszą. Zawsze miło jest usłyszeć pochwałę, jednak coraz trudniej jest mi wykrzesać z siebie emocjonalną reakcję. Czuję wtedy, że postępuje we mnie jakiś proces zombifikacji. Jestem coraz bardziej nieczuły i zobojętniały, a zarazem coraz bardziej brzydzę się sobą.

Dlaczego brzydzisz?

Bo gdy zaczepia cię piętnasta osoba z rzędu, to w głowie masz mimowolną myśl: „o Boże, co znowu". Ale ta osoba nie wie, że jest piętnasta. Nie chce cię celowo wymęczyć, tylko poznać, powiedzieć coś miłego, dla niej to jest ciekawe spotkanie. Czujesz, że jesteś jej winny uśmiech, nie chcesz zawieść. A często słyszałeś już wszystko. Każdą pochwałę, jakkolwiek szczerą. Starasz się dać z siebie coś autentycznego, ale czujesz się pusty w środku i wychodzi sztucznie.

Może po prostu mam problem z przyjmowaniem komplementów, ciężko mi stwierdzić. Peszy mnie, jak ktoś mi mówi coś osobistego, że mu pomogłem, przyczyniłem się do zmian. Że jestem dla kogoś ważny. Widziałem łzy wzruszenia, które mnie zawstydzały. Widziałem taki kompletny szok połączony z niemożnością wyduszenia z siebie słowa – i myślałem sobie, że kim ja w ogóle jestem, żeby ludzie tak na mnie reagowali? Kilka razy usłyszałem nawet, że oglądanie moich filmików pomogło komuś w obliczu myśli samobójczych. Co masz pomyśleć, jak słyszysz coś takiego?

Moja reakcja to wycofanie. Nie chcę dopuszczać do siebie tych reakcji zbyt blisko, bo przecież ja po prostu robię filmiki rozrywkowe w internecie. Nie chcę czuć się odpowiedzialny za to, że ktoś schudł i przypisuje mi, że go zmotywowałem. Bo on zrobił to sam, sam się zmotywował, i to on zasługuje na gratulacje. Gdyby przytył, też nie chciałbym, żeby obarczał mnie za to winą. Ludzie powinni być częściej dumni z samych siebie, a rzadziej przypisywać zasługi osobom trzecim.

Z drugiej strony: czy ta rozpoznawalność jest aż tak wysoką ceną za twój poziom życia i status? Bo może i ktoś cię zaczepi dwusetny raz danego dnia, ale potem wracasz do swojego mieszkania w Tokio i odbierasz propozycję biznesową za grubą kasę.

Jasne, patrzę na to tak samo. Nawet głupio mi to nazwać „kosztem". Bycie zaczepianym wciąż bywa dla mnie przyjemne. Ale trafia się na różne osoby. Czasem po spotkaniu z kimś jestem szczęśliwy i uśmiechnięty. A innym razem jest dokładnie odwrotnie. I nie mówię tu o osobach, które mnie krytykują, tylko o tych miłych. Nie wiem, na czym to polega – to nie kwestia wyglądu czy zachowania, chociaż zauważyłem, że im bardziej zestresowany jest ktoś, kto do mnie podchodzi, tym gorzej dla mnie.

Stres na maksa udziela się osobom trzecim. Jak zauważasz, że ktoś umiera ze strachu występując na scenie, to tobie też się pocą dłonie. I modlisz się, żeby ten ktoś nie spierdolił.

Tak, to właśnie to.

A jak ktoś wysyła ci sexting albo nudesy, to odpisujesz?

(śmiech) Wiesz co, chyba nigdy nie dostałem sextingu od obcej osoby. Nagich fotek chyba też nie. Straszny przegryw, nie?

Bez sensu. Na co ci tyle tysięcy tych subów?

Też się zastanawiam. Ale swoją drogą, to jest dla mnie zabawne, że jako dziennikarz gamingowy zaczynałem od bardzo jednorodnej płciowo demografii. W pewnym momencie 90% ludzi, którzy mnie śledzili, to byli faceci. A dziś jest mniej więcej pół na pół, z lekką przewagą kobiet.

Jak myślisz, z czego to wynika?

Chyba z faktu, że to, co robię, stało się bardziej uniwersalne. Chociaż okej, wchodzę na grząski grunt twierdząc, że gry są nie są uniwersalne płciowo. Oczywiście, że są. Ale nie zmienia to faktu, że jak wejdziesz w statystyki dowolnego polskiego serwisu gamingowego, to zobaczysz, że większość użytkowników stanowią faceci. Za to patrząc na swoje treści, odnoszę wrażenie, że tematyką Japonii interesuje się więcej Polek niż Polaków. Ciekawe, z czego to wynika? Może z większej popularności mangi wśród nastolatek niż nastolatków?

To może być jeden z powodów – pracowałem kiedyś w księgarni z komiksami i na oko mangi zdecydowanie częściej kupowały dziewczyny.
Na japonistyce chyba też przeważają studentki.

Czy złapałeś się kiedyś na tym, że z powodu rozpoznawalności ego spuchło ci do niebezpiecznych rozmiarów?
Myślę, że to się stało, gdy wymyśliłem Naebę – czyli mój szybko zamknięty sklep z koszulkami. Czułem wtedy, że wszystko, co robię, kończy się sukcesem. Dawno nie miałem jakiegoś reality checku. I ten reality check nadszedł. Pamiętam, że uznałem, że „eee, zróbmy to jako tako i pewnie okaże się spoko". Jak tak dziś o tym myślę, to uważam, że byłem butny. Skończyło się źle – przez moje błędy w komunikacji ludzie uznali, że zawyżam ceny koszulek i chcę ich naciągnąć.
Ale myślę, że to dobrze, że odebrałem tę lekcję na dość wczesnym etapie. Jakbym miał to podsumować po latach, to niewiele na tym straciłem. Jestem nawet trochę dumny z tego, jak rozwiązałem tę sytuację: nagrałem filmik zatytułowany „Zjebałem" i po prostu przeprosiłem.
Dziś to jest popularny case, jeśli chodzi o zarządzanie kryzysem w social mediach. Nawet AszDziennik napisał wtedy: „Dramat polskiego YouTube'a. Po raz pierwszy w historii youtuber przyznał się do błędu". Byłem dumny z siebie, że choć nie spałem dwie noce z rzędu, fatalnie się czułem fizycznie i psychicznie, to udało mi się znaleźć język, za pomocą którego mogę powiedzieć ludziom prawdę i jednocześnie ich uspokoić. Szybko wróciłem do łask.

Miałeś takie myśli, żeby uparcie w te koszulki iść, czy od razu ogarnąłeś, że musisz przyznać, że zjebałeś?
Dość szybko stwierdziłem, jak muszę się zachować. Pamiętam tamten wieczór, gdy wybuchł „kryzys naebowy". Wrzuciliśmy film z reklamą tych koszulek. W tym samym czasie w Japonii zorganizowaliśmy imprezę biurową. Zaprosiliśmy znajomych, współpracowników, freelancerów. Bawiłem się na tej imprezie, popijałem drineczka, bo wtedy jeszcze piłem alkohol. Odświeżyłem film godzinę po publikacji... i już wiedziałem.
Ostatecznie zaskoczyła mnie skala, bo to poszło jak kula śnieżna. Trafiło na wszystkie wykopy i fejsbuki, więc jak hejt osiągnął masę krytyczną, to każda osoba, która miała kiedykolwiek jakikolwiek problem ze mną, uznała, że to

jest dobry moment, by uderzyć. W pewnym momencie to był taki lincz, że gdzie bym nie spojrzał, to ktoś coś do mnie miał. Nawet jacyś moi dalsi znajomi się pod to podłączali.
Z perspektywy czasu to była dla mnie możliwość weryfikacji ludzi, których mam wokół siebie. Bo jak ktoś, kto jest moim kolegą, w tej konkretnej sytuacji – zamiast zapytać, jak sobie z tym radzę i czy jeszcze się nie powiesiłem – uznaje, że napisze jeszcze jakiś cyniczny żart na mój temat, to z taką osobą lepiej poluzować kontakt. A czasem wręcz zupełnie go uciąć. Jestem pamiętliwy, więc usunięte wtedy z grona znajomych osoby już nigdy do tego grona nie wróciły.

Czyli Wardęga miał w jednym ze swoich filmików rację, że środowisko jest kłębowiskiem węży i każdy czeka, żeby wbić nóż w plecy...
Nie mówię tylko o ludziach ze środowiska. Chociaż też. Miałem na przykład wtedy spięcie z Gimperem. Skomentował gdzieś na Facebooku moje wyliczenia, że na pewno ściemniam, bo on się zna na produkcji koszulek i to, co ja mówię, jest niemożliwe. Napisałem do niego prywatnie, pogadaliśmy o tym, przedstawiłem swoje argumenty. Gdy się przechodzi na priv z takim tematem, to zaczyna się zupełnie inna rozmowa. Przychodzi moment, w którym taka osoba przyznaje, że „eee, no sory, może zbyt kategorycznie napisałem". Wyjaśniliśmy to sobie i się pogodziliśmy.

Jakie to uczucie – spieprzyć coś tak mocno, że nagle wszyscy na ciebie najeżdżają?
Koszmarne. Wiele nieprzespanych nocy, strasznie dużo stresu. To takie uczucie, że wyciągasz telefon i ten telefon próbuje ci napluć w ryj. Absolutnie okropny czas, gdy rzeczy zaczynają się wymykać spod kontroli i zaczyna się robić ściek. Tak było w pewnym stopniu również wtedy, gdy Wonziu zjechał mi książkę „Wybuchające Beczki". Ale i tak biorąc pod uwagę to, za ile projektów odpowiadam, na mój temat było stosunkowo niewiele kontrowersji. To, co robię, jest raczej bezpieczne, nie szukam sensacji, nie jadę po bandzie. Rzadko podejmuję ryzyko wizerunkowe.

Patronite był ryzykiem – gdyby ci się nie udało i zebrałbyś sto pięćdziesiąt złotych, to ludzie by ci to wywlekali: haha, chciał pieniędzy od widzów i się przejechał.

Tak, ale przy tej sytuacji z Patronite'em nikt nie wiedział, na jakim poziomie jest sukces. Moje progi to było mniej więcej dwóch do pięciu tysięcy. Takie cele uznawałem za realistyczne. Oczywiście, mogłem się w tych szacunkach pomylić, bo mogłoby się okazać, że nikt mnie nie lubi. Ale widziałem w swoim życiu ileś tysięcy żywych twarzy, które mówiły, że to, co robię, było dla nich ważne. Pomyślałem więc: okej, może tych kilka tysięcy żywych twarzy o czymś świadczy.

Przy temacie kryzysów używałeś słowa „hejt". Nie uważasz, że jest ono nadużywane w polskim dyskursie publicznym, szczególnie przez influencerów?

No, oczywiście.

Weźmy choćby tę głupią sytuację z Wawrzyniakiem. On absolutnie każde słowo krytyki uznawał za hejt. Też to zauważyłeś?

W pewnym momencie koncepcja hejtu trafiła w Polsce do szerszej świadomości i wielu ludzi przestaje odróżniać hejt od jakiejkolwiek formy negatywnego feedbacku. Fakt, że użyłem tego słowa w kontekście Naeby nie oznacza, że uznaję każdy komentarz, jaki wtedy padł, za hejt. Bo tam miało miejsce i napierdalanie we mnie, i merytoryczna dyskusja. Nazywanie rzeczowej krytyki hejtem służy odwracaniu od niej uwagi, to strasznie dziecinny chwyt.

Czy ludzie z twojego otoczenia dawali ci jakieś rady, co masz z tą Naebą zrobić?

Tak, odezwało się trochę takich osób, które chciały mi pomóc komunikacyjnie. Jedna z nich, znany polski startupowiec, napisała mi, że widzi tylko jedną opcję: żeby absolutnie się ze wszystkiego wycofać, przekazać cały zysk na WOŚP i to zamknąć. Nie zamierzałem jednak wycierać sobie mordy działalnością charytatywną, to kompletnie nie mój klimat.
Najwięcej mi wtedy pomógł Michał Szafrański. Z nim przeszedłem przez te swoje wyliczenia, zapytałem go, czy to ma sens – matematycznie i finansowo – i to właśnie za jego radą przyznałem się do winy. Ale zarazem te koszulki pozostały w sprzedaży. I to nie było tak, że zamykam sklep i uciekam. Tylko przepraszam, komunikat był zły, tu czarno na białym wyjaśniam wszystko i tyle. Zróbcie z tym, co uważacie. Okazało się, że po moim wyjaśnieniu te koszulki się zaczęły sprzedawać.

Wróćmy jeszcze na chwilę do początku tej rozmowy, czyli do nieodpisywania ludziom na Messengerze. Czy zdarza ci się to traktować jako taktykę? Na zasadzie: jak nie odpiszę, to problem sam się rozwiąże.

No... Często tak jest (śmiech).

Czy taka strategia nie wypala ci czasem w twarz?

Myślę, że zrażam tym do siebie część ludzi. W ogóle nie wypracowałem sobie jakiejś spójnej, odpowiedzialnej metody odpisywania. Większość moich bliskich znajomych czuje się przeze mnie jakoś tam ignorowana. Uważają, że nie poświęcam im dość uwagi. I mają rację – jestem po prostu za mocno rozsmarowany społecznie i geograficznie. Często też dokonuję przeoczeń w tym, co pisze do mnie Kasia w sprawie firmy w Tokio. Czasem zapominam, że moja pozycja w Polsce jest zupełnie inna niż w Japonii. Nad Wisłą mogę liczyć, że problemy będą rozwiązywały się same, bo mam wielu ludzi do pomocy. A w Japonii jak zapomnę coś wydrukować i podpisać, to mamy problem. Czasem prowadzi to do zabawnych sytuacji. Na przykład parę lat temu poznaliśmy się w Tokio z Pawbeatsem – jednym z bardziej znanych polskich producentów muzycznych. Powiedział mi, że akurat jest tam przejazdem jakiś jego znajomy raper, który chciałby się ze mną ustawić, „masz tu link do piosenki". Olałem, nawet nie kliknąłem. A potem okazało się, że to był Quebonafide (śmiech). Był akurat w Japonii w ramach nagrywania płyty „Egzotyka". Więc dziś mogę się pochwalić, że olałem współpracę z Quebo. Napisałem wczoraj do niego, po latach, z pytaniem czy ma coś przeciwko, żeby upublicznić tę anegdotę. Odpisał, że spoko, chociaż lepszą puentą według niego by było, jakby mi nie odpisał (śmiech).

Co jest w stanie przebić to twoje ego?

Są rzeczy, po których jest mi przez moment przykro. Na przykład jak Wikipedia usuwała mnie jako „osobę nieistotną"...

Próbowałeś dodać sam siebie?

Tak. Dawno temu. Pierwszy raz chyba na etapie wydawania pierwszej książki, „Wybuchających beczek". Tak jakoś zacząłem się zastanawiać – co się stanie, jak spróbuję dodać do Wikipedii hasło „Krzysztof Gonciarz"? To się wiązało z jakimś strasznym wstydem: bo jak można pisać stronę na Wikipe-

dii o sobie? Ale się przełamałem, stworzyłem ją. Powisiała kilka dni i została usunięta z komentarzem, że jest to postać nieistotna (śmiech).

Ojej.

No więc wtedy mi się zrobiło trochę przykro. Ale przyjąłem to do wiadomości na zasadzie: okej, może tak jest, może muszę zrobić coś więcej. Ale okazało się, że jak byłeś youtuberem w Polsce, to nieważne, co zrobiłeś, i tak byłeś dla Wikipedii „postacią nieistotną". Ortodoksyjni wikipedyści nie przyznawali YouTube'owi prawa do bycia znaczącym elementem kultury.
Ale wystarczy, że wydasz kilka książek i nagle zasługujesz na miejsce w Wikipedii. Więc za którymś razem przestali mi kasować tę stronę, bo można było wymienić jakieś książki, które napisałem.

Czyli jednak te książki...

Tak, publikacje papierowe, które sam sobie wydałem. Możesz mieć sto milionów wyświetleń na YouTube, ale istotny stajesz się dopiero, jak sprzedasz tysiąc sztuk pierwszej książki. Moja strona na Wikipedii wciąż istnieje, tylko tam są straszne bzdury na mój temat.

Nie edytujesz ich?

Nie chce mi się już z tym walczyć. Teraz na tej Wikipedii można przeczytać, że afera z Naebą zauważalnie zmniejszyła mi liczbę patronów na Patronite. Bez podania źródła. A prawda jest taka, że ludzie z Patronite'a nie dali się ponieść emocjom i zostali wtedy ze mną. No ale wisi takie coś na Wikipedii, i co mam z tym zrobić? Przecież jak spróbuję to edytować, to ktoś pomyśli, że wmiatam brudy pod dywan.
Zabawne jest za to, że na Wikipedii wyliczone są moje czasy z maratonów (śmiech). Tabelka, jakbym był jakimś sportowcem. Podczas gdy te moje czasy są naprawdę średnie. No, ale niech wisi.

GEJ Z DUBAJU WE FRIENDZONE

Czy o Krzysztofie Gonciarzu ludzie plotkują?

Kiedyś rozmawiałem z jedną znajomą o Dubaju. Tak ogólnie o kraju. Ona zawahała się i spytała ściszonym tonem: „Ej, a to jest prawda że byłeś po kryjomu w Dubaju z tą i tą?". Chodziło o moją znajomą modelkę. Nigdy w życiu nie byłem w Dubaju, nie miałem nawet planów tam jechać. Czyli to była plotka o niezłej skali – że miała miejsce jakaś epicka schadzka, która całkiem ominęła moje vlogi.

Może trzeba było polecieć.

To brzmi bardzo romantycznie. „Polskie modelki w Dubaju" to przecież element historii polskiego internetu.

Tak, słynna „dziennikarska prowokacja".

Nie dziennikarska, tylko stulejarska (śmiech). Ale serio, wróciłem sobie do tych tekstów na temat „afery z modelkami" i to jest autentyczny cytat z „grupy blogerów" która za nią stała: „Jesteśmy za prostytucją, ale nie akceptujemy kobiet, które sprzedają swoje ciało i patrzą z góry na tych, którzy żyją „zwykłym życiem". Nie mamy też nic przeciwko normalnym związkom z bogatymi mężczyznami." Klasycznie incelowy schemat myślenia.

Straszna bzdura. No, ale wróćmy do bzdur na twój temat.

Oczywiście, bardzo dużo tego było na temat mojej relacji z Kasią. Bawiło mnie zawsze, że w kręgach, w których się mnie nie lubi, rozważone zostały wszystkie możliwe scenariusze i wszystkie kończyły się wnioskiem, że jestem przegrywem. Są razem – żałosne, że się ukrywają. Nie są razem – żałosne, że

nie są. Pewnie przegryw przeżywa nieodwzajemnioną miłość i tkwi we friendzonie. A w ogóle to pewnie jest zakamuflowanym gejem.

Jesteś gejem?

Nie, jestem całkiem heteroseksualny. Ale wizja bycia gejem mnie przecież nie obraża. Bawi mnie, że nawet w 2019 są ludzie na świecie, którzy używają tego słowa by komuś ubliżyć. Jakbym był gejem, to bym był gejem. Spoko. A biseksualność nawet przyjąłbym z uśmiechem, bo takie osoby mają z definicji więcej otwartości na różne życiowe doświadczenia. Ale nie jestem też biseksualny.

A zdarzyło ci się, że widzowie dopatrywali się twojego związku z kimś innym, mimo że go tam nie było?

Oczywiście. Za każdym razem, gdy w moich filmach pojawia się jakaś kobieta (śmiech). To jeden z powodów, dla których bardzo ostrożnie pokazuję na vlogach swoich prywatnych znajomych. Mam takie podejście, że ludzie mogą na mój temat pisać, co chcą – to życie, które wybrałem. Nikt mnie do niego nie zmuszał, a i mam z niego profity. Ale nie toleruję na swoim kanale chamstwa wobec swoich znajomych. Shadowbana dużo łatwiej dostać u mnie za komentarze na temat innych osób, niż na mój temat, bo takie komentarze mogą zwyczajnie w świecie sprawić komuś przykrość.

Często miewasz takie sytuacje?

Nie, na szczęście nie. Wiesz, rysuję tu trochę obraz internetowej dziczy, a przecież publiczność mojego kanału to naprawdę bardzo kulturalni ludzie. Miałem taką sytuację z Pauliną, moją przyjaciółką z Tokio. Spędzamy ze sobą na tyle dużo czasu, że w jej przypadku przełamałem kiedyś swoją politykę prywatności i powiedziałem na filmie „nie, nic nie ma między nami". Paulina bardzo nie lubiła komentarzy na ten temat, a ja nie chciałem ukrywać faktu, że dużo ze sobą przebywamy.

Czy czułeś kiedyś, że twój vlog może przekroczyć czyjeś granice prywatności? Albo może je właśnie przekroczyłeś i musiałeś się zmierzyć z konsekwencjami?

Niedawno miałem taką sytuację przed weselem przyjaciela. Zajawiliśmy się ze znajomymi, że będzie vlog z wesela, porobimy sobie jakieś jaja. Ale ostatecznie wszyscy uznali, że może lepiej tego nie robić. Bo na pewno znaleźliby się ludzie szydzący z tego czy tamtego, komuś mogłoby się zrobić przykro. Wystraszyliśmy się terroru komentarzy (śmiech).

Zawsze się bardzo staram, by wszystkie osoby pojawiające się w moich filmach zostały przedstawione pozytywnie. Chcę, by wszyscy mieli dobre wspomnienia po współpracy ze mną.

Nie zdarzyło ci się nigdy pokazać nic niefortunnego?

No na przykład własny tyłek (śmiech). To było ujęcie z szatni w siłowni w Korei Południowej. Nagrywałem na golasa, ale się nie przejmowałem, bo przecież pokazywałem się tylko od ramion w górę. Nie zauważyłem jednak, że za mną jest lustro, w którym się odbijam w całej okazałości. Na całe szczęście nikt chyba nie poczuł się zgorszony, to było po prostu zabawne.

Kiedyś też niepotrzebnie powiedziałem o kimś, że umówiliśmy się przez Tindera. To wywołało niezdrowe komentarze i żałowałem tego, musiałem przeprosić tę osobę. Wtedy zdarzało mi się jeszcze zapominać o konsekwencjach tego, co publikuję. Komentarze w internecie to jedno, ale jest też inna strona medalu: do osób, które przewijają się w moich filmach często odzywają się bliżsi i dalsi znajomi, na zasadzie „lol, widziałem cię u Gonciarza".

„Zaruchałaś?".

(śmiech) No właśnie, to, co dla mnie jest jakimś rzuconym mimochodem żartem, dla znajomych tej osoby staje się istotną informacją. A dodatkowo czuję, że odpowiedzialność za błędy spoczywa w 100% na mnie.

Oczywiście, zawsze mogę spytać kogoś, z kim nagrywam: „Hej, czy to będzie dla ciebie okej, że nagramy takie coś i powiemy to i tamto?". Ale osobie, która w tym nie siedzi, może być ciężko wyobrazić sobie pełny zakres reakcji i konsekwencji. Więc raczej nie spycham odpowiedzialności na innych.

A zdarzyło ci się, że to montażysta uchronił cię przed wtopą?

W październiku 2018 roku poleciałem na dwa dni do Aten na konferencję Google'a. Nagrałem tam małą scenkę o frappe – sposobie podawania kawy charakterystycznym dla Grecji. Nie zauważyłem, że piłem tę kawę przez pla-

stikową słomkę. A było to kilka tygodni po tym, jak wziąłem udział w kampanii społecznej o ograniczeniu użycia plastikowych słomek. Montażysta Piter szczęśliwie to zauważył i cała scena wyleciała z vloga.

Czyli jednak vlog to ściema i preparowana rzeczywistość (śmiech).

Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że dla takiej osoby, jak ja, kampania o ograniczeniu użycia słomek to realne wyzwanie. Większe niż dla Huberta Urbańskiego czy Roberta Biedronia, którzy też wzięli w niej udział. Oni nie rejestrują codziennie swojego życia, więc mają mniejsze szanse na to, że ktoś ich przyłapie na piciu przez słomkę. To, co ja robię, wymaga spójności i konsekwencji.

OLARY

Boisz się o swoje pieniądze?

Boję się, że ten kurek w pewnym momencie się zakręci i kasa przestanie do mnie płynąć. Ja sobie od kilku dobrych lat powtarzam, że to wszystko się niedługo skończy. Zawsze sobie myślę, że nie można mieć wiecznie pięciu minut sukcesu. I jakoś szczęśliwie mi się udaje, że cały czas to trwa.

Ale cały czas myślę, że to może przestać działać, bo w tej mojej branży to jest trochę niezależne ode mnie. Bardziej ufam w stałość na przykład tego, że będę w stanie sprzedać książkę swoim widzom, niż w to, że raz na kwartał jeden duży sponsor przyjdzie i da mi dużo siana za jakiś film. W marketingu jest taka zasada, że jak masz tysiąc osób, które kupią wszystko, co jesteś w stanie sprzedać, to jesteś ustawiony. Jest w tym trochę prawdy. Tysiąc wiernych fanów sprawia, że jesteś bezpieczny. Przy czym „wierny fan" jest rozumiany jako ktoś kto kupi książkę, jak ją wydasz. Albo przyjdzie na twój event, jak jakiś zorganizujesz.

A z drugiej strony, moja kariera jest oparta w dużej mierze na rzucie monetą. Ten rzut odbywa się co parę tygodni: czy w tym momencie jakaś gruba ryba w jakiejś firmie czy agencji wrzuci mnie do prezki i uzna, że weźmiemy Gonciarza za dobry budżet. To jest hit or miss. Moja marka jest niezmiennie silna. Ale prędzej czy później nastąpi koniec.

Kiedy był ostatnio taki długi moment, gdy nie miałeś zleceń na żadne rzeczy i zaczynało się robić krucho?

W pierwszym kwartale tego roku był przestój, ale sprowokowany przez nas. Bo ja chciałem sobie dać więcej przestrzeni, nie chciałem non stop siedzieć w sponsorowanych rzeczach. I, poza New Balance'em, nic nie zrobiliśmy przez cztery miesiące.

YouTube to nie jest teraz moje jedyne źródło dochodu. Ale to wciąż najważniejsze źródło. Motor napędowy tego, co robię. I jak przykręciliśmy kurek na cztery miesiące, to pomyślałem sobie, że to niezbyt, kurde, przyjemne. Bo jednak koszty działalności mam dość wysokie, jeśli zbierzesz je wszystkie do kupy. Kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. I jeśli nic nie zrobię przez miesiąc, to i tak będę je musiał zapłacić. Solidnym ciosem potrafi być też GonKon. To wielkie przedsięwzięcie, które wolę robić lepiej zamiast taniej. Zdecydowanie za dużo do tego dopłacam. Mam nadzieję, że już niedługo się to zmieni.

Jakiś czas temu Notch, twórca „Minecrafta", zasugerował, że gdy zarobił dużo pieniędzy, poczuł się samotny jak nigdy. Jego miliardy przyszły bardzo szybko i nagle okazało się, że ma wokół siebie mnóstwo ludzi. A wcześniej jakoś ich nie było (śmiech).

Wiesz, nie trzeba być Notchem, żeby myśleć w ten sposób. Nawet ja miewam w życiu takie wyzwania i myślę sobie, że ewidentnie są w moim otoczeniu osoby, które wolą spotkać się z ideą Krzysztofa Gonciarza, który jest na YouTubie, niż z prawdziwym mną.

Jesteś w stanie wyczuć, kto próbuje się do ciebie zbliżyć ze szczerych pobudek?

Wydaje mi się, że wszystkie pobudki są szczere, tylko bardzo odmienne (śmiech). Jeśli widzę kogoś, kto bardzo mocno żyje jakimś wyobrażeniem na mój temat, a nie jest wcale zainteresowany, kim naprawdę jestem, to ciężko mi się z takimi ludźmi nawiązuje bliską relację.

Wielu ludzi mylnie wyobraża sobie mnie jako ekshibicjonistę, bo tak wiele opublikowałem na temat swojego życia. Tymczasem mam dużo relacji, które są od tego życia publicznego całkowicie odcięte. Nasz film o związku z Kasią chyba dobrze udowodnił, że jestem w stanie bardzo sprawnie kontrolować, co chcę zachować dla siebie.

A relacje, które trwają u mnie najdłużej, to takie, których nie postuje się na Insta. Niezbyt lubię, jak ktoś, z kim widzę się prywatnie, a kogo nie znam dość dobrze, wrzuca nasze zdjęcie na story. Zawsze mam taką podskórną obawę, że może w tej relacji nie chodzi o mnie, tylko o lans na Gonciarza z YouTube'a.

Sam nigdy nie próbujesz szpanować wspólnym selfie z kimś znanym? Wrzuciłeś sobie zdjęcie z Małyszem podczas Igrzysk Olimpijskich.

No tak, ale z Małyszem nie widziałem się prywatnie. Wiadomo, że wspólne robienie sobie zdjęć jest elementem budowania wizerunku w Internecie.

Wracając do pieniędzy – zacząłeś je zarabiać dość wcześnie, jako nastolatek. Od razu wiedziałeś, jak nimi dysponować odpowiedzialnie, czy rozpieprzałeś je bez sensu?

W moim przypadku jedno nie przeszkadzało drugiemu. Zhakowałem ten system, bo jako nastolatek wydawałem pieniądze na rozrywkę, która była moją pracą. Na przykład za pieniądze zarobione na tłumaczeniu „Baldur's Gate II" kupiłem sobie PlayStation 2. Więc niby wydawałem hajs „na głupoty", ale zarazem była to forma inwestycji w samego siebie, bo zawsze uczyłem się czegoś nowego. Cieszę się, że moja wczesna kariera była związana z grami, bo głupio byłoby się ogarnąć po latach, że ta cała kasa wydana w nastoletniości na gry nigdy mi się nie zwróciła.

Oszczędzałeś cokolwiek?

Nie długofalowo. Ale jednocześnie zawsze byłem w stanie zarządzać swoimi pieniędzmi tak, żeby zawsze starczyło na jakieś fajne wakacje czy nowy sprzęt. Zawsze czułem, że mam dość bezpieczny bufor. Nigdy nie znalazłem się w nieprzyjemnej sytuacji finansowej – takiej, żebym nie miał pieniędzy na rzeczy, których potrzebuję.

A pamiętasz, jak pierwszy raz zarobiłeś tak dużą kwotę, że był to dla ciebie szok?

Pamiętam, że jak zacząłem zarabiać coś koło dwóch tysięcy na miesiąc, to dla mnie to było zawrotne pieniądze. Zawsze miałem w sobie na tyle dużo pokory, że byłem pod wrażeniem, jak dużo zarabiam. Bo wiesz, na tym etapie życia żyje się po taniości. Ja przeliczałem pieniadze na gry i tanie piwka.

Też pamiętam moment pierwszych zarobków rzędu dwóch tysięcy. Wydawało mi się, że bardzo długo nie będę potrzebował więcej. Ale myślałem, że na pytanie o pierwszy poważny zastrzyk gotówki, powiesz mi raczej o premierze „Wybuchających beczek".

Więcej pieniędzy było z „Webshows" – pamiętam, że w pierwszym miesiącu od premiery zarobiłem jakieś trzydzieści tysięcy złotych. A dodatkowo: mniej więcej w tym samym czasie zacząłem robić pierwsze deale sponsorowane na YouTube. Wtedy można było zarobić dwa-trzy tysiące na jednym filmie sponsorowanym, który robiło się w dwa dni. I weź to sobie porównaj do etatu, gdzie wyciągałeś takie pieniądze w miesiąc.

Książki miały wysokie nakłady, ale nie zarobiłbyś na nich aż tyle, gdyby nie self-publishing, prawda?

Tak, zdecydowanie. Jestem mega wdzięczny mojej przyjaciółce z liceum, Mariannie, która po rodzicach odziedziczyła drukarnię. Któregoś dnia powiedziałem jej, że chciałbym wydać książkę i szukam wydawcy. A ona od razu pyta: „a czemu nie wydasz sam?". Zatkało mnie. Dziś self-publishing to oczywiste rozwiązanie dla osób, które zbudowały sobie jakąś popularność w internecie. Ale wtedy tak nie było. Myślę, że mogłem być pionierem.

Co zrobiłeś z tymi kilkudziesięcioma tysiącami za „WebShows"? Zainwestowałeś?

Zarobiłem tę kasę w zabawnym momencie – wtedy, gdy Gry-OnLine postanowiły mnie zwolnić (śmiech). Mój okres wypowiedzenia skończył się dwa czy trzy dni przed premierą „WebShows". Więc straciłem swoje główne źródło dochodu, odpaliłem sprzedaż książki i na moim koncie pojawiła się kwota, jakiej jeszcze nigdy tam nie widziałem. Pamiętam, że zainwestowałem sporo w sprzęt. Kupiłem sobie komputer do montażu, zajebistego iMaca który służy mi do dziś.

Jak to było z tym twoim zwolnieniem z Gry-OnLine?

Myślę, że tam w pewnym momencie moi szefowie zaczęli mieć ze mną problem. Chyba trochę nie wiedzieli, jak podejść do tego, że nagle zacząłem mieć karierę poza Gry-OnLine i zacząłem sobie figurować jako osoba niezależna, jako Krzysztof Gonciarz z YouTube'a. Co prawda inne osoby związane z serwisem też zakładały sobie jakieś profile w różnych miejscach w internecie, ale mój YouTube wybijał się popularnością.

Rzeczy, które robiłeś na YouTube były popularniejsze od tych, które robiłeś w pracy?

Skala była porównywalna. Jednak, chociaż starałem się nie zaniedbywać swoich obowiązków w pracy, to był to oczywisty konflikt interesów. Mimowolnie przykładałem się do pracy coraz słabiej, bo czułem, że moim miejscem powinien stać się YouTube. Serwis pod moją władzą – byłem wtedy redaktorem naczelnym tvgry.pl – przeżywał jakąś stagnację. Więc w pewnym momencie szefowie po prostu mi powiedzieli, że chcą się ze mną rozstać.

Jak to odebrałeś?

Z jednej strony, było mi przykro i byłem bardzo zaskoczony. Nie spodziewałem się tego ani ja, ani moi koledzy. Myślałem, że jeśli ten związek zostanie zerwany, to z mojej inicjatywy. Ale z drugiej strony, jakoś nie umiałem się zdobyć na tę decyzję, więc część mnie się cieszyła, że ktoś to zrobił za mnie. Zatem te moje uczucia były połączeniem strachu i urazy, jednak z jakąś formą ekscytacji. Że wow – jednak w moim życiu dzieje się coś nieprzewidzianego. Miałem świadomość, że coraz gorzej się tam sprawuję, więc nie miałem w sobie żadnej goryczy. Ponadto, wszystkim zależało, żeby rozstać się w dobrych stosunkach. Więc poszło za porozumieniem stron. Chyba z tego powodu temat nie był wtedy poruszany publicznie – lepiej było trzymać to w tajemnicy, żeby nie zaplątać się w jakieś zbędne tłumaczenie. Oba scenariusze – ja odchodzący i oni zwalniający mnie – mogłyby być przez publiczność źle odebrane z takiego czy innego powodu. Ludzie zawsze dopatrują się konfliktów w takich sytuacjach.

Nasze pożegnanie było bardzo przyjazne. Jeden z członków zarządu napisał nawet na forum posta podsumowującego moją karierę w firmie. Tam było tyle pochlebnych rzeczy, że aż się wzruszyłem. Wspomniał mnie jako jednego z najlepszych i najbardziej sumiennych autorów poradników do gier, jacy przewinęli się przez serwis. To było miłe, bo sam już wtedy kompletnie zapomniałem, że mam takie umiejętności.

A pamiętasz, jak się pożegnałeś z widzami i czytelnikami? Oni coś podejrzewali, czy nie?

Nie, myślę że nie podejrzewali. Okres wypowiedzenia był dla mnie ciężki i dziwny. Nagrywając nowe rzeczy czułem, jakbym się zmuszał do kłamstwa.

Więc intensywność mojej obecności malała i malała. Aż ogłosiliśmy moje odejście w przeglądzie tygodnia. Chyba po prostu powiedzieliśmy, że to już jest nasze ostatnie spotkanie w takim gronie.

Myślę że dla ludzi to było szokiem dlatego, że trzon tvgry.pl stanowiły dwie osoby – Del, czyli Marcin Łukański i ja. Obaj pracowaliśmy tam przez lata i wielu osobom trudno było sobie wyobrazić, żeby jednego z nas stamtąd wyciągnąć.

Więc to była duża zmiana i myślę, że samemu serwisowi złapanie wiatru w inną stronę zajęło trochę czasu. Ale gdy już się udało, to wyszło absolutnie zajebiście. Myślę, że ja nie byłbym w stanie poprowadzić tvgry.pl do miejsca, w którym jest obecnie.

Chciałeś dalej być dziennikarzem gamingowym?

Chyba już nie. Po zwolnieniu z GRY-OnLine wiedziałem, że muszę zająć się czymś innym. Bo co, miałbym aplikować do innej redakcji – na przykład CD-Action – i robić to samo, tylko z innym składem?

Z perspektywy czasu bardzo się cieszę, że to się wydarzyło. Wydaje mi się, że nikomu moja obecność w GRY-OnLine by się nie opłaciła. Zgniłbym tam i nie zrobił tych wszystkich rzeczy z innych obszarów, które przyniosły mi tyle radości.

Nie odczułem tego zwolnienia również z tego powodu, że nie pozwoliłem sobie na nicnierobienie. Wtedy wychodziła książka, miałem cykl spotkań autorskich. Ale w ramach zrobienia sobie w życiu małej rewolucji, tuż po przejściu na swoje zrealizowałem swój „miesiąc bez internetu".

Porozmawiajmy o innym ważnym finansowo momencie w twoim życiu – założeniu firmy w Japonii. Czy to było ryzykowne finansowo?

Tak. Choćby dlatego, że musiałem wziąć kredyt, żeby zainwestować pieniądze wymagane przez przepisy wizowe.

Ile?

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To był mój pierwszy tak duży kredyt, więc sytuacja mocno stresująca. Co więcej: był to czas mocnej frustracji, bo przez pierwsze półtora roku w Tokio bardzo słabo radziłem sobie na YouTubie pod względem komercyjnym. Wiele firm po prostu zakładało, że skoro siedzę na

Dalekim Wschodzie, to jestem niedostępny i komunikacja ze mną będzie utrudniona. Kilometry miałyby być barierą dla branży internetowej – straszny absurd.

Gdy ostatnio zastanawiałem się nad wyprowadzką z Japonii i pytałem samego siebie, gdzie powinienem mieszkać, to łapałem się na myśli, że jeśli nie będzie to Warszawa, to nie ma znaczenia, czy skończę w Krakowie, czy w Tokio. Bo dla mnie świat dzieli się na Warszawę i nie-Warszawę. Z punktu widzenia dowiezienia dealu z klientem nie ma znaczenia, czy jestem w Pradze, czy w Meksyku.

Ale wracając do moich początków w Japonii: tak naprawdę przełomowy stał się dla mnie deal z Intelem. To wtedy powstał ten „styl wizualny Gonciarza", przez lata rozwijany i sprzedawany.

Ile na nim zarobiłeś?

Nie zarobiłem prawie nic. Mieliśmy budżet rzędu sto tysięcy złotych na cztery filmy, więc to tak naprawdę nie było dużo, jeśli podliczysz koszty. To są cztery filmy, z których każdy był kręcony w innym kraju. No i nie zapominaj, że robiliśmy to wspólnie z Kasią, więc dzieliliśmy zysk.

Sporo wydałem na sprzęt, zaopatrzyłem się w nowe obiektywy i tak dalej. Kupiłem wtedy serię Voigtlanderów do bagnetu MFT, które to soczewki przez długi czas nadawały moim filmom specyficzny „look". Do dzisiaj czasem z nich korzystam, chociaż są już mocno zjechane.

Jako dzieciak każde zarobione pieniądze inwestowałem w konsole i gry. A w 2017 podobnie było ze sprzętem. „Zabawki dorosłego mężczyzny", które są jednocześnie inwestycją na przyszłość.

Ile takich inwestycji zupełnie ci się nie zwróciło?

Bardzo wiele. Ostatnie dwa lata prawie wszystko kręciłem jednym aparatem – modelem Lumix GH5. I to wcale nie jest najdroższe urządzenie, jakie trzymam w domu. Mam Sony A7S2 z zestawem obiektywów za jakieś czterdzieści tysięcy złotych i prywatnie prawie go nie używam. Jeśli już, to na potrzeby firmowe. GH5 służył mi i do prostych vlogów, i do projektów jak „Tokio 24". Ostatnio dopiero przesiadłem się na nowszego Lumixa, model S1H. I czuję, że ta inwestycja się zwróci, bo faktycznie ten sprzęt od razu zastąpił poprzedni w mojej codziennej pracy.

Zawsze miałem – i przyznaję, że wciąż mam – takie bezsensowne podejście, że nie lubię wypożyczać sprzętu filmowego. W tej branży to bardzo częsta praktyka – masz kilka dni zdjęciowych, wynajmujesz sprzęt na tych kilka dni i lecisz na „rentalu". Wiele firm produkcyjnych nie ma podstawowych urządzeń.
A ja zawsze miałem z tym problem bo miałem takie podejście, że chcę mieć sprzęt swój, chcę go mieć w rękach przez dwadzieścia godzin na dobę i chcę mieć taką absolutną płynność i intuicyjność w używaniu go. Kamera musi być przedłużeniem ręki i oczu, nie mogę czuć żadnej bariery technologicznej pomiędzy mną, a tym, co chcę nagrać.

Cyberpunk 2077.

Tak powstają najfajniejsze rzeczy. Mój obecny styl kręcenia jest na tym zasadzony. Film z wystawy „Tokio 24" powstał dzięki spontaniczności, dużo tam detali, rzeczy, które trzeba uwiecznić w pół sekundy. Mogę tak kręcić tylko wtedy, gdy mam jakiś rodzaj więzi z kamerą. Z wypożyczonym sprzętem byłoby ciężko.

Czy pieniądze cię zmieniły?

Na pewno dały mi dużo pewności siebie. Jeśli nie martwisz się o stan konta, to masz trochę większy luz w poruszaniu się przez rzeczywistość. Ja na pewno mam więcej takiej swobody.
Ale chyba nie miewam zbyt często problemów z rozrzutnością. Generalnie nie lubię wydawać pieniędzy na rzeczy inne niż inwestycje typu „sprzęt" lub „wyjazd dokądś". Zazwyczaj to nie są wakacje, tylko proces, który uwieczniam i z którego chcę coś wynieść.

A kiedy zdarza ci się być rozrzutnym?

Moja piętą achillesową są hotele. To jest jedyna rzecz luksusowa, na którą wydaję za dużo. I ostatnio staram się tego oduczyć.

Ta, jasne. Spora część tej książki powstała w jednym z droższych warszawskich hoteli.

Brałem go tylko na weekendy. Bo w Warszawie w weekendy jest taniej. Ale w zeszłym roku zdarzało mi się spędzać w hotelach po kilka tygodni. I wiem,

że to przegięcie. Wiedziałem już wtedy. Drugą połowę książki robiliśmy w wynajmowanej kawalerce w Warszawie (śmiech).
No i sporo jest w moim życiu wydatków z lenistwa lub przeoczenia. Drobnych rzeczy składających się na większe kwoty. Na przykład w Polsce zbyt rzadko jeżdżę komunikacją miejską i zamiast tego wybieram Ubera. Do tego mam taki trochę problem, że przyzwyczaiłem się do cen w jenach, więc polskie ceny są dla mnie raczej niskie. Ale ja w zasadzie dość mało zarabiam w tych jenach.

Na czym polega różnica pomiędzy traktowaniem pieniędzy w Polsce i w Japonii?

W Japonii wszystko traktuje się poważniej. Jeśli Japonia jest jednym krańcem skali, a drugim krańcem jest bazar na Bliskim Wschodzie, gdzie nie ma cen i musisz się targować, to my jesteśmy bliżej tego japońskiego porządku. Ale nie tak blisko, jak chcielibyśmy być. Tak mi się wydaje.
Mam wrażenie, że w Japonii dużo konkretniej się rozmawia o pieniądzach. Ludzie mają na przykład większą świadomość tego, ile jest wart dzień ich pracy. Inaczej się negocjuje z freelancerami w Polsce i w Japonii.

To znaczy?

W Japonii stawki są bardziej sztywne. Masz swoją cenę i w mniejszym stopniu patrzysz na to, kto cię pyta o wycenę. A w Polsce zawsze wisi w powietrzu pytanie: „no, ciekawe, ile mają hajsu". I zaczyna się szacowanie, ile by można wyciągnąć. Nie mówię, że to jest złe, to po prostu dwa odmienne modele.
Ogólnie to w Japonii jest mniej obchodzenia tematu pieniędzy. Słowa cena, budżet, zapłata mówione są tutaj bez wahania i ściszania głosu.

A jak to jest z wypłatami? Japonia jest bardziej terminowa?

Nieporównywalnie bardziej. W Japonii wszystko jest zaplanowane z góry i nie ma miejsca na przypadek, spontaniczność czy robienie rzeczy na przypale. A terminy są raczej nienaruszalne.

No dobra, to teraz poproszę rant na Polskę.

Na temat opóźnionych płatności w Polsce moglibyśmy książkę napisać.

To dawaj jakieś dwie najzabawniejsze historie.

Nie ma zabawnych. Wszystkie są wkurwiające.

Okej, to opowiedz coś takiego, co czytelnik przeczyta mrucząc pod nosem „o kurwa".

Kiedyś zdarzyło mi się że jakaś firma była mi winna pieniądze. Opóźnienie rosło, a oni tłumaczyli się tym, że przelew musi autoryzować osobiście prezes, a akurat go nie ma. A tenże prezes wrzucał co chwila na Facebooka fotki z wakacji, jak jeździ do Włoch na jakieś zloty miłośników ferrari (śmiech).

Więc ja w pewnym momencie nie wytrzymałem i zapytałem na swoim fanpage'u: „co mam robić? Czekam, aż prezes firmy autoryzuje mi przelew, ale on siedzi na zlocie posiadaczy ferrari". Oczywiście wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi i szybko dostałem pieniądze.

Robiąc takie rzeczy zawsze się staram zachować pewną dozę niedopowiedzenia, bo nie chcę nikogo zniesławić, czy coś. Zawsze zakładam, że mogę się mylić, albo że nie jest to jakaś zła wola, tylko czasem faktycznie nie da się zapłacić w terminie. Wiem na przykład, że agencje nie trzymają dużych pieniędzy na swoich kontach. Więc jak robią akcje z klientami na duże budżety, to dopóki klient im nie zapłaci, nie są w stanie wypłacić wynagrodzeń. I ja też byłem w takiej sytuacji, że klient się spóźniał, więc nie miałem jak zapłacić podwykonawcom – rozumiem związany z tym przypał.

Ale też nie lubię ściemniania typu „księgowa jest na urlopie". Księgowa to musi być najlepszy zawód w Polsce – cały rok na urlopie. Szczerze mówiąc, bardziej od jakichś takich wielkich opóźnień, irytują mnie drobniejsze, przemilczane zaniechania. Na przykład mówisz komuś: no siema, faktura jest tydzień po terminie. I ktoś ci odpisuje, że ach, w porządku, już przekazuję do księgowości. A ty sobie myślisz: „kurwa, nie, czas na to był trzydzieści dni temu. To nie jest czas, po którym orientujemy się, że trzeba zapłacić. To jest czas do tej daty".

(śmiech)

W temacie płatności w Polsce jest bardzo dużo takiej nonszalancji. Na zasadzie: „Aaa, spoko spoko, płatność niedługo wyjdzie". Krew mnie zalewa, bo przecież termin tego „niedługo" jest napisany na fakturze. Wasze „niedługo" powinno trwać czternaście dni, albo trzydzieści, albo dziewięćdziesiąt. I ani dnia więcej!

Czasem się zastanawiam, jak bardzo można byłoby zoptymalizować polskie PKB, gdyby ludzie nie spędzali tylu roboczogodzin na upominaniu się o faktury i tłumaczeniu się z opóźnień (śmiech). A wystarczyłoby mieć taką kulturę biznesową, jak w Japonii, że rzeczy są zapłacone na czas i już.

W Japonii jest taki standard, że płatność jest w ostatni dzień następnego miesiąca. To wygodne – firmy w ten dzień robią wszystkie swoje przelewy i raczej nie zdarzają się przeoczenia. A jak komuś coś umknie – co zdarzyło mi się raz – to wszyscy się kajają. Robienie przelewów według takiego jasnego cyklu jest też o tyle spoko, że nie słyszysz tekstów typu „dla klienta standardowa procedura to dziewięćdziesiąt dni". No to ja powiem, że dla mnie standardowa procedura to na przykład, kurwa, czternaście. I co z tym robimy? Ja w takich sytuacjach negocjuję. Często twardo. Młodzi przedsiębiorcy czasem nie wiedzą, że „standardowa procedura" potrafi się zmienić.

Zarabiasz pieniądze w dość nietypowy sposób. Prowadzisz też nietypowy tryb życia. Jak kiedyś reagowali na to twoi rodzice, o których mówiłeś, że są przywiązani do klasycznego modelu: matura-studia-etat?

Myślę, że mogli być rozdarci. Z jednej strony byli tak po rodzicielsku dumni, że daję sobie radę bez studiów. Z drugiej: wciąż wierzyli, że studia są najważniejsze, niezależnie od tego, czego bym nie robił z tymi grami czy z YouTube'em.

A dziś są z ciebie zadowoleni?

Moja mama zawsze się o mnie martwiła. W takim typowo matczynym stylu – że czego byś w życiu nie osiągnął, zawsze możliwy jest jakiś zły scenariusz. I tak się składa, że ten scenariusz akurat siedzi w głowie twojej mamy. Więc słyszysz klasyczne: „uważaj na siebie, synku".

Ja się z tymi jej niepokojami szczególnie często mierzyłem, bo, nawet jak mi dobrze szło, moja kariera była momentami trochę niezrozumiała dla moich rodziców. Jak wyrzucono mnie z GRY-OnLine, to rodzice byli pełni obaw o moją przyszłość – chociaż sam wiedziałem, że i książki przynoszą mi spore pieniądze, i ten mój YouTube zaczyna na siebie zarabiać. Ja już czułem, że będzie okej, ale oni nie mieli podstaw, żeby w równym stopniu w to wierzyć.

Ukończyłem andragogikę, kierunek zajmujący się kształceniem dorosłych, w tym także doradztwem zawodowym. Tam dowiedziałem się, że wizja kariery, którą wtłaczali mi moi rodzice – że najlepiej jest siedzieć całe życie na jednej, stałej posadce – w XXI wieku może już być mrzonką. Że dzisiaj liczy się raczej elastyczność i umiejętność dostosowania się do ciągle zmieniających się warunków na rynku pracy. A nie jak w PRL-u – że idziesz do jakiegoś zakładu w wieku dwudziestu pięciu lat i siedzisz tam do emerytury.

To klasyczny japoński model wierności korporacji. Współcześnie to się trochę zmienia, ale tradycyjnie w Japonii uczelnie wypluwają studentów prosto do firm. Te najbardziej prestiżowe korporacje – Mitsubishi czy Toyota – biorą sobie absolwentów z najlepszą średnią z takim założeniem, że posadzą ich u siebie na resztę ich życia. A pensja uzależniona jest nie od umiejętności, a od stażu pracy. Nawet, jeśli jesteś naprawdę zajebisty, to masz niewielkie szanse na szybki awans, bo przed tobą w kolejce zawsze będzie ktoś, kto przepracował piętnaście lat więcej.

To chyba nie najlepszy system.

Oj tak. Zdecydowanie nie najlepszy (śmiech).

Miewałeś w swojej youtuberskiej karierze kiedykolwiek momenty, w których łapałeś się na tym, że „kurde, prawie nic nie zrobiłem i dostałem pięć tysięcy"?

No jasne. I nawet dużo więcej niż pięć tysięcy (śmiech). Ale to, co sprzedajesz, będąc influencerem, to twoja marka, którą budowałeś strasznie długo. Ile pracy kosztuje Roberta Lewandowskiego bycie na billboardach jakiejś firmy?

Prawie nic. Musi podpisać umowę i przyjechać na plan zdjęciowy.

No właśnie. Fizycznie się nie napracował. Jednak nie pojawiłby się na tych billboardach, gdyby wcześniej nie spędził tysięcy godzin na treningach, nie zagrał świetnych meczów i nie wyrobił sobie marki jednego z najlepszych napastników na świecie.

Analogicznie działa to u mnie: jeśli ktoś płaci za to, żebym zrobił film, który coś promuje, to chodzi o to, żeby to właśnie Gonciarz go zrobił. I nie w tym rzecz, że ten film mi ładnie wyjdzie, bo lepszych ode mnie filmowców jest wielu. Ale za mną idzie jakaś publiczność, mająca do mnie zaufanie.

A w takich sytuacjach nie jest ci trochę głupio?

Nie do końca. Bo kroki, które podjąłem, były okupione jakimś tam ryzykiem, wymagały zdrowego rozsądku, wyczucia, konsekwencji, odwagi, tych wszystkich rzeczy. To nie jest tak, że to spadło mi z nieba z dnia na dzień. To było coś, na co naprawdę bardzo długo pracowałem.

Naprawdę, nie miałem takiego momentu, że z dnia na dzień się obudziłem i pomyślałem: „och, kurczę, cóż za niesamowity sukces osiągnąłem". Swoje życie przez wiele lat pchałem bardzo powoli i stabilnie do przodu. Więc nie, nie mam takich wyrzutów.

Kiedyś sobie zrobiłem taki eksperyment myślowy: jak szybko można by zniszczyć wszystko, co mam, przez zwykłe nieumiejętne podejmowanie decyzji biznesowych. I myślę, że dość szybko. Często dostaję na przykład propozycje typu „mamy kryptowalutę, namów swoich widzów, żeby w nią zainwestować, a dużo na tym zarobisz". Jeden taki fałszywy krok i leżysz. I myślę sobie wtedy – spoko, to jest branża wysokiego ryzyka i taka działalność przez tak długi czas wymaga umiejętności sterowania tym statkiem. Nie można dać sobie wmówić poczucia, że pieniądze spadają ci z nieba. Syndrom podrabiańca należy w sobie gasić.

A było coś, co osiągnąłeś przypadkiem? Zupełnie bez starań. Na takiej zasadzie, że znalazłeś się w dobrym miejscu we właściwym czasie.

Zależy, jak definiować przypadek. Bo można by powiedzieć, że przypadkiem z Kasią na siebie trafiliśmy i postanowiliśmy założyć naszą firmę. Ale mam lepszy przykład.

Kiedy zakładaliśmy w Japonii Tofu Media, to któregoś dnia wychodziliśmy z Kasią biegać. Tylko ona strasznie się grzebała, siedziała przy kompie. Popędzam ją, a ona mówi: „Poczekaj, muszę napisać pilnego maila". Odpowiadam: „Chodź, napiszesz później". Ale się uparła. Wysłała, poszliśmy biegać.

To był mail do prezesa dużej japońskiej firmy internetowej. Trochę tak, jakbyś pewnego popołudnia postanowił napisać do prezesa Twittera. I ten koleś przeczytał maila Kasi i jej odpisał, że nasza firma fajnie wygląda i że zaprasza na spotkanie. I to było moje pierwsze spotkanie biznesowe w Japonii, od razu z jednym z najważniejszych ludzi w biznesowej części tamtejszego internetu. Pojechaliśmy od razu na najwyższe piętro wieżowca i niewiele później podpisaliśmy kontrakt.

Ot, intuicja Kasi i od razu strzał w dziesiątkę, bo okazało się, że potem pracowaliśmy z nimi dość długo. Nie było tak, że nagle dostaliśmy od nich miliony dolarów. Pracowaliśmy z nimi za normalne, japońskie, uczciwe stawki, ale mieliśmy bardzo dobrego klienta na start. I dużą stabilność naszej japońskiej firmy. Gigantyczny fuks, ale zarazem raczej realistyczny. Poza tym „fuks" w tej historii jest raczej tylko taki, że ten gość dał nam szansę. Później to była już kwestia naszych umiejętności.

Ile najwięcej zarobiłeś za jeden dzień swojej pracy?

Hm, czasem ciężko zmierzyć, gdzie projekt się kończy i gdzie zaczyna, bo one nigdy nie trwają jeden dzień. Ale zdarzyło nam się chyba kiedyś połączyć we vlogu kilka zleceń, które zagrały jako całość, i wzięliśmy za to łącznie ponad sto tysięcy. Niby kasa za jeden dzień pracy, a potem firma z tego żyje przez parę dobrych miesięcy.

CICHY NA IMPREZACH

W jednym z filmów powiedziałeś, że męczą cię sytuacje społeczne. Jesteśmy właśnie w trakcie trzydziestej godziny wywiadu. Męczy cię to? Lubisz grzebać w swojej przeszłości?

Lubię. I lubię, jak rozmówca jest zainteresowany. A ty albo jesteś, albo dobrze udajesz. Lubię rozmawiać jeden na jednego.

A jednak przyznasz, że nasze pierwsze spotkania były momentami niezręczne.

Myślę że to trzeba tu otwarcie napisać, że nasza wspólna praca nad tą książką weszła na wysoki bieg dopiero, jak zaczęliśmy gadać przez Skype'a (śmiech). Jestem takim piwniczakiem, że nawet książkę mi się wygodniej opracowuje przez internet.

W sytuacjach społecznych zachowujesz się inaczej niż na vlogach?

Jasne. Na przykład nie lubię siedzieć przy stole w większej grupie. Czasem się zapominam i, szukając odosobnienia, zajmuję się telefonem. Albo wychodzę do toalety po prostu pobyć sam ze sobą przez trzydzieści sekund. Ludzie czasem to odbierają jako brak kultury bądź zainteresowania z mojej strony, więc staram się z tym walczyć. Ale sytuacje społeczne bywają dla mnie naprawdę bardzo męczące.

W sumie nie wiem, czemu ludzi tak dziwi fakt, że na żywo jestem inny niż na filmach.

Bo nie jesteś aktorem. Jeśli Fronczewski mówi, że jest inną postacią w życiu i inną na scenie, to wiadomo, że tak jest. A ty nie jesteś aktorem – ty sprzedajesz swoją codzienność jako Krzysztof Gonciarz.

Tak, ale praca z kamerą wymaga pewnego warsztatu, jeśli chodzi o głos, mimikę, sposób mówienia. Generalnie podczas nagrywania trzeba się trochę obudzić i mieć więcej entuzjazmu, żeby skupić na sobie uwagę widza. Włączenie nagrywania w kamerze aktywuje u mnie zestaw umiejętności, które nabyłem gdzieś po drodze. Ale to, że je nabyłem, nie oznacza, że mam je dwadzieścia cztery godziny na dobę. A to, co pokazuję, to umedialniona wariacja na temat mojego życia. Myślę, że wszyscy youtuberzy tak robią. Każdy zmienia ton, gdy zaczyna mówić do kamery.

Mietczyński mówi tak samo poza kamerą i do kamery.

No tak, są i tacy. Dem też jest zaskakująco podobny do swoich youtube'owych wcieleń. Ale raczej wyjątki. Obaj są bardzo autentycznymi twórcami. Trudno jest podważyć ich szczerość. Są znani z bezkompromisowości i pewnego rodzaju wyjebki.

Zazdrościsz im tego, że tak mogą? Że mogą nagrywać na wyjebce, a ty jednak musisz włożyć w swoje rzeczy wysiłek?

Nie. To po prostu inny rodzaj twórczości. Zresztą moje vlogowe wcielenie to i tak nic w stosunku do persony z kanału „Zapytaj Beczkę". Przez pierwszych kilka lat, jeszcze przed eksplozją popularności moich vlogów, byłem znany głównie jako Beczka. I ludzie byli bardzo zdziwieni, gdy spotykali mnie na żywo. Teraz mówią: „O, Gonciarz zachowuje się na żywo troszkę inaczej niż na swoim kanale". Gdy mówię do kamery, to podkręcam się o 20–30%. A różnica między zwyczajnym mną sprzed pięciu lat a Beczką była diametralna. To był inny człowiek.

Niedawno usłyszałem od jednej dziewczyny, że po poznaniu mnie na żywo już nie jest w stanie oglądać mnie na ekranie. Ten dysonans nie daje jej spokoju, musi się zdecydować na jedną wersję mnie. Trochę to rozumiem. Zresztą nie ona jednak tak ma. Zdarzało mi się słyszeć, że ludzie spodziewali się po mnie czegoś innego. I w negatywnym, i w pozytywnym sensie.

Myślę, że gdyby ludzie bardziej zwracali na to uwagę, to zauważyliby tę moją pewną aspołeczność także na YouTube. Przecież bardzo rzadko dobrze się bawię z kimś przed kamerą, prawda? Jak prowadzę rozmowy, to widać, że zmieniam się dla rozmówcy, aktywuję warsztat dziennikarski i poświęcam swoją naturalność. Nie jestem dobry we wchodzeniu w spontaniczne interakcje przed kamerą i często przy znajomych wstydzę się nagrywać, bo nie chcę, by pomyśleli że rzeczywistość uwieczniana na nagraniu jest ważniejsza, niż ta, w której się z nimi spotykam.

Oglądając wasze filmy o Igrzyskach Olimpijskich, można było odnieść wrażenie, że dobrze weszliście z Kasią w ten świat sportowców. Ludzie byli przy was raczej wyluzowani.

Tak, ale tutaj są dwa czynniki. Po pierwsze, Kasia bardzo dobrze rozładowuje takie sytuacje. Po drugie, mieliśmy tam jednak jasno zdefiniowane cele: spotykaliśmy się, by nagrać coś fajnego. To dla mnie inna sytuacja niż zagadanie do kogoś na ulicy.

Robienie jakichś „wkręt" to chyba mój najgorszy koszmar. Kiedyś razem z Demem zrobiliśmy taki dziwny film, „prank", w ramach którego próbowaliśmy w realu zachowywać się tak, jak ludzie komentujący rzeczy w internecie. Na wszystko narzekaliśmy, podchodziliśmy pod sklepy i mówiliśmy, że nam się nie podobają. Krzyczeliśmy teksty typu: „Polacy, przejmujemy ten Kraków", stojąc na rynku w Krakowie. W scenariuszu mieliśmy scenkę, w której podchodzę do kebaba i mówię: „Wymyślilibyście coś swojego, a nie wszystko zerżnięte z innych kebabów". Do dziś pamiętam skrzywdzone spojrzenie pracownika kebaba, któremu powiedziałem to w twarz z udawanym gniewem. Nie nadaję się do takich rzeczy.

Zawsze byłeś nieśmiały?

Tak, ale nie zawsze to tak wyraźnie widziałem. Staram się być zawsze opanowany i nie lubię tracić kontroli. Często nie umiem wyłączyć myślenia i wejść w coś na całego, zacząć się po prostu wygłupiać bez rozważania wszystkich za i przeciw. Na przykład na karaoke cały czas jestem samoświadomy. Co jest o tyle dziwne, że przecież prowadzę „Zapytaj Beczkę".

A jak trafiasz pomiędzy ludzi, którzy są przebojowi, naturalnie ekstrawertyczni – youtuberów, coachów, influencerów? Jak czujesz się wśród nich?

Przy takich osobach czuję się jak ślimak, którego ktoś dotknął palcem. Kulę się i chowam do skorupki. Ale już się oswoiłem z myślą, że taki jestem i że to się nie zmieni.

Co więcej: mnie samego bawi moje zachowanie. Śmieszy mnie to, że bywam aż taką ofiarą. Moi znajomi z branży trochę to już wiedzą i są przyzwyczajeni, że „oho, Gonciarz znowu robi Gonciarza i stoi w kącie". Na pewno wzmocnił to mój pobyt w Japonii. Może nie powiem, że zachowuję się po japońsku, ale w ostatnich latach sporo przejąłem z mowy ciała Japończyków.
Część ludzi interpretuje to tak, że jestem jakimś bucem. Że skoro mało się odzywam, to jest to znak, że nie mam ochoty z nimi rozmawiać. Że jestem zarozumiały, albo coś. Albo, że zbyt duży sukces osiągnąłem, żeby się zniżać do poziomu rozmowy z kimś, kto osiągnął mniejszy. A ja zawsze taki byłem. Zanim stałem się rozpoznawalny, to było spoko – wszyscy przyjmowali, że ten Krzysiek po prostu tak ma. A jak stałem się znany, to ludzie próbują to powiązać z moją popularnością. Śmieszne, co? To samo zachowanie może być uznawane raz za oznakę braku pewności siebie, a innym razem za zbyt duże mniemanie o sobie.
Tego lata poznałem dziewczynę, z którą niedługo później byliśmy na tym samym festiwalu muzycznym. Parę razy bezskutecznie próbowaliśmy się złapać, pisząc do siebie na Instagramie. I finalnie ona wróciła stamtąd obrażona i przekonana, że jestem zarozumiały. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Okazało się, że wielokrotnie ją mijałem i ona patrzyła mi prosto w oczy, a ja odwracałem wzrok. A ja po prostu jej nie poznałem, bo mam słabą pamięć do twarzy. Co jest fatalną cechą w przypadku osoby, z którą wielu ludzi chce się witać.

Miewasz sytuacje, w których ktoś cię rozpoznaje, a ty nie wiesz, czy tego kogoś znasz, czy nie?

Tak, natychmiast myślę wtedy: „to fan czy znajomy?". W miejscach publicznych unikam łapania kontaktu wzrokowego. To metoda pokazania zamknięcia przez mowę ciała – jeśli nie jesteś zapraszający, to mniej osób będzie do ciebie podchodziło. Czasem ktoś znajomy od tego odbije i się na mnie obraża. Zdarzają mi się też sytuacje absurdalne interpersonalnie. Na przykład podchodzi dziewczyna „z parasolką", zapraszając mnie do strip clubu, a ja odruchowo ubieram uśmiech przeznaczony dla widza. I szczerzę się do niej. Innym razem zaczepił mnie koleś, co do którego byłem pewien, że chce sobie zrobić ze mną zdjęcie. A on chciał porozmawiać o Bogu i dać mi Biblię. Nie miał pojęcia, kim jestem.
Więc właśnie: słaba pamięć do twarzy, nieśmiałość w sytuacjach społecznych i unikanie kontaktu wzrokowego dają mieszankę wybuchową, przez którą ta koleżanka się na mnie obraziła. A ja nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ją tam widziałem. Musiałem wykształcić w sobie też taki mechanizm, że nie odwracam się, kiedy ktoś mnie woła.

Jak to?

Bardzo często zdarza mi się, że idę ulicą i ktoś dziesięć metrów dalej nie jest pewny, czy to ja, więc krzyczy moje imię, sprawdzając, czy się odwrócę. Wytrenowałem się, by nie reagować w takich sytuacjach.

Ale dlaczego?

Jeśli ktoś podejdzie, stanie przede mną i powie mi „cześć", to przecież nie będę udawał, że takiej osoby nie widzę. Jednak takie wołanie na ulicy wydaje mi się niezbyt uprzejme. A to też sytuacja, w której ktoś znajomy mógłby poczuć się zignorowany. Widzisz, to wszystko nie jest łatwe, jeśli chcesz mieć względny spokój.
Kiedyś przechodziłem przez jezdnię w Poznaniu, a tu nagle radiowóz puścił na mnie koguta. Aż cały podskoczyłem, serce miałem w gardle, odwróciłem się i widzę, że policjanci do mnie machają, krzycząc: „Kiedy Zapytaj Beczkę?!".

(śmiech) To bardziej stresujące czy sympatyczne?

Why not both? I sympatyczne, i stresujące. A w następną historię możesz nie uwierzyć. Rok temu byłem na festiwalu Unsound w Krakowie, na imprezie w hotelu Forum. I ktoś mnie zaczepił, mówiąc: „Krzysiu, mój ziomek ma twoje zdjęcie na sutku.

Że co?

Też zgłupiałem. Odnalazłem typa. Miał kolczyk na sutku, na którym zawieszone było moje japońskie zdjęcie dowodowe.

Dlaczego?

Dla jaj. Błogosławię ten humor jako beczkowy.

A skąd miał to zdjęcie?

Żeby to w pełni wyjaśnić, musimy cofnąć się o 2 lata. Po wyrobieniu japoń-

skiej wizy zostało mi kilka zdjęć dowodowych. Dałem je Kasi, a ona lubiła je dla żartu rozdawać losowym osobom. Kiedyś zapłaciła jednym w szatni, mówiąc: „Nie mam złotówki, chcesz zdjęcie Gonciarza?". I to zdjęcie przeszło parę razy z rąk do rąk w środowisku znajomych tej osoby w Krakowie. Aż w końcu zawisło na sutku tego kolesia na Unsoundzie, kilka lat później.

(podnosi brew)

Ale najzabawniejsze jest to, że koleś nie wiedział, że ja tam będę. Wyobraź sobie tę sytuację z jego perspektywy.

Jesteś awkwardny?

Jezu, na maksa. To są takie drobne rzeczy typu: wszyscy robią sobie grupowe zdjęcie i się przytulają. A ja w takich sytuacjach zawsze stoję z boku. Na tych zdjęciach wyglądam jak straszna pała, dwadzieścia centymetrów od reszty i jeszcze udaję, że się uśmiecham. Kompletnie nie umiem być naturalny w takich momentach.

Ja nawet do końca nie wiem, na czym ten mój problem polega. Nie umiem pójść z falą, przestać myśleć i analizować. To jest tak, jakbym nie miał części oprogramowania. Albo wręcz przeciwnie: jakbym cały czas był za bardzo samoświadomy. Na przykład jak jesteś zjarany, to czasem zawieszasz swoje myśli na tym, że dziwnie się zachowujesz.

Albo jak wracasz do domu pijany i próbujesz przed rodzicami udawać, że wcale nie jesteś pijany, to dokładnie myślisz o każdym ruchu. Idziesz do łazienki, zaczynasz myć zęby i myślisz: „Oho, teraz myję zęby".

Tak. To ja mam chyba tak cały czas (śmiech). Jak ktoś mi chce przybić piątkę, to ja zastanawiam się, jak tu przybić tę piątkę. I wychodzi dziwnie. Nie wiem, czy ktoś, kto tak nie ma, zrozumie, o czym mówię. Ale jestem pewien, że każdy, kto choć raz tak miał, doskonale zrozumie. Ja chyba po prostu nie jestem osobą, której pisane jest bycie przebojowym człowiekiem.

Ale sam wytworzyłeś takie oczekiwania tą całą popularnością.

To prawda. Bo przez lata grałem w taką online'ową gierkę, która polegała na tym, że postujesz rzeczy w internecie. Tak, jakbyś grał w „World of Warcraft" przez pięć lat, a potem nagle obudził się w świecie, w którym jesteś rozpoznawalny na ulicy. Ja przecież przez ileś lat jedynie puszczałem rzeczy do komputera. A to, co dostałem w zamian, to są ludzie krzyczący za mną na ulicy.

Maciek Dąbrowski jest kompletnym zaprzeczeniem mnie, jego chyba nie da się speszyć. Nigdy nie wyłącza tego wyluzowanego siebie, który zaraz powie coś śmiesznego. On czuje się komfortowo w każdej sytuacji, ja rzadko. Byłem w tym roku na jego urodzinach. W ramach życzeń powiedziałem mu, że to jest zabawne, że jak się z nim stykam, to on ze mnie robi mnie samego do kwadratu. To strasznie komicznie wygląda, jak jesteśmy obok siebie. On mnie tłamsi w taki zabawny sposób, że jestem jak bohater Michaela Cery w „Arrested Development". I sam mi przyznał, że lubi to ze mnie to wyciągać. Lubi mnie prowokować dla zabawy. Kiedyś stałem z Maćkiem pod klubem w Warszawie. Podeszła do nas jakaś dziewczyna i zapytała, czy idziemy do środka. A on jej na to ze śmiertelną powagą: „Nie wpuścili nas, mamy za wielkie kutasy". Ja cały czerwony, myślę sobie: „Boże, przestań". Dziewczyna odwraca się do mnie i mówi: „Masz ognia, Prometeuszu?". Serio tak powiedziała. A Dąbrowski pół sekundy później: „On to bardziej Uranus!". Nie nadążam za nim.

Dobrze ci z tym wszystkim?

Nauczyłem się to w sobie akceptować. Cieszy mnie to, że udało mi się zbudować sobie taką pozycję, w której mogę być sobą. Zdaję sobie sprawę z tego, że gdybym miał etat w jakiejś agencji kreatywnej, to musiałbym po prostu nauczyć się innych zachowań. Musiałbym udawać kogoś innego.

Niektórym pomaga w tym alkohol. Ale ty jesteś teraz abstynentem

Czasem sobie myślę, że picie alkoholu ułatwiłoby mi sytuacje, w których chciałbym lub powinienem ponetworkować, wyrobić sobie jakieś znajomości. Bo na trzeźwo zbyt niezręcznie się czuję. Jak uprawiam small talk, to w głowie dudni mi głos grzmiący, że ta rozmowa się nie klei.

No i przez to sam zacząłem unikać tego typu sytuacji. W wydaniu tokijskim to jest aż absurdalne. Moja przyjaciółka, Paulina, mocno działa w japońskim show-biznesie i często mnie zaprasza na eventy typu: zamknięta impreza, na której są Skrillex i czterdziestu jego znajomych. Mogę sobie iść na takie coś i popatrzeć na świat bajecznie bogatych celebrytów. Zazwyczaj nie chcę, mimo że czuję, że powinienem zagryźć zęby, poznawać ludzi, wykonać tę

pracę. Podejść do tego zadaniowo: jak mnie to nie bawi, to chociaż dam sobie szansę na poznanie kogoś fajnego. A nuż coś się z tego urodzi. Ale... nie mogę. Za dużo mnie to kosztuje. A jak już tam idę, to za każdym razem żałuję, bo mam wrażenie, że robię z siebie idiotę. Że wyglądam na buca, który tylko siedzi na telefonie i z nikim nie rozmawia.
W ogóle najgorsze, co mogę sobie wyobrazić, to jest impreza typu: alkohol i koks. Ta taka rozrywka bogatych ludzi: najebać się alkoholem i stale zbijać to koksem, by móc pić dalej. To jest dla mnie kompletne przeciwieństwo dobrej zabawy.

A czy w polskim środowisku influencerskim dostrzegasz problem z alkoholem?

Niektórzy przesadzają, inni nie. I nie tylko z alkoholem. W pewnym momencie imprezy wszyscy są skasowani, ale tak jest chyba w każdej branży. Jak robiłem w gamingu, to było tak samo. Dziennikarze gamingowi na imprezie o pierwszej w nocy są bardzo niewyjściowi.
Znam trochę historii youtube'owych, w których występuje alkohol i ćpanie, ale nie powiedziałbym że to jest jakiś wielki problem środowiskowy. To jest chyba kwestia ludzi, którzy mocniej lub słabiej chcą skorzystać ze swojej pozycji. Krąży na przykład po branży taka legenda, że paru influencerów nad ranem zamówiło prostytutki z serwisu Roxa. A potem grali z nimi w Rock Banda. Ale nie wiem, czy to prawda.

Urocze!

I takie niewinne, nie? Chcę wierzyć, że to prawda. Melanże branży youtube'owej to chyba ciekawy temat, chociaż nie uczestniczę w nich zbyt często. Również z tego powodu, że mieszkam daleko. Poza tym... hm... powiedzmy, że nie jestem pierwszą osobą, którą się zaprasza, gdy ktoś organizuje imprezę. „Będzie melanż, zaprośmy Gonciarza" – powiedział nikt nigdy w tej branży. Więc czasem miewam wrażenie, że psuję imprezy samą swoją obecnością. Że jestem jak taka czarna dziura. Tak spięty, że inni czują dyskomfort. Ludzie chyba czasem wolą, żeby mnie nie było.

A jak jest impreza, to masz w głowie taką myśl, że „o kurwa, nie znowu"?

Nie, zawsze sobie myślę, że może tym razem będzie inaczej. Może tym razem

wyjdę z tej swojej skorupy i będę się zachowywał jak normalny człowiek. Może to dziś jest ten dzień, że będę się fajnie bawił.

I to się czasem zdarza?

Lubię imprezy techno, bo tam panuje taka specyficzna kultura międzyludzka. Nikt nie zwraca uwagi na osoby, które stoją sobie z boku i po prostu sobie coś same rozkminiają, bo to normalny sposób zabawy. „Cisi na imprezach" – zrobiłem ostatnio taki skecz w „Zapytaj Beczkę". Na techno jest dużo takich ludzi.

Jak te Twoje cechy przekładają się na romantyczne relacje?

Na szczęście nijak – gdy rozmawiam z kimś sam na sam, to się mocno otwieram. Zresztą, sam to pewnie zauważyłeś. W grupie jestem przygaszony, nie lubię skupiać na sobie uwagi i czegoś opowiadać. Natomiast bardzo lubię spotkania jeden na jeden. Przez parę lat paliłem papierosy, na fajce potrafiłem złapać kontakt z każdym. Całe szczęście rzuciłem palenie, bo to była pułapka. Te papierosy były mi potrzebne jako pretekst. Ale rzuciłem i dziś potrafię być naturalny w cztery oczy i bez fajek.

Pamiętasz jakieś sytuacje, w których ktoś próbował cię dominować, wykorzystując fakt, że jesteś wycofany?

To, co mówisz, pasuje mi do każdego pijanego kolesia, który mnie zaczepia na imprezie. „A ty co tak cichutko siedzisz? A co ty taki smutny jesteś? Chodź się bawić". To jest najgorsze.

Do mnie podchodzą na weselach i pytają: „co, nie umiesz się dobrze bawić? Co tak podpierasz ściany?".

Na imprezie lubię robić dwie rzeczy: rozmawiać z kimś w cztery oczy oraz stać i kminić. To są moje dwa tryby imprezowe. Nic innego nie lubię i nie robię. Więc jak jestem na imprezie w klubie, gdzie jest jakaś fajna muzyka, to lubię sobie stać, słuchać, trochę się pogibię. Nie jestem królem parkietu. A wielu ludzi próbuje mi to na siłę ulepszać swoimi metodami, których nie cierpię.
Nie znoszę też spotkań, które polegają na tym, że siadamy dużą grupą przy stole i tak siedzimy kilka godzin. Wolę mieć więcej swobody – czasem móc

się schować, czasem pochodzić po lokalu. Często mi się włącza taki „łazik" na imprezach. Krążę, zagajam znajomych, a w każdej chwili mogę odbić od towarzystwa i posłuchać sobie muzyki. Wtedy bawię się dobrze.

Tylko wiesz, samotne stanie w miejscu na imprezie można odczytać jako komunikat: „halooo, chodźcie, zaczepcie mnie!". Takie wyzwanie.

No niestety. To jest trochę tak, że jak mam chwilkę spokoju dla siebie, to część ludzi stwierdza, że teraz ewidentnie się nudzę i oto nastała szansa, żeby zagadać. Pytanie: jak stać w miejscu i zarazem komunikować ludziom, żeby mnie zostawili?

Możesz udawać, że gadasz przez komórkę. Trzymać ją przy uchu. Wtedy nikt nie podejdzie.

(śmiech) Mam takie sytuacje, w których staram się udawać, że jestem czymś strasznie zajęty, że coś ważnego robię na telefonie. Na ostatniej edycji Audioriver siadłem sobie z telefonem. Chciałem sobie po prostu posiedzieć. I po chwili podchodzi jakiś obcy typ i mówi najgorszą możliwą rzecz: „nie chcę z tobą zdjęcia! Nie chcę cię namawiać, żebyś pił ze mną wódkę! Chcę sobie tylko pogadać z ciekawym człowiekiem". Pomyślałem: stary, ja sobie z tobą zrobię to zdjęcie, tylko idź sobie (śmiech).

Jakby ktoś miał sobie wyrobić o tobie zdanie wyłącznie na podstawie tej rozmowy, to by pomyślał, że masz jakieś koszmarne życie – ciągle się od ciebie czegoś oczekuje, a ty tego nie spełniasz.

Tak, życie w ciągłej świadomości, że zawodzisz wszystkich dookoła. Że cały czas mówisz komuś „nie" i cały czas nie jesteś tym, kogo ludzie oczekują. To jest moje życie w przestrzeni fizycznej. W przestrzeni online'owej tańczę dla tłumu, nawet na rękach. Czy ten rozdział robi ze mnie strasznego człowieka?

Nie tak bardzo, jak następny.

O nie.

KRZYSZTOF GONCIARZ TO STRASZNY CZŁOWIEK

Porozmawiałem sobie trochę z twoimi znajomymi. Podpytałem ich o twoje wady.

I co, mam się z nich teraz tłumaczyć?

Dokładnie tak.

No dobra, spróbujmy.

Pierwsza osoba napisała mi tak: „Na pewno ma taki problem, że unika konfrontacji, więc jak czasem nie ma ochoty odpowiedzieć na jakieś pytanie, to się po prostu długo nie odzywa. A potem na przykład nagle wysyła link do czegoś śmiesznego. I bywa, że robi to w przypadku dość ważnych kwestii, więc czasami bardzo trudno się z nim na coś umówić".

To prawda, robię tak.

Zauważyłem.

Odkładam sobie sprawy wymagające przemyślenia na później, a potem zapominam się do nich odnieść. A jak się „zawiesi" okno rozmowy z kimś, gdy pada ważne pytanie, a później chce się tej osobie coś wysłać, to wychodzi arogancko.

Najchętniej po prostu rzadziej otwierałbym komunikatory, albo robił to tylko w kontrolowanych warunkach, gdy mam odpowiedni mindset, by odpi-

sywać. Nikt się nie obraża, że nie odpowiesz na śmieszny filmik, a nie jesteś w stanie podjąć jakiejś istotnej decyzji po zerknięciu na telefon w biegu. Czasem więc lepiej rzadziej sprawdzać telefon.
Co jakiś czas robię sobie w głowie takie postanowienie, że będę natychmiast odpisywać na wszystkie pytania. Udaje mi się raz, drugi, dziesiąty i dwudziesty. Ale w końcu przychodzi coś, na co nie znam odpowiedzi, odkładam ją na później, zapominam. I całe to domino się sypie. Sam zresztą o tym wiesz. Proces pracy ze mną nad książką na pewno nie był usłany różami.

Ktoś inny zwrócił uwagę na to, że bywasz pamiętliwy.

Oj tak, i to patologicznie. Podam ci dość ekstremalny przykład, który spowodował, że sam się siebie wystraszyłem. Przy okazji publikacji pierwszego filmu na GRY-OnLine, gdzie pokazałem się przed kamerą – gameplaya z „Guitar Hero III", komentarz na mój temat napisał Krooger, dość znany dziennikarz gamingowy: „Jak tu odchodzić od stereotypu nerda, jak się takie chłopaki pchają przed kamerę". Nie sądzę, że stały za tym jakieś złe intencje, ale zabolało mnie to wówczas. To był pierwszy film, a ja byłem przewrażliwiony.
Screena tego komentarza pokazałem Kroogerowi jakieś 10 lat później, jak akurat chwalił jakąś moją nową produkcję. Nie ze złośliwości, ale z takiej potrzeby rozliczenia przeszłości.

Zemsta najlepiej smakuje na zimno.

Przechowuję w głowie sporo takich sytuacji, w których ktoś znajomy – bliższy lub dalszy – wbija mi jakąś szpilę. Do dziś pamiętam konkretnie rzeczy, które polscy youtuberzy pisali na temat Naeby. Pamiętam pewien niefortunny wywiad Dakanna na temat polskiej branży youtube'owej, gdzie dość kategorycznie spisał wielu twórców – w tym i mnie – na straty. Po jakichś czterech latach wyciągnąłem cytaty z niego w „Beczce". Sam główny zainteresowany skomentował to krótko: „nigdy więcej wywiadów po pijaku" (śmiech).
Nie robię tego specjalnie, po prostu tak mam. Nie myślę o tych „teczkach" zbyt często, ale łatwo jest się u mnie spalić jakimś jednym, niefortunnym komentarzem. Na szczęście wydaje mi się, że podobnie pamiętliwy jestem w kwestiach pozytywnych. Jakieś niewymuszone akty serdeczności i wsparcia, pomoc. O nich również pamiętam latami.

W takim razie nie powiem ci, kto jest autorem kolejnej opinii, żebyś tego mu nie wypomniał za dziesięć lat. A brzmi ona tak: „Czasem w pracy robi jakąś głupią rzecz, a potem nie jest jej w stanie wytłumaczyć".

Zgadza się. Podejmuję intuicyjne decyzje, a , spytany o ich powody, nie jestem w stanie się wytłumaczyć. Czasem sam siebie nie rozumiem. Często rodzi to problemy w mojej zawodowej komunikacji z Kasią.
Ale często okazuje, że miałem rację, bo moja intuicja bazowała na jakichś podświadomie zauważonych przesłankach. Albo że coś przemyślałem, ale już nie pamiętam toku rozumowania. Dlaczego nie odpisałem na tego maila? Nie wiem, może uznałem, że nie warto? Zauważyłem w nim coś podejrzanego? A może po prostu odłożyłem to na później?
Czasem dziwnie się zachowuję w rozmowach z ludźmi. Nie znoszę, kiedy ktoś mnie naprowadza, żebym powiedział to, czego ta osoba oczekuje. „W tej Japonii to chyba jest «przysłówek», co?". I za ten przysłówek podstaw cokolwiek: fajnie, ciężko, pochmurno, źle, dobrze. Gdy słyszę tak postawione pytanie, z automatu zaprzeczam. To wygląda, jakbym chciał się droczyć. Często nie mogę się powstrzymać, żeby nie powiedzieć czegoś odwrotnego, niż rozmówca oczekuje. Nie lubię przez to chodzić na spotkania z klientami, bo boję się, że z tej przekory pierdolnę coś głupiego. I to na etapie, jak już wszyscy sobie przytakną i osiągnięty zostanie kompromis.

Coś, czego twoi widzowie o tobie nie wiedzą: podobno krzyczysz na ludzi.

Zdarza mi się zirytować. I nie jestem z tego dumny. W sensie: raczej nie wpadam w taki totalny szał, ale zdarza mi się przekraczać granice profesjonalizmu.

Przepraszasz później?

Tak. Nie twierdzę, że przeprosiłem we wszystkich przypadkach, bo pewnie nie zawsze, ale staram się.

Ktoś inny zwrócił uwagę, że masz problemy z relacjami.

To znaczy?

Ponoć relacje, które budujesz z ludźmi, są płytkie, chociaż sam starasz się im nadać pozory głębi.

Bywa, że pozwalam zbliżać się do siebie różnym osobom, ale tylko na swoich warunkach. Muszę zachować strefę komfortu – tak, żeby w razie czego móc ewakuować się na bezpieczną pozycję.

Czyli nawet wobec bliskich jesteś control freakiem.

W pewnym stopniu. A z ludźmi tak się nie da, bo oni wyczuwają ściemę i dystans. Często najpierw otwieram się, bo czuję taką potrzebę, zapraszam ludzi do swojego życia. A kiedy ktoś czuje, że może to odwzajemnić, to nie pozwalam mu, wycofuję się. To taki trochę konsumpcyjny styl relacji wynikający z tego, że wciąż wydaje mi się, że jestem w centrum zainteresowania. Moja działalność youtube'owa podbija mi egocentryzm i narcyzm. A to przenosi się na relacje z ludźmi.

Ignorujesz problemy swoich znajomych?

Często zdarza mi się, że celowo ignoruję coś, co wymagałoby zagłębienia się w czyjeś życie. Takiego rzeczywistego zbliżenia. Myślę, że to może być dla niektórych pułapka, jeśli – brzydko mówiąc – w porę mnie nie rozpracują i zbyt zaangażują się w relację ze mną, w oparciu o trochę fikcyjne poczucie bliskości.

Brzmi chłodno. No dobra, to mam tu jeszcze zapisane: „koszmarnie tańczy".

O rany, to prawda! Parkiet to mój koszmar. A kiedyś nawet lubiłem tańczyć na imprezach. Teraz jedyny kontekst, w którym czuję się komfortowo, to imprezy techno. Bo tam każdy jest sam ze sobą i muzyką, ludzie się nie obczajają nawzajem, to jest bardziej degustacja muzyki i trans niż „wspólna zabawa". Ale i tak rzadko mi się zdarza w tym zatracić. Nie lubię utraty kontroli. Jak wyobrażam sobie siebie zatraconego w czymś, to wydaje mi się, że wyglądam jak jakaś małpa bez mózgu, i nie chcę być w takim stanie.
Ta książka to lepsza psychoterapia niż psychoterapia, na którą próbowałem chodzić (śmiech).

Spodziewałem się, że z tego rozdziału wyjdziesz raczej straumatyzowany. Ale skoro nie, to jeszcze ostatnia opinia: „Bardzo niegrzecznie zachowuje się przy stole, bywa, że bawi się komórką, głośno śmieje i mówi. Wychodzenie z nim na obiad jest kłopotliwe".

(chwila milczenia) Hmm, no nie wiem. Wydaje mi się, że osoba, która to napisała miała jakieś jedno doświadczenie tego typu, które uogólniła.

Dobra, żartowałem. To ostatnie zmyśliłem.

A ja już zacząłem w głowie przeglądać wszystkie sytuacje, w których w ogóle byłem z kimś w restauracji (śmiech).

P O D R Ó Ż N I K

Uważasz się za podróżnika?
Nie.

Dlaczego? Ciągle jesteś w ruchu, skaczesz z miejsca na miejsce. W czasie pisania tej książki byłeś na trzech kontynentach.
Za „podróże" uważam swoje projekty typu Czarnobyl czy Szkocja. Częściowo można zaliczyć do tego mój tegoroczny pobyt w Hongkongu. Czyli w tym roku byłem podróżnikiem łącznie przez kilka czy kilkanaście dni. To krócej, niż trwa urlop ludzi, którzy pracują za biurkiem, a raz do roku robią coś szalonego i jadą na trzy miesiące do Azji Południowo-Wschodniej.
To, co ja robię, to przenoszenie się z jednego miejsca do innego w konkretnym celu. Nie chodzi o czerpanie przyjemności z podróżowania, poznawanie innych kultur, ale o realizację jakiegoś projektu. Miejsca, przez które przemykam, to w przeważającej większości duże miasta, gdzie jedzie się coś załatwić, a nie zwiedzać. To przecież byłoby niepoważne tytułować się podróżnikiem tylko dlatego, że mieszkam w Tokio i robię okazjonalne tripy do Nowego Jorku.

Ale kilka lat temu dostałeś nagrodę od National Geographic. W kategorii „podróżnik online".
To prawda. Nie rozumiałem trochę nazwy tej kategorii. To jest nagroda za podróżowanie... online? W sensie dotarcie do ciekawych miejsc darknetu? Żartuję, domyślam się, że chodziło o tworzenie podróżniczego contentu do internetu. W tym chyba sobie mogę przyznać, że jestem całkiem niezły. Ale po prostu robię tego mało.

Dlaczego?
Praca, projekty, maile. Proza życia. Wiadomo, że w moim przypadku „projektem" może być lot do Portland, by zobaczyć fabrykę narzędzi. Albo nagranie „Zapytaj Beczkę" w studiu w Tokio. Ciekawe rzeczy, ale jednak zżerające bardzo dużo czasu. Ja tak naprawdę mam dość niewiele czasu, którym mogę swobodnie dysponować. Zawsze jestem jakoś uwiązany w Tokio albo w Warszawie.

Czy podróże cię stresują?
Trochę tak. Często mam stres przedwyjazdowy, szukam sobie powodu do niezadowolenia i obaw. Jednocześnie wiem, że te wszystkie uczucia są nieracjonalne, bo tyle razy je już przerabiałem. Boję się zawsze, że gdzieś mi się nie spodoba. Albo że nie dam rady spontanicznie wymyślić jakiejś fajnej narracji do filmu, zakładając że jest to wyjazd „filmowy".

Odnoszę wrażenie, że lubisz podróżować nieprzygotowany. O swoich filmach z Czarnobyla powiedziałeś kiedyś, że celowo unikałeś przed wyjazdem zgłębiania tematu.
Ignorancja to bardzo silna broń w tym, czym się zajmuję. Lubię nic nie wiedzieć, tak, by dowiadywać się wspólnie z widzem.

Trochę jak w programie „Idiota za granicą".
To prawda (śmiech). To jest mój styl opowiadania historii, kompletnie przeciwny do np. Dawida Myśliwca, którego zaprosiłem do udziału w czarnobylskim projekcie.
Ten kontrast między nami był karykaturalny. Dawid pojechał tam z nastawieniem, by pogłębić swoją wiedzę o konkretnych zagadnieniach oraz nagrać kilka wstawek do filmu na jeden, dość specjalistyczny temat. Ja pojechałem na żywioł. „Co byś chciał kręcić?" – spytał mnie Dawid w dniu wyjazdu. Powiedziałem, że nie wiem. Improwizacja. Zobaczę, co tam jest i jakoś na to zareaguję.

Nie boisz się, że takie podejście jest ryzykowne? Możesz danego dnia najzwyczajniej nie mieć weny.
Mam takie obawy, ale z drugiej strony dobrze sobie radzę, kiedy jestem pod ścianą. Jak muszę, to zrobię. Czarnobyl to dobry przykład mojej metody, bo jest to dość mocno wyeksploatowany temat.

Chciałem zrobić tam coś innego niż wszyscy, odciąć się od filmów, w których opowiadana jest historia katastrofy. W mojej głowie narodził się pomysł na narrację o Strefie Wykluczenia w 2019 roku. Jak to jest tam być? Jak to działa? Co wolno, a czego nie wolno? Gdzie patrzeć, żeby zobaczyć coś ciekawego? Ostatecznie te filmy osiągnęły spory sukces, to była najchętniej oglądana seria podróżnicza, jaką w życiu zrobiłem. I to na temat, który niby został wyczerpany lata temu. Kiedy w 2013 roku do Czarnobyla pojechali AdBuster i SciFun, uznałem, że pozamiatane, nie ma co już się tam pchać. Na całe szczęście internet ma krótką pamięć.

To jest powracający w naszych rozmowach motyw.

Bo tak jest. No bo co z tego, że inny youtuber już to zrobił pięć lat wcześniej? Dziś widownia to inni ludzie, w innym wieku, a mój film przecież też może być kompletnie inny. To nie jest tak, że nie warto obejrzeć Gonciarza z 2019, bo można zobaczyć Scifuna z 2013. Zbliżamy się do fali remake'ów na YouTube. Nie żartuję.

Twoja podróż do Czarnobyla wzięła się z pomysłu Pawła, który organizuje wycieczki po Strefie Wykluczenia. Zgłosił się do ciebie z pomysłem na zrobienie czegoś oryginalnego, wycieczki w miejsca, które są zwyczajnie trudno dostępne dla turystów. Pamiętasz inne przypadki, kiedy to fajny temat po prostu przyszedł do ciebie sam?

Najpopularniejszy film, jaki zrobiłem w tym roku. Sześć metrów kwadratowych mieszkania Pantinki, modelki, która mieszkała wówczas w Hongkongu. Kiedy się poznaliśmy, sama mi to zaproponowała. Powiedziała: hej, mam absurdalnie małe mieszkanie i płacę za nie absurdalnie dużo. Może coś byś o tym nagrał? Bardzo ją szanuję za dystans, którego wymagał ten film. Nie każdy chciałby pokazywać, że mieszka w takich warunkach. A ona przecież pracuje jako modelka, jej Instagram polega na byciu glamour. Naprawdę szacun.

Wiele tematów moich filmów przychodzi od innych osób. To zawsze dla mnie wielki zaszczyt, ogromnie się cieszę, że przyciągam fajnych ludzi z ciekawymi pomysłami. Przecież tak naprawdę moje serie filmów ze Spitsbergenu czy Grenlandii też wzięły się od kogoś innego – mojego przyjaciela Michała Czuba, który ma hopla na punkcie Arktyki i lubi otwierać ten świat przed ludźmi.

A jakie było najdziwniejsze miejsce, w jakim się znalazłeś?

Najdziwniejsze w jakim sensie?

W takim, że stajesz, rozglądasz się i mówisz: „O kurwa". Ta kategoria. Co było najbardziej intensywnym „o kurwa" twojego życia?

Chyba właśnie Grenlandia. Pływanie motorówką pomiędzy górami lodowymi. To tak niesamowicie poetycka scena, wzruszam się na samą myśl. Cudowne światło zachodu słońca, bezkresna cisza. I te gigantyczne góry lodowe, które są w ciągłym ruchu, choć to niezauważalne gołym okiem. To tak, jakby codziennie był koło twojego domu inny Kopiec Krakusa. Surrealistyczne. Grenlandia to było przeżycie nie z tej planety. Wypatrzyłem kiedyś fokę z drona, pokazałem ją naszym inuickim przewodnikom na ekranie. „Mhm", powiedzieli, po czym zniknęli na kilka godzin. Wieczorem wrócili z upolowaną foką i ugotowali sobie z niej zupę. Pomyślałem sobie: „Kurde, lepiej nie zaburzać równowagi naturalnej Grenlandii przez wprowadzanie tu dronów". W ogóle dron w podróży to śmieszny gadżet. Zawsze znajdzie się wokół niego jakaś anegdota, bo wszędzie, gdzie się z nim pojawisz, budzi duże zainteresowanie. Kiedyś na Sri Lance latałem sobie dronem nad polem ryżowym i podszedł do mnie jakiś miejscowy. „Gdybym wiedział że będziesz tu latać dronem, to bym przyprowadził swojego słonia" – powiedział. Zachwyciło mnie, jak różne jest nasze doświadczanie codzienności. Dla tego gościa spacer ze słoniem jest równie normalny, co dla mnie polątanie dronem. A jednocześnie nasze światy przyciągają się wzajemnie, bo są po prostu ciekawe dla tej drugiej osoby.

A nagrałeś kiedyś coś, czego nie powinieneś był nagrywać?

Kiedyś odpaliłem drona w Japonii, koło hotelu, w którym się zatrzymałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem niedaleko onsenu. Poleciałem sobie dronem, patrzę w dół, a tam onsen pełen nagich ludzi (śmiech). Strasznie się spiąłem, bo wystraszyłem się, że ktoś mnie zauważy i zadzwoni na policję. Oczywiście zaraz skasowałem ten materiał, ale kadr był naprawdę zabawny: odkryty budynek przedzielony na pół. Po lewej kobiety, po prawej mężczyźni.

A co najbardziej surrealistycznego ci się przydarzyło?

Surrealistycznym doświadczeniem było objęcie nocnej warty podczas trek-

kingu na Spitsbergenie. Trwał dzień polarny, więc na zegarku pierwsza w nocy, a na niebie jasno. Dostałem pistolet na race, satelitarny sygnał alarmowy i polecenie czuwania, czy na horyzoncie nie pojawia się niedźwiedź polarny. Oczywiście poziom realnego zagrożenia był bardzo niski. Szansa na zobaczenie niedźwiedzia była niemal zerowa. Ale... gdy dwadzieścia pięć lat temu siedziałem u rodziców z Game Boyem w ręku, nie spodziewałem się, że kiedykolwiek znajdę się w takiej sytuacji.

Stałeś i czekałeś na niedźwiedzia, który nie przyszedł? Nuda – gdybyś go spotkał, to to byłaby historia...

Ej, chciałeś anegdot! Nie mówiłeś, że to mają być ciekawe anegdoty (śmiech). To może ta: kiedy byliśmy na Islandii, naszym przewodnikiem był Arek. Bardzo dziwny typ! Ma bardzo suche poczucie humoru – nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę ma na myśli. A z zamiłowania jest kucharzem.

Pędziliśmy do Jokusarlon, przepięknej lodowej laguny, by zdążyć na zachód słońca. Nagraliśmy absolutnie przepiękny materiał, ale po zachodzie dotarło do nas, że nie mamy noclegu. W tych dzikszych rejonach Islandii nie ma wielu opcji, więc większość ludzi wynajmuje kampery. My, spodziewając się nocy w zimnym aucie, próbowaliśmy wszystkich opcji. Airbnb, ogłoszenie na moim instastory, a towarzyszący mi Michał Czub pisał nawet do swoich matchów na Tinderze (śmiech).

W końcu znaleźliśmy pokój w jakimś hostelu, zajechaliśmy w środku nocy, głodni i zmarznięci. Pogodzeni z tym, że nie będzie kolacji, no bo skąd. Nawet stacji benzynowej nie ma w zasięgu. No i wtedy Arek mówi, że ma w bagażniku udziec jagnięcy. Przez jego usposobienie niezbyt skumaliśmy, że mówił poważnie. Okazało się, że na wszelki wypadek przed wyruszeniem w drogę upiekł dla nas udziec i jakoś zapomniał nam o tym powiedzieć (śmiech). To był jeden z najmilszych posiłków jakie pamiętam.

Powiedziałeś o wzywaniu pomocy przez Insta story. Często aktywizujesz widzów w taki spontaniczny sposób?

Tak, lubię takie szybkie akcje. Na przykład w Rzeszowie zapostowałem pytanie, czy ktoś chce mnie zawieźć na lotnisko. Od razu ktoś się znalazł! Jak zaczynasz się bawić w takie coś, to nagle zdajesz sobie sprawę z surrealizmu pozycji w której się znajdujesz: wszędzie dookoła są twoi widzowie, ludzie

generalnie tobie przychylni i chętni się z tobą spotkać. To jest jak supermoc, którą możesz aktywować w dowolnym momencie. No i te spotkania są też bardzo miłe, ja wolę taki kontakt jeden na jeden niż rozmowy w dużych grupach.

Miałem kiedyś nawet taki pomysł... może kiedyś go jeszcze zrealizuję? Droga przez całą Polskę, rożne miasta, miasteczka, wsie. Wszystko w kontakcie z widzami. Przejechać z A do B, zobaczyć coś z kimś, odwiedzić kogoś, dać się zaprosić, pójść tak jak wiatr zawieje. To by było naprawdę coś.

Nie bałbyś się, że trafisz na jakiegoś creepa?

Mieszkanie w Japonii nauczyło mnie zaufania do ludzi. Życie jest naprawdę fajne, jeśli zakładasz, że wszyscy dookoła ciebie są spoko.

A jakie są twoje ulubione miasta?

Bardzo lubię Nowy Jork. To miasto jest fascynujące, bo jest tak opisane przez popkulturę, że nawet jak jesteś tam pierwszy raz, to czujesz, że je znasz. Wszystko ci się kojarzy z jakimś filmem, serialem czy grą. Jednocześnie tamtejsza multikulturowość to przeciwny biegun w stosunku do jednorodnego Tokio. W Japonii cały czas czujesz, że masz napisane na czole: „nie jestem stąd". W Nowym Jorku od razu wtapiasz się w tłum i nie ma znaczenia, czy jesteś tam dzień, czy całe życie.

Ten kontrast z Tokio jest dla mnie bardzo kuszący. To miasto, w którym wychodzisz sobie w dresie rano po kawę w papierowym kubku i pytasz sprzedawcy, jak mu minął dzien. Każdy element tego zdania jest jak zaprzeczenie Japonii.

A Hongkong? Często o nim wspominasz.

W tym momencie to dla mnie chyba najbardziej ekscytujące miasto na świecie. Realnie myślę o spędzeniu tam trochę czasu. Może kilka miesięcy, pół roku, rok. Raczej bym się tam nie przeprowadził na stałe, jest tam trochę zbyt gęsto, a ceny wynajmu mieszkań są astronomiczne. A ja też zaczynam czuć, że nie chcę już mieszkać w sześciometrowej klitce.

SZALONE TOKIO

Pamiętasz taki program telewizyjny Agnieszki Szulim „Szalone Tokio"?
Oczywiście.

Tym, co nie znają, przypomnę: autorka pojechała do Tokio i pokazała je jako miasto dziwactw, a Japończyków jako kosmitów i zboczeńców. Gdy wysłałem tę audycję znajomym tokijczykom, śmiali się i dziwili, że tak można przedstawić ich miasto. Podejście, które zaprezentowała Agnieszka Szulim, nie jest specjalnie rzadkie, prawda?
Tak, i nie wiem, z czego ono wynika. Japonia jest dla całego świata – nie tylko dla Polski – jakąś taką fajną łamigłówką. Każdy chce mieć na temat Japonii coś fajnego do powiedzenia. Turyści przylatują tu z nastawieniem: teraz będę czynił obserwacje kulturowe.

„Patrzcie na mnie, teraz jestem etnografem!"
„Przyjechałem badać ten dziki lud, Japończyków, wracam za tydzień" (śmiech). Ludzie dorabiają znaczenie do wszystkiego, co tu widzą – nawet, jeśli są to jedynie przypadkowe rzeczy. Dostrzegasz jakąś pojedynczą sytuację, odosobnione zachowanie lub przedmiot i od razu zaczynasz tłumaczyć, że „Japończycy to i tamto". Ja dodatkowo cierpię, bo ludzie uwielbiają dzielić się ze mną tymi swoimi badaniami socjologicznymi przeprowadzanymi podczas pięciodniowych wakacji w Japonii. Nie wiedzą, jak płytkie jest to, co mówią, a mnie się nie chce każdemu robić tego samego wykładu, więc kiwam głową. Tak, uprzejmość. Tak, podszyta fałszem. Tak, szacunek do starszych. Tak, mili dla turystów.

Jest na przykład ta legenda o automatach z używanymi majtkami, które rzekomo mają stać na każdym rogu Tokio.
Te majtki cały czas za mną chodzą – chcę zrobić film na ich temat. Być może będzie już wrzucony, gdy ta książka wyjdzie. Bo wiem, gdzie w Tokio stoi automat z używanymi majtkami. Jeden jedyny. I chciałem nagrać film, w którym triumfalnie zakrzyknę: „Oto jest! Znalazłem!". To zabawne, że ten konkretny stereotyp na temat Japonii jest jednym z najważniejszych. Że to dla wielu osób pierwsze skojarzenie z tym krajem.

Osobiście znam Polki, które przez jakiś czas sprzedawały używaną bieliznę.
Ja poznałem dziewczynę z Warszawy, która jest dominą sado-maso przez Instagrama. Swoim niewolnikom nie wysyła nawet zdjęć, tylko rozkazy, co mają robić danego dnia. Codziennie jeden taki zestaw, za który oni jej płacą.

Jacyś Japończycy powinni do niej przyjechać i zrobić dokument „Szalona Warszawa".
No ja od jakiegoś czasu w Polsce nie mieszkam, ale słyszałem, że tak właśnie w Polsce jest! (śmiech)

Szulim w jakimś wywiadzie na temat „Szalonego Tokio" powiedziała, tu cytat: „Nigdy nie myślałam, żeby wybrać się do Japonii. (...) Ciągle chodziłam i gadałam, że chcę mieć program o seksie. Więc moja szefowa wpadła na to, że ta Japonia będzie najbliżej".
(śmiech) Właściwa osoba na właściwym miejscu.

Szulim poszła wtedy do miejsca, w którym robi się piercing i modyfikacje ciała. I wyobraź sobie, że wokół tego miejsca stali ludzie, którzy mieli piercing i modyfikacje ciała. A ona chodziła między nimi i gadała z nimi tak, jakby ci niesamowici Japończycy byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy robią sobie skaryfikacje i kolczyki.
Japończycy mają dużo cech, które warto analizować. I rzeczywiście można tu dojść do dziwnych, ale jednak głębszych, wniosków kulturowych, tyle, że na to po prostu trzeba czasu. Szczerze mówiąc, z początku sam byłem taką osobą, która przyjeżdżała tu i na każdym kroku się dziwiła. Chciałem się z Japonią skonfrontować, bo utarło się, że to kraj trudny do zrozumienia.

Zauważyłem, że ludziom naprawdę imponuje wiedza o Japonii, zadają mnóstwo pytań o tej kraj. Dlatego zgrywanie eksperta jest dla wielu osób takie kuszące – nawet, jeśli były tam raptem kilka dni.

John Oliver w jednym ze swoich programów powiedział o Japonii, że to „Earth's pervert uncle" – „Zboczony wujek świata". Ale postrzeganie Japonii pod kątem perwersji czy ekscentryzmu wydaje się bez sensu, jeśli spędzi się tu choćby parę dni. Bo to raczej konserwatywny, zuniformizowany kraj. Jak się wyjdzie na ulice Tokio, to widzi się raczej ludzi grzecznie ubranych i uczesanych. Kolorowe włosy, kolczyki i odważne ciuchy są raczej wyjątkiem. Takie stylówki łatwiej znaleźć w Europie, np. w Berlinie czy Londynie.

To zależy, gdzie akurat jesteś. W tych takich modowo-młodzieżowych dzielnicach sporo jest osób wyglądających specyficznie, ale część z nich w ciągu dnia chodzi w grzecznych uniformach. Ten sam koleś, który chodzi do pracy przez pięć dni w tygodniu w białym kołnierzyku, w weekendy zakłada dziwne ciuchy. A potem ktoś mu zrobi zdjęcie, które krąży po zachodnim internecie jako „typowy przykład Japończyka".

Gdybyś chciał krótko opisać, co w Japonii wolno, a czego nie, to byłoby ci trudno. Bo z jednej strony jest tu sporo restrykcyjnych norm, nakazów i zakazów – zachowuj się zgodnie z oczekiwaniami, spełnij swój obowiązek społeczny, nie wyróżniaj się. Ale wiele osób się z tych norm wyłamuje – nosi krzykliwe ciuchy, należy do rzadkich subkultur itd. Czasem to się ciekawie łączy – koleś, który ma w twarzy sto kolczyków, a na ciele tysiąc tatuaży, wciąż będzie stosował się do społecznych zasad jazdy metrem. Okej, miej sobie tę swoją ekspresję, ale pamiętaj, że wciąż musisz odgrywać pewną rolę społeczną.

Gdy o Japonii mówi się w polskich mediach, to często używa się zdjęć sprzed dwudziestu lat, związanych z subkulturą ganguro girls – mocno opalonych dziewczyn z tlenionymi włosami i agresywnym makijażem. Tak, jakby te dziewczyny były typowymi przedstawicielkami młodzieży szkolnej we współczesnej Japonii.

Tak, ganguro girls łatwiej dziś zobaczyć w zachodnim filmie dokumentalnym o Japonii niż na ulicach Tokio.

Swoje też robi bariera językowa i fakt, że poza Japonią niewiele osób zna japoński. Na polskich serwisach z lolkontentem często przewijają się fragmenty tamtejszych pornosów, które w ramach fabuły symulują teleturniej. I przedstawia się je jako zwykłe teleturnieje, które w Japonii lecą przed dobranocką.

Ja bardzo lubię taki mem, że „Japonia jest jedynym krajem, który nie przyznaje muzułmanom obywatelstwa, w którym szerzenie islamu to przestępstwo, a rozmowy po arabsku są zakazane". On co chwilę wraca, w różnych wariacjach. Regularnie widuję go na jakichś prawicowych fanpage'ach z komentarzem, że „Japończycy sobie z nimi poradzili i w Polsce powinniśmy brać z nich przykład". Oczywiście to stek bzdur.

Kojarzysz Robot Restaurant w dzielnicy Kabukicho?

To taka festyniarska, kolorowa knajpa?

Tak. W środku jest bardzo głośno i bardzo dziwnie. Urządza się tam tandetne pokazy z laserami, robotami, dziewczynami w bikini itd. Historia tego miejsca jest wspaniała – chodzą do niego wyłącznie turyści, żeby zobaczyć tę „odjechaną Japonię". Właściciele tego miejsca dają im ją, chociaż ona tak naprawdę nie istnieje. Robot Restaurant sprzedaje białym fikcję, którą oni sami sobie wymyślili. Zmaterializowane stereotypy o Japonii. I ten lokal odniósł spektakularny sukces.

Ale ludzie z zagranicy, którzy osiedlili się w Tokio, raczej odradzają wizytę w tym miejscu. Jest w tym trochę snobizmu, na zasadzie: „po co będziesz tam szedł, to żenada". Środowisko osób, które spędziły dużo czasu na rozkminianiu Japonii, mocno patrzy sobie nawzajem na ręce. Jak ktoś palnie coś głupiego, to od razu pojawia się kilku japonistów i go strofuje: „Czekaj, czekaj, wcale nie!". Robot Restaurant to dla nich taki sam obciach, jak gadanie bzdur o automatach z majtkami.

Bywało tak, że sam powiedziałeś o Japonii coś, czego później się wstydziłeś?

W moich pierwszych filmach zdecydowanie za dużo było szafowania wielkimi kwantyfikatorami. Gadania, że „Japończycy to, Japończycy tamto". Nie miałem w mózgu niczego, co filtrowałoby te moje „relacje z dalekiego kraju". Starałem się brzmieć, jakbym wiedział więcej niż wiem.

Oho, mamy tytuł książki: „Staram się brzmieć, jakbym wiedział więcej niż wiem".
(śmiech) To jest ogólnie historia mojego życia.

A jak wyglądał ten proces uczenia się, jak mówić o Japonii? Kiedy zorientowałeś się, że może rzeczywiście zdarza ci się gadać głupoty?
Szło mi to bardzo powoli. Żyłem tu i powoli spotykałem się z sytuacjami, które te moje tezy zweryfikowały. Doszedłem do wniosku, że trochę głupio jest rzucać ogólnikami na temat takiego wielkiego narodu. Kasia tłukła mi to do głowy, bo od początku naszej znajomości miała trzeźwiejsze spojrzenie na ten kraj. Irytowało ją, że odlatuję w swoje japonofilskie rozkminy i kreuję się na eksperta poprzez nadmierne generalizacje. No ale widzisz, zmądrzałem o tyle, że teraz na takie tematy mówię mniej.

Japonię nadmiernie się egzotyzuje, ale pewnie istnieją jednak rzeczy, które szokują w niej Europejczyka.
Na przykład bardzo specyficzna kultura pracy. Oficjalna wersja na cały świat jest taka, że Japończycy bardzo ciężko pracują. A z moich obserwacji wynika, że to raczej „kultura pracy długo" niż „kultura pracy dobrze". Że w pracy po prostu wypada siedzieć długo, robić te nadgodziny, co jest szczególnie bezsensowne w branży kreatywnej.
Obecnie przeszkadza mi też taka sztywna konwencjonalność relacji międzyludzkich. Te wszystkie uśmiechy, które są wiecznie takie same. Wszyscy publicznie noszą idealne maski, dopasowane do ich ról społecznych. To bardzo japońska cecha, mocno wbudowana w tutejszą kulturę.
Próbowałem się do tego przyzwyczaić, ale coraz trudniej mi się tu przez to funkcjonuje. Po jakimś czasie tęsknisz za panią z polskiego sklepu, która jest dla ciebie niemiła, bo ma akurat zły dzień. Ale nie chcę za dużo narzekać na Tokio.
Swoją drogą, do dziś uważam, że Tokio w przepiękny sposób ilustruje „Między słowami" Sofii Coppoli. To według mnie najlepiej nakręcony amerykański film w tym mieście. Był kręcony w dużej mierze „na przypale", bo Tokio jest zbyt wielkie i niewzruszone, by wstrzymać swój ruch dla ekipy filmowej. Na skrzyżowaniu Shibuya nie da się dostać pozwolenia na filmowanie w sposób właściwy dla dużej ekipy filmowej. Nie ma znaczenia czy jesteś Gonciarzem kręcącym film reklamowy, czy Sofią Coppolą z Billem Murrayem. Skrzyżowanie będzie działać, ten tłum setek tysięcy ludzi musi gdzieś dojść. Więc łapiesz kamerę na ramię i kręcisz na przypale. I to jest piękne w tym filmie.

Oglądasz inne kanały podróżnicze?
Na przykład jakie?

No na przykład tego kolesia, który jeździł po Wietnamie i zdejmował na ulicach flagi państwowe, mówiąc: „anticomunistico, wypierdalać!".
Fazowski. Jeśli mogę powiedzieć o nim coś dobrego, to to, że trochę podziwiam tę pewność, z jaką porusza się po świecie. Mam wrażenie, że gdybym ja robił takie rzeczy w tych samych krajach, to by mnie ludzie zajebali. A on jest niemal niezniszczalny. Ma wokół siebie jakąś taką aurę, że strzeliłbyś do niego z pistoletu i by go ta kula ominęła.

Uważasz, że to dobry sposób na prowadzenie kanału podróżniczego?
To, co on robi, na pewno jest w jakimś sensie prawdziwe. Widać, że ten gość jest sobą i nie stara się udawać mądrzejszego niż jest. Oczywiście rzeczy, które robi, bywają ignoranckie czy obraźliwe, ale jest w tym wszystkim spójny.

Co by się stało, gdybyś ty robił takie rzeczy jak Fazowski?
Pewnie skręciłbym kostkę na nierównej drodze, jeszcze zanim bym kogokolwiek spotkał (śmiech).

KLIKNIJ

DZWONECZEK

DUŻE ILOŚCI NARAZ GONCIARZA

Byłem na GonKonie. Dużo tam było widać... twojej twarzy.
To prawda.

A impreza ma w nazwie twoje nazwisko.
Yup.

Częścią tegorocznej instalacji była twoja głowa wydrukowana na drukarce 3D.
Nie da się ukryć.

A obok wisiał twój portret. Krzysztof, jak ty zmieściłeś to swoje ego w Studiu Tęcza?
Wiele osób mówi mi, że takie podejście jest bezczelne. I to prawda. Ale ja tę bezczelność lubię. Nikogo nie dziwią takie rzeczy, kiedy podpisują się pod nimi raperzy.
Zauważyłem jakiś czas temu, że raperzy to lepsi influencerzy niż sami influencerzy. Mówię o polskiej scenie, o nowej fali rapu. Jak chodzi o działania wizerunkowe, to Schafter, Young Igi czy Kubi Producent mają dużo fajniejsze pomysły na budowę swojej marki, niż czołówka polskich youtuberów. Oni mają swój branding, są „jacyś".
Youtuber ma w większości przypadków swój głupio uśmiechnięty ryj na miniaturkach. No to ja chociaż próbuję robić coś ciekawego z tym swoim ryjem. Moja twarz to element mojej marki. Bezczelna autopromocja też się nią już stała.

Tobie chyba w ogóle dość często się zarzuca, że jesteś egocentryczny.
Staram się balansować na granicy. Nikt w dzisiejszych czasach nie docenia wizerunkowej skromności. Ludziom się wydaje, że lubią twórców skromnych, a tak naprawdę po jakimś czasie o nich zapominają. Ja staram się budzić emocje i czasem pozwalam sobie na agresywne działania wizerunkowe. Mam takie poczucie, że nikt za mnie tego nie zrobi. Jeśli robisz takie rzeczy i uchodzi ci to na sucho – w tym sensie, że nie budzi to jednoznacznego niesmaku – to tylko na tym zyskujesz. A i tak mam apetyt na więcej.

Na przykład?
Choćby „Tokio 24". Sukces frekwencyjny tej wystawy to ewenement. Jednocześnie nie wykonaliśmy wokół tego projektu pracy PR-owej, która zwiększyłaby mainstreamową świadomość tego wydarzenia. Zaprosiliśmy trochę mediów i znajomych influencerów na wernisaż, ale to było bardzo skromne przedsięwzięcie. Czasem jest w Polsce dużo więcej szumu w sprawach o mniejszej skali niż „Tokio 24".

Po co ci ten GonKon?
Pomyślałem, że nie ma w Polsce wydarzenia z okolic YouTube'a, na które fajnie by było przyjść jako dwudziestopięciolatek. Wszystko jest dla dzieciaków. Pokutuje przekonanie, że starsze osoby nie byłyby czymś takim zainteresowane. Moja publiczność jest trochę starsza niż rynkowa średnia. Nie mam za bardzo możliwości pojawiania się na youtube'owych spędach, pomiędzy Frizami i Stuuartami, bez bycia rozliczonym przez swoją społeczność. Wizerunkowo jestem po prostu w innym miejscu, dlatego większość moich publicznych wystąpień to wydarzenia, które sami organizowaliśmy.

Kiedyś wystarczała ci duża salka, osoba do prowadzenia rozmowy, i publiczność. W 2016 zrobiliście razem z Kasią taką trasę po Polsce, podczas której łącznie zobaczyło Was na żywo parę tysięcy osób. Czemu odszedłeś od tego na rzecz GonKonu?
Wydawało mi się, że nasza społeczność to dobry punkt wyjścia do czegoś większego. Dlatego nie chcę, żeby GonKon był tylko moją imprezą. Co roku zapraszamy szereg różnych twórców i dajemy im różne możliwości artystycznego wyrażenia się oraz spotkania z widzami.

Ale impreza cały czas ma twoje nazwisko w nazwie.

Zmiana nazwy w przyszłości nie jest dla mnie wykluczona. Może faktycznie to jest coś, co niepotrzebnie hamuje rozwój tego projektu. Ale z drugiej strony, w końcu to ja zostaję z dziurą budżetową do załatania. Ewa, główna organizatorka GonKonu, śmiesznie to ujęła w zeszłym roku. Nikogo nie dziwi, że impreza ma w swojej nazwie sponsora tytularnego. W przypadku GonKonu jestem nim ja.

No właśnie, wiele razy podkreślałeś, że dokładacie do tego interesu. Po co?

To forma inwestycji, która zwraca się niebezpośrednio. GonKon jest naszym poligonem doświadczalnym, eksperymentujemy sobie na nim, próbując wyciągać lekcje i rzeźbić z tego coś, co w przyszłości będzie już na siebie zarabiać.

To dość duży projekt jak na „poligon doświadczalny". Nie lepiej byłoby spróbować organizować coś małego? Imprezę muzyczną, konferencję?

Spotkała nas trochę klęska urodzaju: nie możemy za bardzo pozwolić sobie na zbyt małe wydarzenia. Jeśli organizowałbym imprezę, na którą mamy tylko sto biletów, to dużo ludzi by mi miało za złe, że każę im słuchać o czymś, na co nie mogą wejść. Tak samo jest ze spotkaniami ze społecznością widzów. Pamiętam jak w 2014 w Artetece w Krakowie mieliśmy pierwsze zderzenie z taką nową rzeczywistością, w której skala zainteresowania zaczęła być sporym wyzwaniem. Zorganizowaliśmy wydarzenie według „starych reguł". Darmowy wstęp, otwarte, zapraszamy do tego miejsca na tę godzinę. Przy pojemności salki rzędu czterysta osób, na wydarzenie na Facebooku zapisało się chyba siedem tysięcy.

Nagle okazało się, że nasz stary sposób organizacji takich wydarzeń już nie działa. Kiedyś robiło się wydarzenie na FB, ludzie przychodzili, wszystko było okej. Teraz nagle musieliśmy zacząć robić losowania wejściówek, organizować ochronę i sanitariuszy. W skrajnych przypadkach nasze eventy ocierały się o coś, co polskie prawo określa mianem „wydarzeń masowych". A takie trzeba zgłaszać odpowiednio wcześniej na policję.

Nie mogliście po prostu zrobić płatnych biletów?

Mogliśmy, ale widzisz, z tym też trzeba ostrożnie. Trochę przesadziłem, że w 2016 roku wszystkie nasze spotkania były darmowe. Wzięcie choćby symbolicznych dziesięciu złotych za wejściówkę bardzo ułatwiłoby organizację. Przede wszystkim gdy wejście jest płatne, to ludzie, którzy mają bilet, prawie zawsze przychodzą. Nam zdarzały się sytuacje, że na zewnątrz był tłum ludzi chętnych wejść, a w środku były wolne miejsca. Bo ci, którzy wygrali darmowe wejściówki z losowania, nie przychodzili.

W ogóle ten czas „trasy" z 2016 roku był dla Kasi i dla mnie okropnie ciężki. Za dużo się działo wokół nas. Aż za dobrze pamiętam swój kryzys na czterdzieści minut przed wejściem na scenę w Starym Browarze w Poznaniu. Okazało się, że ktoś ze straży pożarnej zabronił nam wpuścić na spotkanie tyle osób, ile przewidzieliśmy – mimo że wcześniej upewniliśmy się, jaka jest pojemność sali.

Kilkaset wkurwionych na mnie osób stoi na zewnątrz. Nikt nic nie może z tym zrobić. A między Kasią a mną była wtedy napięta sytuacja, więc nie mieliśmy nawet oparcia w sobie nawzajem. Stres na kosmicznym poziomie. Wszedłem na jakiś strych tego obiektu, do takiej sali z dziurami w podłodze i wyłączonym światłem. Puściłem sobie w słuchawkach „I see a darkness" Bonniego „Prince'a" Billy'ego i zacząłem płakać. Całkiem się rozleciałem, fantazjowałem o tym, jak walę głową w ścianę albo wypadam przez te dziury w podłodze.

Ale zebrałem się w sobie. Przez parę godzin byłem na scenie i robiłem zdjęcia z ludźmi, dałem z siebie wszystko, żeby spełnić ich oczekiwania. Wyszedłem dwukrotnie do tych, którzy nie mogli wejść do środka, by przeprosić i pobyć z nimi. A potem wieczorem sprawdzam wiadomości na fanpage'u i dostaję rzeczy typu: „Krzysiu, jestem zawiedziona twoją postawą, prawdziwy twórca, który szanuje fanów, zrobiłby to inaczej". I znowu się rozleciałem. Nie mogłem tego wszystkiego wytrzymać.

Przeszedłeś więc drogę od darmowych spotkań z widzami do festiwalu, na który pakiet biletów na jeden dzień kosztuje dwieście złotych. Nie masz poczucia, że to dużo?

Mam. Chętnie bym obniżył te ceny, ale to będzie możliwe tylko, jeśli GonKon zdobędzie jakiegoś solidnego sponsora. Finansowanie takiej imprezy z biletów jest bardzo trudne. Chociaż mamy w tym momencie kilka niezłych pomysłów na zmianę modelu biznesowego GonKonu i mam dobre przeczucie, jeśli chodzi o przyszły rok.

Jak się w ogóle czujesz w sytuacjach takich jak spotkania z widzami albo GonKon? Dużo ludzi cię zaczepia, próbuje zdobyć twoją uwagę. To chyba niezbyt pasuje do twojej osobowości.

Pojawiam się tam w konkretnej roli. Wiem, po co tam jestem. Nie decydowałbym się na takie wydarzenia, gdybym potem w dniu eventu miał zamiar zniknąć na backstage'u i być niedostępnym. Zazwyczaj staram się być między ludźmi na tyle, na ile pozwoli mi wytrzymałość fizyczna. Myślę, że to takie japońskie podejście. Japończycy lubią klarowne sytuacje i występowanie w konkretnej roli. Jak jesteś w pracy, to zostawiasz swoje ego w domu. A takie sytuacje to moja praca.

Lubisz ją?

Tak, zawsze podskórnie czuję, że ten żywy kontakt z publicznością to jest moment tryumfu. Cieszę się, że ludzie uśmiechają się na mój widok i staram się uśmiechać do nich.

A robienie sobie zdjęć?

Muszę przyznać, że z roku na rok robię tego coraz mniej. Moim rekordem były bodaj cztery godziny stania przed kolejką chętnych parę lat temu. Setki osób po kolei ustawiają się, robią sobie fotę, mówią do ciebie. Ty starasz się utrzymać świadomość na miejscu, czerpać z ludzi energię, cieszyć się i dać każdej osobie miłe wspomnienie z tej sytuacji. Ale z drugiej strony, kiedyś doprowadziłem się do stanu, w którym prawie zasłabłem z wyczerpania.

Najgorsze w takich sytuacjach jest to, że jak na moment przestajesz się uśmiechać, głęboko westchniesz, odwrócisz na chwilę tyłem – od razu czujesz, że może to zostać źle odebrane. Dla tych osób, które akurat stoją przy tobie, to jest moment w którym jesteś nieuprzejmy. I takim cię zapamiętają. Wiele osób rozumie takie problemy, okazują wsparcie. Ale zdarza się też, że osoba numer dwieście pięćdziesiąt w kolejce po zdjęcie zagaduje do ciebie: „Czy mógłbyś mi opowiedzieć o tym, jak znaleźć pracę w Japonii?". Ty jesteś w stanie, w którym nie wiesz jak się nazywasz, nie chcesz być niemiły, a jednocześnie czujesz, że należy ci się odrobina litości. Widziałem kiedyś takie nagranie z telefonu, zrobione przez jakiegoś widza w Pałacu Kultury i Nauki, po naszym evencie w Teatrze 6. Piętro. Stoję tam u celu wielkiej kolejki ludzi, mam mętny wzrok, widać, że uśmiechanie mnie sporo kosztuje. A na filmiku nie widać, że stoję tak już kilka godzin. Więc pojawiły się komentarze, że mam widzów w dupie. I ja się mogę nawet zgodzić, że to źle wygląda wyjęte z kontekstu. A parogodzinne stanie w kolejce też chyba nie było dla ludzi miłym doświadczeniem.

Chyba dlatego z biegiem lat trochę się wycofuję z takich przedsięwzięć. Robię sobie zdjęcia, ale raczej nie robimy już takich organizowanych kolejek. To czasem powodowało, że niemal całą imprezę stałem w jednym miejscu, a na koniec byłem tak zmęczony, że nie potrafiłem już się z niczego cieszyć. Poza tym nie lubię takiego depersonifikowania swoich widzów, nie chce ich widzieć jako takiej masy ludzi, która stoi naprzeciwko mnie i którą muszę „przerobić".

To ciekawe, bo ewidentnie nie czujesz się najlepiej z wydarzeniami „na żywo", a jednocześnie mówisz że chcesz iść w tę stronę.

Wierzę, że jest możliwa formuła wydarzenia, na którym wszyscy bawią się dobrze, i GonKon to póki co najlepsze, co w tym temacie wymyśliliśmy.

Jest coś, z czego jesteś szczególnie dumny w kontekście GonKonu?

Z dwóch rzeczy. Po pierwsze, bardzo mnie cieszy ten cały wątek artystyczny. To, że GonKon to w dużej części instalacje. To jest zupełnie „niepotrzebne", w tym sensie, że ta impreza mogłaby istnieć bez tego. Byłaby dużo bardziej opłacalna finansowo i nieporównywalnie łatwiejsza w organizacji. Ot, taka konferencja YouTube'owa dla starszych odbiorców. Spoko, ale my chcemy żeby to było coś więcej. Nazywam tę imprezę „festiwalem youtube'owo-artystycznym" i chcę, by takim pozostała.

Druga sprawa to zasługa samej społeczności, która się wokół GonKonu skupiła. Tam naprawdę jest super klimat. Przychodzą na tę imprezę mili ludzie. Znajomi youtuberzy, których zapraszamy do współpracy, często zwracają mi na to uwagę – że tam jest „luźno" i kulturalnie, można sobie pochodzić i porozmawiać. Nawet w części wieczornej, gdzie polewany jest alkohol. To impreza z patronatem fundacji „Cisi na imprezach".

Twoi pracownicy mi opowiadali, że jesteś pojebany, bo zeszłoroczny GonKon zrobiliście ekspresowo.

To prawda. Mieliśmy bardzo mało czasu.

To znaczy ile?
Zaczęliśmy go robić w sierpniu. Impreza odbyła się na początku października.

Jesteś pojebany.
Dziękuję.

Lubisz robić rzeczy na ostatnią chwilę, co?
Wiesz, za ile oddajemy książkę do druku mordo? (śmiech)

No właśnie wiem!
Nie lubię słowa „natchnienie", ale jak wpadnie mi do głowy pomysł, który dobrze czuję, to bardzo mam ochotę go zrealizować. Chociaż praktyka mnie nauczyła, że mogę liczyć na swoją intuicję. Jeśli coś czuję z głębi serca... to zazwyczaj ludzie odbierają tę taką energię ode mnie i czuję, że ta energia przelewa się na efekty. I na odwrót – mój największy fail, czyli Naeba, wynikała z olania sprawy. Z braku poświęcenia temu projektowi dostatecznie dużo uwagi. Tam było widać fałsz. W GonKonie jest prawda i dużo dobrej energii.

SYMFONIA WIELKIEGO MIASTA

Rozmawiamy dwa dni po zamknięciu wystawy „Tokio 24" w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Szczęśliwy?
Tak (śmiech). Szczerze mówiąc, bardzo mnie zaskoczył sukces tego projektu. W sumie obejrzało go trzydzieści sześć tysięcy widzów, co zdecydowanie przebiło dotychczasowy rekord muzeum. Zupełnie się tego nie spodziewałem. Ani tego, że nie było jakiejś szczególnej krytyki. A nawet, jak się zdarzała, to konstruktywna. Nie dotarło do mnie żadne zdanie w stylu: „O mój Boże, co za gówno, z tym do galerii?".

Obserwowałem cię trochę na wernisażu. Byłeś tam nieźle zesrany, nie?
Wiesz, nie wiedziałem, jaki będzie odbiór. Nie jestem przyzwyczajony do tego, że puszczasz w świat jakiś utwór i przez dłuższy czas nie masz żadnego potwierdzenia, czy jest dobry, czy zły. A tu tak było. Byłem zestresowany, bo wyobrażałem sobie różne scenariusze. Bałem się do tego stopnia, że przed premierą nie chciałem publicznie mówić o tym, że to będzie jakieś super wielkie. Ograniczałem komunikację na ten temat.
Z natury jestem osobą, która mocno kwestionuje wszystko, co robi. Niedawno po raz pierwszy poszedłem na psychoterapię. I terapeuta powiedział mi, że jestem bardzo dobry w wymyślaniu w swojej głowie argumentów na własny użytek. I że prawdopodobnie umiem sobie wyargumentować rzeczy sprzeczne – jednocześnie, z podobną siłą. Moim zdaniem trafił w sedno. Tak się właśnie czuję. Potrafię znaleźć i zbudować bardzo mocne argumentacje, które wykluczają się nawzajem. Tak też było z „Tokio 24".
I dopiero gdy pokazałem film małej grupce znajomych, to zeszło ze mnie trochę powietrza. Moja przyjaciółka Paula uśmiechnęła się z zachwytem przy

którymś kadrze. Nowciax pokręcił głową z szacunkiem. Więc pomyślałem, że okej, pierwsza grupa fokusowa złożona z moich znajomych raczej propsuje. Jest dobrze.

A może po prostu ludzie ci kadzą?

Myślę, że do pewnego stopnia jestem w stanie rozpoznać, czy ktoś jest szczery, czy się podlizuje. Patrzę na ludzi, kiedy oglądają moje filmy. Wyczuwam rytm ich oddechu, niuanse mimiki, widzę, kiedy odwracają wzrok od ekranu albo poprawiają się na siedzeniu. To wszystko są dla mnie elementy feedbacku, często cenniejsze niż opinia wypowiedziana na głos. Gdy pokazuję film znajomemu, to najlepszą recenzją nie jest to, co on o nim powie, tylko moment, w którym dopiero zaczyna mówić.

Po jakimś czasie ta wystawa wyszła poza społeczność moich widzów. Zaczęli na nią chodzić znajomi znajomych, którzy nie oglądają moich filmów. Na każdym kroku zaskakiwało mnie, jak dużo ludzi o tym wie. Na imprezach podchodziły do mnie obce osoby i mówiły: „O, podobno masz spoko wystawę w Krakowie". Rzadko mi się to zdarza, bo moje filmy ogląda jednak pewne stałe grono. Zresztą od pewnego momentu już wiesz, że coś siadło. Jak słyszysz same pozytywne głosy na jakiś temat przez dwa tygodnie, to w trzecim tygodniu raczej nie będzie nagłej fali krytyki. Na „Tokio 24" zaczęli od pewnego momentu chodzić ludzie bardzo podhajpowani, wchodzili tam z nastawieniem, że będzie im się podobać, i tak było.

Wiedziałeś, na co się piszesz, zaczynając realizację „Tokio 24"?

Dziś myślę, że nie. Nie miałem żadnych odniesień. Kiedy próbujesz zrobić vloga, to wchodzisz sobie na YouTube'a, patrzysz na popularne vlogi i możesz sobie sprawdzić referencje. Nie musisz ściągać od kogoś formuły czy pomysłów, ale chociaż wiesz, z czym się mierzysz. „Aha, tak to ludzie robią – ja zrobię to lepiej".

W tym przypadku nie wiedziałem, co robię. A dodatkowo nie przepadam za wideoartem. Kiedy idę do krakowskiego MOCAK-u i widzę, że są tam wyświetlane filmy, to ich nie oglądam, bo są dla mnie nieciekawe. Nie lubię ludzi, którzy potrafią zdyskredytować całą dziedzinę sztuki w jednym zdaniu, to trochę zbyt nonszalanckie, ale wideoart bardzo rzadko mi podchodzi. Nie czuję go po prostu – męczą mnie dłużyzny, cisza, nuda, nawet jeśli wiem, że to celowe.

Myślisz sobie wtedy: „ja bym zrobił lepiej"?

Nie. Rozumiem, że to jest inna forma wyrazu, inne zasady gry, więc nie porównuję się z czymś takim. Ale jak oglądam coś na YouTubie czy na Vimeo, to wręcz przeciwnie – nie potrafię wyłączyć porównań. Analizuję każdą klatkę, każde przejście montażowe i dlatego oglądanie YouTube'a często nie sprawia mi przyjemności. Za dużo myślę o warsztacie.

Jak przełamałeś lęk przed zrobieniem tej wystawy?

Tak jak zawsze: po prostu zacząłem to robić. Na zdjęcia miałem niewiele czasu, jakieś pięć tygodni. I wyobraziłem sobie, że jest możliwy taki stan, w którym poświęcę się temu całkowicie i film powstanie w takich romantycznych warunkach, jak z reklamy lustrzanek przedstawiającej takiego współczesnego freelance'owego fotografa-filmowca. Wiesz, klimat w stylu: jest noc, pada deszcz, a ty chodzisz majestatycznie z kamerą po mieście. Że tak niby wygląda czyjeś życie. Wiadomo, że takie materiały są ściemą, ale... przez tych pięć tygodni kręcenia „Tokio 24" sam żyłem takim życiem.

Odciąłem się od większości zobowiązań, a także od rytmu dnia i nocy, bo film musiał powstawać o tak różnych porach, że szedłem spać i wstawałem wtedy, kiedy musiałem, niezgodnie z moim zegarem biologicznym. Mało spałem i żyłem tylko tym. Budziłem się, szedłem nagrywać, szedłem spać. Nierzadko wstawałem o 22 i kręciłem do 10 rano. I wraz z kolejnymi dniami zbierania materiału trafiałem na kolejne złote strzały. Czułem, że to zaczyna grać, że będzie z tego coś dobrego.

Najgorszym momentem był wschód słońca, gdy bardzo się stresowałem, że nie będę miał odpowiedniej liczby ładnych ujęć, bo mój koncept był bardzo zależny od pogody. Ale w końcu trafiliśmy na dwa ładne wschody – i to wystarczyło. W takim filmowaniu trzeba mieć dużo szczęścia. Bycie w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie jest ważniejsze od rodzaju aparatu, którego użyjesz, czy sposobu kompozycji kadru. Trzeba jakoś intuicyjnie wyczuć, że tu i tu o 5 rano będzie jakaś dobra energia.

Czyli strach przed rozpoczęciem pracy raczej cię motywuje, niż paraliżuje?

Ja zazwyczaj mam nad sobą jakiś bat. A odwlekam projekty, przy których nie ma deadline'u. Z tego wynikają duże przerwy w mojej komediowej działalności. Ona schodzi na dalszy plan, bo nikt nade mną nie stoi i nie mówi,

że choćby skały srały, muszę zrobić „Zapytaj beczkę" do końca tygodnia. A w przypadku tej współpracy z Mangghą data otwarcia wystawy była zaklepana, i wiedziałem, ze film musi trafić do muzeum odpowiednio wcześnie. To była z ich strony forma inwestycji, musieli zarezerwować przestrzeń na parę miesięcy. Bardzo doceniam ich zaufanie, bo dwadzieścia dni przed rozpoczęciem wystawy nie mieli ode mnie zupełnie nic. A dwa tygodnie przed terminem wysłałem im film ukończony w 80%. Było przecież ryzyko, że nie spodoba im się to, co zrobiłem.

Czy był jakiś odbiór ze strony świata sztuki? Artystów albo dziennikarzy z kwartalników?

W czasopismach chyba o „Tokio 24" nie pisano. Ale wiem, że kuratorki – Joanna i Monika – oprowadzały po niej krytyków czy profesorów z ASP. I, o ile mi wiadomo, oni bardzo ją chwalili. Jeden z nich przyjechał z jakiegoś biennale w Wenecji i miał powiedzieć, że „Tokio 24" jest dużo fajniejsze niż duża część rzeczy, którą tam widział. A ty co uważasz?

Mi się podobało, przypominało nieco „Koyaanisqatsi" Godfreya Reggi, zwłaszcza przy dalekich planach. Ale mam parę krytycznych uwag. Bardzo się obrazisz?

Sprawdźmy!

Moim zdaniem niepotrzebnie wrzuciłeś do filmu pointę – ostatnie ujęcie z pijanym chłopakiem śpiącym na Shibuyi. Jeśli twój projekt miał być zapętlonym dniem – od świtu do zmierzchu i z powrotem do świtu – to ten punkt, w którym widzimy zmęczonego imprezowaniem chłopaka nie pasuje ani do koncepcji, ani do tego, o czym opowiada „Tokio 24". Bo tam w zasadzie nie pokazujesz imprez czy tej wyczerpującej fizycznie strony Tokio. To raczej zapracowane, ale i wychilloutowane miasto z wróbelkami, listkami, świątyniami i joggingiem w parku.

Czyli uważasz, że to ujęcie psuje przejście od nocy do rana?

Tak. W nienaturalny sposób puentujesz niefabularyzowany zapis typowego dnia w Tokio. Pasowałoby do filmu, gdybyś chciał np. pokazać dzień imprezowicza w Tokio.

A wiesz, jaki miałem oryginalny pomysł na tę pętlę? Tylko to mi nie zagrało ze scenami, które miałem. Chciałem, żeby to się kończyło ujęciem w wagonie metra, w którym śpi jakiś zmelanżowany koleś, a do tego samego wagonu wchodzi świeży typ w garniturze. I ta narracja przechodzi do nowego dnia.

O, to by było zajebiste!

Nawet miałem mniej więcej takie ujęcie. Tylko że to mi się nie zgrało z tym świtem – ptaszkami, naturą itd. Źle się to złożyło.

Ta część wywiadu jest szczególnie interesująca dla osób, które nie widziały twojej wystawy.

To prawda (śmiech).

Więc przejdźmy do muzyki, która jest bardzo istotną częścią „Tokio 24". Pawbeats, Maciej Kulesza, Arkadiusz Reikowski, Urbański & Bąk, duet Krakowitz – do udziału w projekcie udało Ci się namówić artystów ze znakomitym dorobkiem.

Tak. Ostatnio musiałem zebrać trochę informacji na temat wystawy i jej współtwórców. Zapytałem więc Pawbeatsa, jakim efektowym zdaniem mógłbym opisać to, czym się zajmuje. Odpowiedział mi: „Mam kilkadziesiąt złotych i platynowych płyt, ale kilkunastu nie odebrałem, bo nie czułem, że to jest mój sukces. Sporo rozdałem charytatywnie; więc w sumie nie wiem, ile ich mam". Pytam: „Ale ile tak na oko? Więcej niż 50?". A on: „No moooże" (śmiech). Więc jest to człowiek z wielkim dorobkiem. I trochę mnie to bawi, że taki koleś z takim szacunkiem podchodzi do moich rzeczy, bo miałby pełne prawo zadzierać nosa w stosunku do jakiegoś kolesia z YouTube'a.

Ty w ogóle jesteś magnesem na kreatywnych ludzi.

I to mnie bardzo cieszy. Po raz pierwszy zauważyłem to przy zeszłorocznym GonKonie – że ci ludzie, którzy nam pomagali i którzy się w to zaangażowali, byli naprawdę świetni i kreatywni. Na afterze po finisażu „Tokio 24" było sporo znajomych twórców, zresztą ty też tam byłeś. I była tam też Karolina, moja przyjaciółka-architektka, która powiedziała, że po raz pierwszy widzi mnie w towarzystwie jakichś kolegów. Stwierdziłem, że ma rację. To jest chy-

ba podstawa moich bliższych relacji z mężczyznami. Muszę kogoś szanować, żeby się na tego kogoś otworzyć.
Prawie nie koleguję się z facetami, z którymi po prostu mi się „spoko gada". Imponują mi wymiatacze z różnych dziedzin, osoby potrafiące coś robić na bardzo wysokim poziomie.

Całkiem niezły networking, jak na osobę zamkniętą i nieśmiałą.
Nie ma w tym mojej zasługi, to jest bardzo organiczne. Ci ludzie sami do mnie przychodzą. Ale zdarza mi się też sporo szczęśliwych zbiegów okoliczności. Na przykład główną kuratorką i art directorką GonKonu jest Tala Mikulska, którą poznałem na Tinderze. Nigdy nie byliśmy na randce, bo od razu zaczęliśmy gadać o sprawach zawodowych. I ona stała się ważną częścią tego ekosystemu, który wokół siebie stworzyłem.

Jesteś chyba w takim miejscu w życiu, w którym osoby, które nic nie tworzą, praktycznie nie mają do ciebie dostępu.
Hmm... tak myślisz?

Tak mi się wydaje. Spójrzmy na naszą relację – byliśmy dalekimi znajomymi, kiedyś zrobiłem z tobą dwa wywiady, innym razem prosiłem cię o parę zdań do artykułu. I odnowiliśmy kontakt, bo wyszedłem z propozycją napisania książki. Gdybym tego nie zrobił, to pewnie wciąż bylibyśmy dalszymi znajomymi.
Tak, to prawda. W sumie na finisażu „Tokio 24" były same osoby, z którymi coś realizuję. Z jednym wystawy, z innym muzykę, a z jeszcze innym – książkę. Mam głęboki szacunek do umiejętności wszystkich tych osób. Wytworzyłem wokół siebie jakiś think tank – i to jest naprawdę super.

Wrzucisz na YouTube'a film, który pokazałeś w Mangghdze?
Nie.

Za dobre na YouTube'a?
Nie ten format... YouTube nie nadaje się do oglądania takich rzeczy. Czułbym, że obniżam status tego filmu. Zabawne, że akurat ja myślę tak o czymś, co zrobiłem. Profanacja filmu youtubera poprzez wrzucenie go na YouTube.

Czyli znów wracamy do tego, że YouTube może obniżyć wartość filmu.
Pierwszy raz poczułem coś takiego właśnie w kontekście „Tokio 24". Lubię myśleć, że to jest coś „wyższego" (śmiech).

Podczas finisażu szefowa Mangghi powiedziała: „Chciałabym podziękować Krzysiowi za to, że na nasze zaproszenie odpowiedział: »Muzeum? Nie, dziękuję«".
Oni chyba źle odczytali moją reakcję. Ona nie wynikała z niechęci, tylko ze strachu przed tym wyzwaniem. A pani dyrektor pewnie uznała, że mam ich za jakichś nudziarzy. Dziś mogę powiedzieć, że ta propozycja była dokładnie tym, czego wtedy potrzebowałem. Szukałem czegoś, co popchnie mnie w stronę sztuki.

Miałeś wrażenie, że dobrze byłoby chociaż na chwilę wyskoczyć z YouTube'a? Że YouTube ściąga cię w dół?
Jak mówiłem: przez lata bardzo lubiłem bycie youtuberem i chciałem sprawić, żeby to słowo kojarzyło się przypadkowym ludziom możliwie najlepiej. Gdy w 2017 roku w przerwie gali oscarowej na ekranach milionów widzów pojawił się Casey Neistat w reklamie Samsunga, nikomu nie wydało się to żenujące. Chciałbym być w tym miejscu. Youtuber jako osoba z fajnym życiem, robiąca kreatywna rzeczy, redefiniująca to, jak się robi media – chciałem ciągnąć za sobą to znaczenie.
Ale jakoś na początku tego roku miałem mały kryzys. Zaczął mnie przytłaczać ten niekończący się grind YouTube'a. Czułem, że zaczynam szorować głową o sufit tego, co jestem w stanie na tej platformie zrobić. Jeśli porównasz moje dzisiejsze daily vlogi z tymi sprzed dwóch lat, to widać lekki progres, ale nie nastąpiła jakaś wielka rewolucja. Na samym początku ustaliłem formułę, której trzymam się do dziś i najwyżej lekko ją szlifuję. Szymon, mój manager, nazywa to „ściganiem się z własnym cieniem". Gonciarz próbuje robić coś lepiej niż Gonciarz. I poczułem się w tym bardzo zamknięty. Co mam robić dalej? Już do końca życia będę musiał wymyślać nowe odcinki?
Wiem, że dla osób, które mają życie nieporównywalnie cięższe ode mnie, może to brzmieć arogancko. Bo to, co robię na co dzień – filmy, projekty, podróże – dla wielu byłoby jak wakacje. Ale jeśli przez kilka lat robisz z grubsza

to samo i musisz robić to dalej, żeby utrzymać, to, co już masz, to zaczyna cię to przerażać. Uwięzienie w tym formacie przestaje przynosić radość, a zaczyna frustrować. Dla mnie stacjonarna praca przy kompie nad jakimś projektem brzmi naprawdę spoko, nie mam potrzeby ciągłej przygody.

To już wiesz, co czuli Benioff i Weiss, gdy przez dziesięć lat robili „Grę o tron".
(śmiech) Tak, ale ja nie skończyłem daily vloga w miesiąc, zamykając byle jak wszystkie wątki. W każdym razie: nie wiedziałem, co mam robić dalej. Myślę, że film o „dziurze w mojej głowie" wynikał między innymi z tego wypalenia. I ratunek przyszedł nie z YouTube'a, ale z muzeum w Krakowie. Uznałem, że czas przestać być w 100% youtuberem. Że mogę nim być połowicznie, a pozostałe 50% czasu przeznaczyć na projekty multimedialne, festiwal, wystawę, współprace z ciekawymi ludźmi. Że muszę zacząć odbijać swoją pieczątkę na różnych obszarach rzeczywistości.

Przez całą twoją wypowiedź czekałem, aż padnie słowo „artysta". Ale ty go unikasz.
Bo to słowo jest w języku polskim bardzo obciążone. Po angielsku „artist" brzmi dużo lżej. Weźmy takie gry wideo. Jeśli pracujesz jako grafik, to po angielsku nazywasz się artystą.

Kiedy projektujesz jakieś orki do Warcrafta, to jesteś „concept artist" – artystą konceptualnym.
No właśnie. Po polsku „artysta" nie kojarzy się z kimś, kto rysuje orki, ale z wybitnym malarzem czy solistą w filharmonii. Trudno tak mówić o sobie, może nawet trudniej niż pisać swoją własną stronę na Wikipedii. Dla mnie ten wyraz oznacza po prostu człowieka, który tworzy jakieś dzieła. Nazwanie kogoś artystą nie powinno być komplementem, tylko stwierdzeniem faktu, że zajmuje się on wytwarzaniem tekstów kultury.
Denerwuje mnie, że wciąż mam opór przed nazywaniem siebie artystą. Przecież miałem wystawę w muzeum – to chyba taki powszechnie uznawany wyznacznik bycia „prawdziwym artystą", a nie amatorem, co dla zabawy strzela zdjęcia. W dodatku ta moja wystawa w muzeum była najpopularniejszą, jaką to muzeum kiedykolwiek zorganizowało. Ale wciąż słyszę w głowie: „Co, ty uważasz się za artystę?".

A gdybym był dziennikarzem BBC, z którym musiałbyś rozmawiać po angielsku, to przedstawiłbyś mu się jako „artist"?
Zdarzało mi się tak określać samego siebie po angielsku. Na przykład „YouTube Artist".

Twoja twórczość po raz pierwszy trafiła do przestrzeni galeryjnej, ale przestrzenie galeryjne nieraz trafiały do twoich vlogów.
Tak, parę razy pokazywałem je widzom. Żeby im pokazać, że sztuka współczesna jest wielowymiarowa. Irytują mnie ludzie, którzy z automatu są na nią zamknięci. Ci, którzy uważają, że prawdziwą sztuką są obrazy Matejki, bo facet chociaż wiedział, jak konia narysować, i wszystko wyraźnie widać. A kiedy jest jakiś Rothko za miliony dolarów, to gardzą, bo „ja też bym takie zrobił".

Jest taki słynny cytat z Craiga Damrauera: „Sztuka współczesna = umiałbym zrobić tak samo + tak, ale nie zrobiłeś".
Jeśli ktoś uważa, że zrobi sobie takie w domu, to niech spróbuje. Mówię to bez szyderstwa. Po prostu zrób, może wyjdzie ci coś innego, może też będzie ciekawe. Zawsze starałem się ludzi zachęcać do takiego myślenia.

Jest taki żart Marka Raczkowskiego, który bardzo lubią osoby nabijające się ze sztuki współczesnej. Że ludzie stoją w galerii i część z nich podziwia instalacje i obrazy, a inni włącznik światła.
Mnie to się też zdarzyło – kiedyś pomyliłem element wyposażenia sali z eksponatem. Ale to nie jest argument dyskredytujący sztukę współczesną, tylko oznaka tego, jak istotny jest kontekst i ile do interpretacji dzieła dodaje sam widz.
Kiedyś krążył po internecie taki test, w którym były fragmenty obrazów abstrakcyjnych i dziecięcych bazgrołów. I po takim wycinku trzeba było rozpoznać, co jest co. Jak się miało jakąś wiedzę na temat teorii kolorów, to dało się to rozkminić. Ale nawet jeśli byłoby to trudne, to nie znaczyłoby to, że abstrakcjoniści „nie umieją malować". Wręcz przeciwnie – ci najlepsi szalenie świadomie operują kolorem i formą. A wielu potrafi malować realistycznie, ale celowo „zapomina", jak to robić, żeby w swoich obrazach wyrazić coś bardziej pierwotnego, czyste emocje.

„Tokio 24" to jest bardzo bliskie tradycji fotografii ulicznej.
Tak. Poza może dwoma ujęciami, gdy poprosiłem kogoś, żeby przeszedł przed kamerą, nie ma tam niczego ustawionego.

Zauważyłem, że w trakcie pisania tej książki parokrotnie nagrywałeś mnie z ukrycia i umieszczałeś to we vlogach. Akurat ja nie mam nic przeciwko temu, ale wyobrażam sobie, że niejedna osoba mogłaby mieć. Czy miewasz wątpliwości związane z nagrywaniem ludzi w miejscu publicznym? Zdarza ci się mieć rozterki, czy powinieneś to robić?
Zrobiłbym tu rozróżnienie na znajomych i nieznajomych. Jeśli chodzi o znajomych, to muszę wyczuć daną osobę. Staram się ją obserwować i stwierdzić, na ile jestem w stanie sobie pozwolić. U ciebie wyczułem, że będziesz z tym spoko. Ale też: mam sporo trików na oswojenie ludzi z kamerą.
Podczas olimpiady intuicyjnie wymyśliłem metodę otwierania ludzi przed kamerą. Rozmawiałem tam z wieloma sportowcami – również tymi, którzy nie udzielają zbyt wielu wywiadów, bo nie są tak znani, żeby biegały za nimi media.
I chodziło mi o to, żeby oni poczuli, że bardziej zależy mi na usłyszeniu, co mają do powiedzenia, a nie na nagrywaniu. Na przykład zaczynaliśmy rozmawiać o czymś ewidentnie prywatnym, ten ktoś odpowiadał, a w międzyczasie zaczynam kręcić jego i siebie. Inny sposób: ktoś spięty mówił coś do kamery, ja wyłączałem nagrywanie. Ta osoba luzowała, a ja kontynuowałem rozmowę, bo chciałem pokazać, że mnie to po prostu ciekawi.
Dzięki temu mieszam świat nagrywany z prywatnym, żeby osoba przestała myśleć o tym, czy nagrywam, czy nie, bo większość ludzi sztywnieje przed kamerą i traci taką naturalną iskrę. Najgorsze uczucie jest wtedy, gdy najciekawsza część rozmowy zaczyna się po wyłączeniu nagrywania, gdy chowasz aparat do plecaka i w tym momencie druga osoba zaczyna mówić coś superinteresującego. Na pewno znasz to z pracy dziennikarza.

Miałem tak wiele razy. Wtedy pytam taką osobę, czy nie chciałaby powtórzyć tego samego do dyktafonu.
Tak też można. Ale ta sama historia opowiedziana drugi raz może już nie być tak fajna i naturalna.

Miewasz takie refleksje, że nagrywając kogoś w ten sposób, możesz mu przypadkowo zaszkodzić?
Staram się być bardzo ostrożny. Jestem świadomy siły płynącej z faktu dzierżenia kamery. I sam się na tym łapię, że gdy nie mam kontroli nad kamerą, to znika duża część mojej pewności siebie. Dlatego bardzo staram się na takie rzeczy uważać nawet wtedy, gdy filmuję swoją twarz podczas spaceru po ulicy. Jeśli nagrałbym coś niefortunnego w tle, to nie umieściłbym takiego momentu we vlogu.
Ostatnio miałem taką sytuację w Warszawie: kręciłem vloga nad Wisłą. I zauważyłem faceta, który bardzo malowniczo drzemał albo czilował sobie na brzegu. Od razu wyobraziłem sobie kadr z nim w samym centrum. Stwierdziłem, że to będzie naprawdę świetne. Zaczynam ustawiać kamerę, w tle panorama Warszawy... i nagle podbiega kobieta i zaczyna go cucić. I faktycznie – gość był nieprzytomny. Kompletnie o tym nie pomyślałem! Oczywiście szybko skasowałem ten kadr.

Duża część tokijczyków, których nagrywałeś, pewnie nawet nie wie, że znaleźli się w dziele sztuki w galerii w Polsce.
Nie do końca. Tam, gdzie uważałem to za stosowne, pytałem o zgodę. Ale też zadaję sobie pytanie: kto ma prawo do wizerunku? Ten, kto go ma, czy ten, kto go widzi? Jeśli jesteś fotografem, to prezentujesz swoje spojrzenie na kogoś.

No wiesz, w Polsce prawo do wizerunku jest niezbywalne aż do śmierci.
W Polsce ostrożniej kręcę ulicę niż w Japonii.

Dlaczego? Bo tu jesteś rozpoznawalny, a tam nie?
Tak. Wiem, że gdy ktoś z Polski pojawi się w moim vlogu, to zaraz się o tym dowie. I od razu mi pisze: „znajomi powiedzieli, że jestem, ale jajca".

Jest taki fotograf uliczny Bruce Gilden. Bardzo radykalny, bezczelny artysta, który nie szanuje cudzego prawa do wizerunku. Biega po Nowym Jorku, z zaskoczenia świeci ludziom fleszem po oczach, straszy ich, a gdy mają pretensje, to się z nimi agresywnie kłóci. Innymi słowy: nie interesuje go kwestia etyczności działań artystycznych. Gilden uważa, że można poświęcić cudzy

komfort dla dobrego zdjęcia. Uważasz tak samo? Że można stworzyć dzieło sztuki czyimś kosztem?

Uważam, że w imię sztuki – można. Broniłbym jego prawa do takich działań, przy czym absolutnie sam nie byłbym w stanie czegoś takiego robić.

A gdybyś to ty padł jego ofiarą?

Myślę, że gdyby się to wydarzyło, to bym to zaakceptował. Ale też uważam, że osoby, których zdjęcie wbrew ich woli zostało np. wstawione do galerii, powinny mieć prawo zażądać, by je usunąć, lub starać się o odszkodowanie.

No dobrze, w takim razie rozszerzmy to pytanie. Czy twoim zdaniem sztukę generalnie można tworzyć czyimś kosztem? Weźmy za przykład film o Paktofonice, „Jesteś Bogiem" z 2012 roku. Przedstawiono tam postać niejakiego „Kozaka", ewidentnie inspirowaną Krzysztofem Kozakiem, rzeczywistym wydawcą Paktofoniki i innych raperów.

Pamiętam, on w tym filmie był jakimś gangsterem.

Dokładnie. Prawdziwy Krzysztof Kozak twierdził, że takie przedstawienie go w filmie spowodowało problemy w jego życiu prywatnym, więc pozwał producentów „Jesteś Bogiem". I najpierw udało mu się wywalczyć tymczasowy zakaz dystrybucji, a potem wygrał sprawę, wywalczył wysokie odszkodowanie i przeprosiny na łamach paru gazet codziennych. No i teraz: uważasz, że twórcy „Jesteś Bogiem" mieli prawo tak luźno potraktować życiorys prawdziwej osoby?

Mogę mówić tylko za siebie: ja bym tak nie zrobił. Ja jako scenarzysta bym sobie te granice wyznaczył. I w ogóle zależy mi na tym, żeby z moich filmów nie wynikała dla kogokolwiek jakakolwiek krzywda. Nawet jeśli nabijam się z kogoś w „Zapytaj Beczkę", to staram się zatrzymywać o krok przed brutalnymi żartami. No i nigdy nie śmieję się ze słabszych. Wolę uderzyć w Chodakowską.

ZMIANA

Pamiętasz w swoim życiu taki moment, w którym twoje życie stanęło w miejscu?

Tak. Kiedy byłem w związku z Natalią, doszliśmy do momentu, gdy wydawało się, że wszystko jest stabilne i tak przewidywalne, że dokładnie wiadomo, co będzie dalej. Takie dorosłe życie. Ostatnio sobie przypomniałem ten czas, będąc w Krakowie. Poszedłem sobie do knajpy o nazwie Mostowa Art Cafe. Kilka lat temu pokazał mi ją kolega, Artur Wabik. To był schyłkowy etap związku z Natalią – żyłem sobie życiem, które było banalne i schematyczne, a rytm nadawała mu praca w branży gier wideo. Wydawało mi się, że poznanie nowej knajpy na Kazimierzu to już najbardziej ekscytująca przygoda, jaka może mnie w tym życiu spotkać.

Wróciłem tam miesiąc temu, po paru latach. I wyobraziłem sobie, że siedzę tam tych kilka lat młodszy, i nagle mam wgląd w przyszłość, która nadejdzie. To było dla mnie katartyczne. Bo przecież nie byłem wtedy jakiś supermłody, miałem z 27 lat. A jednak tak dużo się później wydarzyło i zmieniło.

Zabrzmiałeś nostalgicznie.

Bo jestem nostalgiczną osobą. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero niedawno i mam z tym problem, bo to mnie często ściąga w dół. Często tęsknię za przeszłością i chcę wrócić do chwil, które dawno minęły. Mimo że teraz powodzi mi się lepiej niż wtedy, to chciałbym przeżyć to jeszcze raz. Dziś na przykład przypomniałem sobie, jak byłem w Szkocji z kolegą, Zbyszkiem Piotrowiczem, jeździliśmy sobie autem parę dni, było super... i zrobiło mi się smutno. Staram się poprzez medytację pracować nad tym, żeby nie żyć w – jak to się mówi – stałym strachu przed przyszłością i smutną tęsknotą za prze-

szłością. Jeśli twoje życie to nieustanne mielenie lęku i smutku, z rzadkimi momentami satysfakcji po drodze, to to w sumie bez sensu, nie? Trzeba wciąż pracować nad tym, żeby ten moment „pomiędzy" był możliwie najbardziej świadomy. Żeby żyć chwilą, w której się jest. Pracuję nad tym, bo wydaje mi się, że mam naturalne ciągoty do smutku. Brzmi to dramatycznie, ale te sukcesy, które osiągnąłem, dają mi krótkotrwałą satysfakcję.

Kiedy poznałem tamtą knajpę na Kazimierzu, byłem na takim etapie życia, że dwutygodniowy wyjazd do Japonii byłby dla mnie super atrakcją. A potem okazało się, że spędziłem tam lata, przeprowadziłem się, znalazłem nowe życie, nowe wcielenie siebie i swojej działalności. Poznałem Kasię, założyliśmy firmę, byliśmy w związku, w którym rozwijaliśmy się osobiście i zawodowo. Nastąpiła eksplozja mojej popularności, która wyniosła mnie na zupełnie nowy poziom. Wcześniej nic tego nie zapowiadało. To wszystko by się nie wydarzyło, gdyby nie tych kilka życiowych szoków typu: rozstanie z Natalią, koniec pracy w Gry-OnLine i tak dalej.

Dlatego polecam czasem otworzyć się na takie radykalne zmiany, jeśli już się nam przydarzą. Polecam, chociaż sam nie jestem w tym zbyt dobry. Jestem typem osoby, która za bardzo się trzyma rzeczy, które już ma, nie chcąc ich puścić. A umiejętność odpuszczania i pójścia dalej jest w życiu bardzo ważna.

Pamiętasz dzień, w którym postanowiłeś, że zostajesz w Japonii?

Pojechaliśmy do Japonii na pięć tygodni z Marcinem Konstantynowiczem – on tam trochę mieszkał, więc pomagał mi merytorycznie przy filmach. Nadszedł ostatni dzień naszego pobytu. Chwilę wcześniej poznałem Kasię – była wtedy z nami, łaziliśmy razem po Tokio. I cały czas biłem się z myślami. Nawet kiedy już wracaliśmy do domu wciąż obijała mi się po głowie myśl: „A co, gdybym nie poleciał? Co, jeśli po prostu nie pójdę na ten samolot?".

Mam koleżankę, która pracuje we Fly Emirates – miała możliwość kupienia mi taniego biletu pracowniczego, więc wiedziałem, że nawet jeśli nie polecę teraz, to nie będę musiał wydawać fortuny na powrót do Polski. Spanie miałem za darmo – mieszkałem wtedy u japońskich kolegów. Jedyny koszt był związany z przesunięciem kilku tematów sponsorskich, ale... Ilona, z którą pracuję, powiedziała mi, że to jest do zrobienia. Nagle wszystkie elementy tej układanki wskoczyły na swoje miejsca. Czułem, że nie chcę wracać.

Czy poznanie Kasi miało wpływ na tę decyzję?

Chyba tak, chociaż dopiero niedawno zdałem sobie z tego sprawę. Dzień przed tą decyzją spędziłem z Kasią miły wieczór, w trakcie którego dużo rozmawialiśmy, trochę piliśmy. Nic nie zaszło, nie było jeszcze między nami chemii, ale od razu się polubiliśmy. Do tej pory wydawało mi się, że ta decyzja nie była związana z Kasią. Ale chyba jednak trochę była.

Wciąż dużo zmieniasz w swoim życiu. Gdzie widzisz siebie za dziesięć lat?

Nie potrafię wyobrazić sobie siebie za dziesięć lat. Takie rozkminy to strata czasu. Przecież dziesięć lat temu w życiu bym nie przewidział, jak moje życie będzie wyglądało dzisiaj.

No dobrze. To gdzie chciałbyś siebie widzieć?

Na pewno wciąż chciałbym coś tworzyć. Nie mam takich marzeń, żeby być bogatym, mieć spokój i siedzieć na dupie. Nie mam takiego instynktu. Chciałbym robić dużo rzeczy na dużą skalę. To jest mój obecny pomysł na siebie – bycie multimedialnym, robienie różnych zaskakujących rzeczy. Chciałbym to jakoś skalować.

Moim idolem pod tym względem Virgil Abloh, który działa oczywiście w innych branżach, ale jego multitasking to najbardziej inspirująca kariera, jaką w życiu widziałem. Jest dyrektorem mody męskiej w Louis Vuitton, prowadzi markę Off-White, gra na całym świecie jako DJ, a w międzyczasie ogarnia sztukę, autorskie projekty, wystawy i współpracę z najróżniejszymi rodzajami kreatywnych ludzi. Mistrz.

Myślisz, że masz szansę znaleźć się w takim miejscu?

Nie wiem. Mam ze sobą taki problem, że nie do końca umiem odpowiedzieć na pytanie, czy jestem przedsiębiorczy, czy nie. Bo wielu ludzi mi tę cechę przypisuje, wydaje im się, że ogarniam mnóstwo biznesów. I niby faktycznie, dużo robię. Ale to wszystko jest takie jakby... wykute kilofem. Nakład pracy wciąż jest olbrzymi. Pracy mojej i ludzi wokół mnie. Wszyscy cały czas zapierdalamy.

A wydaje mi się, że taka prawdziwa przedsiębiorczość zaczyna się wtedy, gdy przestajesz sam robić rzeczy, tylko budujesz systemy, które robią je za ciebie. Ja powoli uczę się outsourcować zadania. Na przykład nie zajmuję się już

montażem ani wieloma sprawami związanymi z publikacją filmów. Muszę mieć tylko mieć pomysł, nakręcić i wysłać. Ale to wciąż nie jest przedsiębiorcze myślenie o YouTubie – takie w stylu ekipy Friza. Przecież on wymyślił zajebisty biznes z tym domem, w którym mieszka z kolegami i koleżankami. A to, co ja robię, to jest takie rzemieślnictwo, tylko na dość dużą skalę.
W filmie „Krok pierwszy" gloryfikuję grind jako styl życia, metodę rozwijania swoich umiejętności. I to jest faktycznie coś, z czym bardzo się utożsamiałem. Zawsze uważałem siebie za osobę, która ciężką pracą dochodzi do zadowalających efektów. Cały czas lubię mieć poczucie, że się solidnie napracowałem.
Ale dopiero ostatnio skumałem, że jest coś dalej – to coś to praca z ludźmi. Kolektywne myślenie, poznawanie zdolnych osób i łączenie ich w świetne ekipy. Rzeczy, które zrobiłem przez ostatni rok, nie byłyby możliwe, gdybym nie przestał uważać, że wszystko muszę robić osobiście.

Mówiliśmy wcześniej, że bywasz control freakiem. Czy jako szef starasz się wszystkim sterować ręcznie?

Mam raczej problem w drugą stronę: że gdy kogoś zatrudniam, to daję mu zbyt mało instrukcji. Za bardzo zawierzam, że ludzie automatycznie wiedzą, co mam na myśli.
Kiedyś miałem poczucie, że muszę wszystko robić sam, bo tylko wtedy rzeczy będą moje. Musiałem wyrażać siebie przez „autorskość". Na przykład „muszę zmontować sam, bo tylko ja wiem dokładnie, jak to zrobić". A kiedy zacząłem pracować z montażystami, to szybko zaczęli montować lepiej ode mnie. I tak było z bardzo wieloma aspektami mojej pracy.
Dziś, patrząc wstecz, nie wierzę, że robiłem te wszystkie rzeczy samodzielnie. Czasem myślę, że gdybym mógł cofnąć czas, to szybciej rozdałbym pewne zadania innym. Jednak zespół, który ze mną pracuje, jest tak dobry, że cieszę się, że z nikim się nie pospieszyłem. Bo znalazłem osoby, z którymi bezbłędnie się rozumiem.

Zakładam, że w Tokio zostajesz do olimpiady. A co dalej?

Jeszcze nie wiem. Jestem trochę na rozdrożu. Bo z jednej strony czuję, że powinienem iść gdzieś dalej, ale z drugiej: jestem winny naszej firmie pracę. I chciałbym jeszcze coś w nią włożyć.

Był moment w tym roku, gdy chciałem opuścić firmę i zrezygnować z mieszkania w Japonii. Byłem tego naprawdę bliski. Spędziłem tydzień z takim założeniem w głowie. I im bardziej się tak nakręcałem, tym smutniejszy byłem. Znowu poczułem się turystą w tym kraju. Wyobraziłem sobie, że nie mam tej firmy i pomyślałem: co ja tu właściwie robię? Tak, jakbym stracił jakąś część z tej swojej tożsamości. No i zostałem.

Kto jest teraz mocniej zaangażowany w japońską firmę? Ty czy Kasia?

Oj, zdecydowanie Kasia, ta firma obecnie istnieje dzięki niej. To bardzo krzywdzące dla Kasi, że dużo ludzi uważa, że to firma Gonciarza. A jest tak dlatego, że w Polsce to głównie ja o niej mówiłem. To ja ją pokazuję widzom, Kasia rzadko kręci filmy na ten temat.
Dla Kasi to zawsze był problem. Ona włożyła w firmę więcej zasobów, czasu, pracy i umiejętności niż ja. A zarazem moi widzowie z Polski myślą, że ona pracuje dla mnie. I to nie jest w porządku, więc chcę, żeby mocno wybrzmiało: to bardziej firma Kasi niż moja.

E P I L O G

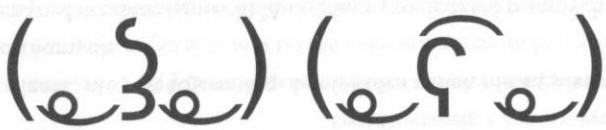

Krzysztof, co ty w ogóle myślisz o książkach polskich youtuberów?
A czemu pytasz?

Och, bo wiesz... nie jest tajemnicą, że niektóre z nich nie są pisane osobiście przez nich samych.
Wiesz, też to słyszałem (śmiech). A co mogę powiedzieć o samych książkach? To na pewno świetne produkty uzupełniające działalność youtube'ową. Bardzo atrakcyjne komercyjnie.

Ta książka dobrze się sprzeda?
Mam, kurwa, nadzieję (śmiech).

Ja, kurwa, też!
Przecież youtuberzy sprzedają ogromne nakłady. To taki dobry miks: niby masz tę youtube'ową kulturę niską, ale podaną w formie książki. To dobrze wygląda przed rodzicami. Jak instalowanie programu edukacyjnego na kompie, na którym grasz w GTA.

Może na koniec warto powiedzieć, jak się poznaliśmy.
Kilka lat temu robiłeś ze mną wywiad dla Agory, do serii „Szczerze z YouTuberem". Nie mieliśmy po tym jakiejś stałej relacji, ale wiele osób pamięta ten wywiad jako jeden z lepszych, jakie ktokolwiek kiedykolwiek ze mną przeprowadził.

Potem widzieliśmy się już w 2019 roku, gdy, na zlecenie Filipa Połoski z serwisu Noizz, wypytywałeś mnie o mój film na temat „Dziury". W ramach akcji społecznej dotyczącej depresji. I tego dnia rzuciłeś taką myśl: że może by coś razem napisać? Pamiętam, że to od razu wydało mi się dobrym pomysłem, a raczej rzadko tak mam.

Tak, pomysł tej książki powstał w okolicach Placu Zbawiciela. Wracaliśmy z jednej z moich ulubionych warszawskich knajp, Świetlicy.
Nie interesował mnie ghostwriting, bo w moim przypadku wydawałoby mi się to nieszczere. Współautorstwo brzmiało super, bo sam nie udźwignąłbym w tym roku czegoś takiego. Poza tym, ja lubię odbijać od kogoś swoje myśli. Nie lubię strukturyzowania ich (śmiech).

Skorzystałbyś kiedyś z ghostwritera?
Rok temu powiedziałbym, że nie. Ale teraz... Muszę przyznać, że nasz proces twórczy zmiękczył moje stanowisko. No bo w sumie czym by się różnił, gdyby to był ghostwriting? Po prostu pisałbyś moje wypowiedzi jako ja. Zamiast wywiadu-rzeki mielibyśmy książkę typu „moje przemyślenia". Co do języka, to na pewno byśmy się dogadali, albo ja bym część rzeczy przepisał, by brzmiały bardziej po mojemu.

W ogóle nie widziałeś tej książki na oczy, bo byłeś zbyt zajęty GonKonem.
Pół-ghostwritowany wywiad rzeka. Czyli to ty robisz wywiad z samym sobą.

A może to jest tak, że to ty piszesz ten fragment, rozmawiając z samym sobą?
Ciebie w ogóle nie było w procesie powstawania tej książki, po prostu napisałem sobie taką postać, by zadawała mi pytania, na które znam odpowiedzi. Ja, Krzysztof Gonciarz, napisałem w całości ten podrozdział.

Nieprawda, było dokładnie odwrotnie.
Czyli co, na koniec tworzymy teorie spiskowe na temat książki?

Brakowało w tym wszystkim jakiegoś skandalu. Niech się teraz zastanawiają, jak było naprawdę. Ale jest jeszcze coś. Powiedziałeś mi dziś, że w trakcie

pracy nad książką uznałeś, że jej wydanie być może połączysz z końcem serii vlogów.

Parę miesięcy pracy z Bartkiem Przybyszewskim i Gonciarz kończy karierę (śmiech). Jak będziesz miał tłum moich widzów z widłami i pochodniami pod domem, to sorry.

Ale poważnie: poczułem, że to ten moment. Przy czym to nie jest tak, że książka miała na tę decyzję wpływ. To raczej zbieg okoliczności. W tym samym okresie zacząłem czuć, że potrzebuję delikatnego wciśnięcia hamulca. I przede wszystkim muszę wyznaczyć sobie tę mentalną granicę: koniec vloga. Będą filmy, będzie kontakt z widzami, wszystko będzie. Ale to jest koniec mojego „daily vloga", którego prowadziłem od kwietnia 2016 roku.

Już w tym roku czułem, że ta formuła się zmienia. Odcinki pojawiały się coraz rzadziej, coraz mniej miałem ochoty na pokazywaniu tego codziennego życia, a coraz bardziej chciałem robić filmy na konkretne tematy, wtedy gdy akurat mam na nie pomysł. Tak naprawdę ten „koniec vloga" rozgrywał się stopniowo na oczach widzów przez cały 2019 rok. Ale jeśli można gdzieś symbolicznie postawić kropkę na końcu zdania, to niech będzie to tutaj.

Także... kropka.

Kraków – Tokio – Warszawa

Lipiec – listopad 2019

Wydawca:
KG Tofu Media
www.krzysztofgonciarz.com

Producent wykonawczy: Szymon Adam Opolski
Współpraca kreatywna: Tala Mikulska, Krzysztof Gonciarz
Redakcja: Olga Kołakowska
Korekta: Agnieszka Zygmunt, Zofia Żółtek, Katarzyna Michałowska
Transkrypcja wywiadu: Magdalena Jarzębska
Projekt graficzny: Nina Gregier
Skład: Simeon Genew
Koordynacja produkcji: Artur Wabik
Wsparcie merytoryczne: Michał Szafrański

ISBN: 978-83-933172-2-6

Wydanie pierwsze, Warszawa 2019

© KG Tofu Media

CZŁOWIEKA ROZUM I GODNOŚĆ